

Kathy Reichs

Pogrzebane tajemnice

(Grave Secrets)

Przełożyła Agnieszka Michalak

Niewinnym:

Gwatemala

1962-1996

Nowy Jork, Nowy Jork

Arlington, Virginia

Shanksville, Pensylwania

11 września 2001 r

Dotykam kości. Opłakuję ich.



Podziękowania

Jak to zwykle bywa, książka nie powstałaby bez pomocy innych osób.

Na wstępie, wdzięcznością i uznaniem chciałabym obdarzyć mego najdroższego przyjaciela i kolegę dr. Clyda Snowa, dzięki któremu wszystko się zaczęło. Dziękuję ci wraz z udręczonymi tego świata.

Czuję bezgraniczną wdzięczność za wsparcie i gościnność okazaną mi przez członków Fundacji Antropologów Sądowych z Gwatemali (FAFG), a zwłaszcza jej prezesa Frediego Armanda Peccerelli Monteroso oraz dyrektora Antropologii Sądowej – Claudie River. Praca FAFG jest trudna i ogromnie ważna. *Muchas gracias*. Mam nadzieję, że w przyszłości bardziej będę mogła wam pomóc.

To dr Ron Fourney z Wydziału Nauk i Rozwoju Biologii, Wydziału Poszukiwań Policji Kanadyjskiej oraz Barry D. Gaudette, menadżer Wydziału Poszukiwań Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej tłumaczyli mi zawilosci analizy włosów zwierząt.

Carol Henderson, asystent w Shepard Broad Law Center na uniwersytecie Nova Southeastern i dr William Rodriguez, lekarz sądowy Instytutu Patologii Sił Zbrojnych, dostarczyli mi informacji na temat budowy i funkcjonowania dołów gnilnych.

Robert J. Rochon, zastępca komendanta policji w Londynie, Kanadyjskiego Wydziału Spraw Zagranicznych i Handlu Międzynarodowego odpowiedział na wiele moich pytań związanych ze światem dyplomacji.

Dr Diane France, dyrektor Laboratorium Identyfikacji Osób Uniwersytetu Stanowego w Kolorado, dostarczyła mi inspiracji przy wykorzystywaniu spiekania laserem selektywnym do formowania kości czaszki, a ekspert Allan De Witt przekazał szczegóły dotyczące technologii SLS.

Emerytowany detektyw sierżant Stephen Rudman z Komendy Policji Miejskiej Montrealu tłumaczył mi tajniki prowadzenia śledztw przez policję w Quebecu.

Dziękuję również dyrektorowi Yvesowi St. Marie, dr. André Lauzon, szefowi służby i wielu innym moim kolegom z Laboratorium Nauk Sądowych i Medycyny Prawniczej. Dziękuję Jamesowi Woodwardowi – rektorowi Uniwersytetu Charlotte w Karolinie Północnej. Wysoce cenię sobie twoje nieustające wsparcie.

Wyrazy wdzięczności należą się również:

Paulowi Reichsowi – podrzucił mi wiele cennych uwag jeszcze w fazie rękopisu. *Paldies** [Paldies (łot.) – dziękuję (przyp. tłum.)].

Moim córkom, Kerry i Courtney Reichs, które towarzyszyły mi w Gwatemali. Wasza obecność rozświetlała mi najciemniejsze chwile. *Paldies*.

Moim wspaniałym wydawcom, Susannie Kirk z Wydawnictwa Scribner i Lynne Drew z Wydawnictwa Random House w Wielkiej Brytanii, które wzięły ode mnie rękopis i zamieniły go w tę oto książkę.

Na końcu pragnę gorąco podziękować mojej agentce Jennifer Rudolph Walsh, która była wspaniałą słuchaczką, skuteczną ochroną i dawała mi „kopa”, gdy tego potrzebowałam. Jesteś boska, Wielka Jen!

Jeśli o kimś zapomniałam, dajcie znać. Postawię mu piwo, przeproszę i podziękuję osobiście. Wszyscy mieliśmy ciężki rok.

W końcu napisałam *Pogrzebane tajemnice*. Jeśli są tam błędy, to ja je zrobiłam.

Rozdział 1

Nie żyję. Mnie także zabili.

Słowa starszej kobiety rozdzierały moje serce.

– Proszę, powiedz mi, co się wtedy stało? – Maria powiedziała to tak cichutko, że musiałam wyteżać słuch, by wychwycić jej hiszpańską mowę.

– Ucałowałam maleństwa i poszłam na rynek – spuściła głowę i obniżyła ton swego głosu. – Nie wiedziałam, że już nigdy więcej ich nie zobaczę.

W mojej głowie rozlegały się zdania przekładane z języka k'akchiquel na hiszpański i z powrotem. Istna pętla lingwistyczna w takt odpowiedzi następujących po pytaniach. Tłumaczenie nie było niczym innym niż otepiającą recytacją.

– Kiedy pani wróciła do domu, Señora Ch'i'p?

– *¿Qué hora regreso usted a su casa, Señora Ch'i'p?*

– *Chice ramaj xatzalij pa awachoch, Ixoq Ch'i'p.*

– Późnym popołudniem. Sprzedałam wszystką fasolę.

– Dom był spalony?

– Tak.

– Czy pani rodzina była w środku?

Skinienie głową.

Przyglądałam się rozmówcom. Starszej kobiecie, jej synowi w średnim wieku, młodej antropolog kultury Marii Paiz. Przywoływali zbyt przykre wspomnienia, by opisać je słowami. Gdzieś wewnątrz czułam przyływ złości i smutku, niczym burzowe chmury zbierające się na horyzoncie.

– Co zrobiliście?

– Pochowaliśmy ich w pośpiechu w studni, zanim wrócili żołnierze.

Przyglądałam się starej kobiecie. Miała pozdzierane ręce, jej długi warkocz był szary. Otulający jej głowę materiał utkany we wzorki w kolorze jasnoczerwonym, różowym, żółtym i niebieskim, był starszy niż otaczające nas góry. Jeden z jego rogów dawno wytarł czas. Twarz staruszki przypominała brązowe sztruksy.

Kobieta nie uśmiechała się. Nie marszczyła brwi. Ku mej uldze, jej wzrok nie szukał wzroku innych. Wiedziałam, że jeśli napotkam jej spojrzenie choćby na chwilę, ból, jaki w nim odczytam, byłby nie do zniesienia. Może to rozumiała i odwróciła wzrok by uniknąć wprowadzania innych do piekła, które czało się w jej oczach.

A może był to po prostu brak zaufania. Może rzeczy, które widziała, sprawiły, że niechętnie przyglądała się nieznanym twarzom.

Poczułam zawroty głowy. Odwróciłam wiadro do góry dnem, usiadłam na nim i rozejrzałam

się dookoła.

Siedziałam na wysokości prawie dwóch tysięcy metrów w zachodniej części Wyżyny Gwatemalskiej, na dnie wąwozu o stromych zboczach, w wiosce Chupan Ya, gdzieś między górami. Około stu dwudziestu pięciu kilometrów na północny zachód od miasta Gwatemala – stolicy kraju.

Wokół mnie kwitły zielone, bujne lasy, urozmaicone niewielkimi polami i ogródkami zatopionymi w nich niczym wysepki na morzu. Tu i tam rzędy utworzonych przez człowieka tarasów tworzyły wielką szachownicę schodzącą po górskich zboczach jak swawolne wody wodospadów. Mgły otulały najwyższe szczyty, zacierając ich kontury z delikatnością pędzla Moneta.

Rzadko miałam okazję podziwiać tak piękny krajobraz. Wspaniałe Góry Smocze.

Chociaż mam domy i w Karolinie Północnej, i Quebecu, gdzie pracuję jako antropolog sądowy dla amerykańskiego i kanadyjskiego wymiaru sprawiedliwości, w ramach wolontariatu wyjechałam na jeden miesiąc do Gwatemali jako konsultantka Gwatemalskiej Fundacji Antropologii Sądowej (FAFG). Fundacja ta zajmowała się odnajdywaniem i identyfikacją szczątków osób, które zaginęły podczas wojny domowej w latach 1962-1996, w jednym z najbardziej krwawych konfliktów w historii Ameryki Łacińskiej.

Wiele się nauczyłam na tydzień przed przyjazdem. Szacunkowa liczba zaginionych waha się od jednego do dwóch tysięcy. Masowej rzezi dokonała armia gwatemalska i współpracujące z nią organizacje paramilitarne. Większość zabitych stanowili chłopci. Wiele było również kobiet i dzieci.

Zazwyczaj ofiary rozstrzeliwano lub cięto maczetami. Nie każda wioska miała tyle szczęścia co Chupan Ya. Tutaj ci, którzy przeżyli, mieli czas, aby pogrzebać zabitych. Bardzo często ciała grzebano w masowych grobach bez żadnych oznaczeń, składowano w rzekach, pozostawiano pod ruinami chat lub domów. Rodzinom niczego nie wyjaśniano, nie tworzone list zaginionych ani żadnych zapisków. Komisja ONZ do spraw wyjaśniania faktów historycznych uznała tę masakrę za ludobójstwo Majów.

Rodziny i sąsiedzi nazywali zaginionych członków *desaparecidos*. Zaginieni. Fundacja FAFG próbowała odnaleźć ich albo ściślej rzecz ujmując ich szczątki. Pojechałam tam, aby im pomóc.

Tutaj, do Chupan Ya, patrole wojskowe i cywilne wtargnęły w sierpniowy poranek 1982 roku. Mężczyźni uciekali, bojąc się, że zostaną oskarżeni o kolaborację z lokalną partyzantką i skazani. Kobiетom kazano zabierać dzieci i gromadzić się na wyznaczonych farmach. Były posłuszne rozkazom, bo się bały. Posłuszeństwo nie ustrzegło ich przed dramatem. Kiedy żołnierze odnajdywali kobiety w miejscach, do których kazano im się udać, gwałcili je godzinami, a później zabijali wraz z dziećmi. Każdy dom w dolinie został doszczętnie spalony.

Ci, którzy przeżyli, wspominali o pięciu masowych mogiłach. Mówiło się, że ciała dwudziestu trzech kobiet i dzieci spoczywają na dnie studni wykopanej za plecami Señory

Ch'i'p.

Starsza kobieta kontynuowała swoją historię. Zza jej ramion wylaniała się konstrukcja, którą postawiliśmy trzy dni wcześniej, aby zabezpieczyć studnię przed deszczem i słońcem. Plecaki i futerały aparatów fotograficznych wisiały na metalowych słupkach, a namioty przykrywały wejście do wykopu. Pudełka, wiadra, łopaty, kilofy, pędzle i pojemniki do przechowywania leżały tam, gdzie pozostawiliśmy je rano.

Lina rozciągnięta od tyczki do tyczki wokół wykopu tworzyła granicę oddzielającą obserwatorów od pracowników. Przed nią siedziało beczynnie trzech członków zespołu fundacji FAFG. Za liną stali mieszkańcy wioski, którzy codziennie przychodzili, aby w ciszy obserwować prace, oraz policyjni strażnicy, którym nakazano nas ogrodzić.

Byliśmy blisko odkopania dowodu, gdy dostaliśmy nakaz przerwania robót. Z ziemi zaczął wydostawać się popiół i żar. Jej kolor zmieniał się z mahoniowego w cmentarnie czarny. Znaleźliśmy kosmyk włosów dziecka na sicie, skrawki ubrań i malutką tenisówkę.

Dobry Boże. Czyżby naprawdę rodzina tej starszej kobiety leżała zaledwie kilka centymetrów od miejsca, w którym zaprzestaliśmy kopać?

Pięć córek i dziewięć wnucząt zastrzelonych, pociętych maczetami i spalonych we własnym domu razem z kobietami i dziećmi z sąsiedztwa. Jak można znieść taką stratę? Cóż życie może dać tej staruszce prócz bez granicznego bólu?

Ponownie rozejrzałam się dookoła i zauważyłam pół tuzina obejść gospodarskich wyrzeźbionych w krajobrazie. Gliniane mury, dachy z kafelków, kłęby dymu unoszące się z nad kominków, na których gotowano jedzenie. Każde z obejść miało brudne podwórko, wygódkę na zewnątrz i wychudzonego psa, a nawet dwa. Co bogatsi mieli kurczaki, wychudłego wieprza, rower.

Dwie z córek Señory Ch'i'p mieszkały w skupisku chałup na zachodniej skarpie, w pół drogi do góry.

Reszta jej potomstwa mieszkała na szczycie, tam gdzie fundacja FAFG zaparkowała swoje samochody. Kobiety były zameżne, ale Señora nie pamiętała, w jakim były wieku. Ich dzieci miały trzy dni, dziesięć miesięcy, dwa, cztery i pięć lat.

Najmłodsze córki staruszki, jedenasto- i trzynastoletnia, wciąż mieszkały razem z nią.

Rodziny, połączone siecią drózek i wspólnymi genami. Cały ich świat stanowiła ta dolina.

Wyobraziłam sobie Señorę Ch'i'p wracającą tamtego dnia. Być może pokonywała ten sam brudny szlak, którym nasz zespół każdego ranka schodził na dół i wchodził pod górę wieczorem. Sprzedała całą fasolę i prawdopodobnie była z tego bardzo zadowolona.

Czekał na nią horror.

Dwie dekady to nie jest czas wystarczająco długi, aby o wszystkim zapomnieć. Życie nie jest wystarczająco długie.

Zastanawiałam się, jak często myślała o ofiarach. Czy ich zjawy towarzyszyły jej, kiedy wlokła się na rynek? Podążały za nią tą samą drogą, którą szła również tamtego dnia? Czy każdej

nocy spały za obszarpaną szmatą zasłaniającą jej okno, gdy ciemność zstępowała w dolinę? Czy o tych ludziach śniła? Czy do nich się uśmiechała i śmiała, jakby nadal żyli? A może widziała ich takimi, jakich wtedy znalazła: zakrwawionych, zwęglonych, zabitych?

Moje wyobrażenia były niejasne. Opuściłam znowu głowę, utkwiliam wzrok w błocie. Jak to możliwe, aby człowiek zrobił TO drugiemu człowiekowi? Bezbronnym i niestawiającym oporu kobietom i dzieciom? W dali usłyszałam uderzenie pioruna.

Sekundy, a może lata później wywiad się zakończył, a nieprzetłumaczone pytania zawisły w próżni. Kiedy przyglądałam się Marii, tłumacz zwrócił jej uwagę na wzgórze tuż za moimi plecami. Señora Ch'i'p nadal wpatrywała się w swoje sandały, z dłonią na policzku i piąstkami zaciśniętymi jak u noworodka.

– Mateo wrócił – powiedziała Elena Norvillo, członkini FAFG z regionu El Petén. Odwróciłam się, gdy nadepnęła mi na stopy. Reszta zespołu obserwowała wszystko z namiotu.

Dwóch mężczyzn schodziło w dół ścieżką wijącą się wąwozem. Prowadzący miał na sobie niebieską wiatrówkę, sprane džinsy i brązową czapkę. Chociaż nie mogłam odczytać napisu z miejsca, w którym siedziałam, wiedziałam, że litery na czapce układają się w skrót FAFG. Sześcioro z nas, czekających tutaj na miejscu, nosiło takie same czapki. Mężczyzna idący za Mateo, ubrany w garnitur i krawat, targał rozwalające się krzesło.

Patrzyliśmy, jak ostrożnie kroczyli przez postrzępione pola kukurydzy, otoczone przez pół tuzina innych upraw. Sadzonki fasoli, ziemniaków, mało ważne dla nas, podstawa pożywienia i dochodów dla rodzin, które je uprawiały.

Kiedy zbliżyli się na odległość osiemnastu metrów, Elena krzyknęła w ich kierunku:

– Macie?

Mateo odpowiedział gestem, podnosząc do góry prawy kciuk.

Lokalny sędzia wydał nakaz zawieszenia prac. Według jego interpretacji nakazu ekshumacji, nie wolno było prowadzić jakichkolwiek badań i poszukiwań bez obecności sędziego, gwatemalskiego odpowiednika lokalnego adwokata. Kiedy przybył na miejsce prac dzisiaj rano i nie zastał żadnego sędziego na miejscu, nakazał wstrzymanie prac. Mateo pojechał do stolicy Gwatemali, aby unieważnić ten nakaz.

Teraz podszedł bezpośrednio do dwóch umundurowanych ochroniarzy, członków Cywilnej Policji Narodowej, i przedstawił im dokument. Starszy glina poprawił uchwyt broni półautomatycznej, wziął dokument, przeczytał. Błyszczący czarny daszek jego czapki odbijał gasnące światło popołudnia. Drugi policjant, o znudzonym wyrazie twarzy, stał z wysuniętą do przodu stopą.

Po krótkiej wymianie zdań z gościem w garniturze, starszy glina zwrócił dokument Mateo i kiwnął głową.

Mieszkańcy wioski patrzyli w ciszy, ale z uwagą, jak Juan, Luis i Rosa przybijali między sobą piątki. Mateo i jego towarzysz dołączyli do reszty stojących przy studni. Podeszła do nich Elena.

Przechodząc do namiotu ponownie przyjrzałam się Señorze Ch'i'p i jej dorosłemu synowi. Mężczyzna miał zmarszczone brwi, a jego twarz wyrażała tylko nienawiść. Zastanawiałam się, w kogo była wymierzona. W tych, którzy zmasakrowali jego rodzinę? A może w tych, którzy przybyli tutaj z innego świata, aby zakłócić spokój ich gości? W oddalone od tego miejsca władze, które zabraniały zbadania tego mordu? A może nienawidził siebie, za to, że przeżył tamten dzień? Jego matka stała bez ruchu z obojętną twarzą.

Mateo przedstawił nam mężczyznę w garniturze. Był to Roberto Amado, przedstawiciel sędziego z biura lokalnego adwokata. Sędzia z Gwatemali zarządził, że obecność Amado jest konieczna ze względu na wymogi zezwolenia na ekshumację. Amado będzie z nami podczas wykonywania prac. Będzie obserwował i nagrywał, a potem przedstawi wyniki naszych prac sądowi.

Roberto przywitał się z każdym z nas, po czym przeszedł w róg wyznaczony linami i usiadł. Mateo zaczął wydawać polecenia.

– Luis, Rosa, przesiewajcie. Tempe i ja będziemy kopać. Juan, czyść znaleźiska. Gdy znajdzie taka konieczność, będziemy się zmieniać.

Mateo miał na górnej wardze niewielką bliznę w kształcie litery V, która rozszerzała się w formę litery U, kiedy się uśmiechał. Dzisiaj V pozostawało wąskie jak szpikulec.

– Elena, dokumentuj i fotografuj. Spisz części szkieletów, rzeczy, zdjęć. Zapisujemy każdą najmniejszą cząsteczkę.

– Gdzie są Carlos i Molly? – spytała Elena.

Carlos Menzes był członkiem argentyńskiej organizacji praw człowieka. Wspierał swoimi radami FAFG od chwili jej powstania w 1992 roku. Molly Carraway była archeologiem przybyłym z Minnesoty.

– Jadą inną ciężarówką, która przyda się nam jako dodatkowy środek transportu. Będziemy potrzebowali jeszcze jednego samochodu, by opuścić to miejsce ze sprzętem i odkopanymi przedmiotami.

Popatrzył na niebo.

– Burza nadejdzie za jakieś dwie godziny, a jak będziemy mieli szczęście, może za trzy. Odnajdźmy tych ludzi, zanim ktoś zasypie nas prawniczymi bzdurami.

Gdy zbierałam kielnie i wkładałam je do wiadra, wiążąc długą liną, Mateo wsadził nakaz sądowy do swojej torby, po czym powiesił ją na metalowej poprzeczce. Jego oczy i włosy były czarne, a ciało niskie i tęgie. Rozbudowane mięśnie karku i ramion napinały się, gdy razem z Luisem odrzucali do tyłu namiot przykrywający wylot wykopu ekshumacyjnego.

Mateo postawił stopę na pierwszym z ziemnych schodków, ukształtowanych na ścianie wykopu. Krawędzie kruszyły się, osypując ziemię na dwa metry w głąb. Osypujące się kaskadowo cząsteczki wydawały delikatny dźwięk, gdy Mateo powoli schodził do studni.

Kiedy zszedł na dno, podniosłam wiadro i zapięłam wiatrówkę. Trzy dni tutaj nauczyły mnie, że maj jest piękny na wyżynach, ale pod ziemią chłód przeszywa do szpiku kości. Każdego

wieczoru opuszczałam Chupan Ya całkowicie wyziębiona.

Idąc za Mateo, stawiałam stopy bokiem, sprawdzając każdy prowizoryczny stopień. Wkrótce z każdej strony otoczył mnie mrok. Mój puls przyspieszył.

Mateo podał mi wyciągniętą dłoń. Zeszłam z ostatniego schodka i stanęłam w dziurze nie większej niż sześć metrów kwadratowych. Ściany i dno były śliskie, a powietrze wilgotne i zgniłe.

Waliło mi serce. Kropla potu płynęła bruzdą wzdłuż kręgosłupa.

Tak jak to z reguły bywa w wąskich, ciemnych miejscach.

Odwrociłam się od Mateo, zamierzając oczyścić moją kielnię. Zadrżały mi ręce.

Zamknęłam oczy. Walczyłam z klaustrofobią. Myślałam o mojej córce. Katy ucząca się chodzić, Katy na Uniwersytecie w Virginii, Katy na plaży. Przypominałam sobie Ptaśka – mojego kota. Mój dom w Charlotte, moje mieszkanie w Montrealu.

Zagrałam w grę polegającą na powtarzaniu słów piosenek. Pierwszą piosenką, jaka wpadła mi do głowy był *Hawest Moon* Neila Younga.

Mój oddech uspokoił się, a serce biło wolniej.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na zegarek. Pięćdziesiąt siedem sekund – nie tak dobrze jak wczoraj, ale lepiej niż we wtorek i dużo lepiej niż w poniedziałek.

Mateo już klęczał na kolanach, zeskrobując wilgotną ziemię. Przeszłam do przeciwnego rogu wykopu i przez dwadzieścia minut oboje pracowaliśmy, nie odzywając się do siebie, używając kielni, badając ziemię i zgarniając ją do wiader.

Przedmioty pojawiały się z coraz większą częstotliwością. Kawałek szkła. Kawałek metalu. Zwęglone drewno. Elena pakowała je do torebek i każdy z osobna opisywała.

Dotarł do nas hałas z zewnątrz wykopu. Żarciki. Pytania. Szczekanie psa. Od czasu do czasu spoglądałam do góry, nieświadomie dodając sobie otuchy.

Twarze spoglądające w dół. Mężczyźni w kapeluszach gaucho, kobiety w tradycyjnych tkaninach majskich, maleństwa uczące się chodzić, przyklejone do matczynych spódnic. Dzieci, owinięte bezpiecznie w tęczowe materiały, przyglądały się naszej pracy swymi okrągłymi, czarnymi oczkami. Widziałam setki odmian wysokich kości policzkowych, czarnych włosów i skóry w kolorze sjeny.

Raz, spojrzawszy w górę, zobaczyłam malutką dziewczynkę z rękoma nad głową. Oplotła paluszki wokół liny ograniczającej wykop. Typowy dzieciak. Pucolowate policzki, brudne stopy, koński ogon.

Uklucie bólu.

Ten dzieciak był w tym samym wieku, co jedna z wnuczek Señory Ch'i'p. Włosy dziewczynki były spięte taką samą spinką do włosów, jaką znaleźliśmy na sicie.

Uśmiechnęłam się. Mała odwróciła twarz i przycisnęła ją do nóg swojej matki. Brązowa dłoń opadła i pogłaskała dziewczynkę po głowie.

Według świadków, dziura, w której kopaliśmy, miała być zbiornikiem na wodę. Jego

budowę rozpoczęto, ale nigdy nie ukończono, ponieważ w noc masakry posłużył za nieoznaczony grób.

Grób dla ludzi takich jak ci czuwający na górze.

Gdy ponownie zabierałam się za kopanie, kłębiła się we mnie złość.

Skup się, Brennan. Przelej swe wzburzenie na odkopywanie dowodów. Rób to, co możesz zrobić.

Dziesięć minut później moja kielnia natrafiła na coś twardego. Odłożyłam narzędzie i zaczęłam odgarniać palcami błoto.

Obiekt był cienki jak ołówek, ze zgiętą szyją zakończoną pomarszczoną powierzchnią. Nad szyją znajdowała się mała czapeczka. Szyję i czapkę otaczała okrągła miseczka.

Przysiadłam na piętach i badałam znalezisko. Kość udowa i miednica. Bioderko chłopca, który miał nie więcej niż dwa latka.

Spojrzałam do góry, a mój wzrok spotkał się ze wzrokiem małej dziewczynki. Znowu zniknęła. Gdy wróciła, zerknęła zza fałd spódnicy swojej matki, uśmiechając się nieśmiało.

Słodki Jezu.

Łzy cisnęły mi się do oczu.

– Mateo.

Wskazałam na małe kości. Mateo przywłókł się do mojego narożnika.

Kość udową na całej długości pokrywały szare i czarne plamy powstałe na skutek kontaktu z ogniem i dymem. Jej koniec był zwapniały, co sugerowało intensywniejsze palenie.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Wreszcie Mateo przełamał się i powiedział niskim głosem:

– Znaleźliśmy je.

Kiedy Mateo wstał i powtarzał swoje słowa, cały zespół zgromadził się przy krawędzi studni.

Przelotna myśl. Kogo mamy, Mateo? Znaleźliśmy ofiary, a nie zabójców? Jaka jest szansa, że któryś z tych uprawnionych przez rząd rzeźników kiedykolwiek zostanie oskarżony i skazany?

Elena odłożyła aparat fotograficzny i postawiła plastikowy znacznik z napisanym na nim numerem „1”. Umieściłam numerek obok znaleziska. Zrobiłam kilka zdjęć.

Mateo i ja powróciliśmy do kopania, a inni do przesiewania i przenoszenia. Po godzinie i ja zabrałam się za sito. Potem ponownie zeszłam do studni.

Burza zatrzymała się gdzieś dalej, a zbiornik na wodę opowiadał nam swoją historię. Znalezione dziecko było jednym z ostatnich złożonych do tajnego grobu. Pod nim i wokół niego zalegały szczątki innych osób. Niektóre niedopalone, inne ledwie nadpalone.

Zanim nastąpiło późne popołudnie, nadaliśmy siedem numerów naszemu znaleziskom. Pięć czaszek złożonych pośród kłębowiska kości zmuszało do odwrócenia wzroku. Były to kości trzech dorosłych ofiar i co najmniej dwojga młodocianych. Numer jeden – dziecko. W przypadku pozostałych – oszacowanie wieku było niemożliwe.

O zmierzchu odkryłam, że spędzę tutaj resztę swojego życia. Przez ponad godzinę pracowałam nad szkieletem numer pięć. Znalazłam czaszkę i dolną szczękę, oczyściłam z ziemi kręgosłup, żebra, miednicę i kończyny. Udało mi się znaleźć nogi. Kości stopy były zmieszane z kośćmi ofiary leżącej obok.

Szkielet numer pięć był szkieletem kobiety. Oczodoły nie miały zaznaczonych grzbietów, kości policzkowe były cienkie i gładkie a wyrostek sutkowaty – mały. Dolna część ciała była owinięta w kawałek zniszczonej spódnicy, identycznej jak tuziny spódnic ponad moją głowę. Zardzewiała obrączka okalała cieniutki paliczek.

Chociaż kolory były spłowiałe i zabrudzone, dostrzegłam wzór tkaniny okrywającej górną część tułowia. Pomiędzy kośćmi ramienia, na pogruchotanej klatce piersiowej leżał tobolek z materiału o innym wzorze. Ostrożnie odsunęłam jeden róg, wsunęłam opuszki palców do środka, a następnie odsłoniłam wierzchnią powłokę materiału.

Kiedyś, w laboratorium w Montrealu, poproszono mnie o zbadanie zawartości płóciennej torby znalezionej na brzegu jeziora. Wyciągnęłam z niego kilka skałek i kości tak delikatnych, że w pierwszej chwili sądziłam, że mogą być kośćmi ptaków. Myliłam się. Worek zawierał szczątki trzech kociaków, obciążonych tak, aby poszły na dno jeziora. Moje oburzenie było tak duże, że uciekłam z laboratorium. Musiałam przejść kilka kilometrów, zanim ponownie wróciłam do pracy.

W toboleku trzymanym przez szkielet numer pięć znalazłam łuk dysków kręgosłupa z okalającą go małą klatką piersiową. Kości ramion i nóg miały rozmiar zapalek. Małutka szczęka.

To był wnuczek Señory Ch'i'p.

Pośród cieniutkich jak papier części czaszki znalazłam pocisk 556, wystrzelony z karabinu szturmowego.

Przypomniałam sobie, co czułam, kiedy znalazłam szczątki zmasakrowanych kociąt. Teraz poczułam wściekłość. Przy grobie nie było żadnych uliczek, którymi można by się przejść. Brak możliwości, by pokonać złość. Gapiłam się na małe kostki, próbując wyobrazić sobie człowieka, który pociągnął za spust. Jak mógł spać nocami? Jak teraz może spojrzeć w oczy ludziom?

O szóstej Mateo kazał nam skończyć pracę. W powietrzu wisiał deszcz, a przez ciężkie, czarne chmury przebijały się żyłki światła. Tubyłcy rozeszli się.

Sprawnie przykryliśmy studnię, złożyliśmy sprzęt, który mogliśmy odstawić na bok i załadowaliśmy na samochody to, co musieliśmy zabrać. Gdy zespół pracował, rozpadało się na dobre. Zimne krople brzdękały w prowizoryczny dach nad naszymi głowami. Amado, z kamiennym wyrazem twarzy, czekał ze złożonym batystowym krzesłem.

Mateo podpisał księgi nadzoru policjantom i wyruszyliśmy w drogę przez pola kukurydzy, posuwając się jeden za drugim niczym mrówki po śladach zapachowych. Dopiero rozpoczęliśmy naszą długą, stromą wspinaczkę, kiedy zaczęła się burza. Gęsty, ulewny deszcz przemoczył włosy i ubrania. Błysnęło. Uderzył piorun. Drzewa i źdźbła kukurydzy pochylały się na wietrze.

W ciągu kilku minut woda zmieniła ścieżki w potok śliskiego, brązowego błota. Raz za razem potykałam się, uderzając mocno w kolana i inne części ciała. Czołgałam się, chwytając się prawą ręką roślinności, a w lewej taszcząc torbę z kielniami. Moje stopy walczyły o przyczepność z osuwającą się ziemią. Silny deszcz i ciemność przesłaniały widok, mogłam tylko słyszeć innych nade mną i pode mną. Ich przygarbione sylwetki jaśniały za każdym razem, gdy niebo rozświećlały błyskawice. Drżały mi nogi, paliło mnie w klatce piersiowej.

Wieki później dotarłam na grzbiet i wczołgałam się na skrawek ziemi, gdzie jedenaście godzin temu pozostawiliśmy samochody. Kładłam łopaty na pace furgonetki, kiedy rozległ się ledwie słyszalny dzwonek satelitarnego telefonu Mateo.

– Czy ktoś to może odebrać? – krzyknął.

Ześlizgując się w kierunku szoferki, chwyciłam plecak, odkopałam telefon i odebrałam.

– Tempe Brennan – krzyknęłam.

– Jeszcze tam jesteście? – usłyszałam pytanie w języku angielskim. To była Molly Carraway, moja koleżanka z Minnesoty.

– Właśnie wyruszamy. Leje jak diabli – krzyczałam, ocierając wodę z twarzy.

– A tutaj jest sucho.

– Gdzie jesteś?

– Koło Sololá. Późno wyjechaliśmy. Słuchaj, wydaje się nam, że jesteśmy śledzeni.

– Śledzeni?

– Czarny sedan siedzi nam na ogonie od samej Gwatemali. Carlos próbował kilku manewrów, aby ich zgubić, ale ten facet trzyma się nas jak przeziębienie.

– Czy możesz zobaczyć, kto prowadzi?

– Niezupełnie. Szyby są przyciemnione i...

Usłyszałam głuchy łomot, krzyk i zakłócenia, jak gdyby telefon został rzucony i toczył się.

– Jezu Chryste! – głos Carlosa brzmiał głucho z oddali.

– Molly?

Usłyszałam wzburzone słowa, ale nie mogłam ich zrozumieć.

– Molly, co się dzieje?

Krzyki. Kolejny łomot. Szuranie. Klakson samochodu. Głośny zgrzyt. Męskie głosy.

– Co się dzieje? – niepokój spowodował, że mój głos podniósł się o oktawę.

Bez odpowiedzi.

Ktoś wykrzyczał jakiś rozkaz.

– Pieprz się! – odkrzyknął Carlos.

– Molly! Powiedz mi, o co chodzi! – prawie wrzeszczałam do słuchawki.

Pozostali przerwali pakowanie i gapili się na mnie.

– Nie! – powiedziała jakby z zaświatów Molly Carraway. Jej głos był niski, brzęczący i przerażony. – Proszę. Nie!

Dwa głuche strzały:

Krzyk.

Kolejne dwa.

Martwa cisza.

Rozdział 2

Znaleźliśmy Carlosa i Molly około 8 kilometrów za Sololá, więcej niż 90 kilometrów od Gwatemali, ale mniej niż 30 kilometrów od miejsca, w którym pracowaliśmy.

Padało nieprzerwanie. W pewnym momencie nasz konwój przechylił się i zakołysał na wąskim, błotnistym, skalistym szlaku łączącym grzbiety doliny z utwardzoną drogą. Najpierw jeden samochód, a potem kolejne ugrzęzły w błocie. Potrzebna była pomoc zespołu, aby je wyciągnąć. Pchaliśmy pojazdy, przęcając się w oceanie błota, po czym ponownie zajęliśmy miejsca i ruszyliśmy dalej. Wyglądaliśmy jak członkowie plemienia z Nowej Gwinei wymalowani żalobnymi barwami.

Do asfaltowej nawierzchni dojeżdżało się zwykle w ciągu dwudziestu minut. Tamtej nocy podróż zajęła więcej niż godzinę. Przyklejona do ramy ciężarówki, objąłam się od boku do boku, a mój żołądek ścisnął się z niepokoju. Milczeliśmy. Mimo to byłam pewna, że Mateo i ja zadajemy sobie te same pytania. Co przydarzyło się Molly i Carlosowi? Co znajdziemy? Dlaczego przyjechali tak późno? Co ich zatrzymało? Czy rzeczywiście byli śledzeni? Przez kogo? Gdzie są teraz ci, którzy ich śledzili?

Tam, gdzie droga łączyła się z autostradą, pan Amado wysiadł z dżipa, podbiegł do swojego samochodu i odjechał w nieznanym kierunku. Było jasne, że przedstawiciel władzy lokalnej nie miał zamiaru wlec się w naszym towarzystwie ani chwili dłużej, niż było to konieczne.

Wciąż lało i nawet asfaltowa droga stanowiła zagrożenie. Po piętnastu minutach zauważyliśmy w rowie po przeciwnej stronie drogi furgonetkę FAFG. Przednie światła były zapalone, a drzwi kierowcy uchylone. Mateo ostro zawrócił i wpadł w poślizg. Wyskoczyłam z szoferki, zanim dobrze zahamował. Znowu poczułam skurcze żołądka.

Mimo deszczu i ciemności dostrzegłam obryzganą czymś ciemnym deskę rozdzielczą po stronie kierowcy. Widok zmroził mi krew w żyłach.

Carlos leżał za kierownicą zgięty w pół, stopy i głowę miał skierowane w kierunku otwartych drzwi, jak gdyby został wepchnięty z zewnątrz. Tył głowy i koszula na plecach były w kolorze taniego wina. Krew sączyła się w dół siedzenia, rozlewając się wokół pedałów gazu i hamulca, tworząc ohydne plamy na dżinsach i butach.

Molly siedziała po stronie pasażera, trzymając jedną dłoń na klamce drzwi, a drugą na kolanach. Z powykręcانymi nogami i głową ułożoną pod dziwnym kątem przypominała szmacianą laleczkę. Na jej nylonowym żakiecie widniały dwie ciemne plamy o kształcie grzybków.

Przebiegając prędko palcami od ramion do szyi Carlosa, przyłożyłam drżące palce do jego gardła. Nic. Poruszyłam ręką, szukając oznak życia. Nic. Chwyciłam za nadgarstek. Nic.

Proszę cię, Boże! Serce waliło mi dziko.

Mateo przebiegł obok mnie, pouczając, abym sprawdziła Molly. Wgramoliłam się do niej przez otwarte okno i szukałam pulsu. Nic. Raz za razem przykładałam palce do jej bladego gardła. Naprzeciwko mnie Mateo krzychał do telefonu, jakby głosem naśladował moje zdesperowane ruchy.

Za czwartym razem udało mi się wyczuć spokojne, słabe i niepewne bicie serca Molly. To było zaledwie drganie, ale było.

– Ona żyje – krzyknęłam.

Koło mnie stała Elena. Miała szeroko otwarte, błyszczące oczy. Kiedy otworzyła drzwi, schyliłam się i wzięłam Molly na ręce. Deszcz oblewał mi twarz, gdy trzymałam ją pionowo, rozpięłam jej żakiet i podniosłam koszulę, aby zlokalizować dwa źródła krwawienia. Dla utrzymania równowagi rozstawiłam stopy, ucisnęłam rany i modliłam się, aby pomoc przybyła na czas.

Krew łomotała mi w uszach. Setki uderzeń. Tysiące. Szeptałam do ucha Molly, nakłaniając ją, aby ze mną została. Moje ręce drętwiały, nogi obezwładniał skurcz. Plecy uginały się od wymuszonego utrzymywania równowagi.

Pozostali gromadzili się bezładnie, aby wspierać, wymieniać jakieś słowa czy uwagi. Światła samochodów oświetlały zwrócone w naszym kierunku twarze, ciekawskie, ale niechętne, aby ktokolwiek wciągał je w dramat, który rozegrał się na drodze do Sololá.

Twarz Molly wyglądała jak twarz ducha. Krawędzie jej ust były niebieskie. Wtedy zauważyłam, że miała na sobie złoty łańcuszek z malutkim krzyżykiem, a na nadgarstku zegarek. Jego wskazówki pokazywały godzinę 20:21. Szukałam telefonu komórkowego, ale nie znalazłam.

Nagle deszcz ustał. Zawył pies, a zaraz za nim kolejny. Nocny ptak zaświergotał nieśmiało.

Wysoko na autostradzie dostrzegłam w oddali czerwone światło.

– Już są – nuciłam do ucha Molly. – Bądź silna, dziewczyno. Będzie dobrze. – Moje palce ślizgały się po skórze rannej w zmieszanych krwi i pocie.

Czerwone światło zbliżało się. Kilka minut później karetka pogotowia i wóz policyjny wyły za naszymi plecami, uderzając w nas żwirem i ciepłym powietrzem. Czerwone światło odbijało się od lśniącej nawierzchni, błyszczących w deszczu samochodów, bladych twarzy.

Personel paramedyczny udzielił pomocy lekarskiej Molly, przeniósł ją do karetki i prędko odjechał w stronę szpitala w Sololá. Elena i Luis ruszyli za karetką, aby nadzorować przyjmowanie ofiary do szpitala. Po złożeniu krótkich zeznań reszcie z nas zezwolono na powrót do Panajachel, gdzie mieszkaliśmy, podczas gdy Mateo wyruszył w podróż do komendy głównej policji w Sololá.

Zespół został zakwaterowany w Santa Rosa, tanim hoteliku ukrytym w bocznej alejce przy Avenida El Frutal. Zaraz po wejściu do pokoju ściągnęłam i rzuciłam na kupkę w rogu moje przemoczone ubrania. Wzięłam prysznic, wdzięczna, że FAFG zapłaciła dodatkowe quetzale* [Quetzal – ekon. jednostka monetarna Gwatemali, dzieli się na 100 centavos (przyp. tłum.)] za gorącą wodę.

Mimo że od południowej przekąski w postaci kanapki z serem i jabłka nic nie jadłam, strach i zmęczenie wyciszały pragnienie jedzenia. Padłam na łóżko, zniechęcona widokiem ofiar ze studni w Chupan Ya i przerażona tym, co przydarzyło się Carlosowi i Molly.

Źle spałam tej nocy, męczyły mnie okropne sny. Skorupy dziecięcych czaszek, puste oczodoły. Kości rąk ukryte w zmurszałych *guipil** [Guipil (hiszp.) – regionalny strój lub bluza Indian (przyp. tłum.)]. Obryzgana tkankami ciężarówka.

Wydawało się, że nijak nie można uciec od okrutnej śmierci – w dzień czy w nocy, teraz czy w przeszłości.

Obudziło mnie skrzeczenie papug i sączący się przez żaluzje szary świt. Coś było nie tak. Ale co?

Wspomnienia poprzedniej nocy uderzały we mnie niczym zimna, paraliżująca fala. Podciągnęłam kolana do klatki piersiowej i leżałam tak kilka minut lękając się wieści, a zarazem czekając na nie.

Odrzuciłam kołdrę, oddałam się skróconym porannym ablucjom, po czym założyłam dżinsy, koszulkę, żakiet i czapkę.

Mateo i Elena popijali kawę, siedząc przy stole na podwórzu. Ich sylwetki pozostawiały cienie na murze pomalowanym w kolorze łososiowo-różowym. Dołączyłam do nich. Señora Saminez postawiła przede mną kawę, a przed innymi talerze z *huevos rancheros** [Huevos rancheros (hiszp.) – jajka sadzone (przyp. tłum.)], czarną fasolą, ziemniakami i serem.

– *Desayuno?* – spytała. – Śniadanie?

– *Si, gracias** [Si, gracias (hiszp.) – Tak, dziękuję (przyp. red.)].

Dołałam śmietanki do kawy i spojrzałam na Mateo. Rozmawiał w języku angielskim.

– Carlos dostał strzał w głowę i szyję. Nie żyje.

Kawa zamieniła się w moich ustach w kwas.

– Molly została postrzelona dwa razy w klatkę piersiową. Przeżyła operację chirurgiczną, ale jest w śpiączce.

Spojrzałam na Elenę. Miała tęczówki w kolorze lawendy i przekrwione białka.

– Jak? – spytałam, odwracając się do Mateo.

– Przypuszczają, że Carlos stawiał opór. Strzelono do niego z bliska.

– Czy będą robić sekcję zwłok?

Mateo spojrzał mi prosto w oczy, ale nic nie odpowiedział.

– Motyw?

– Napad.

– Napad?

– Bandyty to problem ogólnoswiatowy.

– Molly powiedziała mi, że ktoś ich śledził od Gwatemali.

– Powiedziałem im o tym.

– I co?

– Molly ma jasnobrązowe włosy i jasną cerę. Jest po prostu obcokrajowcem. Gliny sugerują, że Carlos i Molly byli celem jako para turystów już w Gwatemali i dlatego mieli ogon do czasu, aż ich ciężarówka wpadła w zasadzkę.

– Na płaskiej, odkrytej przestrzeni na głównej autostradzie?

Mateo nie odezwał się ani słowem.

– Molly miała na sobie biżuterię i zegarek – powiedziałam.

– Policji nie udało się znaleźć ich paszportów i portfeli.

– Daj mi pomyśleć. Złodzieje jechali za nimi przez ponad dwie godziny, by zabrać im paszporty i portfele, a zostawić biżuterię?

– Si – przerzucił się na hiszpański.

– Czy tak wyglądają napady na autostradzie?

Zanim odpowiedział, zawahał się.

– Mogli zostać spłoszeni.

Señora Saminez przyniosła jajecznicę. Pogrzebałam w niej, przekroiłam ziemniaka. Carlos i Molly zabici dla pieniędzy?

Przywykłam do przerażającej biurokracji rządu gwatemalskiego, bakterii w jelitach, nieuczciwych taksówkarzy i złodziei kieszonkowych. Dlaczego byłam zszokowana myślą o napadzie w celach rabunkowych?

Ameryka przoduje przecież w ilości zabójstw. Nasze ulice i miejsca pracy są polami bitwy. Nastolatki strzelają do siebie za Michaela Jordana, żony zabija się za zbyt późne podanie kolacji, uczniów – za zjedzenie lunchu w kawiarence gimnazjum.

Rocznie ponad 30 000 Amerykanów ginie od kul. Siedemnaście procent wszystkich zabójstw popełnianych jest z użyciem broni palnej. Co roku NRA* [NRA (właśc. NRAILA) – amerykańskie stowarzyszenie o nazwie National Rifle Association (przyp. tłum.)] podsycza propagandę, a Ameryka to łyka. Broni przybywa, rzeźników również. Wymiar sprawiedliwości już nie czerpie korzyści z posiadania broni. Dla wyrównania szans daje się ją tylko oficerom.

A w Gwatemali?

Ziemniak smakował jak sprasowane drewno. Odłożyłam widelec i sięgnęłam po kawę.

– Myślałam, że Carlos wysiadł? – spytałam.

Mateo skinął głową.

– Dlaczego robili sobie kłopot, wkładając go z powrotem do ciężarówki?

– Uszkodzony samochód budziłby mniejsze zainteresowanie niż leżące na ziemi ciało.

– Czy scenariusz napadu wydaje ci się sensowny?

Mięśnie szczękowe Mateo napięły się, rozluźniły i ponownie napięły.

– Zdarza się.

Elena chrząknęła, ale nie powiedziała nic.

– I co teraz?

– Elena pojedzie dzisiaj rozejrzeć się do szpitala, a my będziemy kontynuowali naszą pracę w Chupan Ya. – Wylał fusy z kawy na trawę. – I będziemy się modlić.

Moja matka powiadała, że najlepszym lekiem na smutki jest ciężka praca. Uważała także, że ropuchy powodują nieurodzaj, ale to już inna sprawa.

Przez kolejne sześć dni zespół przyjmował superdawki eliksiru Gran. Pracowaliśmy w studni od wschodu do zachodu słońca, targając sprzęt na dół i pod górę, kopiąc kielniami, dźwigając wiadra, trzęsąc sitami.

Wieczorami wlekliśmy się z naszego hoteliku do jednej z restauracji znajdujących się nad jeziorem Atitlán. Cieszyło mnie to krótkie wytchnienie od pracy. Chociaż ciemność spowijała wodę i odległe brzegi starożytnych wulkanów, czułam zapach ryb, wodorostów i słyszałam fale odbijające się od chwiejących, drewnianych falochronów. Turyści i tubylcy spacerowali nabrzeżem. Mijały nas majskie kobiety z wielkimi pakunkami na głowach. Z oddali docierały dźwięki ksylofonów. Życie płynęło.

Przez kilka wieczorów jedliśmy w ciszy, zbyt zmęczeni, aby rozmawiać. Kiedy indziej rozmawialiśmy o projekcie, Molly i Carlosie, o mieście, w którym chwilowo mieszkaliśmy.

Historia Panajachel jest tak barwna jak tkaniny sprzedawane na ulicach. Kiedyś to miejsce było stolicą Majów Cakchiquel, założoną przez przodków obecnych mieszkańców. Stało się nią, gdy siły wrogich wojowników Tzutujil zostały pokonane przez Hiszpanów. Później franciszkanie założyli tu kościół i klasztor w Pana – wykorzystywali wioskę jako bazę dla działań misyjnych.

Darwin miał rację. Życie daje korzyści. Gdy jedni tracą, drudzy się bogacą.

W latach 60. i 70. XX w. miasto było rajem dla amerykańskich guru, hipisów i wygnańców. Plotka głosi, że jezioro Atitlán było jednym z nielicznych w świecie „elektrowni wirowych”, które miały wywołać napływ kosmicznych uzdrowicieli i badaczy kryształu.

Dzisiaj Panajachel jest mieszanką tradycji Majów, współczesnych Gwatemalczyków i nieokreślonych nacji Zachodu. To skupisko luksusowych hoteli i tanich hotelików; europejskich kafejek i *comedores** [Comedor (hiszp.) – jadłodajnia, jadalnia (przyp. tłum.)]; bankomatów i bazarków; *güipils* i wiszących zbiorników na wodę; *marichi* i Madonny; majskich *Bruchom** [Brujo (hiszp.) – czarownik (przyp. tłum.)] i katolickich księży.

W środę wieczorem zakończyliśmy wykopy w Chupan Ya. W sumie wydobyliśmy ze studni 23 ciała. Pośród szkieletów znaleźliśmy 13 pocisków i łusek oraz dwa złamane ostrza maczet. Każda kość i obiekt zostały zapisane, sfotografowane, spakowane i zapieczętowane w celu przetransportowania do laboratorium FAFG w Gwatemali. Antropolog kultury nagrał 27 historii i pobrał próbki DNA od członków 16 rodzin.

Ciało Carlosa zostało przewiezione do kostnicy w Gwatemali, guzie sekcja zwłok potwierdziła przypuszczenia lokalnej policji. Śmierć była następstwem strzału oddanego z bliskiej odległości.

Molly pozostawała w stanie śpiączki. Codziennie ktoś z nas jechał do szpitala San Juan de Dios w Sololá, siedział przy niej, opowiadał zdarzenia z przeszłości. Raport medyczny pozostawał bez zmian.

Policja nie znalazła żadnych odcisków palców ani innych dowodów, nie zlokalizowała świadków, nie zidentyfikowała sprawców. Śledztwo trwało.

W środę po obiedzie osobiście wybrałam się, by odwiedzić Molly. Przez dwie godziny trzymałam jej dłoń i głąskałam w nadziei, że fakt mojej obecności dotrze do niej, gdziekolwiek teraz jest jej dusza. Czasami mówiłam do Molly, wspominając wspólne chwile i znajomych z czasów, nim przyjechałyśmy razem do Gwatemali. Opowiadałam jej o postępach prac w Chupan Ya i omawiałam jej rolę w przyszłych poszukiwaniach. Moim modlitwom o zdrowie Molly towarzyszył przytłumiony szum monitora kardiologicznego.

W czwartek rano pod obojętnym okiem Señora Amado załadowaliśmy ciężarówkę i dżipa. Wijącą się stromo pod górę drogą z Panajachel odprawiliśmy je do stolicy. Niebo było bez skazy, jezioro satynowo błękitne. Światło słoneczne przeszywało drzewa, sprawiając, że liście wyglądały niczym przezroczysta, błyszcząca sieć pająka.

Gdy jechaliśmy krętą drogą prowadzącą górskim szlakiem nad jeziorem Atitlán, przyglądałam się szczytom naprzeciwko.

Wulkan San Pedro. Wulkan Tolimán. Wulkan Atitlán.

Przymykając oczy, powtarzałam sobie po cichu modlitwę, którą mógłby wysłuchać Bóg.

Pozwól Molly żyć.

Główna siedziba FAFG mieściła się w Strefie 2. stolicy Gwatemali. Zbudowana na cyplu łądu pomiędzy stromymi wąwozami lub *barrancas*, w sąsiedztwie dających cień drzew, była niegdyś enklawą dla wypoczywających. Ta stara, wielka dzielnica pamiętała lepsze czasy.

Dzisiaj mają tu swoje rezydencje firmy i biura. Narodowy stadion koszykówki majaczy na odległym końcu ulicy Siméona Cañas, a wielokolorowe autobusy zatrzymują się na ozdobionych graffiti przystankach po obu stronach ulicy. Fast foody serwuje się tu zarówno w handlu obwoźnym, jak i w metalowych barkach z suwanymi okiennicami. W jednym – pepsa. W innym – coca-cola. *Tamales** [Tamal (hiszp.) – wieprzowina w liściu bananowym (Ameryka Łacińska) (przyp. tłum.)]. *Chuchitos** [Chuchitos – gwatemalska potrawa, kukurydziane kluski z mięsem (najczęściej kurczaka) zawijane w liście kukurydzy i gotowane (przyp. tłum.)]. Niewyszukane hot dogi. Hot dogi z dodatkami. Z awokado i kapustą.

Laboratorium FAFG i część administracyjna znajdują się w czymś, co kiedyś było prywatnym domem przy ulicy Siméona Cañas. Siedziba Wydziału do spraw Przystępności Organizowanej i Uprawdzeń w Ministerstwie Spraw Publicznych mieści się w otoczonym murem dwupiętrowym domu z basenem. Tuż obok przebiega czteropasmówka.

Gdy podjechaliśmy do bramy, Mateo wjechał na podjazd i nacisnął klakson. W ciągu kilku

sekund młoda kobieta o sowej twarzy i długich czarnych włosach otworzyła bramę. Wjechaliśmy i zaparkowaliśmy po prawej stronie drzwi frontowych. Druga ciężarówka i dziesięć wjechały za nami, po czym kobieta zamknęła bramę na klucz.

Zespół wysiadł z samochodów i zaczął wyładowywać sprzęt oraz kartonowe pudełka, każde z oznaczeniem miejsca, datą wykopania i numerem pochówku. Aby ustalić tożsamość i przyczynę śmierci ofiar z Chupan Ya, w kolejnych tygodniach badaliśmy każdą kość, zęby i rzeczy. Miałam nadzieję, że skończymy, zanim czerwcowe zobowiązania zawodowe zmuszą mnie do powrotu do domu.

Wracałam po trzecie pudło, gdy Mateo odciągnął mnie na bok.

– Muszę cię o coś poprosić.

– Oczywiście.

– „Chicago Tribune” chce zrobić film o Clydzie.

Clyde Snow jest jednym z dinozaurów w moim zawodzie, założycielem podwydziału antropologii sądowej.

– I... ?

– Pewien dziennikarz chce zrobić ze mną wywiad na temat zaangażowania Clyde’a w nasze prace. Zaprosiłem go kilka tygodni temu, a potem o tym kompletnie zapomniałem.

– I... ? – Zwykle byłam niechętna prasie. Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała nasza rozmowa.

– Ten facet jest w moim biurze. Gdy się dowiedział, że tutaj jesteś, bardzo się podekscytował.

– Ale skąd wiedział, że jestem w Gwatemali?

– Mogłem mu o tym wspomnieć.

– Mateo?

– W porządku, powiedziałem mu. Czasami mój angielski nie jest zbyt dobry.

– Dorastałeś w Bronksie. Twój angielski jest perfekcyjny.

– Twój jest lepszy. Porozmawiasz z nim?

– Czego chce?

– Tego, co zwykle. Jeśli z nim porozmawiasz, ja zacznę zapisywać i oznaczać pudełka z Chupan Ya.

– OK.

Wolałabym zachorować na różyczkę, niż spędzać popołudnie z „podekscytowanym” dziennikarzem, ale byłam tu po to, aby służyć pomocą.

– Jestem twoim dłużnikiem – Mateo ścisnął moje ramię.

– To ja jestem twoim.

– *Gracias** [Gracias (hiszp.) dziękuję (przyp. red.)].

– *De nada** [De nada (hiszp.) – Nie ma za co (przyp. red.)].

Jednak wywiad się nie odbył.

Znalazłam dziennikarza na drugim piętrze, w biurze Mateo. Dłubał w nosie. Kiedy weszłam, przestał podśpiewywać, udawał, że wrywa sobie zarost znad górnej wargi. Próbując pokryć zmieszanie od razu strzelił obcasami i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Ollie Nordstern. Właściwie Olaf. Przyjaciele mówią mi Ollie.

Trzymałam dłonie na klatce piersiowej, nie chcąc dotykać żadnej części łupu Olliego.

– Rozładowywałam ciężarówkę – uśmiechnęłam się pokornie.

– Brudna praca – Nordstern wycofał swoją dłoń.

– Tak. – Pokazałam mu gestem, aby ponownie usiadł na krześle.

Nordstern miał na sobie sam poliester, poczawszy od ulizanych żelem włosów, a skończywszy na butach do wspinaczki marki Kmart. Chłopak mógł mieć około 22 lat.

– Więc – zaczęliśmy równocześnie.

Dałam znak Nordsternowi, żeby zaczął mówić.

– To dla mnie absolutny zaszczyt, że panią poznałem, dr Brennan. Słyszałem wiele o pani i o pani pracy w Kanadzie. Czytałem o pani zeznaniach w Rwandzie.

– Sąd właściwie ma siedzibę w Arusha, w Tanzanii.

Nordstern nawiązywał do mojego pojawienia się przed ONZ-owskim Międzynarodowym Trybunałem do spraw Zbrodni w Rwandzie.

– Tak, tak, oczywiście. I twoje sprawy dotyczące Aniołów Piekieł z Montrealu. My, w Chicago, śledziliśmy je na bieżąco. Wiesz, że Wietrzne Miasto ma swój gang motocyklowy? – Mrugnął i szczypnął się w nos.

– To nie ja jestem powodem pańskiego pojawienia się tutaj – powiedziałam, spoglądając na zegarek.

– Proszę mi wybaczyć. Zszedłem z tematu.

Z jednej z czterech kieszeni ukrytych na maskującej kamizelce Nordstern wyciągnął notatnik elektroniczny, szarpnął pokrywę i przytrzymał pióro nad papierem.

– Chcę się dowiedzieć wszystkiego o dr. Snow i o FAFG.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, w otwartych drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna. Miał śniadą cerę, jego twarz wyglądała tak, jakby ją ktoś obił. Był właścicielem sterczących brwi, garbatego i lekko skrzywionego nosa. Przez lewy łuk brwiowy mężczyzny przechodziła cienka blizna. Mimo niezbyt wysokiego wzrostu, był umięśniony. Przyszło mi na myśl powiedzenie: „Bandyci są wśród nas”.

– Dr Brennan?

– Si?

Mężczyzna miał odznakę SICA – Wydziału Śledczego ds. Przepływów Kryminalnych Policji Gwatemalskiej. Skręcało mnie w żołądku.

– Skierował mnie tutaj Mateo Reyes. – Mój niespodziewany gość mówił w języku angielskim bez żadnego akcentu. Ton jego głosu sugerował, że nie była to zwykła pogawędka.

– Słucham?

– Sierżant Bartolome Galiano, detektyw.

O Boże. Czyżby Molly zmarła?

– Czy pańska wizyta ma coś wspólnego ze strzelaniną w Sololá?

– Nie.

– A o co chodzi?

Galiano skierował wzrok na Nordsterna, a potem znowu na mnie.

– Sprawa jest delikatna.

Nie jest dobrze, Brennan. Jaki interes może mieć do mnie SICA?

– Czy ta rozmowa może kilka minut poczekać?

Na moje pytanie odpowiedział pustym spojrzeniem.

Rozdział 3

Detektyw Galiano zajął niechętnie zwolnione przez Olliego Nordsterna krzesło. Założył nogę na nogę i wbił we mnie wzrok.

– O co chodzi? – zmuszałam się, aby mój głos brzmiał stanowczo, gdy w mojej głowie przewijały się sceny z *Nocnego Ekspresu*.

Galiano przeszywał mnie wzrokiem. Czułam się jak robak nakłuwany na szpilkę.

– My, policjanci, wiemy, co pani robi, dr Brennan. Nic nie odpowiedziałam. Opuściłam ręce na kolana, pozostawiając na bibularzu odbitki spoconych dłoni.

– Jestem w większości za to odpowiedzialny. – Powiew z wentylatora zmierzwił włosy na czubku jego głowy. Mężczyzna nie poruszył się.

– Ty?

– Tak.

– Dlaczego tak jest?

– Część swej młodości spędziłem w Kanadzie i wciąż śledzę tamtejsze wiadomości. Pani wyczyny nie mogły przejść niezauważone.

– Moje wyczyny?

– Prasa panią uwielbia.

– Prasa uwielbia się sprzedawać. – Musiał usłyszeć irytację w moim głosie. – Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać, detektywie?

Galiano wyciągnął z kieszeni brązową kopertę i położył ją przede mną. Odręczne napisy na zewnętrznej stronie były numerem sprawy nadanym przez koronera albo policję. Spojrzałam na kopertę, ale nie sięgnęłam po nią.

– Zobacz. – Galiano wrócił na swoje miejsce.

W kopercie znalazłam kolorowe fotografie o wymiarach 5x7. Pierwsze zdjęcie przedstawiało tobołek leżący na stole do sekcji zwłok. Płyn sączący się spod tobołka tworzył na perforowanej nierdzewnej stali stołu brązową kałużę.

Drugie przedstawiało rozplątany tobołek stanowiący parę dzinsów. Dolny koniec długiej kości sterczał z postrzępionej nogawki. Na trzecim widniał zegarek i coś, co zapewne stanowiło zawartość damskiej torebki: grzebień, elastyczna spinka do włosów, dwie monety. Ostatnie zdjęcie było zbliżeniem piszczeli i dwóch kości śródstopia.

Spojrzałam na Galiano.

– To zostało odnalezione wczoraj. Przyglądałam się elementom szkieletu. Chociaż wszystko było poplamione ciemnobrązową czekoladą, dojrzałam kawałki mięsa przyczępione do kości.

– Tydzień temu zaczęły wybijać toalety w Pensión Paraiso – niewielkim hotelu w Strefie 1. Chociaż to miejsce nigdy nie będzie Hotelem Ritz, goście narzekali i właściciele musieli pójść

pogrzebać w szambie. Znaleźli tam Levisy blokujące wypływ ze zbiornika.

– Kiedy ostatnio sprawdzano szambo?

– Wydaje się, że właściciele mają do tego luźny stosunek. Ostatnią kontrolę przeprowadzono w sierpniu ubiegłego roku. Ciało znalazło się w szambie prawdopodobnie później.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

– Ofiarą może być młoda kobieta.

– Nie wydam opinii w oparciu o te zdjęcia.

– Nie proszę cię o to.

Przyglądaliśmy się sobie w skupieniu. W pokoju było duszno i gorąco. Galiano miał piękne brązowe oczy. Ich czerwony odcień przywołał na myśl bursztyn trzymany pod słońce. Gdyby detektyw był kobietą, rzęsy mogłyby mu zagwarantować kontrakt z Maybelline.

– Przez ostatnie dziesięć miesięcy w tym mieście zaginęły cztery kobiety. Rodziny odchodzą od zmysłów. Podejrzewamy, że te sprawy mogą się ze sobą łączyć.

Na dole w korytarzu zadzwonił telefon.

– Jeśli tak, sytuacja jest poważna.

– Dużo ludzi ginie w Gwatemali.

Wyobraziłam Sobie Park Concordia, gdzie gromadzą się każdej nocy sieroty, by zasnąć, wachają klej. Przypomniałam sobie historie zabijanych dzieci. W 1990 roku mówiło się o uzbrojonych mężczyznach, którzy porwali ośmioro dzieci ulicy. Ich ciała znaleziono kilka dni później.

– To co innego. – Głos Galiano wyrwał mnie ze świata okrutnych wspomnień. – Te cztery młode kobiety nie pasują do takiego modelu zaginięć.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam.

– Opisałem moim przełożonym, co robisz. Powiedziałem im, że jesteś w Gwatemali.

– Czy mogę zapytać, skąd o tym wiedziałeś?

– Wystarczy powiedzieć, że SICA jest informowana o wszystkich obcokrajowcach wjeżdżających do Gwatemali, którzy przybyli tu, by odkopywać szczątki ofiar mordu.

– Rozumiem.

Galiano wskazał na fotografie.

– Zostałem upoważniony, aby poprosić cię o pomoc.

– Mam inne zobowiązania.

– Wykopy w Chupan Ya zostały zakończone.

– Właśnie zaczyna się analiza.

– Señor Reyes wyraził zgodę, bym skorzystał z twoich usług.

Najpierw dziennikarz, teraz detektyw. Mateo był zajęty od czasu, kiedy wróciliśmy do miasta.

– Señor Reyes może zbadać te kości za ciebie.

– Doświadczenie Señora Reyesa nie może się równać z moim.

To prawda. Podczas gdy Mateo i jego zespół pracowali nad setkami ofiar masakry, nie mieli czasu, by zaangażować się w przypadki ostatnich zabójstw.

– Jesteś współautorką artykułu o pochówku w szambie.

Galiano odrobił swoją pracę domową.

Trzy lata temu pewien dealer narkotykowy, który dostarczył towar niewłaściwemu odbiorcy, został wysadzony w powietrze w Montrealu. Wcześniej, nie wyobrażając sobie zbyt długotrwałej separacji od swej własnej apteczki, mężczyzna opowiedział historię współpływającego w szambie. Lokalna policja zwróciła się do mojego przełożonego, dr. Pierra LaManche'a, a on zwrócił się do mnie. Nauczyłam się więcej, niż kiedykolwiek chciałam wiedzieć o ludzkim wysypisku śmieci, a LaManche i ja spędziliśmy wiele dni, kierując poszukiwaniami. Napisaliśmy artykuł do „Journal of Forensic Sciences”.

– To jest problem lokalny – powiedziałam. – Nie powinni się nim zajmować tutejsi eksperci?

Zaszumiał wentylator. Sterczący kosmyk włosów Galiano falował i robił piruety.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś o mężczyźnie o nazwisku André Specter?

Pokręciłam głową.

– Jest kanadyjskim ambasadorem w Gwatemali. Nazwisko brzmiało egzotycznie.

– Córka Spectera, Chantale, jest jedną z tych czterech zaginionych kobiet.

– Dlaczego w takim razie tą sprawą nie zajmą się wtyki dyplomacji?

– Specter poprosił o dyskrecję w tej sprawie.

– Czasami rozgłos może być pomocny.

– Są – Galiano szukał odpowiedniego słowa – pewne delikatne kwestie.

Czekałam, aż poda szczegóły. Nie zrobił tego jednak. Na zewnątrz trzasnęły drzwi ciężarówki.

– Jeśli istnieje jakiś kanadyjski ślad, przyda się międzynarodowa pomoc prawna.

– A ja spędzam czas w szambie.

– Szlachetne stwierdzenie. I robisz robotę dla kanadyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Tak. – Rzeczywiście odrobił pracę domową. Właśnie teraz Galiano użył karty przetargowej.

– Mój wydział skontaktował się z pani ministerstwem w Quebecu, prosząc o pozwolenie na zaangażowanie pani jako eksperta.

Z kieszeni Galiano wystawała kartka z faksu ze znajomym mi logo fleur-de-lis. Kartka trafiła na biurko.

M. Serge Martineau, minister spraw wewnętrznych i dr Pierre LaManche, szef służby w Laboratorium Nauk Sądowych i Medycyny Sądowej udzielili mi stosownego zezwolenia na udział w czynnościach w charakterze eksperta. Oczekują jedynie na moją zgodę na czasowy przydział do Wydziału Śledczego do spraw Przestępstw Kryminalnych Gwatemalskiej Policji.

Moi szefowie z Montrealu wciągnęli mnie w zasadzkę. Sprawa szczątków w szambie nie

skończy się tak szybko.

Przyglądałam się Galiano.

– Mówi się o tobie, że szukasz prawdy, dr Brennan. – Oczy Maybelline były nieubłagane. – Zrozum lęk rodziców tych czterech porwanych kobiet. Strach, który towarzyszy każdemu, gdy nie wie, co dzieje się z jego dzieckiem.

Pomyślałam o Katy – nagle poczułam paraliżujący lęk, myśląc o tym, że moje dziecko dzieli los zaginionych kobiet. Wyobraziłam sobie, że Katy zaginęła w miejscu, którego język, prawa i procedury są jej zupełnie obce. Miejscu pełnym nieprzyjaznych władz, które nie podejmują wystarczających wysiłków w celu odnalezienia jej.

– W porządku, detektywie. Niech pan mówi.

Strefa I to najstarsza część stolicy Gwatemali, klaustrofobiczny ul podupadających sklepików, tanich hoteli, dworców autobusowych, parkingów samochodowych i zaledwie kilku nowoczesnych sklepów. Wimpy i McDonald's znajdują się na tych samych wąskich uliczkach, co niemieckie delikatesy, bary sportowe, chińskie restauracje, sklepy obuwnicze, kina, sklepy elektryczne, lokale ze striptizem i tawerny.

Strefa I żyje swoim zwykłym rytmem, podobnie jak wiele innych stref ekonomicznych. Gdy robi się ciemno, przechodnie tłoczą się na ulicach, przynosząc zysk sprzedawcom papierosów i prostytutkom. Pucybuty, taksówkarze, uliczni grajkowie i pastorowie znikają z Parku Concordia, a bezdomne dzieci gromadzą się tam, by przespąć noc.

Strefa I to dziurawe chodniki, blask neonów, chmury spalin i hałas. Jednak i ta dzielnica ma też swoje perły. Może pochwalić się Pałacem Narodowym, Biblioteką Narodową, Targiem Centralnym, Parkiem Centralnym, Parkiem Stuletnim, muzeami, katedrą i zjawiskowym mauretańskim budynkiem poczty. Główna Komenda Policji ma swą siedzibę w dziwacznym zamku na skrzyżowaniu 14. Ulicy i 6. Alei. Znajduje się na południe od kościoła San Francisco, słynnego z wyrzeźbionego świętego serca i zakazanych książek odnalezionych we wnętrzu dachu, a ukrytych tam dziesiątki lat temu przez buntowniczych księży.

Dziewięćdziesiąt minut później siedzieliśmy z Galiano przy poobijanym drewnianym stole w pokoju konferencyjnym, mieszczącym się na trzecim piętrze zamku. Razem z nami byli tam partner Galiano, sierżant Pascual Hernández – detektyw i Juan-Carlos Xicay – szef zespołu zajmującego się dowodami. Zespół ten miał zająć się sprawą zwłok znalezionych w szambie.

Pokój był posepnie szary, ostatnio malowany chyba wieki temu. Obicie krzesła pasowało do koloru szpachlówki, a ja zastanawiałam się ilu zdenerwowanych, znudzonych czy przestraszonych właścicieli pośladków wierciło się na tym samym siedzeniu.

W pobliżu jednego z okien latała mucha. Podzielałam marzenie owada o wolności. Przez obrzydliwe żaluzje dostrzegałam jedynie fragment muru obronnego.

Przynajmniej byłam zabezpieczona przed atakiem średniowiecznych rycerzy.

Wzdychałam, wierciłam się, miliardy razy podnosiłam spinacze do papieru, wreszcie

zaczęłam stukać palcami o blat stołu. Od dwudziestu minut czekaliśmy na przedstawiciela biura Prokuratora Okręgowego. Było mi gorąco, czułam zmęczenie i rozczarowanie, bo odciągnięto mnie od pracy z FAFG. Niezbyt dobrze ukrywałam swoje nastroje.

– To nie powinno trwać tak długo – Galiano spojrział na zegarek.

– Czy nie mogłabym przedstawić w zarysach procedury? – zapytałam – Przygotowanie sprzętu może zabrać Señorowi Xicay trochę czasu.

Xicay zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Hernández okazał swą bezsilność – podniósł do góry rękę, po czym opuścił ją na stół. Był silnym mężczyzną. Miał czarne kręcone włosy, które opadały na szyję. Jego ręce i dłonie również pokrywały ciemne kędziory.

– Sprawdź jeszcze raz – Galiano wyszedł z pokoju chwiejnym krokiem. Był poirytowany.

Zastanawiałam się, co go zdenerwowało. Ja? Spóźniony Prokurator Okręgowy?

Z rozmyślań wyrwały mnie odgłosy kłótni dobiegające z korytarza. Galiano sprzeczał się z kimś. Choć mówił po hiszpańsku szybko i nie rozumiałam wielu słów, wyczuwałam złość w jego głosie. Przynajmniej dwa razy wychwyciłam swoje imię.

Kilka chwil później głosy ucichły, Galiano ponownie do nas dołączył. Towarzyszył mu wysoki, szczupły mężczyzna w różowych okularach. Był lekko zgarbiony, miał delikatny brzuszek wylewający się ze spodni.

Galiano przedstawił nieznanego.

– Dr Brennan, to Señor Antonio Diaz. Señor Diaz kieruje wydziałem śledczym w biurze Prokuratora Okręgowego.

Wstałam i wyciągnęłam rękę. Ignorując to, Diaz przeszedł do okna i odwrócił się w moim kierunku. Skrywał swój wzrok za ciemnymi okularami, mimo to z jego postawy emanowała gościnność.

– Jestem prokuratorem od ponad dwudziestu lat, dr Brennan. W tym czasie podczas prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa nigdy nie prosiłem o pomoc z zewnątrz. – Mimo dziwnego akcentu, jego angielski był staranny.

Zaskoczona, opuściłam rękę.

– Może pani postrzegać naszych lekarzy sądowych jako niewystarczająco wyszkolonych harujących w systemie medyczno-prawnym Trzeciego Świata konowałów albo zwykłe pionki w przestarzałej i nieefektywnej biurokracji sądowej. Zapewniam jednak panią, że są profesjonalistami.

Spojrzałam na Galiano. Jego policzki płonęły z upokorzenia, a może ze złości.

– Jak już wspomniałem, Señor Diaz, dr Brennan jest tutaj na naszą prośbę. – Głos Galiano był stanowczy.

– Dlaczego właściwie pani jest w Gwatemali, dr Brennan? – zapytał Diaz.

Złość czyni mnie zadziorną.

– Myślę o otwarciu SPA.

– Dr Brennan jest tu w zupełnie innej sprawie – wtrącił Galiano. – Jest antropologiem

medy...

– Wiem, kim ona jest – odciął się Diaz.

– Dr Brennan ma doświadczenie w badaniu znaleźsk z szamba. Zaoferowała nam pomoc. Zaoferowała? Jak Galiano mógł użyć słowa „zaoferowała”?

Diaz wbił wzrok w detektywa, a jego twarz stała się poważna. Hernández i Xicay nie odezwali się słowem.

– Zobaczmy. – Diaz spojrział na mnie stanowczo i wyszedł z pokoju.

W pomieszczeniu było słychać jedynie brzęczącą muchę. Pierwszy odezwał się Galiano.

– Przepraszam, dr Brennan.

Mnie też złość pobudziła do działania.

– Możemy zacząć? – zapytałam.

– Zajmę się Diazem – powiedział Galiano, odsuwając krzesło.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Mów mi Tempe.

Przez następną godzinę wychwalałam zalety tutejszego szamba. Galiano i jego partner słuchali uważnie, przerywając od czasu do czasu, aby coś skomentować lub zapytać o interesujące ich szczegóły. Xicay siedział cicho. Spuścił wzrok, przybrał kamienny wyraz twarzy.

– Doły gnilne albo szamba mogą być zrobione ze skałek, cegieł, betonu lub włókna szklanego. Mogą mieć różne kształty. Znamy szamba o kształcie okręgu, kwadratu lub prostokąta. Zwykle składają się z jednej, dwóch lub trzech komór, oddzielonych od siebie przegrodami.

– Jak działają? – spytał Galiano.

– Zasadniczo, szambo jest wodoszczelną komorą działającą jak inkubator dla bakterii beztlenowych, grzybów i bakterii nitkowatych, które trawią resztki organiczne.

– Podobnie jak w kuchni Galiano – powiedział Hernández.

– Czego możemy oczekiwać? – Galiano zignorował partnera.

– Proces trawienia wytwarza ciepło i gazy tworzące bąbelki na powierzchni. Gazy te łączą się z cząsteczkami tłuszczu, mydła, olejów, włosów i innych śmieci, wytwarzając z nich spieniony kożuch. To jest pierwsza rzecz, jaką zobaczymy po otwarciu zbiornika.

– Wnieś trochę promieni słonecznych w nasze życie – powiedział Hernández.

– Z czasem, gdy pozostawi się nienaruszony kożuch, wytworzy się półstała pływająca mata.

– Gówniany budyń. – Hernández ukrywał wstęś za dosadnym męskim dowcipem.

– Zbiorniki powinny być opróżniane co dwa, trzy lata, ale jeśli ich właściciele są tak niedbali, jak twierdzicie, nie jest prawdopodobne, aby tak było, więc przypuszczalnie będzie to ten typ osadu.

– Tak więc mamy zupełę z bakterii. A gdzie to się później podziewa? – zapytał Galiano.

– Kiedy zbiornik zapełni się do pewnego poziomu, starsze produkty osadu wypływają przez wyjściowy odpływ do równolegle ułożonych rur, czyli pola odpływowego.

– Co to za rury?

– Zazwyczaj kamionkowe lub wykonane z perforowanego plastiku. Ten system znany był już w starożytności, więc jestem pewna, że niepotrzebnie o tym mówimy.

– O co tu chodzi?

– Pole odpływowe zalega na łożysku żwirowym, zazwyczaj pokrytym ziemią i roślinnością. Jeśli dojdzie do rozpadu za pośrednictwem bakterii beztlenowych, wówczas pole odpływowe pełni funkcję filtra biologicznego.

– Drobnio – lub gruboziarnista maź. Teraz mówimy o Panu Kawie.

Hernández zaczął działać mi na nerwy.

– Na ostatnim etapie obróbki woda wypływa z rur i przenika przez łożysko żwirowe. Bakterie, wirusy i inne substancje zanieczyszczające są wchłaniane przez glebę lub pobierane przez system korzeniowy roślin otaczających pole odpływowe.

– Jak rozumiem, trawa jest zieleńsza nad dołem gnilnym – powiedział Galiano.

– I dużo szczęśliwsza. Co jeszcze wiemy o tej maszynie? – wtrącił Hernández.

Galiano wyciągnął mały spiralny notatnik i przerzucił kartki.

– Zbiornik jest ulokowany średnio dwa metry od południowej ściany pensjonatu. Ma około trzech metrów długości, półtorej szerokości, prawie dwa metry głębokości. Jest zrobiony z betonu i pokryty ośmioma prostokątnymi pokrywkami.

– Ile komór?

– Właściciel, Señor Serano, nie ma pojęcia, co jest tam na dole. Nigdy nie wstrzyma oddechu, kiedy będą przyznawali nam Nagrodę Nobla.

– Zauważyłam.

– Serano i jego syn, Jorge, przypomnieli sobie, jak zeszłego lata ekipa specjalistów pracowała na wschodniej ścianie zbiornika, a także to, że podnosili pokrywę. Wtedy zastali zbiornik prawie pełny i to dzinsy blokowały odpływ.

– Odpływ wejściowy będzie zatem po stronie zachodniej.

– Oto, co wiemy.

– OK, panowie. Będziemy potrzebowali motyki, aby podważyć betonowe pokrywy.

– Wszystkie osiem? – Xicay odezwał się po raz pierwszy.

– Tak.. Dopóki nie wiemy, z czym mamy do czynienia, musimy odsłonić całość. Jeśli tam jest wiele komór, części szkieletu mogą być wszędzie.

Xicay wyciągnął swój notatnik i zaczął robić listę.

– Beczkowóz z pompą próżniową do odessania z szamba kozucha i warstw ciekłych oraz wóz strażacki do nawodnienia osadów na dnie – kontynuowałam.

Xicay dodał to do listy.

– Na dnie może być dużo amoniaku i metanu, więc będę potrzebowała zestawu masek

tlenowych.

Xicay spojrział na mnie pytająco.

– Standardowa maska tlenowa z pojedynczym uchwytem z tyłu zbiornika z tlenem. Zbiornik taki, jaki noszą strażacy. Powinniśmy mieć także parę małych hermetycznych zbiorników ze spryskiwaczem.

– Tych używanych do spryskiwania środkiem owadobójczym?

– Dokładnie. Napełnijcie jeden wodą, pozostałe 10% roztworem środka dezynfekującego.

– Chcę wiedzieć po co? – spytał Hernández.

– Żeby mnie opryskać, kiedy wyjdę ze zbiornika. Xicay zanotował wszystkie rzeczy.

– Jeszcze sitka o oczkach wielkości pół centymetra. Wszystko to powinno być sprzętem standardowym.

– Zrozumiałem.

– Siódma rano?

– Siódma rano.

To miał być jeden z najgorszych dni mojego życia.

Rozdział 4

Kiedy następnego dnia Galiano przyjechał po mnie do hotelu, ostatnie czerwone smugi ustępowały mglistemu, szaremu świtowi.

– *Buenos dias.*

– *Buenos dias* – wymamrotałam, sadowiac się na siedzeniu pasażera. – Przyjemny cień.

Oczy detektywa skryte były za okularami lotniczymi czarniejszymi niż najczarniejsza dziura.

– *Gracias.*

Galiano wskazał papierowy kubek w uchwycie, a potem wbił się w ruch uliczny. Wdzięczna, sięgnęłam po kawę.

Przesuwając się centymetr po centymetrze przez Strefę 1, oddawaliśmy się rozmowie. Za oknem migwały obrazy miasta. Graffiti na murach stacji benzynowej pozwalały mi doskonalić mój hiszpański, choć nie była to najgrzeczniejsza forma przekazu Gwatemalczyków.

Krajobrazy, billboardy i plakaty pozwalały mi na chwilę odbiec myślami od poszukiwania szczątków w szambie.

Po dwudziestu minutach Galiano zatrzymał się obok kilku samochodów policyjnych zamykających dojazd do wąskiej alei. Za punktem kontrolnym chodnik był zablokowany przez radiowozy, ambulans, wóz strażacki, beczkowóz do opróżniania szamba i inne, jak przypuszczałam, urzędowe pojazdy. Gromadzili się gapie.

Galiano pokazał swoją odznakę i od razu nas przepuszczono. Zaparkowaliśmy samochód, wysiedliśmy i poszliśmy ulicą pod górę.

Pensjonat Paraiso znajdował się naprzeciwko opuszczonego domu towarowego. Galiano i ja przeszliśmy przez ulicę, mijając sprzedawców likieru i bielizny, fryzjera oraz chińską restaurację z daniami na wynos. Wszystko było zaryglowane na amen. Jedynie przedmioty na wystawach sklepowych lśniły w promieniach słońca. Fryzjer wystawił manekiny z dużymi uszami i fryzurami, które nie zmieniły się od czasów Eisenhowera. Restauracja Long Fu prezentowała swoje menu, a w nim pepsi i pawia upiękzonego błyszczącym materiałem.

Sam pensjonat Paraiso nie prezentował się dużo lepiej. Był to walący się dwupiętrowy bunkier zbudowany z cegieł pokrytych tynkiem przypominającym kolorystycznie dym z cygar. Połamane płytki dachowe, brudne okna, nietrzymające pionu żaluzje, krata na drzwiach wejściowych. Istny Raj.

Jeszcze jeden strażnik i jeszcze jeden identyfikator.

Wnętrze hotelu doskonale współgrało z jego zewnętrzną fasadą. Wytarty dywan z żółtym plastikowym wykończeniem, pokryty linoleum kontuar, drewniana krata na klucze i listy, popękane ściany. W powietrzu unosiły się zapachy: pleśni, kurzu, dymu papierosowego i potu.

Szłam za Galiano. Minęliśmy pusty hol, zeszliśmy na dół wąskimi schodami, by przez tylne

wyście dotrzeć na zaniedbane podwórko. Ceramiczne doniczki ze zwiędłymi kwiatami, pordzewiałe krzesła kuchenne z popękkanymi winylowymi siedzeniami, meble ze sztucznego batystu, zieleń z pleśnią, przewrócona do góry nogami taczka, klepisko, jedno drzewo.

Wyścielana sofa bez jednej nogi oparta o tylną ścianę pensjonatu, skorupy tynku, połamane cegły, suche liście, celofanowe opakowania i aluminiowe puszki zaśmiecały podmurówkę. Jediną plamą koloru na tym ponurym tle była żółta koparka. Obok łopaty zauważyłam świeżo skopaną ziemię i naprędcę przeniesioną przez Señora Serano i jego syna betonową pokrywę.

Omiotłam to wszystko wzrokiem. Juan-Carlos Xicay właśnie rozmawiał z mężczyzną ubranym w taki sam jak jego granatowy kombinezon. W szoferce koparki siedział kierowca. Umundurowany policjant pilnował tylnego wejścia na posesję. Antonio Diaz przechadzał się w pobliżu, skrywając oczy za różowymi szkłami okularów.

Uśmiechnęłam się i podniosłam rękę w powitalnym geście. Prokurator Okręgowy nie odpowiedział, odwrócił się ode mnie pogardliwie.

Nie ma co, szczęśliwy dzień, pomyślałam.

Pascual Hernández rozmawiał z kościstym mężczyzną o szurzej twarzy, ubranym w sandały, dżinsy i bluzę firmy Dallas Cowboys. Obok „szczura” stała postawna kobieta. Jej nadgarstki były obwieszane plastikowymi bransoletkami, a pod haftowaną czarną sukienką rysował się obfity biust.

Galiano i ja podeszliśmy do nich. Hernández przedstawił nas właścicielom pensjonatu. Z bliska zauważyłam, że Señora Serano miała jedno oko brązowe, drugie niebieskie. Nadawało to jej twarzy dziwny, asymetryczny wyraz. Kiedy zwracała swój wzrok w moją stronę, nie umiałam się zdecydować, w które oko powinnam, patrzeć.

Zauważyłam też, że dolna warga Señory Serano była opuchnięta i popękana. Zastanawiałam się, czy nie oberwała od „szczura”.

– Ci ludzie przydadzą się nam. – Hernández świdrował wzrokiem „szczura”. – Nawet przy tej ciężkiej robocie.

– Nie mam żadnych tajemnic. – Serano podniósł do góry dłonie, rozstawiając palce. Był tak przejęty i przerażony, że ledwo rozumiałam, co mówi. – Nic nie wiem.

– Akurat... Tak po prostu trup znalazł się w waszym szambie?

– Nie wiem, jak się tam znalazł. – Serano przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

Galiano rzucał cień na Serano.

– Czego pan jeszcze nie wie Señor?

– *Nada*. Niczego. – Oczy „szczura” skakały jak wróbel szukający bezpiecznej żerdzi.

Galiano wydał z siebie znudzone westchnienie. – Nie mam czasu na zabawę, Señor Serano, ale zapamiętaj to sobie... – postukał palcem w dużą literę C w nazwie Cowboys. – Gdy tylko skończymy, ty i ja porozmawiamy sobie od serca.

Serano potrząsnął głową, ale nic nie odpowiedział.

Lord Vader przeniósł wzrok na koparkę.

– Wszystko gra? – krzyknął Galiano.

Xicay, rozmawiający z kierowcą, uniósł do góry kciuk. Wskazał na mnie, a potem na gmatwaninę sprzętu obok umundurowanego strażnika. Gest zapinania zamka na klatce piersiowej znaczył, że powinnam zapiąć kombinezon. Podniosłam kciuk.

Galiano odwrócił się z powrotem do Serano.

– Ty dzisiaj nic nie robisz – powiedział spokojnie. – Będziesz tutaj siedział. – Postukał palcem w koślawą sofę. – I pamiętaj, żadnych komentarzy.

Galiano zatoczył okrąg palcem nad jego głową.

– *Vdmonos** [Vamonos – idziemy (przyp. red.)].

Pośpieszyłam w kierunku skrzyni narzędziowej. Za moimi plecami dudniła koparka.

Gdy wyciągnęłam kombinezon marki Tyvek i gumowe buty sięgające kolan, kierowca zmienił bieg i wykręcił. Usłyszałam metaliczny brzdęk. To wiadro spadło z łoskotem, uderzyło w ziemię, nadłupując wysuniętą pokrywę, stoczyło się na lewą stronę i pozostało na boku. Zapach wilgotnej ziemi przenikał poranne powietrze.

Wyciągnęłam dyktafon z walizki i podeszłam na skraj zbiornika.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żebym poczuła skurcz żołądka.

Komora była przepelniona obrzydliwą ciemną cieczą pokrytą warstwą organicznej piany. Przez galaretowatą masę przebiegały miliony karaluchów.

Galiano i Hernández podeszli do mnie.

– *Cerote** [Cerote – gówno (przyp. red.)]. – Hernández zasłonił usta dłonią.

Galiano nie odezwał się ani słowem.

Przelykając wolno ślinę, zaczęłam dyktować. Dzień. Godzina. Miejsce. Obecne osoby.

Wiadro znowu zabręczało, po czym spadło. Zęby koparki wgryzły się płytko w ziemię, zluzowały się i ustąpiły. Udało się zdjąć drugą betonową pokrywę. Trzecią. Piątą. Powietrze wypełnił zapach zgnilizny i odór fekaliiów.

Podczas gdy wyciągano szczątki, dyktowałam ich opis i miejsce znalezienia. Xicay robił zdjęcia.

Nim minęło południe, zbiornik był całkowicie odkryty, a osiem betonowych pokryw utworzyło pokaźny stosik. Dostrzegłam kość ramieniową tkwiącą w odpływie ściekowym po zachodniej stronie, tkaninę w południowowschodnim narożniku, jakiś niebieski przedmiot i kilka kości dłoni unoszących się na powierzchni fekalnianej mazi.

– Szykować ciężarówkę? – zapytał Galiano, gdy skończyłam ostatnie nagranie.

– Niech podjedzie do zbiornika. Najpierw jednak muszę usunąć to, co jest widoczne i przeszukać wierzchnią warstwę.

Odwróciwszy się do Xicaya, dałam znak, że już czas, aby podał foliowy worek na ciało. Następnie podeszłam do skrzyni narzędziowej, wyjęłam maskę ratunkową i grube gumowe rękawiczki. Używając długiej taśmy wodoszczelnej, zacisnęłam górne części moich butów na nogawkach kombinezonu.

– Jak? – spytał Galiano, kiedy ponownie podeszłam do zbiornika.

Podciągnęłam rękawice do łokci i podałam mu taśmę.

– *Dios Mio* – powiedział Hernández.

– Potrzebujesz pomocy? – Galiano spytał bez entuzjazmu, gdy Hernández obwiązywał rękawice na rękawach.

Spojrzałam na jego garnitur, krawat i wyprasowaną białą koszulę.

– Jesteś nie dość elegancko ubrany.

– Krzyknij, kiedy będziesz mnie potrzebowała. – Hernández podszedł do skrzyni narzędziowej, ściągnął marynarkę i przerzucił ją przez otwartą pokrywę. Choć nie było za gorąco, jego koszula była mokra od potu. Przez ciekawą bawełnę mogłam dostrzec zarys podkoszulka.

Galiano i ja obeszliliśmy zbiornik w kierunku jego zachodniego końca.

Señor Serano przyglądał się nam z przejęciem jasnymi, szczurzymi oczami. Jego żona ssała kosmyk włosów.

Dołączył do nas asystent Xicaya. Trzymał w ręku worek na szczątki. Spytałam go o imię. Mario Colom. Powiedziałam Mario, aby położył torbę na ziemi obok mnie, otworzył i wyłożył czystym, białym papierem. Potem kazałam mu założyć rękawiczki i maskę.

Wręczywszy Galiano dyktafon, poprawiłam swoją maskę. Kiedy przykucałam i pochylałam się w kierunku zbiornika, mój żołądek zawiązywał się na supeł. Poczulałam smak żółci w ustach i drzenie pod językiem.

Oddychając płytko, zanurzyłam rękę i wyciągnęłam z rozkładających się resztek kość ramieniową. Dwa karaluchy łączyły po mojej rękawicy. Przez gumę czułam karaczenie nóżki. Zapiszczałam. Stojący za mną Galiano poruszył się.

Przestań, Brennan. Masz rękawiczki.

Przełknąwszy ślinę, zerknęłam na owady i natychmiast strząsnęłam je z rękawiczek.

Przełknąwszy raz jeszcze, zanurzyłam palce i wydobyłam z szamba kość łokciową oblepioną fekaliami, a następnie położyłam ją na kartce papieru.

Chodząc wokół zbiornika, zbierałam wszystko, co mogłam dostrzec. Xicay robił fotki. Kiedy skończyłam, na papierze leżały: kość łokciowa, dwie kości dłoni, jedna kość stopy, trzy żebra i pałak od oprawki okularów.

Poinstruowałam Mario, wróciłam do południowo-wschodniego narożnika i zaczęłam przesuwać się ku południowemu brzegowi zbiornika, systematycznie obmacując każdy milimetr pływającej piany tak daleko od brzegu, jak tylko mogłam sięgnąć. Mario naśladował moje ruchy.

W ciągu czterdziestu minut przeszukaliśmy całą wierzchnią warstwę. Na papier trafiły także dwa żebra i jedna rzepka kolanowa.

Skończyliśmy w południe. Nikt nie miał ochoty na lunch. Xicay poszedł po pompę próżniową.

Gdy operator odpalił beczkowóz, przyglądałam się przez ramię Diazowi. Prokurator

Okręgowy obserwował wszystko czujnym okiem zza swoich różowych okularów. Trzymał się na uboczu.

Pięć minut później Xicay krzyknął.

– Gotowi?

– Start.

Silnik pompy warczał. Słyszałam ssanie, widziałam bąbelki w mętnej, czarnej cieczy.

Galiano stał obok mnie z założonymi rękami. Wzrok utkwiał w zbiornik. Hernández obserwował wszystko z bezpiecznej odległości. Seranowie, niemalże fioletowi na twarzach, podziwiali ten trupio-fekalny spektakl, siedząc na sofie.

Cieczy ubywało. Ponad dwa centymetry, ponad dziesięć centymetrów, ponad dwadzieścia.

Około pół metra od dna zbiornika pojawiła się warstwa szlamu, a na jego powierzchni szczątki. Pompa ucichła, a jej operator spojrział na mnie.

Pokazałam Mario, jak używać siatki z długą rączką. Chochła za chochłą wygrzebywał odchody i zrzucał pod moje stopy błotniste krople. Wszystko rozgniatałam palcami.

W koszuli w kwiaty znalazłam żebra, kręgosłup, mostek. Kości w skarpecie, która utkwiała w bucie. W porcjach rzucanych przez Mario znalazłam również kości udowe, kość ramienia, kość promieniową oraz miednicę. Wszystko pokrywały rozkładające się tkanki i resztki organiczne.

Walcząc z nudnościami, oczyszczałam i układałam znaleziska na papierze. Xicay rejestrował wszystko przy użyciu kamery. Było mi słabo, ograniczyłam się więc jedynie do wpisywania kości do rejestru szkieletów.

Gdy Mario odłowił już wszystko, co było widoczne na powierzchni, podeszłam do krawędzi zbiornika i usiadłam. Natychmiast podszedł do mnie Galiano.

– Wchodzisz tam?

Potwierdziłam.

– Czy nie możemy po prostu węzłem ciśnieniowym odessać pozostałego gówna?

Zdjęłam maskę, aby swobodnie rozmawiać.

– Dopiero wtedy, gdy znajdę czaszkę.

Ponownie założyłam maskę i wskoczyłam do zbiornika. Podeszwy moich butów delikatnie plasnęły w podłoże z odchodów. Grzęzłam w gównie. Wokół panował obrzydliwy fetor.

Brnąc przez ludzki kał, czułam, jak zbiera mi się na wymioty.

Gdy doszłam do południowoschodniego narożnika, Mario wręczył mi długi, cienki pręt. Łapiąc szybkie chausty powietrza, rozpoczęłam dokładne przeszukiwanie zbiornika, przesuwając się centymetr po centymetrze po jego obrzeżach, zagłębiając się, wycofując i znów zagłębiając. Moją pracę śledziły cztery pary oczu.

Wkrótce natrafiłam na coś, co utkwilo w tym samym odpływie, w którym znaleziono dzinsy. Podpierając się na pręcie, przełykałam, brałam głęboki oddech i wsadzałam ręce w gówno.

Przedmiot przypominał wielkością i kształtem piłkę do siatkówki. Zalegał na dnie zbiornika, a jego górna część sięgała do głębokości około 0,3 metra poniżej powierzchni szlamu. Pomimo

mdłości, moje tętno wyraźnie przyspieszyło.

Ostrożnie wydobywałam swoje znalezisko, próbując wyczuć pod palcami budowę przedmiotu.

Jajowaty kształt. Wklęsłości oddzielone wypukłością kości nosa. Twarde obręcze po obu stronach podłużnej wypukłości.

Czaszka!

Ostrożnie, Brennan.

Nie zważając na skręcające się wnętrzności, schyliłam się, chwyciłam w obie dłonie czaszkę i pociągnęłam. Ciężko było wyszarpać znalezisko z odchodów.

Sfrustrowana, wybierałam szlam rękami. Kiedy już dojrzałam płat ciemieniowy, oplótłam czaszkę palcami i mocniej pociągnęłam.

Nawet nie drgnęła.

Cholera!

Próbowałam też delikatnie kręcić zgodnie z ruchem wskazówek zegara i w przeciwną stronę. Poczułam, jak po moich nogach spływa pot.

Jeszcze dwie próby i udało się ruszyć czaszkę.

Rozgarnęłam szlam i pociągnęłam ją do góry. Powolnemu wyciąganiu towarzyszył dźwięk delikatnego ssania. Waliło mi serce, gdy trzymałam ją obiema rękami. Śliska, brązowa maź wypełniała oczodoły i oblepiała całą czaszkę.

Zobaczyłam wystarczająco dużo.

Bez słowa przekazałam czaszkę Mario, poklepałam go po dłoni i wygramoliłam się ze zbiornika. Mario położył czaszkę na worku do ciała i chwycił jeden ze zbiorników ciśnieniowych. Najpierw opryskał mnie środkiem dezynfekującym, potem czystą wodą.

– TyDBol* [TyDBol – środek do czyszczenia toalet (przyp. red.)] dzwonił z propozycją pracy – powiedział Galiano.

Zdjęłam maskę.

– Jaki piękny, szpetnie zielony, odcień skóry.

Idąc w kierunku skrzyni ze sprzętem, spostrzegłam, że cała się trzęsę.

Następnie zrobiliśmy to, co zasugerował Galiano. Zanurzyliśmy w szlamie wąż ciśnieniowy, a pompa odessała ciecz. Wkrótce mogliśmy rozpocząć przelewanie 13 tysięcy litrów cieczy przez półcentymetrowe sito. Mario rozbijał bryłki i wyciągał karaluchy. Przeglądałam każdy kawałek i strzęp szczątków.

Diaz ulotnił się. Chociaż nie widziałam, kiedy wychodził, w którymś momencie odruchowo podniosłam wzrok i nie zauważyłam różowych szkieł. Kiedy przelewaliśmy przez sito ostatni litr cieczy, zmierzchało. Bluza, buty, skarpety, bielizna i plastikowy pałak zostały umieszczone w torbie obok skrzyni z narzędziami. Niemal kompletny szkielet leżał na białym papierze. Brakowało gnyki, jednego piszczela, kilku kości dłoni i stopy, dwóch kręgów kręgosłupa i czterech żeber, a w dolnej szczęce ośmiu zębów.

Zapisywałam każdą kość, potwierdzając, że mieliśmy tylko jedno ciało i upewniając się, czego jeszcze brakuje. Czułam się zbyt słabo, aby kontynuować dalszą analizę. Krótkie spojrzenie na czaszkę wywołało we mnie niepokój, ale zdecydowałam, że nie powiem nic Galiano, zanim sama się nie upewnię.

Właśnie robiłam rejestr żeber, gdy ponownie pojawił się Diaz. Prowadził chudego blondyna o tłustych włosach i brzydkiej cerze.

Diaz i jego towarzysz zlustrowali podwórze, naradzili się i podeszli do Galiano.

Nowo przybyły przemówił.

– Jestem tutaj na polecenie Prokuratora Okręgowego. – Mężczyzna wyglądał jak dzieciak, który podkraść beżowy garnitur starszemu bratu.

– Pańska godność? – Galiano przesunął się i stanął w jego cieniu.

– Dr Hektor Lucas. Przejmuję wszystkie szczątki, które znaleźliście w tym miejscu.

– A kim ty jesteś? – powtórzył Galiano.

Lucas spojrział na zegarek, a potem na Diaza.

Diaz pokazał dokument wyjęty z torby zamykanej na suwak.

– Ten nakaz mówi, że dr Lucas ma pełne prawa do tych szczątków – powiedział Diaz. – Pakujcie wszystko, by przewieźć materiał do kostnicy.

Galiano płonął z wściekłości. Diaz podniósł nakaz. Galiano zignorował ten gest. Diaz poprawił okulary. Wszyscy pozostali jakby zamarli. Nagle zrobiło się cicho, nawet pompa zamilkła.

– A teraz, detektywie... – zabrzmiał donośnie głos Diaza.

Minęła sekunda. Dziesięć sekund. Minuta.

Galiano wciąż gapił się na Diaza, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Odebrał dopiero po czwartym dzwonku, nie spuszczać wzroku z Diaza.

– Galiano.

Słuchał, poruszał szczękami, a potem powiedział:

– *¡Eso es una mierda!* Bzdura!

Detektyw schował telefon do kieszeni i zwrócił się do Diaza.

– Niech pan będzie ostrożny. Bardzo ostrożny – stwierdziłby po chwili wysyczeć: *¡No me jodas!* Nie traktuj mnie jak gówno!

Drżącymi dłońmi Galiano odciągnął mnie od worka z ciałem i szczątkami ubrań. Stałam na nogi i odwróciłam się, uklękłam obok szkieletu, intensywnie wpatrując się w czaszkę. Diaz podszedł i czekał aż wstanę.

Lucas spojrział na zawartość worka. Usatysfakcjonowany, wyciągnął z kieszeni rękawiczki, wcisnął papier do wnętrza worka i zapiał zamek. Potem wstał z wyrazem niepewności na twarzy.

Diaz opuścił podwórze, by wrócić z dwoma mężczyznami w szarych kombinezonach z napisem na plecach „Kostnica Sądowa”. Rozłożyli nóżki noszy.

Na rozkaz Lucasa dźwignęli worek, położyli na noszach i zniknęli, odchodząc w kierunku, z

którego przyszłi.

Diaz raz jeszcze próbował wręczyć nakaz. Galiano nadal stał z założonymi rękoma.

Diaz podszedł do mnie, wzrokiem omijał zbiornik. Wzdychając, podsunął mi dokument.

Kiedy sięgnęłam, by go zaakceptować, napotkałam spojrzenie Galiano. Zmarszczył brwi.

Rozumiałam go.

Diaz i Lucas bez słowa opuścili podwórkę.

Galiano spojrzał na swojego partnera. Hernández już zbierał spakowane w torby ubrania.

– Ile tego tutaj zostało? – Galiano uderzył głową w zbiornik na ciężarówce.

Operator ciężarówki wzruszył ramionami, machnął ręką.

– Czterdzieści, może osiemdziesiąt litrów.

– Dokończ to.

Nic więcej nie pojawiło się na sicie. Przecierałam właśnie palcami ostatnią partię odchodów, kiedy podszedł do mnie Galiano.

– Nadeszły złe czasy dla dobrych ludzi...

– Czyżby ci z prokuratury okręgowej mieli być tymi dobrymi ludźmi?

– Głupi, mały gryzoń, nawet nie pomyślał o ubraniach.

Skwitowałam stwierdzenie detektywa milczeniem.

– Czy to pasuje do profilu?

Uniosłam brwi.

– Szkielet. Czy pasuje do opisu jednej z naszych zaginionych dziewczyn?

Zawahałam się. Byłam wściekła na siebie za to, że niezbyt dokładnie przebadalam kości, wściekła na Galiano, że pozwolił im je zabrać.

– Tak i nie.

– Będiesz wiedziała, gdy je zbadasz.

– A zrobię to?

– Wygram – odpowiedział enigmatycznie, wpatrując się w pusty zbiornik.

Zastanawiałam się, kto będzie przegrany.

Rozdział 5

Tego wieczoru kąpiel w waniliowych tahitańskich bąbelkach zajęła mi prawie godzinę. Na kolację odgrzałam w mikrofalówce kawałki pizzy i wypłam schłodzony napój gazowany o smaku pomarańczowym. Na deser zjadłam Snickersa i jabłko.

Gdy jadłam, niezbyt silny powiew wiatru poruszał zasłoną do wewnątrz i na zewnątrz okna. Metalowy uchwyt łańcucha żaluzji uderzał w ramę okna. Moja kolacja nie była wyjątkowo romantyczna, z ulicy dobiegał gwar, a w pokoju szumiał wentylator. W mojej głowie przewijały się wydarzenia dnia, niczym niesprawnie zmontowane klatki filmu domowej roboty.

Po skończonym posiłku zadzwoniłam do Mateo, by dowiedzieć się co z Molly. Nadal była w śpiączce. Ta wiadomość całkowicie mnie dobiła. Miałam ochotę położyć się na łóżku, nakryć twarz poduszką i płakać z bezsilności. Smutek i zmartwienia przytłaczały mnie. Może dlatego zmieniłam temat naszej rozmowy.

Kiedy Mateo dowiedział się o moich problemach związanych z Diazem, próbował dodać mi otuchy, naciskając, bym nie rezygnowała z prowadzenia tej sprawy.

Obiecałam, że zrobię, jak radzi. Dodałam też, że w sobotę pojawię się w laboratorium.

Przez następne dwadzieścia minut sporządzałam szczegółowy raport z wydarzeń w Paraiso.

Potem jeszcze tylko krótka przepierka spodni w umywalce, mycie zębów, kremowanie rąk i twarzy, kilka brzusków i mogłam wreszcie włączyć CNN.

Uśmiechnięty prezenter mówił o piłce nożnej, trzęsieniu ziemi, rynku światowym. Lokalny autobus stoczył się do wąwozu. Było siedemnastu zabitych, nie usłyszałam, ile osób trafiło do szpitala. Moje myśli krążyły między szambem, oddziałem intensywnej terapii a studnią i tak w kółko.

Wyobrażałam sobie czaszkę, ślizgałam się po ludzkich odchodach. Dlaczego nie wykonałam dokładniejszego badania? Dlaczego pozwoliłam się zastraszyć i nie zrobiłam tego, co wiem, że powinnam była zrobić? Te wyrzuty przerywał obraz Molly leżącej w szpitalnym łóżku. Z jej ust i nosa wychodziły rurki, a z żyły wystawał welflon.

Gdy podłączałam komórkę do ładowania, moja równowaga emocjonalna uległa ostatecznej rozsypce.

W Charlotte śpi Ptasiak. W Charlottesville Katy uczy się do egzaminów, bawi z przyjaciółmi lub po prostu myje włosy.

Poczułam lekki ucisk w klatce piersiowej.

Moja córka była na innym kontynencie, a ja mogłam tylko snuć domysły, co teraz robi.

Nie rozczulaj się nad sobą.

Zgasiłam światło, wyłączyłam telewizor i bezsilna opadłam na łóżko.

Myślałam o domu i rodzinnych stronach.

W Montrealu byłaby prawie północ. Ryan mógłby...

Co?

Nie miałam pojęcia, co mógłby robić Ryan...

Porucznik Andrzej Ryan – detektyw, Wydział ds. Przepływów przeciwko Zdrowiu i Życiu, Okręgu Quebec. Wysoki, oczy bardziej niebieskie niż laguna na Bahamach, na twarzy widniejące pierwsze zmarszczki.

Poczułam motylki w brzuchu.

Kiedy się poznaliśmy, Ryan pracował nad zabójstwem lokalnego policjanta. Od dziesięciu lat nasze drogi schodziły się i rozchodziły podczas prowadzenia śledztw w sprawach nienaturalnych zgonów. Zawsze z dystansem, zawsze profesjonalni. Tym bardziej ujął mnie legendarny wdzięk Ryana, gdy dwa lata temu załamało się moje małżeństwo.

Dużo wody upłynęłoby, nim zdołałabym opowiedzieć naszą historię od początku.

Nagle sama po 20 latach szarpania się, niewiele wiedziałam o randkowaniu, ale miałam jedyną zasadę: żadnego romansowania w pracy. Ryan ją zignorował.

Uwodził mnie, a ja trzymałam go na odległość. W końcu pracowaliśmy razem, a poza tym znałam jego reputację. Wiedziałam o przeszłości Ryana – gliny znikowanego na punkcie dzieci i o teraźniejszości – ogiera wydziałowego. Obie osobowości były czymś więcej, niż chciałam osiąść.

Ale detektyw Lothario* [Lothario – słynny uwodziciel z tragedii Nicholasa Rowe'a *Piękna pokutnica* (przyp. red.)] nigdy nie złagodniał, a rok temu zgodziłam się na wspólną kolację w chińskiej restauracji. Podczas naszej pierwszej randki Ryan pozbył się przykrywki tajniaka.

Ostatni raz zdecydowałam się rozważyć za i przeciw romansu z Ryanem po święcie Trzech Króli, kiedy mój mąż zraził się do mnie. Uważałam Ryana za wrażliwego, zabawnego i jednego z najbardziej irytujących mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam.

Jednego z najbardziej seksownych.

Przyspieszone bicie serca.

Chociaż ten koń wyścigowy wciąż był w bloku, broń była naładowana i gotowa do strzału.

Spojrzałam na telefon. Za chwilę mogłabym rozmawiać z Ryanem.

Odezwało się sumienie: „zły pomysł”.

Dlaczego?

Wyszłabyś na mięczaka.

Wreszcie byłoby tak, jak chcę.

Wyszłabyś na łzawą heroinę żądającą ramienia, aby móc się na nim wypłakać.

Nieprawda, wyglądałabym jak stęskniona kobieta.

Rób jak chcesz.

– Co, do diabła? – powiedziałam głośno.

Odrzucając kóldrę, chwyciłam za telefon i wcisnęłam automatyczne wybieranie – cud nowoczesnej komunikacji.

Sto sześćdziesiąt jeden kilometrów na północ od 49. równoleżnika zadzwonił telefon.

Dzwonił i dzwonił...

Właśnie miałam się rozłączyć, kiedy usłyszałam nagrany na automatycznej sekretarce głos Ryana. Powitał mnie najpierw po francusku, potem po angielsku i poprosił o pozostawienie wiadomości.

Zadowolona? – szepnęło sumienie.

Przesunęłam kciuk w kierunku przycisku z napisem „koniec”. Przez moment zawahałam się, bo wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś podnosi słuchawkę.

Co jest?

– Cześć, tu Temp...

– Dobry wieczór Pani Doktor – usłyszałam głos Ryana.

– Obudziłam cię?

– Sprawdzam wszystkie połączenia.

– Aha.

– Cruise i Kidman rozeszli się. To tylko kwestia czasu, kiedy Nicole zacznie dzwonić.

– Chciałbyś, Ryan.

– Jak ci idzie na tych gliniankach?

– Byliśmy na wyżynie.

– Byliście?

– Skończyliśmy kopać. Wszystko jest już w laboratorium w Gwatemali.

– Ile tego jest?

– 23. Wygląda na to, że w większości kobiety i dzieci.

– Ohyda.

– Będzie gorzej.

– Słucham.

Opowiedziałam mu o Carlosie i Molly.

– Jezu, Brennan. Uważaj tam na siebie.

– Robi się jeszcze gorzej.

– Mów. – Usłyszałam odgłos zapalki i wydech.

– Lokalna żandarmeria myśli, że mają do czynienia z seryjnym zabójcą działającym w stolicy Gwatemali. Poprosili mnie o pomoc w poszukiwaniach.

– Nie mają tam nikogo od tego?

– Szczątki były w szambie.

– Racja, to twoja specjalność.

– Robiłam to raz czy dwa.

– Jak taka perełka jak ty, wypłynęła w Ameryce Środkowej?

– Jestem znana na całym świecie, mój drogi Andrów.

– Czyżbyś umieściła swoje CV na stronie internetowej?

Przez moment zastanawiałam się, czy nie powinnam powiedzieć mu o zaginionej córce ambasadora? Nie. Obiecałam Galiano pełną poufność.

– Detektyw widział jeden z moich artykułów napisanych dla JFS. Może to cię zaskoczy, ale niektórzy gliniarze czytają publikacje pozbawione obrazków.

Usłyszałam, jak Andrzej wypuszcza ustami powietrze. Wyobraziłam sobie dym buchający z jego nozdry, jakby był smokiem z wesołego miasteczka.

– Poza tym, podejrzewa się, że sprawa ma pewne powiązanie z Kanadą.

Jak zwykle, poczułam, że usprawiedliwiam się przed Ryanem.

– I?

– I dzisiaj znaleźliśmy szkielet.

– I?

– Nie jestem pewna.

Zwrócił uwagę na coś w moim głosie.

– Coś cię gryzie?

– Nie jestem pewna.

– Czy ofiara pasuje do profilu?

– Nie jestem pewna – powtórzyłam.

– Nie zrobiłaś oględzin?

Jak miałam mu to wyjaśnić? Czułam, jak mój żołądek się kurczy.

– Nie. – Znowu poczułam palący wstyd. – I prawdopodobnie już nigdy nie zrobię tej analizy.

– Jak to?

– Prokuratura Okręgowa skonfiskowała kości.

– Pozwól, że powiem wprost. Ci kmiotkowie proszą cię, byś zrobiła najbrudniejszą robotę, a potem Prokuratura Okręgowa kładzie papier i zgarnia towar?

– Gliniarze nie mieli innego wyjścia.

– Nie mieli nakazu?

– Tu jest całkiem inny system prawa. Nie pytałam o to – odpowiedziałam zimno.

– To prawdopodobnie drobne niedociągnięcie. Zobaczysz, jutro rano koroner zadzwoni najpierw do ciebie.

– Wątpię.

– Dlaczego?

Szukałam grzecznego sposobu, aby wytłumaczyć postępowanie Diaza.

– Powiedzmy, że tutejsza prokuratura nie chce pomocy z zewnątrz.

– A co z kanadyjskim powiązaniem?

Wyobraziłam sobie czaszkę.

– Wątpliwe, ale... nie jestem pewna.

– Jezu, Brennan...

– Nic nie mów.

Powiedział.

- Jak ty się w to wszystko wpakowałaś?
- Poprosili mnie, abym wydobyła kości z szamba – prychnęłam. – Zrobiłam to.
- Jaki kretyn jest za to odpowiedzialny?
- A co to za różnica?
- Może startować na największego głupca roku.
- OK, sierżant Galiano, detektyw.
- Wydział Śledczy ds. Przepływów Kryminalnych?
- Tak.
- Gnojek.
- Co?!
- Twarz jak buldog, oczy jak Guernsey?*[Guernsey – rasa bydła mlecznego (przyp. tłum.)]
- Ma brązowe oczy.
- Bat! – To było prawie jak okrzyk radości.
- Co za Bat?
- Przez całe lata nie myślałem o Bacie.
- Ryan, co ty wygadujesz? Nic nie rozumiem.
- Bat Galiano.

Galiano wspominał, że spędził jakiś czas w Kanadzie.

- Znasz Galiano?
- Chodziłem, z nim do szkoły – Galiano chodził do szkoły Św. Franciszka Xawiera?

Św. Franciszek Xavier, w Antigonish, Nowa Szkocja. Małe uniwersyteckie miasteczko było sceną wielu najpiękniejszych wspomnień Ryana. To właśnie wtedy pewien motocyklista przeciął mu tętnicę szyjną pogruchotanym karkiem buddy ważącego ponad trzydzieści deko. Po poważnym szyciu i jeszcze poważniejszych przemyśleniach, Ryan zmienił swe podejście do życia. Z picia w barach przerzucił się na współpracę z chłopakami, którym było dobrze w niebieskim i nie lubił wspominać swojej niechlubnej przeszłości.

– Na ostatnim roku Bat mieszkał po drugiej stronie korytarza. Ukończyłem szkołę, wstąpiłem do SQ w Quebecu. On skończył jeden semestr później i wrócił do Gwatemali, aby zostać gliną. Od lat z nim nie gadałem.

– Dlaczego „Bat”?

– Nieważne. Ale zapisz sobie w kalendarzu to, co teraz mówię: Będziesz oglądać kości, zanim tydzień dobiegnie końca.

– Powinam była odmówić przekazania im szczątków.

– Pośrednik obcokrajowiec kopiący lokalną władzę i system znany z masakry dysyduentów.

Brzmi nieźle.

– Powinam była przeprowadzić oględziny na miejscu.

– Czy wszystko było pokryte gównem?

– Mogłam to wyczyścić.

– I prawdopodobnie zrobić więcej złego niż dobrego. Poza tym, jesteś tam z zupełnie innego powodu.

Nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok owładnięta nieproszonymi wspomnieniami minionego dnia. Powoli milkł ruch uliczny. Z sąsiednich pokoi dobiegały dźwięki meczu koszykówki, rozmowy prowadzone podczas nocnego talk-show, aż w końcu ktoś wyłączył telewizor i zapanowała zupełna cisza.

Tymczasem ja wciąż wyrzucałam sobie, że nie przebadalam kości. Czy moje pierwsze wrażenie dotyczące czaszki było właściwe? Czy fotografie zrobione przez Xicaya wystarczą do ustalenia profilu biologicznego? Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę te kości?

Nagle dotarło do mnie jak daleko jestem od domu, zarówno geograficznie, jak i kulturowo. O ile rozumiałam gwatemalski system prawa, nie wiedziałam kompletnie nic o rywalizacji w wymiarze sprawiedliwości i czynnikach, które mogły utrudniać śledztwo. Znałam stawkę, nie znałam graczy.

Trudności, czynione przez władze podczas prowadzenia sprawy, dopełniały czarę targających mną złych przeczuć. W Gwatemali byłam nikiem. Mało wiedziałam o ludziach, samochodach, które wybierali, ich zajęciach, sąsiadach czy paście do zębów. Ich pojmowaniu prawa i władzy. Byłam obca ich upodobaniom, awersjom, zaufaniu i przedmiotom ich pożądania. Motywom zbrodni.

Bat? Bartolome Galiano? Bat Galiano? Bat Guano?

Zabawa słowami pozwoliła mi w końcu zasnąć.

Sobotni poranek do złudzenia przypominał piątkowy. Przyjechał po mnie Galiano, przyniósł kawę, a potem w milczeniu pojechaliśmy do Komendy Głównej. Tym razem detektyw zaprowadził mnie do biura mieszczącego się na drugim piętrze. Biuro było urządzone w tym samym stylu, co czwartkowa sala konferencyjna. Szare ściany, pożółkła zieleń podłogi, neonówki, drewniany parkiet, składane stoły. *Nouveau Cop*.

Hernández przynosił pudełka z tylnej części pokoju i ustawiał je na wózku. Dwóch mężczyzn przypinało kartki na tablicy informacyjnej. Kiedy weszliśmy, obaj się odwrócili. Jeden był szczupły, miał czarne kędzierzawe włosy. Jego kolega mógł pochwalić się wyjątkowym rozstawem ramion.

Kiedy Galiano mnie przedstawiał, wyraźnie nie byli zachwyceni tym, co zobaczyli.

Kogo we mnie zobaczyli? Glinę z zewnątrz? Amerykankę? Kobietę?

Chrzanić to. Nie musiałam przecież walczyć o ich sympatię.

Skinęłam głową na powitanie. Mężczyźni zrobili to samo.

– Są już zdjęcia? – zapytał Galiano.

– Xicay mówi, że będą gotowe przed dziesiątą – odpowiedział Hernández, popychając wózek w naszym kierunku.

- Zabieram to do piwnicy – dyszał, przytrzymując ładunek prawą ręką. – Chcesz worki?
- Tak.

Twarz Hernándezza była czerwona z wysiłku, a koszula wilgotna, jakby właśnie wyszedł spod prysznic.

– Pokój był wykorzystywany do magazynowania – powiedział Galiano. – Mam tam porządek.

- Służby specjalne?
- Nie do końca. – Wskazał na jedno z biurk. – Czego potrzebujesz?
- Szkieletu – powiedziałam, rzucając plecak na bibułę.
- Dobrze.

Jeden z mężczyzn skończył pracę przy pierwszej tablicy i przeszedł do następnej. Galiano i ja podeszliśmy do mapy Gwatemali. Detektyw Galiano wskazał punkt w południowo-wschodnim kwadracie.

- Numer 1 – Claudia de la Alda. Mieszkała tutaj.

Sięgnął po pinezkę z czerwonym łebkiem i wpiął ją w mapę, obok umieścił żółtą.

– De la Alda miała 18 lat. Nienotowana, bez przeszłości narkotykowej, nigdy nie uciekała z domu. Zajmowała się niepełnosprawnymi dziećmi i pomagała w kościele. Wyszła z domu do pracy 14 lipca i od tego czasu nikt jej nie widział.

- Przyjaciół? – zapytałam.
- Ma alibi.

Galiano wpiął kolejną, tym razem niebieską, pinezkę.

- Claudia pracowała w Muzeum Ixchel.

Ixchel to prywatne muzeum poświęcone kulturze Majów. Byłam tam, pamiętam, że nie przypominało świątyni Majów.

- Numer 2 – Lucy Gerardi. Siedemnastolatka, studentka Uniwersytetu San Carlos.

Detektyw dodał drugą niebieską pinezkę.

– Gerardi też nie była aresztowana, mieszkała z rodziną. Dobra studentka. Poza wszawym życiem prywatnym, okazuje się że była normalną nastolatką.

- Miała przyjaciół?
- Ojciec krótko ją trzymał.

Galiano wskazał miejsce na mapie w pół drogi między Muzeum Ixchel a Ambasadą Amerykańską.

- Lucy mieszkała tutaj.

Dodał czerwoną pinezkę.

- Ostatni raz widziano ją w Ogrodzie Botanicznym...

Wpiął żółtą pinezkę w ciemnozielony punkt na skrzyżowaniu ulic Ruta 6 i Avenida la Reforma.

- ... 5 stycznia.

Palec Galiano przeskoczył na Caile 10 przy Avenida la Reforma 3.

– Znasz Strefę Viva?

Nagle ukłucie bólu. Molly i ja jadłyśmy w restauracji w Strefie Viva dzień przed moim wyjazdem do Chupan Ya.

Skup się, Brennan.

– To mała enklawa ekskluzywnych hoteli, restauracji i nocnych klubów.

– Dokładnie. Nr 3 – Patricia Eduardo. Dziewiętnastolatka, mieszkała kilka bloków dalej.

Trzecia czerwona pinezka.

– Eduardo rozstała się z przyjaciółmi w Cafe San Felipe w nocy, 29 października. Nigdy nie wróciła do domu.

Żółta pinezka.

– Pracowała w szpitalu Centro Medico. Niebieska pinezka powędrowała na Avenida 6 i Calle 9, w okolicy Ixchel Muzeum.

– Historia podobna do poprzednich. Dziewczyna czysta jak łąza, niewinny narzeczony. Lubiała spędzać czas z końmi, otarła się o zawodowe jeździectwo.

Galiano wskazał punkt znajdujący się w równej odległości zarówno od rezydencji Lucy Gerardii, jak i Patricii Eduardo.

– Zaginiona nr 4 – Chantale Specter, mieszkała tutaj. Czerwona pinezka.

– Chantale chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt...

Niebieska pinezka.

– ... właśnie wróciła z dłuższego pobytu w Kanadzie.

– Co tam robiła?

Zawahał się chwilę.

– Chodziła na pewien specjalistyczny kurs. Ostatni raz była widziana w domu.

– Przez?

– Matkę.

– Sprawdzono oboje rodziców?

Wciągnął spory haust powietrza i wypuszczał je powoli.

– Trudno przeprowadzić dochodzenie wobec dyplomaty innego kraju.

– Jakies podejrzenia?

– Nic nie znaleźliśmy. Cóż, wiemy chociaż, gdzie każda z tych młodych kobiet mieszkała. –

Galiano musnął palcami czerwoną pinezkę.

– Wiemy, gdzie każda z nich pracowała, gdzie chodziła do szkoły.

Niebieskie pinezki.

– Wiemy, gdzie każda z nich była widziana po raz ostatni.

Żółte pinezki.

Gapiałam się na wzór, próbując odpowiedzieć przynajmniej na jedno z kłębiących się w mojej głowie pytań. Znałam na tyle dobrze Gwatemalę, aby wiedzieć, że Claudia de la Alda, Lucy

Gerardi, Patricia Eduardo i Chantale Specter pochodziły z zamożnych rodzin. Ich światem był świat cichych uliczek i skoszonych trawników, a nie narkotyków i mięsa z ulicy. Te kobiety nie były bezsilne, w przeciwieństwie do ofiar w Chupan Ya czy uzależnionych sierot z Parku Concordia. Zagięły, a ich rodziny robiły wszystko, aby je odnaleźć.

Ale skąd to zainteresowanie szczątkami znalezionymi w hotelu w biednej dzielnicy?

– Dlaczego Paraiso? – spytałam.

Znowu moment zawahania.

Spojrzałam na Galiano. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Czekałam. Nic nie odpowiedział.

– Traktujesz tę sprawę jak wyścigi, czy będziemy pracować nad tym razem?

– Co masz na myśli?

– Rób, jak uważasz, Bat. Wychodzę.

Galiano patrzył na mnie ostrym wzrokiem. W milczeniu otoczył mnie ramieniem.

– W porządku, ale nic nie może wyjść poza ten pokój.

– Generalnie, lubię omawiać swoje sprawy w pokoju dyskusyjnym, wyciągać wnioski z rozmowy.

Zwolnił uścisk i ręką przeczesał włosy, przez cały czas uparcie się we mnie wpatrując.

– Osiemnaście miesięcy temu Chantale Specter została zatrzymana za posiadanie kokainy.

– Zażywała?

– Nie wyjaśniono tego. Wpadła przypadkiem i natychmiast została zwolniona. Jej nie testowano, ale testy jej kumpli wyszły pozytywnie.

– Sprzedaż?

– Prawdopodobnie nie. W zeszłym roku latem zatrzymano ją ponownie. Podobna historia. Policja zrobiła nalot na imprezkę w tanim hoteliku. Chantale wpadła w sieć. Niedługo po tym, papcio wysłał ją na odwyk do Kanady. Wróciła na święta Bożego Narodzenia, a w styczniu do szkoły. Zniknęła tydzień przed feriami.

Ambasador próbował szukać córki na własną rękę, ale w końcu poddał się i zgłosił jej zaginięcie.

Galiano wskazał labirynt uliczek starego miasta.

– Oba zatrzymania Chantale miały miejsce w Strefie 1.

– Niektóre dzieciaki przechodzą okres buntu – powiedziałam. – Chantale prawdopodobnie wróciła do domu, pokłóciła się z ojcem i odeszła.

– Na cztery miesiące?

– To pewnie przypadek. Chantale nie pasuje do tej układanki.

– Lucy Gerardi zniknęła 5 stycznia. Dziesięć dni później – Chantale Specter.

Galiano odwrócił się w moją stronę.

– Niektórzy utrzymują, że Lucy i Chantale były bliskimi przyjaciółkami.

Rozdział 6

Zdjęcia z miejsca przestępstwa umożliwiają podglądanie tajemnic nieznajomych. Różnią się one od fotografii artystycznej, gdzie oświetlenie i przedmioty dobiera się i ustawia tak, aby wydobyć z nich piękno. Zdjęcia z miejsca przestępstwa robi się po to, by uchwycić kompletną, obrzydliwą rzeczywistość wraz z istotnymi szczegółami. Oglądanie takich zdjęć jest zadaniem wstrząsającym i przygnębiającym.

Zbita, szyba. Kuchnia obryzgana krwią. Kobieta rozciągnięta na łóżku z majtkami naciągniętymi na twarz. Rozdęte ciało dziecka w pniu drzewa. Horror powracający po kilku chwilach, godzinach, nawet po kilku dniach.

Po kilku miesiącach.

O 9:40 Xicay przyniósł zdjęcia z Paraiso. Nieprzedstawiające żadnych kości fotografie dawały mi jedynie nadzieję, że uda mi się wykorzystać je do stworzenia dokładnego profilu ofiary albo pozwoli na powiązanie szkieletu z szamba z jedną z zaginionych dziewcząt.

Otworzyłam pierwszą kopertę. Byłam przerażona, ale pragnęłam dowiedzieć się, ile szczegółów anatomicznych się zachowało, ile zatraciło.

Aleja.

Paraiso.

Zagracona mała oaza na zapleczu.

Wielokrotnie studiowałam ujęcia szamba przed i po odkryciu, przed, podczas i po osuszeniu. Na ostatniej fotografii cienie kładły się na pustych komorach tak, jakby to były kościste palce.

Odłożyłam pierwszy zestaw i otworzyłam kolejną kopertę.

Pierwsza z odbitek ukazywała mój tyłek skierowany w górę, gdy stałam na skraju zbiornika. Druga pokazywała kość przedramienia leżącą na papierze w plastikowym worku. Nawet przez szkło powiększające nie mogłam dostrzec żadnych szczegółów. Odłożyłam je więc i oglądałam dalej.

Na ósmym zdjęciu trafiłam na zbliżenie kości łokciowej. Przesuwając szkło centymetr po centymetrze wzdłuż trzonu kości, przyglądałam się badawczo każdemu guzkowi i wyrostkowi. Już miałam się poddać, gdy na końcu nadgarstka zauważyłam cienką jak włos linię.

– Spójrz na to.

Galiano wziął szkło i przyjrzał się odbitce. Wskazałam końcem pióra odpowiedni fragment.

– To pozostałość linii nasadowej.

– Ay, *Dios* – powiedział, nie podnosząc wzroku. – A to znaczy?

– Stożek wzrostu przykryty czapeczką wrasta w zakończenie trzonu.

– A to oznacza?

– To oznacza, że denatka była młoda.

– Jak młoda?

– Prawdopodobnie miała nie więcej niż szesnaście lat.

Wyprostował się.

– *Muy bueno, dr Brennan** [Bardzo dobrze, dr Brennan (przyp. red.)].

Trzecia seria zdjęć przedstawiała fotografie czaszki. Gdy je przeglądałam, moje jelita skręcały się bardziej, niż wtedy gdy siedziałam w szambie. Xicay robił zdjęcia czaszki z odległości przynajmniej dwóch metrów. Błoto, cień i odległość nie pozwalały dostrzec szczegółów. Nie pomogło nawet szkło powiększające.

Zniechęcona skończyłam przeglądać trzecią kopertę i przeszłam do oglądania innych zdjęć. Na kolejnych fotografiach widniały różne fragmenty szkieletu. Wrastający stożek wzrostu na kilku długich kościach potwierdzał wiek wskazany przez kość łokciową.

Xicay zrobił również przynajmniej pół tuzina zdjęć miednicy. Trzy części leżały razem na cienkiej chusteczce papierowej, a to pozwoliło mi dostrzec otwór wlotowy w kształcie serca. Kości łonowe były długie i łączyły się rozwartym kątem nad wżgórkami.

Szerokie, płytkie wcięcie kulszowe.

– Kobieta – rzuciłam sobie a muzom.

– Pokaż. – Galiano podszedł do biurka.

Rozłożyłam zdjęcia na biurku i zaczęłam omawiać każde z nich. Galiano uważnie słuchał.

Nagle wyłowiłam wzrokiem kilka plamek na prawym biodrze po stronie brzucha. Przyglądałam się im w skupieniu.

Fragmenty zębów? Roślinności? Żwiru? Malutkie cząsteczki wyglądały znajomo, ale nie potrafiłam ich rozpoznać.

– Co to jest? – spytał Galiano.

– Nie jestem pewna. Może to tylko gruzy. Włożyłam z powrotem zdjęcia do koperty i sięgnęłam po kolejny zestaw.

Kości stopy. Kości ręki. Żebra.

Galiano musiał na moment wyjść do biura. Dwaj detektywi tyrali przy tablicy ogłoszeń, a ja nie przerywałam oględzin.

Mostek. Kręgi.

Wrócił Galiano.

– Gdzie, do diabła, jest Hernández?

Bez odpowiedzi. Wyobraziłam sobie dwukrotne wzruszenie ramion za moimi plecami.

Poczułam ból kręgosłupa. Podniosłam w górę ręce, rozciągnęłam się do tyłu, a potem we wszystkie strony.

Gdy powróciłam do oglądania zdjęć, zdarzył się cud.

Ostatnia seria przedstawiała czaszkę – z góry, z boku, z przodu, na dnie zbiornika. Xicay sfotografował wszystko z dość bliskiej odległości, teraz więc dość wyraźnie widziałam szczegóły.

– Te są dobre.

Galiano natychmiast znalazł się obok. objaśniałam mu cechy, które można było wyczytać z układu kości twarzoczaszki.

– Okrągłe oczodoły, szerokie policzki. Przeszłam do zdjęcia przedstawiającego podstawę czaszki i pokazałam szczęki.

– Zobacz, jak rozciągają się kości żuchwy.

Galiano pokiwał głową.

– Czaszka jest krótka od przodu ku tyłowi, a szeroka od jednego do drugiego boku.

– Jakby kulista.

– Dobrze powiedziane. – Wskazałam na górne podniebienie. – Kształt paraboliczny. Szkoda, że brakuje przednich zębów.

– Dlaczego?

– Łopatomate siekacze mogą wskazywać na rasę.

– Łopatomate?

– Wyskrobane szkliwo po stronie języka i uniesione podniebienie. Coś w rodzaju łopaty.

Zaczęłam oglądać zdjęcia przedstawiające czaszkę z boku. Moją uwagę zwrócił prosty profil twarzy oraz przegroda nosowa.

– O czym myślisz? – zapytał Galiano.

– Mongoł – powiedziałam, wracając myślami do przelatujących mi przed oczami wyobrażeń na temat przestępstwa i porównując te domniemania ze zdjęciami, które leżały przede mną

Detektyw pozostał niewzruszony.

– Azjata.

– Chińczyk, Japończyk, Wietnamczyk?

– Każdy z wymienionych. Chociażby Amerykanin, którego przodkowie pochodzili z Azji...

– Masz na myśli kości starych Indian?

– Niezupełnie. Te są współczesne.

Zastanawiał się nad czymś przez moment, by zapytać: – Czy przednie zęby zostały wybite?

Wiedziałałam, o czym myśli. Brak zębów często ogranicza zakres identyfikacji. W tym wypadku jednak nic nie wskazywało na to, by zostały umyślnie wybite. Potrząsnęłam głową.

– Siekacze mają tylko jeden korzeń. Kiedy podniebienie miękkie rozkłada się, wypadają. Najprawdopodobniej tak było w tym przypadku.

– I gdzie są?

– Mogły zostać przefiltrowane przez system szamba albo zaklinować się w odpływie.

– Byłyby przydatne?

– Pewnie. Widząc braki w uzębieniu, mogę snuć jedynie domysły – wymachiwałam dłonią nad zdjęciem.

– Więc kim jest ten nieznajomy z szamba?

– To kobieta, prawdopodobnie pochodzenia mongoloidalnego. Nie skończyła dwudziestu lat.

Oczy Galiano płonęły z ciekawości.

– Większość Gwatemalczyków miałaby cechy mongoloidalne?

– Wielu miałoby, na przykład rodowici mieszkańcy, imigranci z Azji, ich potomkowie – zgodziłam się.

– Ale niewielu kanadyjskie.

Galiano stwierdził po dłuższej chwili: – Wszystko wskazuje na to, że nie patrzymy na Chantale Specter.

Właśnie miałam odpowiedzieć na jego pytanie, kiedy Hernández wtoczył do pokoju swój wózek. Wielkie pudła zastąpił dwoma worami na śmieci i czarną płócienną torbą.

– Gdzieś ty był, u diabła? – Galiano spytał partnera.

– Te dupki nie chciały mi wypożyczyć swego cennego oświetlenia. Obchodzili się z nim jak z klejnotami królewskimi – głos Hernándeza brzmiał tak, jakby pomocnik Galiano gadał spod sterty papierów. – Gdzie mam to wszystko zrzucić?

Galiano wskazał dwa składane stoły przy ścianie po prawej stronie. Hernández rozładował wózek, a potem postawił na nim pozostałe pudełka.

– Następnym ładunek przewiezie ktoś inny. Cholernie ciężkie to wszystko. – Wyjmując żółty zegarek Swatcha z kieszeni, przetarł spoconą twarz.

Wychodząc z pokoju, schował do tylnej kieszeni chusteczkę oraz Swatcha.

– Spójrzmy na te zdjęcia – poprosił Galiano. – Większość dostarczyły rodziny zaginionych. Mamy też jedno z ambasady.

Oglądałam fotografie, chociaż nie musiałam. Doskonale znałam materiały dostarczane w takich wypadkach przez najbliższych. W końcu wielokrotnie pracowałam nad sprawami seryjnych zabójstw. Twarze: wrogie, szczęśliwe, zakłopotane bądź śpiące. Młode lub stare, męskie lub kobiece, zadbane lub zniszczone, piękne lub zwyczajne, nieprzewidujące przyszłych niepowodzeń i klęsk – oto, co z reguły przedstawiały.

Na fotkach przyniesionych przez Galiano wszystkie cztery kobiety miały długie, proste włosy, rozdzielone grzecznym przedziałkiem pośrodku głowy. Na tym kończyło się ich podobieństwo.

Claudia de la Alda nie grzeszyła urodą. Była przy kości, miała szeroki nos i szeroko rozstawione oczy. Na każdym z trzech zdjęć była ubrana w czarną spódniczkę i pastelową bluzkę, zapinaną pod szyją. Na wydatnym biuście spoczywał krzyżyk zawieszony na srebrnym łańcuszku.

Lucy Gerardi miała lśniące, czarne włosy, niebieskie oczy, delikatny nosek i podbródek. Na szkolnym portrecie prezentowała się w jasnoniebieskiej kurteczce i wykrochmalonej białej bluzce. Na zdjęciu rodzinnym miała na sobie żółtą letnią sukienkę, a na rękę trzymała sznaucera. Nosila złoty krzyżyk.

Patricia Eduardo, chociaż najstarsza z całej czwórki, nie wyglądała na więcej niż 15 lat. Moment uchwycony na zdjęciu ukazywał Patricię na grzbiecie Appaloosy* [Appaloosa – rasa konia

wyhodowanego w Ameryce Północnej (przyp. tłum.).]. Dziewczynie spod toczka błyszczały czarne oczy, jedną ręką trzymała wodze, a drugą położyła na kolanie. Na innym zdjęciu stała pomiędzy końmi, gapiąc się poważnie w obiektyw. Podobnie jak pozostałe zaginione nosiła krzyżyk i nie miała makijażu.

Podczas gdy de la Alda, Gerardi i Eduardo wydawały się pracować dla Najświętszej Pani, Chantale Specter wyglądała jak członkini Kościoła Lubieżników. Na zdjęciu sygnałowym córka ambasadora prezentowała się z oponką na brzuchu i w obcisłej dżinsowej spódnicy. Miała blond pasemka i ostry makijaż a la vamp.

Kontrast stanowiło zdjęcie nadesłane oficjalnym kanałem dyplomatycznym. Chantale siedziała w karecie Królowej Anny pomiędzy mamą a tatą. W czółenkach, rajstopach i białej, bawełnianej sukience, bez numeru zatrzymanej, bez pasemek i makijażu w stylu Beli Lugosi* [Bela Lugosi – właściwie *Béla Ferenc Dezső Blaskó* (1882-1956), aktor filmowy węgierskiego pochodzenia, znany ze stworzonego przez siebie klasycznego wizerunku wampira Drakuli (przyp. tłum.)] Chantale wyglądała jak grzeczna dziewczynka.

Przyglądając się twarzom zaginionych, poczułam ucisk w klatce piersiowej. Czy jest możliwe, że wszystkie cztery kobiety nie żyją? Czyżbyśmy wyciągnęli jedną z nich z szamba w Paraiso? Czy w Gwatemali grasuje psychopata? Czy zaplanował już kolejne zabójstwo? Czy więcej zdjęć trafi na tutejszą wystawkę?

– Nie odnosisz wrażenia, że przypomina kogoś, kto sprzedaje się w zamian za działkę? – Galiano spoglądał na zdjęcie Specter.

– Żadna z nich tak nie wygląda.

– Czy któraś pasuje do profilu zaginionej?

– Wszystkie pasują. Chantale Specter co prawda nie pracowała na wyścigach, ale nie jest to pewna informacja. Żeby mieć konkrety, muszę zrobić pomiary i porównać je z bankiem danych.

Za moimi plecami potężny policjant ładował pudła na wózek.

– A co z czasem? – zapytałam.

– Claudia de la Alda zaginęła w lipcu. Szambo było serwisowane w sierpniu.

– Dzień, w którym widziano ją żywą, nijak ma się do daty jej śmierci.

– Nie – zgodził się Galiano.

– O ile nie żyje.

– Patricia Eduardo zniknęła w październiku, Gerardi i Specter w styczniu.

– Czy któraś z zaginionych nosiła dżinsy albo różową bluzkę w kwiaty?

– Według zeznań świadków, nie. – Wskazał na stertę teczek. – Tam są akta.

– Najpierw chciałabym rzucić okiem na ubrania – powiedziałam.

Galiano podszedł za mną do stołu. Przyglądał się, jak zestawiam torby z dowodami na podłogę, wyjmuję z plecaka plastikowy arkusz i rozkładam go na całej szerokości blatu.

– Potrzebuję wody – powiedziałam, podnosząc pierwszą torbę.

Galiano rzucił pytające spojrzenie.

– Muszę wyczyścić metki.

Galiano porozmawiał z jednym z policjantów.

Założyłam lateksowe rękawiczki i zaczęłam wyciągać z torby brudne ubrania. Gdy rozsypywałam i rozkładałam każdą część garderoby, pokój wypełniał smród.

Policjant Tłuste Włosy przyniósł wodę.

– Jezu Chryste, śmierdzi jak z kanalizacji.

– Uważasz, że to mogłaby być ona? – zapytałam, gdy wychodził, zamykając za sobą drzwi.

Dżinsy. Koszula. Biustonosz w kolorze zielonej mięty. Majtki z małutkimi czerwonymi różyczkami. Granatowe skarpetki. Tanie mokasyny.

Zimny dreszcz. Moja siostra i ja dostałyśmy takie mokasyny, gdy przeszłyśmy do piątej klasy.

Powoli znalezione elementy garderoby układały się w całość. Zaczęłam dokładnie oglądać każdą rzecz.

Dżinsy były granatowe i nie miały metki. Chociaż materiał był dobry gatunkowo, rozpadł się na kawałki.

Sprawdziłam kieszenie. Pusto. Zanurzyłam materiałową wszywkę w wodzie, delikatnie poskrobałam. Krój czcionki był wypłowiały, a napis nieczytelny. Nogawki spodni były zrolowane, ale na oko oceniłam rozmiar – damska szóstka lub ósemka. Galiano zapisywał wszystko w swoim notatniku.

Bluzka również nie miała metki. Na razie nie rozpinałam jej.

– Ślady po ranach kłutych? – spytał Galiano, gdy przyglądałam się jednemu z kilku uszkodzeń na materiale.

– Nieregularne kształty, wystrzępione brzegi – powiedziałam. – To tylko rozdarcia.

Biustonosz miał rozmiar 34 B, majtki 5. Nie było na nich żadnej metki z nazwą marki.

– Dziwne, że dżinsy rozpadły się, a wszystko inne jest prawie nienaruszone – powiedział Galiano.

– Naturalne włókna. Dzisiaj są, jutro ich nie ma. Kontynuowałam:

– Dżinsy prawdopodobnie sztyto bawełnianymi nićmi, choć wygląda na to, że ta kobieta miała sentyment do materiałów syntetycznych.

– Księżniczka Poliestru.

– Mogła nie być na liście najlepiej ubranych kobiet, ale przynajmniej dzięki temu, że poliester i akryl długo się rozkładają, ubrania zachowały się w dość dobrym stanie.

– Im więcej chemii, tym większa trwałość.

Gdy rozwijałam prawą nogawkę dżinsów, szłam ściekał na plastik. Poza zdechłymi karaluchami, nie zauważyłam nic ciekawego.

Rozwinełam lewą nogawkę.

– Luma Lite? – spytałam.

To, czego najczęściej używano podczas tego typu badania, to źródło światła alternatorowego,

które powodowało, że odciski palców, włosy, włókna, sperma i plamy po narkotykach jasno świeciły.

Galiano grzebał w czarnym pudełku. Po chwili wyjął z przyniesionej przez Hernándezę teczki dwie pary przyciemnianych gogli. Podczas gdy szukał wyłącznika, nałożyłam plastikowe okulary. Następnie nacisnęłam włącznik i zaczęłam przesuwać Luma Lite nad ubraniami. Nic nie pokazało się na ekranie, dopóki nie najechałam lampą nad rozwiniętą zakładkę lewej nogawki. Włókienka migotały niczym sztuczne ognie podczas święta 4 Lipca* [4 Lipca – Dzień Niepodległości (przyp. red.)].

– A co to, u diabła, jest? – poczułam oddech Galiano na swoim ramieniu.

Trzymałam wiązkę promieni nad zakładką.

– ¡Puchica! O rany!

Galiano patrzył przez okolo minutę na spodnie. Wreszcie zapytał:

Włos?

– Możliwe.

– Ludzki czy zwierzęcy?

– Oto jeden z waszych śladów, chłopaki. Zapytałabym raczej, czy nie jest to zwierzę domowe.

– Sukinsyn.

Wyciągnęłam z plecaka pełną garść fiolek. Na jedną z nich nakleiłam etykietkę, włożyłam do niej włókno i zamknęłam. Przeglądałam każdy centymetr ubrania. Żadnych fajerwerków już nie było.

– Światła?

Galiano zdjął gogle i włączył światło.

Oznaczyłam pozostałe fiołki datą, godziną i miejscem, zeszkrobałam do każdej z nich błoto, zamknęłam i podpisałam inicjałami. Prawa skarpetka, strona zewnętrzna. Prawa skarpetka, strona wewnętrzna. Lewa skarpetka. Zakładka prawej nogawki. Zakładka lewej nogawki. Prawy but, strona wewnętrzna. Prawy but, podeszwa. Dziesięć minut później byłam gotowa, by zająć się bluzką.

– Mogę prosić o zgaszenie światła?

Galiano zgasił.

Jeden po drugim, oświetlałam standardowe, plastikowe guziki lampą Luma Lite. Żadnych odcisków.

– OK.

Pokój rozświetlał się, gdy rozpinalam każdy guzik, by odsłonić wewnętrzną część bluzki. Mało brakowało, a nie zauważyłabym drobinki wplecionej w zakamarek szwu pod prawym ramieniem.

Sięgnęłam po szkło powiększające.

O nie.

Wzięłam głębszy wdech, opanowałam drżenie rąk i przyjrzałam się zewnętrznej stronie rękawa.

Druga drobinka utkwiała w rękawie ponad dwanaście centymetrów niżej.

Po chwili znalazłam kolejną, prawie trzy centymetry poniżej pierwszej.

– Sukinsyn.

– Co? – Galiano wciąż się na mnie gapił.

Sięgnęłam po zdjęcia z miejsca zdarzenia. Wertowałam koperty, dopóki nie znalazłam właściwego kompletu. Przeglądając w pośpiechu stertę zdjęć, wyciągnęłam zbliżenie miednicy i powiększyłam tajemnicze plamki.

Dobry Boże.

Ledwo oddychając, oglądałam każdy centymetr kości miednicy. Zauważyłam w sumie siedem plamek.

Poczułam smutek, gniew i inne uczucia, które pojawiły się podczas kopania w grobie w Chupan Ya.

– Nie wiem, kim ona jest – powiedziałam. – Ale wiem, dlaczego umarła.

Rozdział 7

Słucham – powiedział Galiano.

– Była w ciąży.

– W ciąży?

Wskazałam na pierwsze zdjęcie miednicy.

– Ta plamka to fragment czaszki płodu.

Przejrzałam pozostałe fotografie.

– A więc to tak. Te drobinki w bluzce to... kosteczki płodu.

– Pokaż.

Wróciwszy do stołu, wskazałam trzy fragmenty wielkości paznokcia.

– *Hijo de la puta!* – Skurwysyn.

Byłam zaskoczona jego wybuchowością, ale nic nie powiedziałam.

– W którym miesiącu?

– Nie jestem pewna. Chciałabym to zeskalować i zrobić porównanie.

– Pieprzony skurwysyn.

– Zgadzam się.

Z korytarza dobiegały męskie głosy i śmiech.

– Więc, do diabła, kim ona jest? – Galiano powiedział trochę ciszej niż zwykle.

– Nastolatką skrywającą przed światem okropny sekret.

– A Tatuś nie mógłby zostać członkiem rodziny?

– Może Tatuś już nim był?

– Albo ta ciąża to po prostu wpadka.

– Może. Jeśli dziewczynę zabił seryjny morderca, jego ofiary mogą być przypadkowe.

Głosy w korytarzu umilkły, zapadła cisza.

– Czas na kolejną wizytę u właściciela Paraiso i jego żony – stwierdził Galiano.

– Nie zaszkodziłoby sprawdzić też kliniki dla kobiet i centra planowania rodziny w najbliższej okolicy. Może dziewczyna chciała zrobić aborcję.

– Brennan, jesteśmy w Gwatemali.

– Opieka przedporodowa.

– Właśnie.

– Lepiej rób zdjęcia, zanim to wszystko pozbięram. – wskazałam na bluzkę.

Po chwili przyszedł Xicay. Podałam Galiano linijkę i wskazałam na kości. Gdy Xicay filmował, Galiano przestawiał przybory.

– Jaki rozmiar?

– Rozmiar?

– Jaki rozmiar nosiła?

– Ubrania wskazują, że M lub S. Zaczepy mięśni są delikatne. Nazywamy to wiotkością. Szukałam zdjęcia przedstawiającego kości nóg.

– Mogłabym oszacować posturę na podstawie pomiarów kości udowej, ale ten wynik wciąż nie byłby miarodajny. Znasz wzrost zaginionych dziewcząt?

– Powinien być wpisany w akta. Jeśli nie, dowiem się.

– Gotowe – powiedział Xicay.

Wyjęłam dwie fiołki z plecaka, oznaczyłam jedną i napisałam na etykiecie „Szczątki Płodu”. Potem włożyłam kości z pachy i z ręki, zamknęłam fiołki i opisałam inicjałami.

– Standardowe zdjęcia ubrań? – spytał Xicay.

Kiwnęłam głową.

Gdy obserwowałam go, jak kręcił się wokół stołu, naszła mnie myśl.

– Gdzie są kości piszczelowe i stopy, które były w spodniach? – spytałam Galiano.

– Diaz też rzucił na nie papier.

– A zostawił dzinsy?

– Facet nie poznałby dowodów, nawet gdyby leżały na jego butach.

– Dlaczego zatrudniłeś Lucasa?

– Dobrego lekarza nie przeraża zadanie, które mu przydzielono.

– Mam to samo wrażenie. Myślisz, że Diaz przykręca mu śrubę?

– Dziś po południu spotkam się z panem Prokuratorem Okręgowym. – Wyjawił i usunął się w cień. – Mam zamiar podkreślić ważność bezstronności.

Godzinę później wjeżdżałam w bramę siedziby Fundacji Antropologów Sądowych Gwatemali. Ollie Nordstern stał na podjeździe z przodu budynku, ramieniem opierał się o skrzynkę pocztową i żuł gumę.

Rozważałam powrót, ale on działał na mnie jak plama krwi na rekina.

– Dr Brennan. Kobieta z pierwszego miejsca mojej listy.

Grzebałam w plecaku leżącym w bagażniku wynajętego samochodu.

– Pozwól, że ci to dam.

– Coś się pojawiło, panie Nordstern? – Przewiesiłam plecak przez ramię, zatrzasnęłam drzwi samochodu i skierowałam się w stronę budynku. – Nie mam dzisiaj czasu na wywiady.

– Może jednak moglibyśmy pogadać przez kilka minut?

Może mógłbyś się utopić w spluwacze, pomyślałam.

– Nie dzisiaj – odpowiedziałam.

Elena Norvillo siedziała przy jednym z wielu komputerów ustawionych w byłym saloniku kosmetycznym Mena. Włosy ukryte pod błękitną chustką związała w kucyk.

– *Buenos Dias, Elena.*

– *Buenos Dias* – odpowiedziała, nie odrywając oczu od ekranu.

– *¿Dónde está Mateo?** [Dónde está Mateo? Gdzie jest Mateo? (przyp. red.)]

– Znowu wyszedł – Nordstern odezwał się zza moich pleców.

Okrażyłam biurko Eleny, zesłam na dół korytarzem, mijając biura oraz kuchnię, i weszłam na otoczone murem podwórko. Nordstern laźł za mną jak piesek.

Podwórko było zadaszone na obrzeżach. Od frontu po lewej stronie był basen, który wyglądał z daleka jak jacuzzi w schronisku dla ubogich. Słońce odbijało się w wodzie, pokrywając wszystko i wszystkich niesamowitym, błękitnym blaskiem.

Patio na tyłach podwórka zajmowały stoły do pracy. Puste pudełka ustawiano pod nimi, a ich zawartość na stołach. Zamknięte pudła stały wzdłuż kamiennego muru. Wyrastały tu tropikalne rośliny, pozostałe z niegdyś rozrośniętych ogrodów Mena.

Luis Posadas i Rosa O'Reilly właśnie badali szczątki. Rosa zapisywała dane, a Luis robił pomiary za pomocą suwmiarki. Juan Corrales miał dziwną minę. Analizował szkielet, a właściwie fragment kości lewej ręki. Na szkielecie wisiał męski kapelusz z szerokim rondem.

Kiedy weszłam, Mateo podniósł wzrok znad jedynego w laboratorium mikroskopu. Miał na sobie drelichowy kombinezon i szary T-shirt z odciętymi rękawami. Nad jego górną wargą perlily się kropelki potu.

– Tempe. Cieszę się, że cię widzę.

– Jak się czuje Molly? – spytałam.

– Bez zmian.

– Kim jest Molly? – usłyszałam pytanie Nordsterna.

Mateo spojrział na Olliego, potem na mnie. Dał mi dyskretnie znak, żebym nie mówiła zbyt wiele. Sygnał nie był potrzebny. Miałam zamiar zignorować tego małego durnia.

– Widzę, że się dogadaliście – Mateo zgrabnie zmienił temat.

– Powiedziałam panu Nordsternowi, że dzisiaj nie dam rady.

– Mam nadzieję, że mógłbyś ją przekonać – mizdrzył się Nordstern.

– Przepraszam, pozwól, że na chwilę porwę dr Brennan – Mateo uśmiechnął się do reportera, wziął mnie pod rękę i poprowadził do budynku. Szliśmy schodami do jego biura.

– Odwołaj go, Mateo.

– Tempe, artykuł w gazecie może się nam przydać. Wskazał mi krzesło i zamknął drzwi.

– Świat musi poznać fakty, a fundacja potrzebuje pieniędzy.

Czekał, aż coś powiem. Kiedy się nie odezwałam, dodał:

– Ujawnienie pewnych kwestii może oznaczać przyływ gotówki na kolejne badania i ochronę.

– Jasne. To ty z nim gadaj.

– Rozmawiałem.

– Elena może to zrobić.

– Spędziła z nim cały wczorajszy dzień. Nordstern chce ciebie.

– Nie.

– Rzuć mu jakiś marny ochłap i sobie pójdzie.

– Dlaczego ja?

– On myśli, że jesteś najlepsza.

Rzuciłam mu lodowate spojrzenie.

– Jest pod wrażeniem tego, jak poradziłaś sobie z motocyklistami.

Zmrużyłam oczy.

– Trzydzieści minut – skamlał Mateo.

– Czego chce?

– Interesujących faktów.

– Nie wie nic o Molly i Carlosie?

– Uważam, że lepiej mu o tym nie wspominać.

– Elitarny reporter. – Strzepnęłam paproch z nogawki spodni. – Kości z szamba?

– Nie.

– W porządku. Pół godziny.

– Może ci się to spodobać...

Jasne, jak wrzodziejące czyraki, pomyślałam.

– Dopisz mnie do sprawy szamba – powiedział Mateo.

– A co z Jimmym Breslinem, stoi na dole.

– Może poczekać.

Powiedziałam Mateo, czego dowiedziałam się w Głównej Komendzie Policji, nie wspomniałam tylko o Chantale Specter.

– André Specter, ambasador Kanady. Ciężka sprawa.

– Wiesz o tym?

– Detektyw Galiano mi powiedział. To on kazał mi czatować na ciebie tego dnia, gdy wróciliśmy z Chupan Ya.

Nie mogłam być zdenerwowana. Odetchnęłam z ulgą. Doskonale, że Mateo zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie może na nas czyhać podczas kolejnych badań.

Wyciągnęłam fiolki z plecaka i ustawiłam na biurku. Czytał etykiety, zerkał na zawartość fiolek, a potem na mnie.

– Płodowe?

Kiwnęłam głową.

– Zauważyłam fragmenty czaszki na kilku zdjęciach.

– Wiek?

– Muszę sprawdzić Fazekas i Kósa. Odwołałam się do biblii antropologów – *Forensic Fetal Osteology*, dotyczącej badań szkieletu płodu. Ten cenny podręcznik opublikowano w 1978 roku na Węgrzech, bez dodruku, a kopie były dokładnie strzeżone przez tych, którzy mieli wystarczająco dużo szczęścia, aby je zdobyć.

– Jest tylko jedna w zbiorze. Skończyłaś badanie pod mikroskopem?

– Prawie. – Wstał. – Miałam skończyć badania, ale omotałeś mnie Nordsternem. Przewróciłam z niezadowoleniem oczami.

– Tęskniłem za panią wczoraj.

– Yhm.

– Señor Reyes powiedział mi, że będzie pani zajęta aż do soboty.

– Mamy 30 minut, proszę pana. Jak mogę panu pomóc?

Oparłam się o biurko Mateo, a Nordstern usiadł na krześle.

– Właśnie. – Wyjął mały dyktafon z kieszeni i włączył go. – Czy ma pani coś przeciwko?

Spoglądałam na zegarek, kiedy Nordstern bawił się guzikami dyktafonu.

– OK – powiedział, opierając się o oparcie krzesła. – Niech mi pani powie, co tu się dzieje?

Pytanie było zaskakujące. Nie spodziewałam się, że tak rozpocznie ten wywiad.

– Nie rozmawiał pan o tym z Eleną?

– Chciałbym poznać wersje różnych osób.

– Stara śpiewka.

W geście zdziwienia uniósł w górę ramiona, dłonie i brwi.

– Jak daleko chce pan się cofnąć w czasie?

Ponownie wzruszył ramionami.

OK, dupku. Poprawka nr 101.

– Od lat 60. do lat 90. wiele krajów Ameryki Łacińskiej było nękanych okresami przemocy i represji. Wielokrotnie pogwałcono prawa człowieka. Większość tych okropności to dzieła wojsk poszczególnych rządów...

– ... Początek lat 80. stanowił krok ku demokracji. Rozpoczęto dochodzenia w kwestii pogwałcenia praw człowieka i represji. W niektórych krajach takie śledztwa umożliwiły skazania. W innych prawo do amnestii pozwoliło winnym uciec od odpowiedzialności. Aby fakty wyszły na jaw, konieczne okazało się zatrudnienie śledczych z zewnątrz.

Nordstern nie był zainteresowany tym, co mówię, więc przeszłam do konkretów.

– Dobrym przykładem jest Argentyna. Kiedy przywrócono tam demokrację w 1983 roku, Krajowa Komisja ds. Osób Zaginionych (CONADEP) podała, że blisko dziewięć tysięcy osób zaginęło w czasie rządów poprzedniego reżimu. Większość z nich została porwana przez służby bezpieczeństwa, umieszczona bezprawnie w aresztach, torturowana i zabita. Ciała zrzucano z samolotów do Atlantyku albo chowano w nieoznaczonych mogiłach.

– Sędziowie zaczęli zarządzać ekshumacje. Lekarze odpowiedzialni za wyniki oględzin mieli zbyt małe doświadczenie w obchodzeniu się ze szczątkami ludzkimi i brakowało im przeszkolenia z zakresu medycyny sądowej. Proces identyfikacji nie przebiegał sprawnie. Do wydobywania szczątków używano buldożerów, w wyniku czego połamano, zagubiono i wymieszano kości. Co by nie mówić, nie szedł zbyt dobrze.

Przedstawiłam Olliemu nadzwyczaj skomplikowaną wersję.

– Jak się okazało, wielu z tych lekarzy było uwikłanych w zabójstwa.

Przed oczami przemknął mi obraz Diaza i dra Lucasa z Paraiso.

– Niezbędna była zmiana ekipy ekspertów, jeśli śledztwo miało ujawnić winnych.

– Oto, do czego doszedł Clyde Snow.

– Tak. W 1984 roku Amerykański Związek Rozwoju Nauki (AAAS) wysłał do Argentyny delegację, w której składzie znalazł się również Clyde Snow. Powstała wtedy Argentyńska Grupa Antropologów Sądowych (EAAF), która jest aktywna po dziś dzień.

– Nie tylko w Argentynie.

– To prawda. Grupa EAAF współpracowała z organizacjami broniącymi praw człowieka w Bośni, w Timorze Wschodnim, w El Salvadorze, Gwatemali, Paragwaju, Południowej Afryce, Zimbabwe...

– Kto ich finansuje?

– Członkowie zespołu są opłacani wyłącznie z budżetu EAAF. W większości tych krajów instytucje broniące praw człowieka mają bardzo ograniczone zasoby.

Wiedziałam, co mam mówić, aby uzyskać potrzebne fundusze.

– Pieniądze są wiecznym problemem w pracy organizacji walczących o prawa człowieka. Do wynagrodzeń pracowników dochodzą wydatki na podróż i te związane z pobytem. Finansowanie misji może być pokryte całkowicie z budżetu EAAF, a w Gwatemali z budżetu FAFG albo przez miejscowe lub międzynarodowe organizacje.

– Pomówmy o Gwatemali. O kwestiach finansowych moglibyśmy mówić bez końca, a mnie chodzi o poznanie atrakcyjnych faktów – uciał.

– Podczas wojny domowej, która trwała tutaj od 1962 do 1996, tysiąc do dwóch tysięcy ludzi zostało zabitych lub uznanych za „zaginionych”. Szacuje się, że około miliona zostało wywiezionych z kraju.

– W większości byli to cywile.

– Tak. ONZ-owska Gwatemalska Komisja ds. Badań Faktów Historycznych doszła do wniosku, że 90% przypadków pogwałcenia praw człowieka zostało dokonanych przez gwatemalską armię i współpracujące z nią organizacje paramilitarne.

Majowie rzeczywiście się za nich wzięli.

Ten człowiek był rozbrajający.

– Większość ofiar stanowili majańscy chłopci, wielu niezaangażowanych w konflikt. Armia przeszła przez kraj, zabijając każdego, kto popierał partyzantów. Wyżynne prowincje El Quiché i Huehuetenango kryją setki nieoznaczonych mogił.

– Doszczętnie spalona ziemia.

– Tak.

– A teraz grają rolę niewinnych.

– Kolejni rządzący zaprzeczali, że ta masakra kiedykolwiek miała miejsce. Choć obecny rząd chce wyjaśnić tę sprawę, prawdopodobnie nikt nie pójdzie za kraty. W 1996 roku rząd

gwatemalski i koalicja głównych grup partyzanckich podpisały formalnie kończące konflikt zawieszenie broni. Tego samego roku uwolniono osoby oskarżone o popełnione podczas wojny przestępstwa przeciw ludzkości.

– I po to, to wszystko? – Nordstern zatoczył ręką koło po biurze.

– Ci, którzy przeżyli, zaczęli mówić i żądają śledztwa. Nawet jeśli nie doczekają się skazania oprawców, chcą, aby wyszły na jaw fakty.

Pomyślałam o małej dziewczynce z Chupan Ya. Czułam się jak osoba przepraszająca w imieniu sprawców za popełnione przez nich przestępstwa. Ofiary mordu zasłużyły na bardziej namiętną recytację.

– Grupy gwatemalskie reprezentujące rodziny ofiar zaczęły zapraszać w latach 90. zagraniczne organizacje, między innymi z Argentyny, aby zajęły się ekshumacjami. Argentynczycy razem z amerykańskimi naukowcami szkolili miejscowych Gwatemalczyków. Doprowadziło to do operacji, która właśnie trwa. W czasie ostatniej dekady Mateo i jego zespół przeprowadzili mnóstwo dochodzeń z zakresu medycyny sądowej i stali się mniej uzależnieni od organów władzy.

– Tak jak Chupan Ya.

– Dokładnie.

– Opowiedz mi o Chupan Ya.

– W sierpniu 1982 roku żołnierze i cywilne patrole najechali wioskę...

– Z rozkazu dowódcy Alejandro Bastosa – wtrącił Nordstern.

– Tego nie wiem.

– OK, kontynuuj.

– Zdaje się, że wiesz o tym więcej niż ja.

Ponownie wzruszył ramionami.

Do diabła. Miałam dość tego człowieka. Masakra stanowiła dla niego opowiadanie. Dla mnie była czymś więcej. Czymś dużo ważniejszym.

Wstałam.

– Robi się późno, panie Nordstern. Mam sporo pracy.

– Chupan Ya czy szambo?

Nie odpowiadając, wyszłam z pokoju.

Rozdział 8

Rozwój dziecka to złożona operacja, prowadzona z wojskową precyzją. Chromosomy tworzą sztab, z oddziałami głównych genów otrzymujących rozkazy od genów kontrolujących, które przekazują informacje kolejnym, bardziej wyspecjalizowanym genom kontrolującym.

Początkowo embrion stanowi nieodróżnioną masę. Tworzy się zawiązek.

Kręgowiec!

Wokół rdzenia kręgowego tworzą się podzielone na odcinki kości, powstają kończyny, każda z pięcioma palcami. Czaszka. Szczeka.

Embrion jest jak żerdź. Jak żabka drzewna. Gekon.

Podwójny ślimak, generał wyprzedza mrówkę.

Ssak!

Stałocieplność, żyworodność, heterodontyzm...

Embrion jest dziobakiem. Kangurem. Lampartem śnieżnym. Elvisem.

Generałowie pchają mocniej.

Prymas!

Przeciwnie kciuki – widzenie w trójwymiarze.

Silniejsze. Człowiek! Nijaka istota dwunożna, która umiera.

Ludzki szkielet zaczyna kostnieć w siódmym tygodniu od dnia poczęcia. Pomiedzy dziewiątym a dwunastym tygodniem pojawiają się wypustki, w których z czasem zaczną wyrastać zęby.

Zidentyfikowałam cztery elementy czaszki na zdjęciach z miejsca zdarzenia.

Kość klinowa ma kształt motyla, współtworzy dół środkowy podstawy czaszki i uczestniczy w budowie oczodołu. Większe skrzydła pojawiają się w ósmym tygodniu życia płodowego, mniejsze tydzień później.

Używając mikroskopu i ustawiając siatkę, zmierzyłam długość i szerokość kości klinowej. Za pomocą linijki oszacowałam rozmiar skrzydeł. Większe miały piętnaście na siedem milimetrów. Mniejsze, sześć na pięć.

Kość skroniowa również komponuje się w zestaw powiązany z kością klinową. Płaska część tworząca świątynię i najbardziej boczna część kości policzkowej pojawia się w ósmym tygodniu życia płodu. Zmierzyłam ją. Miała wymiary dziesięć na osiem milimetrów.

W dziewiątym tygodniu pojawia się bębenek, który w ciągu dwudziestu jeden dni rozrasta się do trzech płatów. Płaty te łączą się, tworząc około szesnastego tygodnia pierścień. Zanim dziecko podpisze się na liście meldunkowej w hotelu zwanym macią, pierścień przyłączy się do ucha zewnętrznego.

Ta pierwsza zastanawiająca plamka, którą zobaczyłam na fotografii miednicy, była malutkim

bębenkiem. Choć linie zrastania się wciąż były widoczne, trzy fragmenty zdążyły się już mocno ze sobą złączyć. Średnica wskazywała, że patrzę na obumarły pierścień. Zmierzyłam średnicę, poprawiłam, dodałam cyfrę do mojej listy. Osiem milimetrów.

Spojrzałam na fiolkę.

Miniaturowa połowa szczęki, z torebkami, w których nigdy nie wyrosną zęby. Dwadzieścia pięć milimetrów.

Kość obojczyka. Dwadzieścia jeden milimetrów.

Przeglądałam tabele w książce dotyczącej osteologii płodu, sprawdzałam każdy pomiar. Kość klinowa – większe skrzydło. Kość klinowa – mniejsze skrzydło. Kość skroniowa łuskowata. Bębenek. Dolna szczęka. Obojczyk.

Według Fazekas i Kósa dziewczyna wyłowiona z szamba była w piątym miesiącu ciąży.

Zamknęłam oczy. Dziecko miało od piętnastu do dwudziestu dwóch centymetrów długości i ważyło około dwustu dwudziestu gramów, gdy zabito jego matkę. Mogło mrugać oczami, wzdychać, wykonywać ruchy ssące. Miało rzęsy i linie papilarne, mogło słyszeć i rozpoznawać głos matki. Jeśli to była dziewczynka, miała już sześć milionów jajeczek w swoich jajnikach.

Ze smutku, jaki mnie przepelniał, kiedy o tym myślałam, wyrwał mnie krzyk Eleny dobiegający od drzwi.

– Telefon do ciebie.

Nie chciałam z nikim rozmawiać.

– Detektyw Galiano. Możesz odebrać w biurze Mateo.

Podziękowałam Elenie, ponownie zamykając dowód w fiolce i wdrapałam się na drugie piętro.

– Pięć miesięcy – powiedziałam, pomijając wstępy. Nie potrzebował wyjaśnień.

– Zbliżał się czas, kiedy śmiało mogła skonfrontować się z ojcem.

– Jej własnym lub szczęśliwym dawcą nasienia.

– Albo nie dawcą.

– Zazdrosny chłopak? – rzuciłam.

– Wściekły alfons?

– Psychopata? Możliwości jest bez liku. Oto, dlaczego świat potrzebuje detektywów.

– Dzisiaj rano zrobiłem mały wywiad.

Czekałam.

– Eduardowie są dumnymi właścicielami dwóch bokserów i jednego kota. Rodzina Lucy Gerardi ma kota i sznaucera. Rodzina de la Alda nie lubuje się w zwierzętach. Ambasador i jego klan również.

– Chłopak Patricii Eduardo?

– Fretka o imieniu Julio.

– Claudia de la Alda?

– Alergie.

– Kiedy twoi chłopcy skończą przeglądać próbki?

– W poniedziałek.

– Co miał do powiedzenia Prokurator Okręgowy?

Usłyszałam, jak Galiano wciągnął nosem więcej powietrza.

– Jego biuro nie wyda nam szkieletu.

– A czy możemy mieć dostęp do kostnicy?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Ten facet naprawdę chciał być moim najlepszym przyjacielem, był zdruzgotany, ale nie mógł dyskutować o sprawie.

– To normalne?

– Nigdy nie byłem przygwożdżony do ściany przez Prokuratora Okręgowego, ale też nigdy mu nie podpadłem.

Przez chwilę skupiłam się na tym, co powiedział.

– Jak myślisz, co tu się dzieje?

– Albo gość twardo trzyma się protokołu, albo ktoś chce położyć na tym łapę.

– Kto?

Galiano nie odpowiedział.

– Ambasada? – zapytałam.

– Co teraz robisz? – powiedział troskliwie.

– Teraz? Pracuję nad dzieckiem.

Przypuszczam, że wiem, dlaczego drogi Ryana i Galiano rozeszły się.

Spojrzałam na zegarek. Za dwadzieścia szósta. W laboratorium zadomowił się spokojny, sobotni wieczór.

– Jest za późno, żeby cokolwiek zaczynać. Pójdę do hotelu.

– Podjadę po ciebie za godzinę.

– Dokąd?

– Na *caldos*.

Zaczęłam się sprzeciwiać, próbując sobie wyobrazić *caldos* nagromadzone w moim pokoju. Co, do diabła.

– Mam niebieską sukienkę.

– OK – powiedział zaskoczony.

– Wolę, gdy ma poprzypinane ozdoby z kwiatów.

– Ofiarowane przez obywateli z zamiłowaniem do ogrodnictwa – Galiano zaproponował dwa fiołki przymocowane do gumowej niebieskiej bransoletki.

– Ofiarowane?

– Bransoletki sprzedaje się osobno.

- Brokuły?
- Asparagus.
- Są prześliczne.

Kiedy szliśmy spacerkiem w kierunku restauracji Gucumatz, trąbiły samochody. Wczesny wieczorny deszczyk pojawił się i minął, a powietrze zapachniało mokrym betonem, olejem napędowym, ziemią i kwiatami. Od czasu do czasu, kiedy mijaliśmy wózki obwoźnych sprzedawców, czuliśmy zapach zmokniętej kukurydzy, która pachniała jak *tamal* albo *chuchito*.

Na chodniku było dość tłoczno. Spacerowicze, pary udające się na kolację lub drinka, kupujący, ludzie wracający z pracy. Powiew wiatru wywiewał krawaty na ramiona, modelował sukienki na nogach i biodrach. Nad naszymi głowami liście palm unosiły się i opadały, delikatnie trzeszcząc.

Gucumatz była urządzona w stylu techno-Majów, z ciemnymi, drewnianymi belkami, plastikowymi kwiatami i sztucznym stawem z mostem w kształcie łuku. Wszystkie ściany pokrywały freski, a większość z nich przedstawiała XV-wiecznego króla Quiché, którego imieniem nazwano to miejsce. Zastanawiałam się, co Pierzasty Wąż mógł czuć, widząc taki wyraz uwielbienia.

Wejście do kawiarni przypominało zejście do grobowca Majów. Do jego oświetlenia użyto jedynie pochodni i świec. Na powitanie papuga wykrzykiwała pozdrowienia po hiszpańsku i angielsku. Podszedł do nas mężczyzna w białej koszuli, czarnych spodenkach i fartuchu.

– *Hola, Detective Galiano. Witam. ¿Cómo está?** [Cómo está? – Jak leci? Co słychać? (przyp. red.)]

– *Muy bien, Señor Velásquez** [Muy bien, Señor Velásquez. – Dziękuję, wszystko w porządku Panie Velásquez (przyp. red.)].

– Dawno się nie widzieliśmy.

Olbrzymie wąsy okalały usta Velásqueza, rozchodziły się na boki i zakręcały, jakby chciały wejść do jego nozdrzy. Pomyślałam o tamarynie cesarskiej* [Saguinus imperator – gatunek małpy (przyp. tłum.)]

– Nadrabiam zaległości, Señor. Velásquez pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Przystępczość wylazi z każdego kąta, czai się za każdym rogiem. Jest wszędzie. Wszędzie. Mieszkańcy tego miasta czują się uprzywilejowani, wiedząc, że ktoś taki jak ty ją zwalcza.

Znowu smutno pokiwał głową, a potem ujął moją dłoń i przycisnął do swoich ust. Jego zarost kłuł niemiłosiernie.

– *Bienvenido, Señorita.* Przyjaciółka detektywa Galiano jest również przyjaciółką Velásqueza.

Uwolnił moją dłoń, spojrzał na Galiano i zamrugał teatralnie.

– *Por favor.* Mój najlepszy stolik. Chodźcie. Chodźcie.

Velásquez zaprowadził nas do stolika znajdującego się obok stawu, odwrócił się i radośnie uśmiechnął do Galiano. Wystarczyło jedno spojrzenie detektywa w kierunku wnętrza restauracji.

– *Si, Señor.* Oczywiście.

Velásquez przeprowadził nas usłuznie w kierunku altany zbudowanej w rogu kawiarni, po czym rzucił w kierunku Galiano pytające spojrzenie. Mój towarzysz kiwnął głową. Weszliśmy do jaskini i usiedliśmy. Jeszcze jeden pokaz Groucho dedykowany najlepszemu pogromcy przestępców i nasz gospodarz oddalił się.

– To było tak subtelne, jak goła pupa pawiana – skomentowałam.

– Przepraszam za *machismo* moich braci.

Po kilku sekundach pojawiła się kelnerka z menu.

– Libacja? – spytał Galiano. O, tak.

– Nie możemy tego zrobić.

– Naprawdę?

– Ponad normę.

Galiano nie zakwestionował tego.

Zamówił nierozcieńczone Martini Grey Goose. Ja poprosiłam o wodę Perrier z limonką.

Kiedy przyniesiono nam napoje, zajrzeliśmy do menu. Bezskutecznie próbowałam odczytać ręcznie napisany tekst, bo w podziemiach panował półmrok. Zastanawiałam się, dlaczego Galiano chciał się tu przenieść.

– Jeśli nie próbowałaś *caldos*, polecam ci je.

– *Caldos* to... ?

– Tradycyjne danie Majów. Dzisiaj wieczorem serwują kaczkę, wołowinę i kurczaka.

– Kurczak. – Zamknęłam kartę menu dań, zresztą i tak niczego nie zdołałabym przeczytać.

Galiano wybrał wołowinę.

Jako startery kelnerka przyniosła tortille. Galiano wziął jedną, a potem podsunął koszyczek w moją stronę.

– *Gracias* – podziękowałam.

– Kiedy? – wyprostował się na swoim krześle.

Nie miałam pojęcia, o co pyta.

– Kiedy? – powtórzyłam jego pytanie.

– Kiedy się rozstaliście?

Nawiązałam do tego tematu, ale nie miałam zamiaru dyskutować o moim romansie z alkoholem.

– Kilka lat temu.

– Przyjaciół Billa Wilsona?

– Niekoniecznie.

– Wiele osób polega na AA.

– To wspomniały program. – Sięgnęłam po szklanę. Bąbelki wydawały delikatny syczący dźwięk. – Czy jest coś, co chciałeś powiedzieć mi o sprawie?

– Tak. – Uśmiechnął się, sącąc Martini.

– Masz córkę, prawda? – zapytał.

– Tak.

Cisza.

– Ja mam siedemnastoletniego syna.

Nie odezwałam się.

– Alejandro, ale woli, gdy mówi się do niego Al.

Galiano kontynuował, choć nie zachęcałam go do zwierzeń.

– Sprytny chłopak. W przyszłym roku rozpocznie studia. Prawdopodobnie wyślę go do Kanady.

– St. F. X? – miałam nadzieję, że wywalę dziurę w jego bezspornej pewności siebie.

Galiano szczerzył się.

– To tam, gdzie zdobyłeś znakomite przezwisko – Bat.

Już raz tak go nazwałam.

– Kto? – zapytał.

– Andrew Ryan.

– Ay, *Dios*.

Odwrócił głowę na bok i zaśmiał się.

– Co u diabła Ryan ma z tym teraz wspólnego?

– Jest detektywem w policji lokalnej.

– Mówi po hiszpańsku?

– Tak, mówi.

Galiano kiwnął głową. – Używaliśmy tego języka do dyskusji o dziewczynach i nikt nie wiedział, o czym rozmawiamy.

– Komentowaliście ich inteligencję, jak mniemam.

– Umiejętność szycia.

Przewiercałam go spojrzeniem.

Tempe, to były dawne czasy.

Kelnerka podała nam warzywny gulasz. Jedliśmy, nie odzywając się do siebie. Galiano wodził oczami po restauracji. Gdyby ktoś nas obserwował, pomyślałby, że jesteśmy parą znudzoną swoim towarzystwem. W końcu zapytał:

– Jak dobrze rozumiesz gwatemalski system, sądownictwa?

– Właściwie, jestem nowicjuską.

– Wiesz, że nie pracujesz w Kansas?

Jezu. Ten facet był prawie taki jak Ryan.

– Wiem o torturowaniu i zabójstwach, detektywie Galiano. I właśnie dlatego jestem w Gwatemali.

Galiano nabrał łyżkę gulaszu i wskazał widelcem w moim kierunku.

– Gorący jest lepszy.

Skończyłam jeść i czekałam aż on skończy. Nie skończył. Po przeciwnej stronie katakumb

starsza kobieta wypiekała tortille na *cornalu** [Comai – w Meksyku, duża, płaska, okrągła lub prostokątna patelnia do grillowania czerwonego mięsa lub pieczenia tortilli (przyp. tłum.)]. Obserwowałam, jak ugniata ciasto, rzuca je na płaską patelnię i umieszcza ją nad paleniskiem. Jej ręce były w ciągłym ruchu, ale twarz pozostawała niewzruszona.

– Powiedz mi, jak działa ten system. – Wyszło bardziej szorstko, niż chciałam, ale wykręcanie się Galiano zaczynało mnie irytować.

– W Gwatemali nie ma rozpraw przed ławą przysięgłych. Sprawy kryminalne są prowadzone przez sędziów pierwszej instancji, *primera instancia*, a czasami przez urzędników administracyjno-sądowych wyznaczonych przez Sąd Najwyższy. Ci urzędnicy, zwani Prokuratorami Okręgowymi, wydają się szukać zarówno oczyszczających, jak i obciążających dowodów.

– To znaczy, że działają zarówno jako obrońca, jak i oskarżyciel.

– Dokładnie. Jeśli sędzia śledczy zadecyduje, że jest to sprawa przeciwko oskarżonemu, przekazuje sprawę sędziemu wydającemu wyrok.

– Kto ma władzę, aby zarządzić sekcję zwłok? – zapytałam.

– Sędzia pierwszej instancji. Sekcja zwłok jest obowiązkowa w przypadku nagłej lub podejrzanej śmierci. Ale jeśli przyczyna może być określona przez badanie wewnętrzne, nie ma cięcia ciała.

– Kto jest odpowiedzialny za kostnice?

– Są bezpośrednio pod nadzorem prezesa Sądu Najwyższego.

– Czyli lekarze sądowi tak naprawdę pracują dla sądów.

– Albo dla krajowego zakładu ubezpieczeń społecznych, Instituto Gwatemalteco de Seguridad Social (IGSS). Ale tak, lekarze sądowi pracują pod zwierzchnictwem sądów. Nie tak jak w Brazylii, gdzie zakłady medycyny sądowej pracują na rzecz policji. Tutaj lekarze sądowi mają nikłe kontakty z policją.

– Ile ich tutaj jest?

– Około trzydziestu. Siedmiu lub ośmiu pracuje w kostnicy sądowej w Gwatemali, pozostali są rozrzućeni po całym kraju.

– Są dobrze przeszkoleni?

W odpowiedzi pokazał trzy palce.

– Musisz być z urodzenia Gwatemalczykiem, lekarzem medycyny i członkiem stowarzyszenia lekarzy sądowych.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle. Boże, USAC nie ma nawet programu stażowego dla lekarzy sądowych. – Nawiązał do Uniwersytetu San Carlos, jedyne publicznego uniwersytetu w Gwatemali.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy jakkolwiek kraj go ma. Status jest określony i musi działać. Byłaś kiedyś w kostnicy w Gwatemali?

Pokręciłam głową.

– To jest jak coś wyjęte ze średniowiecza. Kawalkiem tortilli wytarł miseczkę po sosie i odstawił ją na bok.

– Czy lekarze sądowi są pełnoetatowymi pracownikami?

– Niektórzy tak. Niektórzy pracują dla sądów, aby podreperować swój budżet. Zwłaszcza na terenach wiejskich.

Galiano spojrział na wchodzącą kelnerkę. Zabrała talerze, spytała o deser i kawę, a potem wyszła.

– Jaki jest u was sposób postępowania z odnalezionym ciałem?

– Podobałoby ci się. Jeszcze dziesięć lat temu trupy były odbierane przez straż pożarną. Strażacy przybywali na miejsce przestępstwa, badali ciało, robili zdjęcia i dzwoniли na centralę. Kurier mógł powiadomić policję, a my sędziego. Wtedy detektywi policyjni zbierali dowody i przesłuchiwali. W końcu sędzia prosił rodzinę o zidentyfikowanie ciała, rodzina identyfikowała, a strażacy zabierali ciało do kostnicy. Dzisiaj do transportu zwłok używa się samochodów policyjnych.

– Dlaczego zmieniła się taktyka?

– Przyjazny Strażak i jego koledzy łakomili się na pieniądze i biżuterię.

– Więc lekarze sądowi niezbyt często jeżdżą na miejsce przestępstwa?

– Nie.

– Dlaczego Lucas?

– Diaz prawdopodobnie nie pozostawił mu wyboru.

Przyniesiono kawę. Piliśmy w milczeniu. Kiedy spojrzałam na starszą kobietę, spojrzenie Galiano powędrowało za moim wzrokiem.

– Jest coś jeszcze, co może cię przerażać. W Gwatemali lekarze sądowi są potrzebni tylko do określenia przyczyny zgonu. Nie badają, w jaki sposób do niego doszło.

Galiano przywołał cztery terminy używane do określania śmierci: zabójstwo, samobójstwo, wypadek, naturalny zgon. Gdy ciało znalezione w jeziorze, a lekarz sądowy oświadczył, że zatrzymanie procesu oddechowego nastąpiło na skutek zbyt dużej ilości wody, która wypełniła płuca, stwierdzano, że przyczyną śmierci było utonięcie. Ale czy zmarły wskoczył, wpadł czy został wepchnięty? To już kwestie sposobu.

– Kto określa sposób?

– Sędzia. Prokurator Okręgowy.

Galiano obserwował parę siedzącą w drugim końcu pomieszczenia. Delikatnie odwrócił krzesło, oparł się i obniżył głos.

– Masz świadomość, że wielu z tych, którzy byli zamieszani w te okrutne mordy, działało na rozkaz armii?

Mówił głosem, który wywoływał u mnie gęsią skórę.

– Czy wiesz, że wielu z tych śledczych było lub jest bezpośrednimi uczestnikami tamtych egzekucji, wykonywanych w imieniu prawa?

– A są?

Spojrzał na mnie.

– Policja?

Ani drgnął.

– Jak to możliwe?

– Chociaż teoretycznie tutejsza policja podlega pod jurysdykcję Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w rzeczywistości pozostaje pod skuteczną kontrolą armii. System sądowo-prawny jest zastraszony.

– Kto się boi?

Kolejne westchnięcie. Twarz Galiano przybrała poważny wyraz.

– Wszyscy się boją. Świadkowie i bliscy odmawiają zeznań pod przysięgą w obawie przed zemstą. Prokuratorzy i sędziowie boją się, że coś złego może przytrafić się członkom ich rodzin.

– Czy nie ma tu kontrolerów obserwujących łamanie praw człowieka? – wyszeptałam.

Galiano wypuścił powietrze z ust, patrząc w dal ponad moimi ramionami.

– W Gwatemali zaginęło lub zostało zabitych więcej kontrolerów niż gdziekolwiek indziej na naszej planecie. To nie moje wymysły, to fakty.

Czytałam o tym ostatnio w biuletynie Human Rights Watch* [Human Rights Watch – organizacja pozarządowa zajmująca się ochroną praw człowieka (przyp. tłum.)].

– Brennan, nie rozmawiamy tu o jakiejś odległej historii. Wszystkie zabójstwa, poza czterema, miały miejsce po 1986 roku, gdy powołano rząd cywilny.

Poczułam strach.

– Do czego zmierzasz?

– Tutaj śledztwo w sprawie śmierci jest stratą czasu. – Spojrzałam w jego ciemne, przepełnione goryczą oczy. – Wykonanie sekcji zwłok lub napisanie policyjnego raportu, który wskazuje złych ludzi, sprawia, że życie nie jest już takie łatwe i przyjemne. Podanie wyników badań może być ryzykowne, jeśli odbiorcą twojego raportu okaże się ktoś powiązany ze złymi chłopcami, nawet jeśli ten ktoś jest prokuratorem...

– To znaczy?

Zaczął coś mówić. Odwrócił wzrok.

Poczułam, jak mój strach przeradza się w przerażenie.

Rozdział 9

Dzisiaj był mój dzień przyjmowania kwiatów. Gdy wróciłam do pokoju, znalazłam kompozycję wielkości Volkswagena Beetle, do której był dołączony bilecik w stylu Ryana.

Dziękuję za wspomnienia. Miłego dnia.

AR

Śmiałam się po raz pierwszy od tygodnia.

Wzięłam prysznic, a potem przeglądałam się w lustrze. Zobaczyłam kobietę w średnim wieku. Miała delikatny nosek i kości policzkowe, wyraźną linię szczęki. W kącikach jej oczu czaiły się tu i ówdzie drobne zmarszczki. Zauważyłam też bliznę po ospie nad lewym łukiem brwiowym i niesymetryczne dołki tworzące się podczas uśmiechu.

Odgarnęłam grzywkę z czoła i założyłam włosy za uszy. Mam cienkie brązowe włosy, przetykane blond pasemkami. W przeciwieństwie do mojej młodszej siostry, która nigdy nie musiała używać lakierów czy żelu zwiększających objętość fryzury, ja na samą piankę wydawałam tysiące.

Przez chwilę przeglądałam się sobie. Zmęczone zielone oczy, pomalowane jasnioletowym cieniem. Nowa zmarszczka na wewnętrznej krawędzi lewego łuku brwiowego. Światło. Teraz obserwowałam prawe oko. Cofnęłam się o pół kroku. Linia oka była w porządku. Super. Tydzień w Gwatemali i postarzałam się o dziesięć lat.

Może przez zamartwianie się ostrzeżeniem Galiano? Czy to było ostrzeżenie? Zastanawiając się nad tym, wycisnęłam pastę na szczoteczkę i zaczęłam szczotkować górne zęby.

Po co była ta rozmowa w Gucumatz? Po to tylko, aby zachować czujność? By przekonał się, gdzie i z kim jestem? W drodze powrotnej rozmawialiśmy głównie o sprawie szamba. Galiano nie miał wiele do powiedzenia w tej kwestii.

Odziedziny w instytucji zajmującej się planowaniem rodziny w Strefie 1 i w klinice *APROFAM* nie rzuciły światła na sprawę. W prywatnej klinice *Mujeres por Mujeres** [*Mujeres por Mujeres* – Kobiety kobietom (przyp. red.)] też nie za wiele się dowiedział. Chociaż niechętnie, lekarka domowa Maria Zuckerman zgodziła się przejrzeć bazę danych pacjentek. Znalazła dwie o nazwisku Eduardo: Margaritę i Clare, obie po trzydziestce. Nie było tam Lucy Gerardi, Claudii de la Alda ani Chantale Specter. Zresztą każda z nich podczas takiej wizyty mogła użyć fałszywego nazwiska.

Galiano dowiedział się również, że niepojawianie się w klinice nie jest odnotowywane. Wiele pacjentek zapisuje się, a potem nie przychodzi. Niektóre pojawiają się raz lub dwa i znikają. Dużo pacjentek kliniki pasowało wiekowo do profilu kobiety odnalezionej w szambie.

Wiele było w ciąży. Jednak bez zdjęcia lub rysopisu, dr Zuckerman nie zgodziła się na przesłuchanie personelu medycznego. Odmówiła również podania listy osób, które dzwoniły do kliniki lub pojawiły się w niej w ciągu ostatniego roku, zasłaniając się prawami pacjenta. Galiano mógłby cokolwiek uzyskać, przedstawiając nakaz sądowy. Nie pokazał go, ponieważ stwierdził, że przyda się nam na lepsze czasy, kiedy będziemy mieli więcej danych rysopisowych.

Czułam się winna. Gdybym przeprowadziła dokładniejsze badania po wyciągnięciu szczątków z szamba moglibyśmy stworzyć rysopis denatki.

Zapytałam Galiano o napad na Carlosa i Molly. Słyszał o strzelaninie, ale niewiele wiedział, bo śledztwo było prowadzone w Sololá. Obiecał, że spróbuje coś wyciągnąć na ten temat.

Wycisnęłam krem i rozsmarowałam go na twarzy.

Rozmawialiśmy też o Andrew Ryaniu. Opowiedziałam Galiano o pracy Ryana w Okręgu Quebec, a on podzielił się nieznanymi mi szczegółami z lat ich młodości.

Na pożegnanie detektyw powiedział, że jego partner złoży poranną wizytę rodzinom Eduardo i de la Alda, a on sam odwiedzi rodziny Gerardi i Specter. Poprosiłam, żeby zabrał mnie ze sobą.

– To nie będzie niebezpieczne – argumentowałam – a spojrzenie kogoś z zewnątrz może być wskazane. – Po długich namowach wyraził zgodę.

Zgasiłam światło, otworzyłam okna tak szeroko, jak tylko się dało, nastawiłam budzik i wgramoliłam się do łóżka.

Godzinami wsłuchiwałam się w odgłosy dobiegające z ulicy i hotelowych korytarzy, obserwowałam zasłony poruszane wiatrem. W końcu zasnęłam. Śniłam o Ryaniu i Galiano – byliśmy na imprezie w Maritimes.

Galiano przyjechał po mnie o ósmej. W czasie krótkiego śniadania zdradził, że zamierza przycisnąć Mario Gerardiego, starszego brata Lucy.

– Dlaczego Mario? – zapytałam.

– Nie podoba mi się.

– Ekscytujące. – Jego głos brzmiał jak dawno nie słyszani Beach Boysi.

– Jest coś niepokojącego w tym dzieciaku.

– Jego skarpetki?

– Czasami miewam trafne przeczucia. Nie mogłam się z nim nie zgodzić.

– Co takiego zrobił Mario?

– Raczej niewiele.

– Jest studentem?

– Robi w Princeton magisterkę z fizyki. – Galiano nałożył na tortillę resztki jajek i fasolki.

– Więc ten chłopak nie jest głupkiem.

– Nie, prawdopodobnie właśnie pracuje nad alternatywą dla stałej Plancka.

– Detektyw Galiano zna się na teorii kwantowej. Zdziwiałe.

– Mario jest bogaty, przystojny, wobec kobiet zachowuje się jak Gatsby.

– Detektyw Galiano zna również literaturę. Następna kategoria. Może zadam pytanie z cyklu: dlaczego Bat nie lubi młodego Mario?

– To przez jego skarpetki.

– Ciekawe, że Lucy i Chantale Specter zaginęły prawie w tym samym czasie.

– To więcej niż ciekawe.

Ignorując mój sprzeciw, Galiano poderwał się i zapłacił rachunek, a potem poszliśmy w kierunku Strefy 10.

Włokąc się w korku na Avenida la Reforma, po dziesięciu minutach zatrzymaliśmy się przed ogrodem botanicznym Uniwersytetu San Carlos. Oczami wyobraźni widziałam Lucy idącą tym chodnikiem – ciemne długie włosy okalały jej twarz. Myślałam o dniu, w którym zaginęła.

Dlaczego szła do ogrodów? Aby się z kimś spotkać? Aby się uczyć? Aby oddać się dziewczęcym marzeniom, które nigdy się nie spełnią?

Dokąd Diaz zabrał kości ofiary, będące być może kośćmi Lucy?

– Dlaczego najpierw odwiedzamy rodzinę Gerardi?

– Pani Specter nie jest skowronkiem?

Musiałam wyglądać na zaskoczoną.

– Wolę koncentrować się na istotnych sprawach. Jeśli Jaśnie Pani lubi spać, niech śpi. Poza tym, chcę dotrzeć do Gerardich, dopóki jest tam Tatko.

Tuż za ambasadą amerykańską Galiano skręcił w wąską, ocienioną drzewami uliczkę i wjechał na krawężnik. Wysiadłam i czekałam, podczas gdy detektyw rozmawiał przez telefon. Przygrzewało majowe słońce.

Czy Lucy poszła do ogrodu, by korzystać z uroków słonecznego dnia? Chciała nakarmić wiewiórki, poobserwować ptaki? A może nie miała żadnego celu? Może po prostu chciała być sama ze wszystkimi prawami młodości?

Rezydencja Gerardich była otoczona wypielegnowanym żywopłotem. Wyłożona kamieniami ścieżka prowadziła do drzwi frontowych. Po obu jej stronach na wymuskany trawniku rosły jasne kwiaty, a gęsty ogród opasywał podmurówkę domu.

Podjazd, zajęty przez Mercedesa 500 S i dżipa Grand Cherokee, rozciągał się wzdłuż prawej strony posiadłości. Po lewej stronie, na ogrodzonym wybiegu sznauca wielkości wiewiórki szczekaniem sygnalizował, że właśnie przyszli goście.

– Myślę, że zabiorą psa – powiedział Galiano, naciskając dzwonek.

Drzwi otworzył wysoki, przystojny mężczyzna. Miał srebrną czuprynę, nosił okulary w czarnej, rogowej oprawie. Ubrany w ciemny garnitur, sztywną białą koszulę oraz żółty jedwabny krawat zmuszał mnie do główkowania, co też może wymagać tak formalnego stroju w niedzielny poranek.

– *Buenos dias, Señor Gerardi* – przywitał się Galiano.

Broda Gerardiego nieznacznie zadrżała, a oczy skierowały się w moją stronę.

– Dr Brennan jest antropologiem pomagającym nam w poszukiwaniu pańskiej córki.

Gerardi wykonał zapraszający gest. Prowadził nas korytarzem pokrytym wypolerowaną terakotą do pokrytego panelami gabinetu. Perski dywan, biurko w kolorze ciemnego orzecha, bibeloty starannie poustawiane na mahoniowych półkach. Cokolwiek robił Gerardi, musiało budzić podziw innych.

Nagle w drzwiach pojawiła się kobieta. Miała nadwagę, a jej włosy przypominały swym kolorem jesienne, opadłe liście.

– *Buenos dias, Señora Gerardi* – pozdrowił ją Galiano.

Señora Gerardi była przestraszona, nie ukrywała swojego niezadowolenia z powodu naszej wizyty.

Gerardi mówił do swojej żony gardłowym hiszpańskim, jakiego nie miałam dotąd okazji, usłyszeć. Kiedy kobieta chciała mu odpowiedzieć, natychmiast jej przerwał, mówiąc:

– *Por favor, Edwina!*

Señora Gerardi w niezdecydowanym geście składała i rozkładała dłonie. Miałam wrażenie, że sprzeciwi się Gerardiemu, jednak nic nie odpowiedziała, przysłoniła dłonią usta i wyszła z gabinetu.

Señor Gerardi wskazał dwa skórzane krzesła stojące przodem do biurka.

– Proszę.

Usiadłam. Skóra pachniała jak nowy jaguar albo coś, co jak sobie wyobrażałam mogłoby być zapachem nowego jaguara, chociaż nigdy takim nie jechałam.

Galiano stał. Gerardi też.

– Jeśli nie macie nowych wiadomości, to nasze spotkanie nie ma sensu – Gerardi rozłożył obie ręce.

– A co ze szkieletem? – Ton Galiano był obwiniający.

Nasz gospodarz nie zareagował.

– Czy Lucy miała powód, aby odwiedzić Strefę 1? – zapytał Galiano.

– Powiedziałem to jasno w swoim zeznaniu, moja córka nie bywała w miejscach publicznych. Chodziła do... – jego usta naprężyły się i rozluźniły – ... chodziła do szkoły, kościoła i naszego klubu.

– Czy pamięta pan nazwiska jakichś przyjaciół, kolegów ze studiów?

– Już odpowiedziałem na to pytanie. Moja córka nie jest frywolną młodą dziewczyną.

– Czy Lucy była blisko z Chantale Specter?

– Widywały się czasami.

– Co robiły podczas spotkań?

– Wszystko znajdziecie w moim zeznaniu.

– Rozśmieszasz mnie. – Galiano rzucił z grubej rury.

– Uczyły się, oglądały filmy, pływały, grały w tenisa. Ambasador i ja należeliśmy do tego samego prywatnego klubu.

– Gdzie jest pański syn, Señor Gerardi?

– Mario właśnie pobiera lekcję gry w golfa.

– Yhm. Czy Chantale Specter bywała w waszym domu?

– Pan pozwoli, że coś wytłumaczę. Nie bacząc na pozycję jej ojca, nie namawiałem mojej córki do przyjaźni z dziewczyną Spectera.

– Co było powodem?

Gerardi zawahał się przez chwilę.

– Chantale Specter jest kłopotliwą młodą kobietą.

– Kłopotliwą?

– Nie sądzę, żeby miała dobry wpływ na moją córkę.

– Chłopcy?

– Nie pozwalałem mojej córce chodzić na randki.

– Wyobrażam sobie, jak ją to zachwycało.

– Moja córka nie łamała reguł.

Położyłam ręce na kolanach i bacznie obserwowałam obu mężczyzn. Lucy, pomyślałam. Twoja córka ma na imię Lucy, ty zimny, arogancki sukinsynu.

– Tak – Galiano szczerzył się cynicznie. – Czy jest jeszcze coś, o czym przypomniał pan sobie od naszego ostatniego spotkania?

– Nie wiem nic ponad to, co i panu wiadomo. Powiedziałem to jasno podczas naszej rozmowy telefonicznej.

– A ja powiedziałem równie jasno, że chciałem dzisiaj rozmawiać z Mario.

– Lekcje golfa są umawiane z tygodniowym wyprzedzeniem.

– Nie chciałbym wyśmiewać się z krótkich strzałów pańskiego chłopaka.

Gerardi tłumił złość.

– Detektywie, miałem nadzieję, że sprawa posunie się naprzód do tego czasu. Ciągnie się już ponad cztery miesiące. To napięcie jest bardzo uciążliwe zarówno dla mojej żony, jak i dla syna. Wasz ostatni atak na nasze zwierzaki był barbarzyński. – Aluzja do próbek włosów zebranych przez policję, pomyślałam.

Galiano mlasnął i powiedział:

– Pogadam ze sznaucerem.

– Niech mnie pan nie traktuje protekcyjnie, detektywie.

Galiano przesunął się wzdłuż biurka. Jego twarz znalazła się zaledwie dwa i pół centymetra od twarzy Gerardiego.

– Señor, nie docenia mnie pan – powiedział i zrobił krok w tył.

– Znajdę Lucy – dodał, traktując gospodarza wyjątkowo chłodnym spojrzeniem. – Z pańską pomocą lub bez niej.

– Detektywie, czuję się dotknięty pańskimi uwagami. Nigdy nie odmawiałem i nie odmawiam współpracy. Nikt inny nie jest bardziej zainteresowany odnalezieniem mojej córki niż ja.

Usłyszeliśmy bicie zegara dochodzące z głębi domu. Przez dziesięć sekund nikt się nie odezwał. Ciszę przełamał Galiano.

– Dręczy mnie od rana jedna myśl.

Twarz Gerardiego była kamienna.

– Pokażę panu znaleziony w szambie szkielet, a pan zainteresuje się nim przynajmniej tak, jak prognozą pogody na jutrzejszy dzień.

– Rozumiem, że jeśli ten szkielet ma związek ze zniknięciem mojej córki, poinformujecie mnie o tym. – Kark Gerardiego oblał się rumieńcem.

– To znaczy, że i pan dowiedział się wiele na temat życia własnej córki.

– Czy osoba, którą znaleźliście, jest moją córką? – górna warga Gerardiego pobieleła ze złości.

Galiano nie odpowiedział.

– Oczywiście nie wiecie tego – dodał Gerardi.

Moja twarz poczerwieniała z zakłopotania. Super, panie Gerardi, pomyślałam. Nie dość, że byłam zastraszona przez różowe okulary, teraz mdliło mnie od tej rozmowy.

Gerardi wyprostował się.

– Myślę, że już czas, byście opuścili mój dom.

– *Hasta la Vista, Señor Gerardi.* – Galiano dał mi znak do odwrotu i rzucił w stronę gospodarza:

– *Regresaré.* Wróczę.

Ruszył w kierunku drzwi.

Wstałam i poszłam za nim.

– *¡Hijo de la gran puta!* – Galiano sięgnął i przekręcił gałkę policyjnego radia. Zakłócenia przeszły w trzaski.

– Powiedz mi, co naprawdę o nim myślisz?

– Nadęty, arogancki, fałszywy dupek.

– Nie powstrzymuj się.

– Jacy rodzice nie interesują się przyjaciółmi swoich dzieci, zwłaszcza nastoletnich dzieci? – Galiano był wzburzony.

– Też tak myślę. Czym zajmuje się Tatuś, aby zarobić na mercedesa i perski dywan?

– Gerardi i jego brat są właścicielami największego salonu samochodowego w Gwatemali.

Byliśmy w drodze do rezydencji ambasadora.

– Co do jednego, muszę przyznać mu rację. Nie wiemy zbyt dużo o tym szkielecie – powiedziałam, odciskając ślad palca na desce rozdzielczej.

– Dowiemy się.

Zrobiłam jeszcze jedną odbitkę.

– Myślisz, że Lucy była tak uległa, jak utrzymuje jej ojciec?

Galiano uniósł w geście zdziwienia ramiona i brwi – bardzo francuski gest jak na

gwatemalskiego glinę.

– Kto wie? Nigdy nie można mieć pewności.

Za oknem migwały drzewa, a ja zostawiałam kolejne ślady palców na desce rozdzielczej. Kilka zakrętów i wjechaliśmy w willową dzielnicę. Domy były tu wielkie, wybudowane na jeszcze większych, wypielegnowanych posesjach.

– Gerardi mógł mieć rację również w innej kwestii.

– Mianowicie? – zapytałam.

– Chantale Specter.

Ambasador i jego rodzina mieszkali za murem z żywopłotu, niemal identycznym jak ten otaczający posiadłość Gerardich. Dodatkowo chroniło ich elektryczne ogrodzenie z olbrzymią rozsuwaną bramą z kutego żelaza oraz doborowy zestaw umundurowanej ochrony.

Galiano podjechał pod bramę. Trzymał odznakę przy oknie, aby mógł ją zobaczyć strażnik nr 1. Mężczyzna przysunął się bliżej, a potem wszedł do budki kontrolnej. Kilka sekund później brama otworzyła się.

Majestatycznie podjechaliśmy pod dom, gdzie strażnik nr 2 dokładnie obejrzał nasz identyfikator. Zadowolony, zadzwonił. Drzwi otworzyły się, a nr 2 przekazał nas służącemu.

– Pani Specter czeka na państwa. – Mówiąc to, lokaj patrzył w próżnię. – Proszę za mną.

Wnętrze domu było skomponowane identycznie jak willa Gerardich. Pokój wyłożony panelami, droga terakota i dzieła sztuki. Dywan z okresu Bakhtiari.

Spotkanie nie mogło się więc różnić.

Pani Specter miała włosy w kolorze miedzi, a usta i paznokcie muśnięte chińską czerwienią. Miała na sobie jasnożółte trzyczęściowe spodnium i dopasowane rzemykowe sandaalki na stopach. Zwiewny materiał falował wokół niej, gdy szła, by nas przywitać. Otaczała ją mgielka perfum Issey Miyake.

– Detektywie Galiano, miło pana widzieć – powiedziała z francuskim akcentem. – Chociaż wołałabym spotkać się z panem w innych okolicznościach.

– Jak się pani dzisiaj miewa, pani Specter? – Jej dłoń w ogorzalej dłoni Galiano przywodziła na myśl lilię włożoną do starej koperty.

– Dziękuję, dobrze. – Obdarzyła mnie wystudowanym uśmiechem. – Czy to ta młoda kobieta, o której mi mówiłeś?

– Tempe Brennan – przedstawiłam się.

Gdy podawała mi dłoń, paznokcie rozblęły w blasku padającego na nie światła. Jej skóra była tak delikatna, a kości drobniutkie, że miałam wrażenie, że ściskam dłoń dziecka.

– Bardzo dziękuję, że pomagacie lokalnym władzom. Ma to dla nas ogromne znaczenie.

– Mamy nadzieję, że się przydamy.

Wskazała na krzesła:

– Proszę, wybaczcie mi moje okropne maniery. Usiądźmy, proszę.

Usiedliśmy w rogu pokoju, tuż obok okna. Każde z okien pokryte było trzycalowej grubości drewnianymi żaluzjami, chroniącymi przed promieniami porannego słońca.

– Kawy, herbaty? – spojrzała na Galiano, a potem na mnie.

Oboje odmówiliśmy.

– Detektywie, proszę powiedzieć, że przynosi pan dobre wieści.

– Obawiam się, że nie – powiedział cicho Galiano.

Mieniła się na twarzy. Nieznacznie się uśmiechnęła.

– Ale nie przynoszę też najgorszych wieści – dodał szybko. – Chciałem sprawdzić kilka faktów i dowiedzieć się, czy coś się u pani wydarzyło od czasu naszej ostatniej rozmowy. Czy dowiedziała się pani czegoś nowego?

Położyła swoją dłoń na przedramieniu i wygodniej usiadła na krześle.

– Próbowałam, ale niestety, bezskutecznie.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Próbowała wyciągnąć nitkę wystającą z obicia krzesła na wysokości jej kolan.

– Mam za sobą wiele bezsennych nocy. Ja... trudno o tym mówić, ale od kiedy zaginęła Chantale, nie zwracam uwagi na to, co dzieje się wokół.

– Chantale prowadziła ryzykowne życie – mówił delikatnie Galiano. – Jak już pani wspominała, córka nie zwierzała się państwu.

– Powinnam była ją bardziej obserwować. Być bardziej spostrzegawcza.

Pani Specter była blada jak śmierć, wrażenie pogłębiał pomarańczowy kolor jej włosów. Kiedy na nią patrzyłam, bolało mnie serce, chciałam znaleźć odpowiednie słowa pocieszenia.

– Pani Specter, proszę się nie obwiniać. Nikt z nas nie kontroluje w pełni swoich dzieci.

Przeniosła wzrok z Galiano na mnie. Nawet w przyciemnionym świetle dostrzegłam, że nosi zielone szkła kontaktowe.

– Czy pani ma dzieci, dr Brennan?

– Moja córka jest studentką. Wiem, jakie trudne potrafią być nastolatki.

– Tak.

– Czy możemy wrócić do paru spraw, pani Specter? – zapytał Galiano.

– Jeśli to pomoże, proszę.

Wyjął notatnik. Zaczął wymieniać nazwiska i daty. Pani Specter nieświadomie katowała nitki wystające z obicia krzesła – skręcała je, rozciągała. Od czasu do czasu paznokieć szarpnął materiał, wysyłając włókienka w przestrzeń.

– Chantale po raz pierwszy została aresztowana rok temu, w listopadzie.

– Tak – potwierdziła.

– W hotelu Santa Lucia w Strefie 1.

– Tak.

– Drugi raz aresztowano ją w lipcu.

– Tak.

– Hotel Bella Vista.

– Zgadza się.

– W ubiegłym roku od sierpnia do grudnia przebywała w Kanadzie. Leczyła się z uzależnienia od narkotyków.

– Tak.

– Gdzie?

– Centrum rehabilitacyjne w pobliżu Chibougamau.

Obserwowałam spadające włókienka. Przeszedł mnie dreszcz. Spojrzałam na Galiano. Zachował kamienny spokój.

– To jest w Quebecu?

– To obóz, kilkaset kilometrów na północ od Montrealu.

Kiedyś poleciałam do Chibougamau na ekshumację. Region jest gęsto zalesiony, a widok z samolotu przypomina strukturę brokołu.

– Program uczy młodych ludzi, jak zerwać z nałogiem i być odpowiedzialnym za swoje decyzje i czyny. Oddalenie od cywilizacji gwarantuje, że uczestnicy w pełni realizują terapię. Pojedynkę może być ciężki, ale mój mąż i ja zdecydowaliśmy, że to najlepsze wyjście, by Chantale zerwała z narkotykami. – Uśmiechnęła się blado.

Galiano zadawał pytania jeszcze przez kilka minut. Ja skoncentrowałam się na obserwacji i czerwonych paznokciach pani Specter. W końcu zapytałam:

– Czy ma pani do mnie jakieś pytania, pani Specter?

– Co pani wie o szczątkach, które znaleźliście?

Galiano nie wydawał się zdziwiony, że wie o znalezisku z Paraiso. Niewątpliwie koneksje jej męża sprawiały, że była dobrze poinformowana.

– Niestety, dopóki dr Brennan nie skończy analizy, nie mamy na ten temat wiele do powiedzenia – odpowiedział Galiano.

– Czy możecie powiedzieć mi cokolwiek? – spojrzała na mnie.

Zawahałam się. Nie chciałam niczego komentować na podstawie zdjęć i powierzchownych oględzin zbiornika.

– Cokolwiek – błagała.

Serce matki toczyło we mnie bitwę z chłodem umysłu naukowca. Jeśli to Katy byłaby teraz na miejscu Chantale? Gdybym to ja była tą, która wyciąga nitki z obicia krzesła?

– Wątpię, że to szkielet pani córki.

– Dlaczego? – jej głos był spokojny, ale palce poruszały się nerwowo.

– Podejrzewam, że dziewczyna, którą znaleźliśmy, nie należała do rasy kaukaskiej.

Pani Specter gapiła się na mnie swymi zielonymi oczami.

– Gwatemalka?

– Prawdopodobnie, jednak dopóki nie skończę analizy, pozostają nam tylko domysły.

– Kiedy będą konkretne wyniki oględzin?

Spojrzałam na Galiano.

– Mamy pewne kłopoty... Są związane z kwestiami sądowymi – powiedział.

– Jakie?

Galiano opowiedział o Diazie.

– Dlaczego sędzia to zrobił?

– Nie wiadomo.

– Wyjaśnię tę sytuację z mężem. Zwróciła się do mnie:

– Jest pani dobrą kobietą, dr Brennan. Widzę to w pani oczach. *Merci*. – Uśmiechnęła się.

– Czy na pewno nie chcecie się czegoś napić? Może lemoniady? – zapytała.

Galiano odmówił.

– Czy mogę poprosić o troszkę wody?

– Oczywiście.

Kiedy wyszła, oderwałam pasek taśmy samoprzylepnej, podbiegłam do krzesła, na którym siedziała i przycisnęłam klejącą stronę taśmy do tapicerki. Galiano obserwował, nie komentując tego, co robię.

Pani Specter powróciła, niosąc kryształową szklankę wypełnioną zimną wodą. Na brzegu szklanki widniał plasterek cytryny. Gdy piłam, ona rozmawiała z Galiano.

– Przykro mi, że nie mam dla pana nowych szczegółów. Próbuję. Naprawdę próbuję.

W holu zaskoczyła mnie prośbą.

– Czy ma pani swoją wizytówkę, dr Brennan?

Wygrzebałam jedną.

– Dziękuję. – Skinęła na służącego, który schodził na dół. – Czy mogę również prosić o miejscowy numer kontaktowy?

Zaskoczona, zapisałam numer mojego wypożyczonego telefonu komórkowego.

– Błagam pana, detektywie, niech pan znajdzie moje dziecko.

Ciężkie dębowe drzwi zatrzasnęły się za naszymi plecami.

Galiano nie odezwał się, zanim nie dotarliśmy do samochodu.

– O co chodziło z tą taśmą klejącą i tapicerką?

– Widziałeś jej krzesło?

Zapiął pas i uruchomił silnik.

– Aubusson. Pricey.

Uniosłam taśmę:

– Ten Aubusson ma futerko.

Spojrzał na mnie.

– Specterowie twierdzą, że nie mają zwierząt domowych.

Rozdział 10

Resztę niedzieli spędziłam na badaniu szkieletów z Chupan Ya. Elena i Mateo również pracowali. Ekspresowo przekazali mi informacje dotyczące postępów śledztwa w Sololá.

Ciało Carlosa oddano jego bratu, który przyleciał tutaj, aby pochować go w Buenos Aires. Mateo zorganizował jego ostatnie pożegnanie w Gwatemali. Molly nadal była w śpiączce. Policja nie miała nowych wiadomości na temat tego dramatycznego zajścia. Mieli też dobre wieści z Chupan Ya. W czwartek w nocy syn Señory Ch'i'p po raz czwarty został dziadkiem. Teraz starsza pani ma już siedmioro prawnuków. Miałam nadzieję, że maleństwo wniesie w jej życie radość.

W weekend w laboratorium panował błogi spokój. Żadnych rozmów, żadnego radia, żadnych warkotów i dzwonek. Żadnego Olliego Nordsterna próbującego wycisnąć nowe informacje.

Mimo to nie potrafiłam się skupić. Tęskniłam za domem, Katy, Ryanem. Dobijał mnie widok pudełek z ciałami wokół mnie. Martwiłam się o Molly. Dręczyło mnie poczucie winy, że tak łatwo poddałam się Diazowi.

Przyrzekłam sobie, że zrobię więcej dla ofiar z Chupan Ya. Więcej, niż zrobiłam dla dziewczyny znalezionej w szambie. Pracowałam do późna, nie zważając na to, że pozostali już dawno skończyli.

Analizowałam zwłoki nr 14. Były to zwłoki piętnasto- może dziewiętnastoletniej kobiety. Ofiara miała połamaną szczękę i prawe ramię, z tyłu głowy widniały ślady nacięć maczetą. Bestia, która to zrobiła, bo na miano człowieka nie zasługiwała, lubiła atakować ofiary od tyłu, zniecka.

Zwłoki nr 15 były zwłokami pięcioletniego dziecka. Patrzyłam na kosteczki tego maleństwa i w myślach prosiłam: Opowiedz mi, kto i jak cię skrzywdził.

Moje myśli raz za razem powracały do ofiary z Paraiso. Dwie młode kobiety zabite w odstępnie dekady. Czy kiedykolwiek coś zmieni się w tej kwestii? Nie żywiłam zbyt wielkich nadziei.

Galiano zadzwonił późnym popołudniem, by zdać relację z rozmów Hernándeza z rodzicami Patricii Eduardo i Claudii de la Alda.

Pani Eduardo twierdziła, że jej córka nie przepadała za swoim przełożonym ze szpitala. Podobno na krótko przed zaginięciem Patricia pokłóciła się z nim. Niestety pani Eduardo nie potrafiła przypomnieć sobie ani nazwiska przełożonego, ani nazwy stanowiska, które piastował.

Pan de la Alda twierdził, że Claudia nagle zaczęła chudnąć, jego żona nie zgodziła się z tą opinią. Rodzice Claudii przekazali również Hernándezowi, że dzwoniło z muzeum, w którym pracowała ich córka. Poinformowano ich, że szukają kogoś na miejsce Claudii.

Jeszcze w niedzielę zaczęłam badać zwłoki nr 16. Nr 16 to dojrzewająca nastolatka z

wyrzynającym się drugim zębem trzonowym. Jej wzrost oszacowałam na 1, 2 metra. Zastrzelono ją, a potem jednym cięciem maczety odcięto głowę.

W poniedziałkowe południe pojechałam z Galiano do Komendy Głównej, udaliśmy się do sekcji ewidencji śladów laboratorium kryminalistycznego. W laboratorium niski, łysiejący mężczyzna garbił się nad mikroskopem. Gdy Galiano krzyknął, mężczyzna obrócił się w naszą stronę i założył okulary w połączonych oprawkach. Przypominał szympansa.

Przedstawił się jako Fredi Minos, jeden z dwóch specjalistów od analizy włosów i włókien. Dostarczyliśmy mu próbki z dzinsów znalezionych w szambie, a także włókna i włosy wzięte z domów Gerardich i Eduardów oraz z krzesła pani Specter.

– To wookie, prawda? – spytał Galiano.

Minos spojrzał zakłopotany.

– Chewbacca?

Żadnej reakcji.

– Star Wars?

– O tak, to amerykański film. – Ten dowcip zabrzmiał kiepsko w ustach Minosa.

– Nie ma sprawy. Z czym przychodzicie? – dodał.

– Wasza nieznana próbka to włos kota.

– Skąd wiesz?

– To jest włos ludzki czy koci?

– Ten jest koci – wtrąciłam, widząc wyraz twarzy Galiano.

Minos przesunął w prawo swoje krzesło i sięgnął po szkiełko mikroskopowe. Potem wsunął próbkę pod okular mikroskopu. Po ustawieniu ostrości wstał i wskazał, abym usiadła.

– Zobacz.

Spojrzałam na Galiano. Kiwnął ręką, abym usiadła na krześle.

– Wolałabyś, abym mówił po angielsku? – zapytał Minos.

– Jeśli nie masz nic przeciwko. – Poczulałam się jak osioł, ale mój hiszpański był kiepski, a chciałam dokładnie zrozumieć jego wyjaśnienia.

– Co tam widzisz?

– To wygląda jak kabel z oznaczonym zakończeniem.

– Patrzysz na nieobcięty włos. To jest jeden z 27 włosów stanowiących próbkę opisaną: „Paraiso”.

Angielski Minosa swą dziwną wznoszącą się i opadającą intonacją przypominał kaliope.

– Zauważ, że ten włos nie ma żadnego charakterystycznego kształtu.

– Charakterystycznego?

– U niektórych gatunków kształt włosa jest dobrym identyfikatorem. Włos koński jest gruby, z wyraźnym skretem przy korzeniu. Włos jelenia jest pomarszczony i ma bardzo wąski, charakterystyczny korzeń. Włosy znalezione w Paraiso są zupełnie inne. – Poprawił okulary. – Teraz sprawdź rozłożenie pigmentu. Widzisz coś charakterystycznego?

Minos ubóstwiał określenie „charakterystyczny”.

– Wydaje się niemal zgodne – powiedziałam.

– Właśnie. Mogę?

Wyjął szkiełko, poszedł po szkło optyczne, włożył je i ponownie ustawił ostrość. Przysunęłam krzesło do blatu stołu i patrzyłam przez okular mikroskopu. Tym razem włos wyglądał jak gruba rura z przewężeniem w środku.

– Opisz rdzeń – wydał polecenie Minos.

Skoncentrowałam się na samym środku, obszarze analogicznym do jamy szpiku kostnego w kości długiej.

– Przypomina drabinę.

– Wspaniale. Forma rdzeniowa jest wybitnie zmienna. Niektóre gatunki mają jednodzielny, a nawet wielodzielny rdzeń. Dobrym tego przykładem są lamy. Lamy mają także tendencję do posiadania wielkich skupień pigmentu. Kiedy widzę taką kombinację, natychmiast myślę o lamie.

Lama?

– Wasza próbka ma rdzeń jednodrabinkowy. To jest to, co teraz widzisz.

– Co znaczy, że to włos kota.

– Niekoniecznie. Bydło, kozy, szynszyle, norka, piżmoszczur, borsuk, lis, bóbr, pies mogą również mieć jednodrabinkowy rdzeń w cienkich włosach. Piżmoszczur ma wzór w jodełkę, więc piżmoszczur odpada.

– Łuski? – zapytał Galiano. – Jak u ryb?

– Właściwie tak. Opowiem wam krótko o łuskach. Włosy bydła często mają prążkowane rozłożenie pigmentu, występujące często w dużych skupieniach, więc wyeliminowałem bydło. Łuski nie pasują do kozy.

Wydawało się, że Minos bardziej mówi do samego siebie niż do nas.

– Ze względu na rozłożenie pigmentu, wykluczyłem także borsuka. Wykluczyłem...

– Czego nie mógł pan wykluczyć, panie Minos? – przerwał mu Galiano.

– Psa. – Minos wydawał się być urażonym brakiem zainteresowania włosami ssaków.

– *Ay, Dios* – westchnął Galiano. – Jak często włosy psa mogą pojawić się na ubraniu?

– Och, to jest bardzo, bardzo powszechne. – Minos pominął sarkazm Galiano. – Więc zdecydowałem się na powtórne sprawdzenie.

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady papier do pakowania.

– Kiedyś wyeliminowałem wszystko z wyjątkiem kota i psa, wziąłem narzędzia i wykonałem rdzeniową analizę procentową.

Wyjął odbitkę i położył ją obok mnie.

– Skoro włos kota i psa tak często pojawia się na miejscu przestępstwa, zrobiłem badanie różnicujące pomiędzy tymi dwoma gatunkami. Porównałem włosy z sierści setki psów i kotów, tworząc bazę danych.

Przewrócił kartkę i wskazał na wykres rozrzutu przepołowiony przekątną. Linia oddzielała tuziny trójkątów znajdujących się na górze od tuzinów okręgów znajdujących się poniżej. Cała garść symboli rozdzielała ten metryczny rubikon.

– Dzielę szerokość rdzenia przez szerokość włosa i wyliczam procentowo rdzeń. Takie działanie daje nam liczbę wyrażoną w procentach. Jak widzicie, z kilkoma wyjątkami, wartości dla kotów układają się ponad pewną wartością progową, podczas gdy wartości dla psów układają się poniżej tej wartości.

– Co znaczy, że rdzeń jest stosunkowo szerszy w przypadku włosów kota.

– Tak. – Spojrzał na mnie tak jak nauczyciel oczarowany pilnym studentem. Potem wskazał na grupki gwiazdek w mrowiu trójkątów ponad linią.

– Punkty te przedstawiają wartości przypadkowo wybranych włosów z próbek zebranych w Paraiso. Każdy z nich odpowiada kocim.

Minos zagłębił się w swój zbiór i wyjął z niego kilka kolorowych fotografii.

– Pytał pan o łuski, detektywie. Chciałem dobrze obejrzeć budowę zewnętrzną włosa, więc włożyłem próbki z Paraiso do skanującego mikroskopu elektronicznego.

Minos podał mi błyszczące zdjęcie wielkości 5 na 7. Galiano stanął za moimi plecami.

– To jest powiększone czterysta razy zakończenie korzenia włosa z Paraiso. Spójrz na powierzchnię zewnętrzną.

– Wygląda jak podłoga w łazience – odezwał się Galiano.

Minos wyjął kolejne zdjęcie.

– To nieco wyżej, trzon.

– Płatki kwiatów.

– Dobrze, detektywie. – Tym razem Galiano został nagrodzony uśmiechem Frediego. – To, co opisał pan w tak poetycki sposób, fachowo nazywamy przekształcaniem się wzoru łuski. W tym przypadku wzór łuski przekształca się z nieregularnej mozaiki w płatek.

Minos był „majstrem” w swej dziedzinie. Na zdjęciu nr 3 łuski wyglądały na bardziej przybliżone, mimo to ich końce były bardziej poszarpane.

– To typowe zakończenie włosa. Wzór łuski jest czymś, co określa się mianem mozaiki. Jak widzicie, obrzeża są bardziej postrzępione.

– Czym przypominają włosy kotów i psów? – zapytał Galiano.

– Psy wykazują dużą różnorodność, jeśli chodzi o sekwencję wzoru łuski, ale moim zdaniem, takie zróżnicowanie występuje tylko u kotów.

– Czyli włosy znalezione na dzinsach pochodzą od kota – stwierdził Galiano.

– Tak.

– Czy wszystkie pochodzą od tego samego kota? – zapytałam.

– Nic nie wskazuje na to, by było inaczej.

– A co z próbką pochodzącą z domu Specterów?

Minos przejrzał swój raport.

– To byłaby próbka nr 4 – uśmiechnął się do mnie. – Kot.

– Zatem każdy z tych włosów jest fragmentem sierści kota. – Zastanowiłam się przez chwilę i zapytałam. – Czy próbka z Paraiso zgadza się z którąkolwiek z pozostałych próbek?

– Oto, dlaczego robi się to interesujące.

Minos przewrócił kolejną stronę, przejrzał tekst.

– W próbce nr 2 średnia długość włosów była większa niż w którejkolwiek z trzech pozostałych próbek. – Spojrzał w górę. – Ponad 5 cm. – Powrócił do raportu.

– Włosy były bardziej jednorodne. – Znowu spojrzał do góry. – I nie takie grube. – Powrócił do raportu. – Budowa zewnętrzna każdego włosa wykazywała mieszaną regularnej mozaiki o gładkich krawędziach z łuskami typu wieńcowego o gładkich krawędziach.

Minos zamknął raport, ale niczego nie wyjaśnił.

– Co to znaczy, panie Minos? – zapytałam.

– Próbka nr 2 jest włosem innego kota niż włosy z pozostałych trzech próbek. Moim zdaniem, ale to tylko przypuszczenie, kot nr 2 to Pers.

– Pozostałe próbki nie pochodzą od kota perskiego?

– Standardowy krótki włos.

– Czy próbka z Paraiso zgadza się z pozostałymi dwoma próbkami?

– Tak, zgadza się.

– Jak została oznaczona próbka nr 2?

Minos ponownie zajrzał do zbioru.

– Eduardo.

– To mógłby być Buttercup.

– Pers? – Minos i ja zadaliśmy to pytanie równocześnie.

Galiano kiwnął głową.

– Czyli Buttercup nie był dawcą włosów znalezionych w Paraiso – powiedziałam.

– Kot perski nie był dawcą włosów z Paraiso – poprawił mnie Minos.

– To oczyszcza Buttercupa. A co jeśli chodzi o koty Gerardich i Specterów?

– Zdecydowani faworyci.

Poczułam nagły przypływ optymizmu.

– Zresztą, jak milion innych krótkowłosych kotów w Gwatemali – dodał.

Optymizm gruchnął o ziemię.

– Nie możesz określić, czy któraś z pozostałych próbek pasuje do włosów znalezionych na dzinsach? – zapytał Galiano.

– Oba wykresy mają podobny przebieg. Indywidualizacja nie jest możliwa jedynie w oparciu o budowę wewnętrzną włosa.

– A co z badaniem DNA? – zapytałam.

– Mogę je wykonać.

Minos położył swój segregator na stół, zdjął okulary i zaczął je czyścić rąbkiem fartucha.

– Ale nie tutaj.

– Dlaczego?

– Mamy sześciomiesięczne opóźnienia w badaniu materiału ludzkiego. Na wyniki badania DNA włosów kota będziemy czekać rok.

Naszą rozmowę przerwał dźwięk telefonu Galiano. Detektyw był wyraźnie spięty podczas rozmowy.

– ¡Ay, *Dios mio!* ¿*Dónde?*

Przez chwilę milczał. Spojrzał na mnie i kontynuował rozmowę w języku angielskim.

– Dlaczego nikt do mnie wcześniej nie zadzwonił?

Długa pauza.

– Jest tam Xicay?

Znowu cisza.

– Już jedziemy.

Rozdział 11

O 15:00 ulice były już zakorkowane. Błysk świateł, wycie syren. Galiano trzymał nogę na gazie, prawie nie zatrzymując się na skrzyżowaniach. Prześlizgiwał się między samochodami, a kierowcy odsuwali się na skraj pasów, aby nas przepuścić. Pomimo że słyszałam dobiegającą z radia rozmowę prowadzoną w języku hiszpańskim, nie starałam się jej zrozumieć. Myślałam o Claudii de la Alda, dziewczynie w prostej, czarnej spódniczce i pastelowej bluzeczce. Próbowałam sobie przypomnieć jej minę na zdjęciach.

Moją głowę wypełniały obrazy przeszłości. Płytkie groby. Rozkładające się ciała pozawijane w dywany. Szkielety pokryte opadłymi liśćmi. Zgniłe ubrania poroznoszone przez zwierzęta.

Wypełniona błotem czaszka...

Mdliło mnie.

Zropaczeni, zdezorientowani rodzice, którym miałam przynieść złe wieści... Ich dzieci nie żyją. Przekazanie takiej informacji jest trudnym i przykrym zadaniem.

Do diabła! Znowu to samo.

Serce waliło mi jak oszalałe.

Do diabła! Do diabła! Do diabła!

Pani de la Alda odebrała telefon w tym samym momencie, gdy ja starałam się dowiedzieć czegoś więcej o kocich włosach. Męski głos powiedział, że Claudia nie żyje i podał miejsce, w którym mogą znaleźć jej ciało. Rozhisteryzowana, zszokowana matka zadzwoniła do Hernándezza, a ten do Xicaya. Zespół ratunkowy zlokalizował kości w wąwozie na dalekim, zachodnim skraju miasta.

– Co jeszcze powiedział Hernández? – zapytałam.

– Rozmowę telefoniczną wykonano z telefonu publicznego.

– Skąd?

– Przystanek autobusowy Cohn w Strefie 1.

– Co powiedział rozmówca?

– Powiedział, że ciało Claudii jest w Strefie 7. Rzucił kilka wskazówek i rozłączył się.

– W pobliżu miejsca wykopalisk archeologicznych?

– Kawałek za.

Strefa 7 to przedmieścia otoczone ruinami Kaminaljuyú, centrum Majów, które w czasach swojej świetności miało ponad trzysta kopców, trzynaście boisk i pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Budowniczości Kaminaljuyú postawili tu budowle z cegieł, co było zupełnie nietrafionym wyborem w strefie klimatu tropikalnego. Erozja i bezładnie rozsiana zabudowa miejska zebrały śmiertelne żniwo. Dzisiaj po starożytnej metropolii pozostało kilka pokrytych ziemią pagórków tworzących zielone przestrzenie dla zakochanych i graczy w Frisbee.

– Claudia pracowała w Muzeum Ixchel. Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Dowiem się tego.

Właśnie przejeżdżaliśmy obok wysypiska śmieci i w nasze nozdrza wdarł się okropny fetor.

– Czy pani de la Alda rozpoznała głos?

– Nie.

Galiano skręcił w wąską uliczkę. Na każdym rogu były tu *comedores* i sklepy spożywcze. Przejechaliśmy obok zniszczonych, drewnianych domów, w których znajdowały się pralnie. Cztery bloki dalej ulica kończyła się skrzyżowaniem w kształcie litery T.

Skręciliśmy w lewo. Zobaczyliśmy smutną, dobrze znaną nam scenę. Samochody patrolowe ciągnęły się po jednej stronie ulicy. Po przeciwnej czekał karawan pogrzebowy. Obok karawanu metalowa poręcz; obok poręczy strome zejście do wąwozu.

Osiemnaście metrów dalej widniało poletko ogrodzone łańcuchami. Żółta taśma do zabezpieczania miejsca przestępstwa była rozciągnięta na długości trzech metrów, skręcała w lewo i dalej równoległe do ogrodzenia zejścia do wąwozu.

Po oznaczonym terenie chodzili gliniarze. Kilku dziennikarzy stojących za ogrodzeniem robiło notatki. Zauważyłam też kamerzystów i wóz telewizyjny. Połowa załogi filmowej siedziała wewnątrz wozu, pozostali palili, rozmawiali, niektórzy drzemali.

Gdy tylko Galiano i ja wysiedliśmy z samochodu, otoczył nas wianuszek dziennikarzy.

– *Señor, esta...*

– *Detective Galiano...*

– *Una pregunta, por favor.*

Ignorując pytania i prośby, przeszliśmy pod taśmą i podeszliśmy na skraj wąwozu. Za naszymi plecami trzaskały flesze, dźwięczały pytania.

Hernández stał cztery i pół metra poniżej, na stoku wąwozu. Galiano zbiegł w jego kierunku. Podążyłam ostrożnie za nim. Chociaż zbocze porastała trawa i krzaki, było tu stromo, a podłoże kamieniste. Stawiałam stopy bokiem i chwytalam się kurczowo roślinności. Nie chciałam skreślić kostki ani ześlizgnąć się w dół zbocza.

Gałązki trzaskały mi w rękach. Skałki zsuwały się w dół zbocza. Nad głowami krzyczały ptaki.

To nie może być ona, mówiłam do siebie, czując jednocześnie jak wzrasta mi poziom adrenaliny.

Z każdym krokiem nasilał się cuchnący smród.

Cztery i pół metra niżej ujrzałam płaskie dno wąwozu.

Pocieszałam się myślą, że do pani de la Alda zadzwonił jakiś wariat, przecież o zaginięciu Claudii pisały wszystkie gazety.

Mario Colom badał teren wykrywaczem metali. Juan-Carlos Xicay fotografował coś przy stopach Hernándeza. Podobnie jak w Paraiso, zarówno technicy, jak i gliniarze byli w kombinezonach.

Podeszliśmy do Hernándezza.

– Ciało leży w rowie spływowym na połączeniu stoku z płaskowyżem. Było przykryte błotem i liśćmi. – Rozpiął plastikowy worek. Szczątki mięśni i wiązadła scalały kości.

Wstrzymałam oddech.

Kości ręki sterczały niczym suche patyki z rękawów jasnoniebieskiej bluzki. Spod gnijącej czarnej spódniczki wystawały kości nogi i znikały w pokrytych skamieniałym błotem skarpetkach i butach.

Cholera! Cholera! Cholera!

– Głowa leży trochę dalej, w wąwozie. – Czoło Hernándezza świeciło się od potu. Jego twarz była czerwona, a koszula przyklejała się do torsu.

Przykucnęłam. Wokół roilo się od much. Na skórzanej tkaninie widać było niewielkie, okrągłe dziury. Kości nosiły ślady licznych nacięć. Brakowało jednej ręki.

– Odcięta? – zapytał Hernández.

– Zwierzęta – powiedziałam.

– Jakie?

– Może szopy.

Galiano kucnął obok niezniechęcony zapachem rozkładającego się mięsa. Wyciągnął z kieszeni długopis i ściągnął łańcuszek. Światło słoneczne odbijało się od krzyżyka. Detektyw stał z uniesionym w górę krzyżykiem zwisającym z długopisu i przyglądał się miejscu zdarzenia.

– Prawdopodobnie nie znajdziemy tu zbyt wiele. – Mięśnie jego szczęk drgały.

– Z pewnością. Ciało leżało przez dziesięć miesięcy w ziemi – dodał Hernández.

– Przeczescie cały teren. Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

– Dobra.

– A co z sąsiadami?

– Pukamy od drzwi do drzwi, pytamy, ale nadal nic nie wiemy. Ciało zrzucano tu prawdopodobnie nocą.

Wskazał na starszego mężczyznę stojącego za taśmą na szczycie wzgórza.

– Gramps mieszka niedaleko, zaledwie jeden blok stąd. Mówi, że pamięta samochód kręcący się tutaj zeszłego lata. Zapamiętał to, bo z reguły nie ma tu zbyt dużego ruchu, to ślepa uliczka. Mówi, że kierowca zawracał dwa lub trzy razy, zawsze w nocy, zawsze sam. Ten starszy gość to być może jakiś zboczeniec szukający miejsca, aby zarzucić sieci, dlatego trzyma się z daleka.

– Czy to brzmi sensownie?

Hernández wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie mały siusiaczek sam sobie robi dobrze. Tak czy inaczej, Gramps pamięta, że samochód był stary. Nie jest pewien, czy była to toyota, czy honda. Obserwował wszystko z werandy, więc nie miał gościa jak na dłoni.

– Jakies osobiste powody?

Hernández potrząsnął głową.

– To tak jak z dzieckiem znalezionym w szambie. Ubranie na ofierze i poza tym nic. Sprawca prawdopodobnie zrzucił ciało z drogi, więc mógł zbliżyć się do wąwozu. Kiedy tutaj skończymy, Xicay i Colom zjedzą na dół.

Galino obserwował tłum zgromadzony na skraju wąwozu.

– W takim razie nie wydam oficjalnego komunikatu na użytek mediów, dopóki nie porozmawiam z rodziną.

Zwrócił się do mnie.

– Co chcesz tutaj robić?

Wiedziałam, czego nie chciałam zrobić. Nie mogłam powtórzyć błędu z Paraiso.

– Potrzebuję worka na ciało i kilku godzin.

– Baw się dobrze.

– Ale nie za długo – powiedziałam.

– Zostań tu tak długo, jak potrzebujesz.

Wyczytałam z jego tonu, że Diaz tym razem nie będzie mnie niepokoił.

Wyjęłam okulary chirurgiczne z plecaka, przeszłam na koniec równiny i na czworakach, usuwając palcami liście i brud, zaczęłam przemierzać rów. Towarzyszył mi Xicay z Colodem.

Czaszka leżała w odległości niecałych dwóch metrów od szyi. Była nadżarta lub szarpana przez jakieś zwierzę do czasu, aż straciło nią zainteresowanie. Obok czaszki widniała kupka włosów. W pobliżu leżały porozrzucone kości palców, prowadzące do skupiska kości ręki.

Kiedy oboje z Xicajem udokumentowaliśmy materiał na kliszy i filmie, przeniosłam rozrzucone szczątki do miejsca, gdzie leżał tułów. Skończyłam oględziny rowu i przeszłam równinę wzdłuż i wszerz. Następnie przeszłam ją ponownie, tym razem w pozycji pionowej.

Nic.

Wróciłam do szkieletu. Wkopałam latarkę i oświetliłam miejsce. Hernández miał rację. Po dziesięciu miesiącach w ziemi było mało prawdopodobne, że znajdę cokolwiek. Miałam nadzieję, że na plastiku zachowały się jakieś ślady, zanim porozrywały go zwierzęta.

Zauważyłam zamek błyskawiczny.

Chociaż odzyskiwanie śladów wydawało się niemożliwe, starałam się pracować bezpośrednio nad folią. Jeśli pozostały jakieś dowody – kawałki naskórka, włosy lub włókna, znajdziemy je w laboratorium.

Przewróciłam szkielet na plecy. Smród stał się intensywniejszy. Żuki i stonogi rozbiegały się we wszystkich kierunkach. Nade mną trzaskała migawka Xicaya.

W klimacie, jaki panuje na Wyżynie Gwatemalskiej, ciało może się zamienić w szkielet w ciągu miesiąca lub nawet tygodnia. Duży udział w tym mają również owady i padlinożercy. Jeśli zwłoki są ściśle owinięte, rozkład może się znacząco spowolnić. W takim wypadku mięśnie i tkanki ulegają często mumifikacji. Tak było i tym razem. Kości trzymały się razem zaskakująco dobrze.

Badałam wyschnięte ciało i przypominałam sobie osiemnastoletnią Claudię de la Alda. W

bezsilnej złości zaciskałam zęby.

Nie tym razem Diaz. Nie tym razem.

Analizę zaczęłam od tego, co wydawało się być głową i centymetr po centymetrze przesuwałam się w stronę stóp. Czas mijał. Bolały mnie kolana i plecy. Oczy i skóra szczypały od pyłków i kurzu. Mimo to z uporem wykonywałam swoje zadanie. Galiano oddalił się, Xicay i Colom pracowali na dnie wąwozu. Byłam sama. Od czasu do czasu do moich uszu dochodziły odgłosy stłumionych rozmów, śpiew ptaków i wykrzykiwane gdzieś na górze pytania.

Dwie godziny później szczątki – plastikowa folia, włosy i ubrania leżały już w plastikowym worku. Krzyżyk umieściłam osobno, w małej torebce. Mój własny plan badań podpowiadał mi, że nie zanalizowałam tylko pięciu kości palców i dwóch zębów.

Tym razem nie tylko musiałam zidentyfikować kości i posegregować je na lewe i prawe. Musiałam dokładnie zanalizować każdy element szkieletu.

Szczątki należą do kobiety w wieku szesnastu – dwudziestu lat lub dwudziestu jeden – dwudziestu czterech lat. Cechy czaszkowo-twarzowe wskazują, że należała do rasy mongoloidalnej. Miała dobrze zaleczone złamanie prawej kości promieniowej i odbudowane cztery zęby trzonowe.

Nie umiałam odczytać, w jaki sposób umarła. Wstępne badanie nie wykazało ran postrzałowych, świeżych złamań ani śladów uderzeń tępym lub ostrym narzędziem.

– De la Alda?

Wrócił Galiano.

– Pasuje do profilu.

– Co się z nią stało?

– Żadnych uderzeń, ran ciętych, śladów po pociskach. Żadnych śladów podduszania.

– Kość gnykowa?

Galiano nawiązał do kości w kształcie nogi końskiej, która rysowała się pod delikatną skórą przedniej części gardła. U dorosłych kość gnykowa może ulec złamaniu podczas duszenia.

– Nienaruszona. Ale to nic nie oznacza w przypadku kogoś tak młodego.

Tak młodego jak dzieciak znaleziony w zbiorniku szamba. Spojrzałam na Galiano i wiedziałam, że pomyśleliśmy o tym samym.

Próbowałam wstać. Kolana mi ścierpły, więc poleciałam do przodu. Znalazłam się w ramionach Galiano. Poczułam ciepło bijące od detektywa.

Zaskoczona, cofnęłam się i skoncentrowałam na czyszczeniu okularów. Poczułam maślany wzrok wlepiający się we mnie. Nie zareagowałam.

– Czy Hernández dowiedział się czegoś jeszcze? – zapytałam.

– Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Czy masz kartę dentystyczną de la Aldy?

– Tak.

– Trzeba by przeprowadzić identyfikację na jej podstawie.

Spojrzałam na Galiano spod okularów. Czy jego uścisk przedłużył się, kiedy stałam już twardo na nogach, czy mi się tylko wydawało?

– Skończyłaś? – zapytał.

– Zostało mi tylko kopanie i przesiewanie.

Galiano spojrział na zegarek. Zerknęłam na swój. Była 17:10.

– Masz zamiar teraz zacząć? – zapytał.

– Mam zamiar teraz skończyć. Jeśli jest tutaj jakiś chory drań polujący na młode kobiety, dobierze się do następnej ofiary.

– Tak.

– Im więcej ludzi się tu kręci, tym bardziej prawdopodobne, że ktoś coś sprzątnie nam sprzed nosa.

Nie potrzebowaliśmy wymawiać nazwiska Diaza.

– Widziałeś tego typu tam na górze. Ta historia przypomina tropikalną ulewę.

Wsunęłam okulary do worka z ciałem.

– Zespół transportowy może zabrać ciało. Upewnij się, że związali worek taśmą.

– Tak jest, proszę pani.

Czy ten drań mnie podrywał, czy tylko to sobie wyobrażałam?

Colom, Xicay i ja spędziliśmy następną godzinę na kopaniu i przesiewaniu ponad piętnastu centymetrów gleby z wydzielonego kawałka rowu, w którym były szczątki. Na sicie znalazły się dwa brakujące zęby, trzy paliczki, kilka palców i paznokci stopy oraz jeden złoty kolczyk.

Gdy Galiano wrócił, pokazałam mu nowe znaleziska.

– Co to jest?

– To jest coś, co my, antropolodzy, nazywamy wskazówką – zabrzmiała jak Fredi Minos.

– To należało do de la Aldy?

– To pytanie do jej rodziny.

– Na żadnym zdjęciu nie nosiła biżuterii.

– To prawda.

Galiano wrzucił torebeczkę z krzyżykiem do swojej kieszeni.

Gdy wyszliśmy z wąwozu, zapadała noc. Wozy telewizyjne odjechały, pozostało jedynie kilku dziennikarzy liczących na wywiad. Zabezpieczyliśmy taśmą worek z ciałem. Padło kilka natrętnych pytań:

– Ile, Galiano?

– Kto to jest?

– Czy to kobieta? Czy była zgwałcona?

– Bez komentarza.

Kiedy wsiadałam do terenówki Galiano, jakaś kobieta zrobiła mi zdjęcie. Trzasnęłam drzwiami, oparłam się o zagłówek i zamknęłam oczy. Galiano wsiadł i uruchomił silnik. Usłyszałam pukanie w szybę, ale zignorowałam je. Galiano cofał. Przełożył rękę za siedzenie,

odwrócił głowę i wykręcił. Jego palce musnęły moją szyję, gdy kładł rękę z powrotem na kierownicy.

Zadrzałam.

Poczułam, jak moje źrenice rozszerzają się.

Jezu, Brennan. Nie jesteś już młodą kobietą. On ma rodzinę. Ty tu tylko pracujesz. To nie jest randka.

Spojrzałam ukradkiem na Galiano. Światła reflektorów przemykały po jego twarzy, zmieniając jej wielkość i kształt. Myślałam o niebieskich migdałach. Czy Galiano wzdrygnął się, kiedy przycisnęłam policzek do jego klatki piersiowej w wąwozie? Czy naprawdę podtrzymał mnie dłużej, niż było to konieczne? Pomyślałam o bukicie wielkości volkswagena, stojącym w moim pokoju hotelowym. Jezu.

– Cholerne rekiny – przeraził mnie głos Galiano. – Nie, oni są gorsi od rekinów. Są jak hieny krążące wokół padliny.

Zamknąłem okno. Śmierdziałam błotem i rozkładającym się mięsem. Zastanawiałam się, czy to nie ja byłam przyczyną złości detektywa.

– Czy zdobyłaś to, czego potrzebowałaś? – zapytał.

– Zrobiłam wstępne oględziny, ale muszę jeszcze sprawdzić wyniki.

– Ona pojechała do kostnicy.

– Czy to znaczy, że już nie zobaczą ciała?

– Nie. A, jeśli mogę coś dodać... Z karty dentystycznej Claudii wynika, że dziewczyna miała wstawiane cztery zęby. Dowiedziałem się też, że kiedyś miała złamaną rękę.

Przez kilka chwil milczeliśmy.

– Dlaczego Diaz nie interesował się tym ciałem? – zapytałam.

– Może w poniedziałki ma wolne.

Dwadzieścia minut później byliśmy pod moim hotelem. Nim Galiano zahamował, zdążyłam otworzyć drzwi. Właśnie sięgałam po plecak, kiedy chwycił moją dłoń.

O, chłopcze.

– Zrobiłaś dzisiaj kawał niezłej roboty.

– Dzięki.

– Jeśli to jakiś pokręcony psychol, przygwoździmy go.

– Tak.

Puścił moją dłoń, koniuszkami palców odgarnął mi włosy z policzka.

Dreszcz.

– Prześpij się.

– Jasne.

Wysiadłam z samochodu. Dominique Specter miała inne piany. Czekwała w holu, na wprost zasłonięta sztuczną roślinką. Gdy weszłam, wstała i rzuciła „Vogue’a” na podłogę.

– Dr Brennan?

Żona ambasadora była ubrana w jasnoszary garnitur z jedwabiu, na jej szyi wisiał naszyjnik z czarnych pereł. Nie pasowała do tego hotelu.

Byłam zbyt zaskoczona jej widokiem, aby odpowiedzieć na pytanie.

– Zauważyłam, że coś jest nie tak.

Spojrzała na moje włosy, brudne paznokcie i zabłocone ubranie. Zapewne czuła również moje „nowe perfumy”.

– Czy nasze spotkanie nie jest dla pani zbyt krępujące? – Znów ten wystudiowany uśmiech.

– Nie – powiedziałam przezornie. – Detektyw Galiano mnie podrzucił. Może jeszcze go złapię.

Sięgnęłam po komórkę.

– Nie!

Podniosłam wzrok. Elektryzujące zielone oczy były bardzo szeroko otwarte.

– Ja... ja wolałabym porozmawiać z panią.

– Detektyw Galia...

– Sama. *Comprenez-vous?*

Nie. Nie rozumiałam. Ale zgodziłam się.

Rozdział 12

Pani Specter powróciła do swego „Vogue’a”, a ja udałam się na górę. Nie byłam pewna, czy jej cierpliwość wywodziła się z grzeczności, czy z obrzydzenia do stanu, w jakim mnie zobaczyła. Nie obchodziło mnie to. Byłam brudna, zmęczona i przygnębiona sześcioma godzinami analizowania zwłok. Wszystko mnie swędziało. Potrzebowałam prysznic.

Skorzystałam ze wszystkiego, co było w łazience. Szampon i odżywka rumiankowa, cytrusowy żel pod prysznic, miodowo-orzechowy krem do ciała, pianka o zapachu zielonej herbaty i cyprysa.

Spojrzałam na łóżko. Marzyłam jedynie o śnie. Nie miałam ochoty na długą rozmowę z cierpiącą matką. Ale... Może Specter zataiła prawdę, a teraz będzie chciała sprostować swoje zeznania? Może przekaze mi jakieś rewelacje, które mogą pomóc rozwikłać całą tę zagadkę?

Może wie, gdzie jest Chantale?

Marzysz, Brennan.

Pachnąca jak perfumeria Douglas, mogłam dołączyć do pani Specter. Matka Chantale zaproponowała, żebyśmy udały się do pobliskiego parku. Zgodziłam się.

Park Kwiatowy był małym placem otoczonym krzakami róż, podzielonym ścieżkami biegnącymi ukośnie od rogu do rogu. Pomiędzy drzewami, na czterech powierzchniach o kształcie trójkątów wysypanych żwirem, stały drewniane ławki.

– Jest piękny wieczór – powiedziała pani Specter, odkładając gazetę i siadając na ławce. – Przypomina mi to letnią noc w Charlevoix. Tam jest mój dom, wiesz?

– Nie, proszę pani. Nie wiem.

– Czy kiedykolwiek byłaś w tej części Quebecu?

– Jest tam bardzo wytwornie.

– Mój mąż i ja mamy swoje małe miejsce w Montrealu, ale staram się odwiedzać Charlevoix tak często, jak mogę.

Minęła nas para. Kobieta pchała wózek, mężczyzna trzymał rękę na jej ramieniu. Obejmował ją. Pomyślałam o Galiano. Mój lewy policzek płonął, gdy przypomniałam sobie, w jaki sposób musnął palcami mój kark. Pomyślałam o Ryanie. Teraz płonęły oba policzki.

– To urodziny Chantale – Słowa pani Specter sprowadziły mnie na ziemię. – Jej siedemnaste urodziny.

Czas teraźniejszy?

– Nie ma jej już od ponad czterech miesięcy.

Było zbyt ciemno, nie widziałam wyrazu jej twarzy.

– Chantale nie pozwoliłaby, abym cierpiała. Gdyby mogła się ze mną skontaktować, zrobiłaby to.

Przebierała nerwowo palcami. Pozwoliłam, by kontynuowała swoje zwierzenia.

– To był niesamowicie trudny rok. Jak to nazwał detektyw Galiano? Wyboista ścieżka? *Oui*, wyboista ścieżka. Ale nawet jeśli Chantale poszła *a fait une fugue* – jak ty to mówisz?

– Uciekła.

– No właśnie, uciekła. Nawet jeśli uciekała, zawsze zawiadamiała mnie, że ma się dobrze. Mogła odmówić powrotu do domu, odmówić podania miejsca pobytu, ale zadzwoniłaby.

Przerwała, patrzyła na starą kobietę grzebiącą w śmietniku.

– Czuję, że przydarzyło jej się coś okropnego.

Reflektory przejeżdżającego samochodu na moment wyrwały twarz pani Specter z ciemności.

– Boję się, że ze zbiornika szamba wyciągnęliście właśnie Chantale.

Zaczęłam mówić, ale przerwała mi.

– Rzeczy nie zawsze są takie, jakimi się wydają być, dr Brennan.

– Co pani usiłuje mi powiedzieć?

– Mój mąż jest wspaniałym człowiekiem. Byłam bardzo młoda, kiedy się pobraliśmy. – Niepewność. Próbowała jasno wyrazić swoje myśli. – Jest dziesięć lat starszy ode mnie. We wczesnych latach było tak...

Przerwała. Najwyraźniej bała się powiedzieć o czymś, czym jednocześnie potrzebowała się podzielić.

– Nie byłam gotowa, aby się ustatkować. Miałam romans.

– Kiedy? – Pierwszy raz podejrzywałam, dlaczego tu jestem.

– W 1983 mój mąż został wysłany do Meksyku. Wciąż podróżował. Większość czasu spędzałam sama, zaczęłam wychodzić wieczorami. Nikogo ani niczego nie szukałam, chciałam tylko zabić nudę. – Wzięła głębszy oddech, wypuściła powietrze. – Poznałam mężczyznę. Zaczęliśmy się spotykać. Byłam zdecydowana odejść od André, aby poślubić Miguela.

Kolejna przerwa. Pani Specter zastanawiała się, na ile może się przede mną otworzyć.

– Zanim podjęłam tę decyzję, o naszym romansie dowiedziała się żona Miguela. On to zakończył.

– Była pani w ciąży – zgadłam.

– Chantale urodziła się następnej wiosny.

– Pani kochanek był Meksykaninem?

– Gwatemalczykiem.

Pamiętałam twarz Chantale z fotografii. Miała głębokie brązowe oczy, wysokie kości policzkowe, szeroką szczękę. Zmyliły mnie blond włosy.

Jezu. Co jeszcze mogłam spartaczyć?

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

– Czy to nie wystarczy?

Głowa pani Specter opadła na ramię.

– Wielu małżonków oszukuje swoich partnerów. – Wiedziałam to z pierwszej ręki.
– Żyłam ze swoim sekretem prawie dwadzieścia lat. To było istne piekło. – Drżał jej głos.
– Przez lata nie byłam w stanie przyznać się, kim jest moja córka, dr Brennan. Nie powiedziałam prawdy ani jej, ani jej ojcu, ani mojemu mężowi, nikomu. Kłamstwo to całe moje życie. Zatrulo moje myśli i marzenia, jakie kiedykolwiek miałam.

Zastanawiałam się, co mogłabym powiedzieć.

– To naturalna reakcja, pani Specter. Czują się pani samotna i winna, ale...

– W styczniu powiedziałam prawdę Chantale.

– O jej biologicznym ojcu?

Wyczułam, że kiwnęła głową.

– Tej nocy, kiedy zaginęła?

– Nie chciała w to uwierzyć. Strasznie mnie wyzywała. Pokłóciłyśmy się. Wybiegła z domu.

Wtedy widziałam ją po raz ostatni.

Przez około dwie minuty żadna z nas się nie odzywała.

– Czy ambasador wie?

– Nie.

Przypomniałam sobie raport dotyczący kości wyciągniętych z szamba.

– Jeśli szczątki odnalezione w Paraiso to szczątki pani córki, wówczas to, co przed chwilą mi pani powiedziała, może się wydać.

– Wiem.

Wyprostowała się i uniosła dłoń w stronę piersi. W nocy jej palce sprawiały wrażenie trupiobladych, a pomalowane paznokcie czarnych.

– Wiem też o zwłokach znalezionych dzisiaj w pobliżu Kaminaljuyú. Chociaż jest mi przykro i jednocześnie się w bólu z jej bliskimi, nie pamiętam, jak nazywała się ofiara.

Wtyki Specterów były niezłe.

– Ofiara nie została zidentyfikowana – powiedziałam.

– To nie jest Chantale, więc skala zawęziła się do trzech.

– Skąd pani to wie?

– Moja córka miała perfekcyjne uzębienie.

Wtyki Specterów były *bardzo dobre*.

– Czy Chantale chodziła do dentysty?

– Chodziła na czyszczenie i kontrole. Policja ma jej karty. Niestety, mój mąż nie zgodził się na niepotrzebne prześwietlenia, więc karta zawiera jedynie informacje o kontrolach.

– Szkielet z Paraiso może nie być szkieletem żadnej z czterech zaginionych dziewcząt – powiedziałam.

– Albo może to być moja córka.

– Czy pani ma kota, pani Specter?

– Cóż za dziwne pytanie.

Wtyki Specterów nie były jednak nieomyślne. Pani Specter nie wiedziała nic o odkryciach Minosa.

– W dzinsach wyciągniętych ze zbiornika szamba znaleziono kocią sierść. – Nie wspomniałam o próbkach, które zebrałam w jej domu. – Powiedziała pani detektywowi Galiano, że nie mają państwo zwierząt domowych.

– Straciliśmy naszego kota podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia.

– Straciliśmy?

– Guimauve utonął. – Czarne paznokcie tańczyły na czarnych perłach. – Chantale znalazła malutkie ciało unoszące się na powierzchni basenu. Była załamana.

Umilkła na chwilę, a potem powiedziała: – Jest późno. Musisz być bardzo zmęczona.

Wstała, wygładziła niewidzialne zmarszczki na perfekcyjnie szarym jedwabiu i weszła na ścieżkę. Dołączyłam do niej.

Odezwała się dopiero, gdy weszliśmy na chodnik. W pomarańczowym świetle lamp ulicznych zauważyłam, że jej starannie umalowana twarz ponownie nabrała wyrazu pełnego godności jak na żonę dyplomaty przystało.

– Mój mąż wykonał kilka telefonów. Prokuratura Okręgowa skontaktuje się z tobą, aby umówić się na termin analizy szczątków znalezionych w Paraiso.

– Będę miała do nich dostęp? – byłam zaskoczona.

– Tak.

Zaczęłam jej dziękować.

– Nie, dr Brennan. To ja powinnam ci dziękować. Przepraszam.

Wyjęła komórkę z torebki i powiedziała kilka słów.

Chwilę szliśmy, nic nie mówiąc. Przez otwarte drzwi barów i knajpek, które mijałyśmy, dobiegała muzyka. Dzwonki rowerów. Pijak. Babcia z wózkiem zakupowym. Na próżno zastanawiałam się, czy była to ta sama kobieta, którą widzieliśmy w parku.

Kiedy doszliśmy do hotelu, zatrzymał się przed nami czarny mercedes. Ubrany na czarno mężczyzna wysiadł i otworzył tylne drzwi.

– Będziemy się za ciebie modlić – powiedziała pani Specter.

Zniknęła za ciemną szybą.

Następnego dnia o dziesiątej rano szkielet z Kaminaljuyú leżał na stole z nierdzewnej stali w kostnicy sądowej Strefy 3. Przy stole stał Galiano, ja oraz dr Angelina Fereira, otoczona specjalistami od sekcji zwłok.

Według raportu Fereiry szczątki zostały sfotografowane i zanalizowane, zanim przyszliśmy. Ubrania leżały na stole tuż za moimi plecami. Przeszukano również plastikowy worek i zbadano włosy.

Zimna terakota, stół z nierdzewnej stali, narzędzia do sekcji, lampy neonowe na suficie, śledczy w maskach i rękawiczkach. Dobrze to znałam.

Zaraz wszystko miało się zacząć. Skrobanie, mierzenie, ważenie, rozdzieranie tkanki, próba odtwarzania szkieletu. Taka analiza była krańcową zniewagą, atakiem po śmierci. Odtwarzała drogę cierpienia, jakie ofiara przeszła pod koniec życia.

W pierwszym odruchu chciałam przykryć szczątki, zabrać je z tych sterylnych pomieszczeń i oddać tym, którzy kochali ofiarę. Rozsądek jednak podpowiadał, że ta ofiara potrzebowała imienia. Tylko wówczas jej rodzina mogła ją pochować. Jej kości cicho wykrzyczą wydarzenia z ostatnich godzin życia, co pozwoli policji zrekonstruować bieg wypadków.

Zgromadziliśmy się wokół stołu z naszymi formularzami, ostrzami, wagami, suwmiarkami, notatnikami, słójkami na próbki i narzędziami.

Ferreira zgodziła się z moim oszacowaniem wieku, płci i rasy. Podobnie jak ja nie odnalazła świeżych złamań lub innych śladów, które wskazywałyby na napad z użyciem przemocy. Mierzylśmy i obliczaliśmy wzrost. Usuwaliśmy fragmenty kości w celu pobrania materiału do ustalenia kodu DNA. Jak się okazało, był to zbędny zabieg. W dziewięćdziesiątej minucie sekcji Hernández przyniósł kartę dentystyczną Claudii de la Aldy. Jedno spojrzenie i wiedzieliśmy, kto leży na stole.

Chwilę po tym jak Galiano i jego partner wyszli, aby przekazać rodzinie de la Alda wiadomość, drzwi ponownie się otworzyły. Wszedł mężczyzna, którego poznałam w Paraiso – dr Hektor Lucas. W ostrym świetle jego twarz sprawiała wrażenie szarej. Przywitał się z Ferrerą i poprosił, by wyszła z pokoju. Z jej oczu biło zaskoczenie, złość i oburzenie.

– Oczywiście, doktorze – powiedziała.

Zdjęła okulary, wrzuciła do naczynia z odpadami biologicznymi i wyszła. Lucas czekał, aż opuści salę.

– Masz pozwolenie na dwugodzinne badanie szkieletu z Paraiso.

– To zbyt mało czasu.

– Będzie musiało wystarczyć. Cztery dni temu siedemnaście osób zginęło w wypadku autobusowym. Od tego czasu zmarły jeszcze trzy. Mój personel i sprzęt są przeciążeni.

Owszem, współczułam ofiarom wypadku i ich rodzinom, jednak większą empatią darzyłam młodą kobietę w ciąży, której ciało zostało potraktowane jak odpady z zeszłego tygodnia.

– Nie potrzebuję pokoju do sekcji zwłok. Mogę pracować gdziekolwiek.

– Nie. Nie możesz.

– Na podstawie czyjego nakazu mam się ograniczyć do dwóch godzin?

– Biura Prokuratora Okręgowego. Señor Diaz utrzymuje, że nie potrzebujemy nikogo z zewnątrz.

– Nikogo z zewnątrz do czego? – zapytałam w przyływie złości.

– Co pani sugeruje?

Wzięłam głębszy oddech, zrobiłam wydech. Spokój.

– Nic nie sugeruję. Próbuję pomóc i nie rozumiem starań Prokuratora Okręgowego, który chce mnie odsunąć od sprawy.

– Przykro mi, dr Brennan. Kości zostaną dostarczone do tego pokoju, o godzinie, którą pani wybierze. Proszę zadzwonić pod ten numer telefonu. – Wręczył mi kartkę.

– To nie ma sensu. Pozwolono mi na pełny dostęp do szczątków z Kaminaljuyú, ale praktycznie zakazano dostępu do tych znalezionych w Paraiso. Czego obawia się Señor Diaz?

– Obowiązuje protokół, dr Brennan. I jeszcze jedno. Niczego nie może pani zabrać ani sfotografować.

– O, ogromna luka w mojej kolekcji pamiątek – warknęłam. Podobnie jak Diaz, Lucas wywoływał we mnie najgorsze odczucia.

– *Hasta la Vista* – powiedział i wyszedł z pokoju.

Kilka sekund później pojawiła się Ferreira. Palila papierosa. Mały skrawek papieru przykleił się do jej ust.

– Audjencia u Hektora Lucasa. Masz szczęście. – Chociaż podczas sekcji zwłok przeszliśmy na hiszpański, teraz mówiła po angielsku. Brzmiała trochę jak Teksanka.

– Tak.

Ferreira oparła się o blat stołu i skrzyżowała dłonie. Angelina miała bardzo krótko ścięte siwe włosy, łuki brwiowe à la Pet Sampras okalały jej ciemnobrązowe oczy i sprężyste ciało.

– Wygląda jak pies gończy, ale jest wybitnym lekarzem.

Nie odpowiedziałam.

– Rywalizujecie ze sobą? – zapytała Ferreira.

Powiedziałam jej o szambie. Słuchała, jej twarz miała poważny wyraz.

Kiedy skończyłam, Ferreira wzięła do ręki coś, co pozostało po Claudii de la Aidzie.

– Galiano podejrzewa, że te sprawy są powiązane?

– Tak.

– Boże, mam nadzieję, że nie są.

– Amen.

Zdjęła strzęp papieru z wargi, przyjrzała się mu i wyrzuciła.

– Myślisz, że szkielet z Paraiso może być szkieletem dziecka ambasadora?

– To możliwe.

– Zakładamy, że to jest powodem naszych problemów z Diazem? Czyżby zakłopotanie dyplomatyczne?

– To nie ma sensu. Specter jest jedyną osobą, która umożliwiła mi dostęp do ciała.

– Na dwie godziny. – Jej głos był pełen sarkazmu. Coś było w tym, co usłyszałam z ust Fereiry. Jeśli Specter miał na tyle władzy, by pokonać Diaza, dlaczego nie uzyska kompletu informacji?

– Jeśli istnieje choćby cień szansy, że to jego córka, dlaczego Specter o tym nie wie? – Ferreira postawiła dokładnie takie pytanie, jakie przyszło mi do głowy.

– Czy Diaz mógł mieć inne powody, by odsunąć mnie od zbadania tych kości?

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Lucas twierdzi, że przez wypadek autobusu, który absorbuje całą ekipę, dano mi tylko dwie godziny na zbadanie szczątków z szamba – powiedziałam.

– To wszystko dookoła jest jakieś dziwne. Jeśli jest jakiegokolwiek pocieszenie, to nie jesteś nim ty. Zarówno Lucas, jak i Diaz nie lubią gdy ktoś się wtrąca.

Kiedy zaczęłam się sprzeciwiać, podniosła rękę.

– Wiem, że się nie wtrącasz, ale oni mogą tak to odbierać. – Spojrzała na zegarek. – Kiedy chcesz badać kości?

– Dziś po południu.

– Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

– W tej chwili nie wiem, ale prawdopodobnie przyda mi się twoja pomoc.

– OK. Jaki masz plan?

Opowiedziałam jej, jaki mam plan. Angelina spojrzała na leżący na stole szkielet Claudii de la Alda, a potem z powrotem na mnie.

– Pomogę ci.

Trzy godziny później skończyłyśmy sekcję de la Aldy. Zjadłyśmy szybki lunch. Angelina zajęła się jedną z ofiar wypadku autobusowego. Claudia de la Alda została odwieziona do chłodni, a na ten sam stół trafił szkielet z Paraiso. Technik od sekcji zwłok siedział w rogu pokoju, pomocnik obserwował, co robię.

Kości były oczyszczone z błota. Oglądałam zębra i miednicę. Zapiisałam stan każdego wyrostka grzebieniastego, czepka, szwu czaszkowego, przejrzałam uzębienie. Upewniłam się w swoim wcześniejszym przypuszczeniu, że szczątki są szczątkami szesnasto-dwudziestoletniej kobiety. Nie pomyliłam się również co do rasy mongoloidalnej. Moje wcześniejsze naoczne obserwacje potwierdziły wyniki pomiarów czaszki i analizy komputerowej. Sprawdzałam, czy zgon nastąpił wskutek urazu, jednak nic na to nie wskazywało. Nie zauważyłam też żadnych cech szczególnych szkieletu, które mogłyby być wykorzystane do identyfikacji. Uzębienie było doskonałe.

Właśnie skończyłam zapisywać rozmiar kości długiej, który miał mi posłużyć do obliczenia wzrostu denatki, gdy w poczekalni rozległ się dzwonek telefonu. Odebrał technik. Po chwili wrócił i powiedział, że mój czas się skończył. Odeszłam od stołu, zdjęłam maskę i okulary. Żaden problem, pomyślałam. Miałam to, co było mi potrzebne.

Na zewnątrz słońce skrywało się za słodkimi chmurkami sprawiającymi wrażenie utkanych z bawełny. Powietrze pachniało dymem palonych śmieci, a lekki wietrzyk podrywał opakowania i gazety z chodnika.

Wzięłam głębszy wdech i spojrzałam na pobliski cmentarz. Nagrobki, tanie wazy i słoiki z wstawionymi w nie kwiatami rzucały cienie na ścieżki pomiędzy mogiłami. Staruszka odziana w czerń usiadła na jednej z cmentarnych ławeczek, spuściła głowę. Z jej kościstych palców zwiślał

różaniec.

Powinnam czuć się zwycięzcą. Pomimo że nie dokończyłam oględzin szczątków z Paraiso, w pewnym sensie pokonałam Diaza, a moje przypuszczenia okazały się trafne. Jednak czułam jedynie smutek. Bałam się.

Patricia Eduardo zaginęła trzy miesiące po Claudii de la Aidzie. Dwa miesiące po Patricii zniknęła Lucy Gerardi. 10 dni po niej, Chantale Specter. Jeśli krył się za tym jakiś wariat, jego żądza krwi rosła.

Wyjęłam komórkę, lecz zanim wystukałam numer Galiano, telefon zadzwonił mi w dłoni. To był Mateo Reyes.

Molly Carraway obudziła się ze śpiączki.

Rozdział 13

Niedługo po nastaniu świtu Mateo i ja wjeżdżaliśmy na trasę prowadzącą do Sololá. Mknęliśmy serpentyną dróg w różowiejącej poświacie poranka. Jadąc w dół, zanurzaliśmy się we mgle. Wokół otaczało nas chłodne powietrze i lekka poranna mgiełka, w dali rysował się niewyraźnie horyzont. Mateo dociskał gaz do dechy, stawiając pewnie czoła śmiertelnym zakrętom. Siedziałam obok Reyesa. Mój łokieć wystawał poza okno, wiatr rozwiewał włosy, chłodził twarz. Myślałam o Carlosie i Molly.

Carlosa spotkałam raz czy dwa, Molly znalazłam dziesięć lat. Późno poszła na antropologię. Była nauczycielką biologii w szkole średniej. Frustrowały ją obowiązki kawiarniane i patrole łazienkowe. Molly zmieniła kierunek w wieku trzydziestu jeden lat – wróciła na studia. Zanim zrobiła doktorat z bioarcheologii, dostała stanowisko na Wydziale Antropologii Uniwersytetu Minnesota.

Podobnie jak ja, Molly wciągnęła się w pracę lekarza medycyny sądowej dzięki gliniarzom i koronerom. Obie bez reszty poświęcałyśmy swój czas, ścigając tych, którzy naruszali prawa człowieka. W odróżnieniu ode mnie,

Molly nigdy nie porzuciła studiów archeologicznych. Grzebała w szczątkach, kilka razy opiniowała sprawy jako biegły sądowy, jednak archeologia pozostała jej głównym zainteresowaniem. Miała jeszcze tylko do zdobycia certyfikat Amerykańskiego Zarządu Antropologii Medycznej. Ale zdobędziesz go, Molly. Zdobędziesz.

Mateo i ja jechaliśmy w milczeniu. Gdy wyjeżdżaliśmy z Gwatemali, ruch był niewielki. Zwiększał się, kiedy zbliżaliśmy się do Sololá. Mijaliśmy gęste, zielone doliny, żółte pastwiska, na których pasły się stada ciemnobrązowych krów, przydrożne wiejskie sklepiki.

Po około dziewięćdziesięciu minutach podróży Mateo odezwał się.

– Lekarz powiedział, że była wstrząśnięta.

– Otwórz oczy po dwóch tygodniach przerwy w życiu, to też będziesz wstrząśnięty.

Weszliśmy w zakręt. Zapach spalin z mijających nas samochodów wpadł do szoferki dzipa.

– Może i tak.

– Może? – spojrzałam na niego.

– Nie wiem. Coś dziwnego było w głosie tego lekarza.

Mateo wyprzedził ciężarówkę.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Miałem wrażenie, że chciał mi coś powiedzieć między wierszami.

– Co jeszcze ci powiedział?

– Niewiele.

- Czy jest jakieś stałe uszkodzenie?
- Nie wie albo nie chce powiedzieć.
- Czy ktoś z rodziny Molly pochodzi z Minnesoty? – zapytał Mateo.
- Jej ojciec. Nie wyszła za mąż?
- Rozwiedziona. Ma dzieci w szkole średniej.

Umilkliśmy. Wiatr rozwiewał jego drelichową koszulę, a w szklach ciemnych okularów odbijały się złote prążki.

Wkrótce dojechaliśmy do szpitala w Sololá. Był to sześciopiętrowy gmach wykonany z czerwonej cegły i brudnego szkła. Mateo zaparkował na jednym z niewielu małych parkingów i podążyliśmy cienistą alejką do głównego wejścia. W przedsionku betonowy Jezus przywitał nas otwartymi ramionami.

Hol wypełniony był ludźmi. Modlili się, pili wodę, siadali, kołysali się na drewnianych ławkach. Niektórzy ubrani w domowe ciuchy, inni w bardziej odświętne. Większość jednak przywdziała tradycyjne ubrania Majów. Mężczyźni – wełniane fartuchy, pasterskie kapelusze i haftowane we wzory spodnie i koszule. Kobiety w pasiastych, czerwonych chustach nosiły na plecach lub brzuchu swoje dzieci. Tę kolorową ciżbę przecinali od czasu do czasu pracownicy szpitala w bieli.

Rozejrzałam się wokół, próbując się zorientować w rozplanowaniu budynku. Znaki wskazywały drogę do kawiarni, sklepu z pamiątkami, biur i tuzina oddziałów szpitalnych. Radiologia. Urologia. Pediatria.

Ignorując zalecenie, aby zgłaszać się do rejestracji, Mateo poprowadził mnie bezpośrednio do windy. Wysiedliśmy na piątym piętrze i skierowaliśmy się w lewo. Podeszwy naszych butów stuknęły na wypolerowanych kafelkach. Kiedy doszliśmy do korytarza, ujrzałam swoje odbicie w małych, prostokątnych okienkach tuzina zamkniętych drzwi.

– *¡Alto!** [Alto! – Stój! (przyp. red.)] – dobiegło nas z tyłu.

Odwróciliśmy się. Wywołująca burzę zmysłów pielęgniarka biegła na dół, przyciskając kartę szpitalną do czystego, białego fartucha. Uskrzydłony czepek. Włosy zebrane z tyłu wystarczająco mocno, by spowodować pęknięcie środka jej twarzy na pół.

Pielęgniarka Smoczyca wyciągnęła rękę z kartą i obeszła nas dookoła – strzegła przeprawy przez piąte piętro.

Uśmiechnęliśmy się zwycięsko.

Smoczyca zapytała o powód naszej obecności tutaj.

Mateo odpowiedział.

Spojrzała w kartę, a potem na nas, jakbyśmy byli Leopoldem i Loebem* [Leopold i Loeb – Nathan Freudenthal Leopold (1904-1971) i Richard A. Loeb (1905-1936), studenci Uniwersytetu w Chicago, którzy wierząc, że są zdolni do popełnienia perfekcyjnej zbrodni i nie zostaną ujęci, w 1924 r. zamordowali czternastoletnią Bobby Franks, za co zostali skazani na dożywocie (przyp. tłum.)]

– Rodzina?

Mateo wskazał na mnie.

– Amerykanka.

Większy podziw.

– Numer 35.

– Dziękujemy.

– *Veinte minutos. Nada mas.* Macie dwadzieścia minut. Nie więcej.

– Dziękujemy.

Molly wyglądała jak śmierć na chorągwi. Jej cienka bawełniana koszula nocna była wyblakła i przywierała do ciała jak pierzasty całun. Molly była przeraźliwie chuda. Jedna rurka wychodziła z jej nosa, druga z ręki.

Mateo wyszeptał:

– Jezu Chryste.

Położyłam rękę na jego ramieniu.

Molly otworzyła oczy, które przypominały lawendowe groty. Rozpoznała nas i próbowała unieść się. Pospieszyłam jej z pomocą.

– *¿Que hay de nuevo?* – wyszeptałam.

– Co u ciebie? – powtórzyłam.

– Miałam świetną sjęstę.

– Wiedziałem, że pracowaliśmy zbyt ciężko – próbował żartować Mateo, choć jego głos był poważny.

Molly uśmiechnęła się słabo, wskazała na szklanekę wody stojącą na nocnym stoliku.

– Możesz?

Natychmiast podałam jej słomkę. Objęła ją suchymi wargami, napiła się i oparła wygodnie na poduszkach.

– Znacie mojego ojca? – Podniosła rękę i wskazała na róg pokoju.

Mateo i ja obróciliśmy się.

W kącie siedział starszy mężczyzna. Miał białe włosy, pobrużdżone policzki i czoło. Zmarszczki bieły również w poprzek jego brody. Chociaż białka oczu pożółkły z wiekiem, błękitne tęczówki przypominały przejrzyste górskie jezioro.

Mateo podszedł do niego i wyciągnął rękę:

– Mateo Reyes. Jestem szefem Molly.

– Jack Dayton.

Podali sobie ręce.

– Miło mi pana poznać, panie Dayton – odezwałam się.

Kiwnął głową.

– Przykro mi, że w takich okolicznościach.

– Tutaj się spotykamy?

– Słucham?

– Co się stało mojemu dziecku?

– Tato. Bądź miły.

Położyłam dłoń na ramieniu Molly.

– Policja prowadzi śledztwo.

– Już dwa tygodnie.

– Takie rzeczy wymagają czasu – powiedział Mateo.

– Tak.

– Czy informują pana na bieżąco? – zapytałam.

– Żadnych nowych informacji – odpowiedział ojciec Molly.

– Jestem pewna, że pracują nad tą sprawą. – Nie byłam pewna, chciałam po prostu uspokoić ojca Molly.

– Już dwa tygodnie – Spojrzał na swoje splecione palce.

To prawda, Jacku Daytonie. To wszystko prawda.

Dotknęłam dłoni Molly.

– Jak się czujesz?

– Za jakiś czas będę zdrowa jak ryba. – Kolejny słaby uśmiech. – Nigdy nie rozumiałam tego wyrazu twarzy. Był charakterystyczny dla rolników. Molly odwróciła głowę w stronę swojego ojca:

– Jak tam tato?

Starszy pan nawet nie drgnął.

– Mam 42 lata, ale moi rodzice wciąż myślą, że jestem ich małą córeczką. – Molly odwróciła się do mnie. – Sprzeciwiali się mojemu wyjazdowi do Gwatemali.

Jack Dayton obdarzył swą córkę lodowatym spojrzeniem.

– Zobacz, co się stało.

Uśmiechnęła się do mnie ukradkiem.

– Mogłam zostać napadnięta w Makato, tatku.

– W naszym kraju łapiemy przestępców i zamykamy ich.

– Wiesz, że nie zawsze.

– Przynajmniej gliniarze mówiliby w języku, który znam.

Dayton wstał i poprawił spodnie.

– Zaraz wracam.

Wyszedł z pokoju. Jego Nike piszczały na kafelkach.

– Musisz wybaczyć ojcu, przeraża i złości go ta sytuacja. Widać, jak bardzo cię kocha. Co mówią lekarze?

– Fizykoterapia, a potem będę zdrowa jak ryba. Nie chcę zanudzać cię szczegółami.

– Cieszę się. Martwiliśmy się o ciebie. Niemal każdego dnia ktoś tutaj wpadał.

– Wiem. Jak idzie w Chupan Ya?

– Badania posunęły się do przodu – powiedział Mateo. – W ciągu kilku tygodni zidentyfikujemy wszystkie szkielety.

– Czy jest aż tak źle, jak zeznają naoczni świadkowie tamtych wydarzeń?

Przytaknęłam.

– Sporo ran postrzałowych i ciętych. Ofiarami są w większości kobiety i dzieci.

Molly nic nie powiedziała.

Spojrzałam na Mateo. Dał mi znak. Przełknęłam ślinę.

– Carlos...

– Gliny mi powiedziały.

– Przesłuchiwali cię?

– Wczoraj.

Westchnęła.

– Nie mogłam im wiele powiedzieć. Pamiętałam tylko urywki. Reflektory w tylnej szybie. Samochód spychający nas z drogi. Dwóch mężczyzn idących w naszym kierunku. Kłótnia. Strzały. Jakaś postać... a potem ciemność.

– Pamiętasz, jak do mnie dzwoniłaś?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Rozpoznałabyś tych mężczyzn?

– Było ciemno. Nie widziałam ich twarzy.

– Czy pamiętasz co mówili?

– Niewiele. Carlos powiedział coś, co przypominało słowa: „*mota, mota*”

Spojrzałam na Mateo.

– Łapówka.

Molly podniosła rękę i rozpuściła włosy. Jej przedramię było tak jasne jak podbrzusze ryby.

– Jeden mężczyzna mówił pozostałym, aby się pośpieszyli.

– Coś jeszcze? – zapytałam.

W holu rozległ się gong windy.

Molly spojrzała niepewnie na drzwi, potem na mnie. Zaczęła mówić ciszej.

– Mój hiszpański nie jest najlepszy, ale myślę, że jeden powiedział coś o inspektorze.

– Podejrzewasz, że to byli gliniarze?

Znowu zerknęła na drzwi. Przypomniałam sobie zachowanie Galiano w Gucumatz.

– A może żołnierze zamieszani w masakrę w Chupan Ya? – dodałam.

W tej chwili wpadła Smoczyca i obrzuciła nas władcym spojrzeniem.

– Ta pacjentka musi wypoczywać.

Mateo podniósł rękę do ust i wyszeptał teatralnie: „Misja skończona. Znaleźli nas”.

Smoczyca nie wyglądała na rozbawioną.

– Pięć minut? – zapytałam, uśmiechając się.

Spojrzała na zegarek.

– Pięć minut. Wrócę tu. – Jej twarz zdradzała, że była gotowa wezwać pomoc.

Molly obserwowała, jak Smoczyca wychodzi. Gdy za pielęgniarką zamknęły się drzwi, dodała:

– Było jeszcze coś, o czym nie wspomniałam policji. Nie chciałam.

Przeniosła wzrok z Mateo na mnie.

– N... – Przełknęła ślinę. – Nazwisko.

Czekaliśmy.

– Mogłabym przysiąc, że słyszałam, jak jeden z mężczyzn powiedział „Brennan”.

Czułam się tak, jakby ktoś postawił mnie pod mur. Niewiele do mnie docierało w tej chwili.

Usłyszałam, jak Mateo przeklął.

– Jesteś pewna? – wydusiłam wreszcie, patrząc na Molly.

– Tak. Nie. Tak. O, Boże, Tempe, myślę, że tak. Mam w głowie jeden wielki galimatias. – Opadła na poduszki. Miała oczy pełne łez.

Ścisnęłam jej rękę.

– W porządku, Molly. – Zaszło mi w ustach, miałam wrażenie, że ściany pokoju zaraz się na nas zawalą.

– Co, jeśli oni cię śledzą? – Molly była wstrząśnięta. – Jeśli jesteś ich następnym celem?

Pogłaskałam ją po głowie.

– Było ciemno. Bałaś się. Wszystko działo się tak szybko. Prawdopodobnie źle zrozumiałaś.

– Nie darowałabym sobie, gdyby ktoś cię zranił. Tempe, obiecaj mi, że będziesz ostrożna!

– Oczywiście, że będę.

Uśmiechnęłam się, choć ogarniał mnie paniczny strach.

Po wyjściu ze szpitala Mateo i ja zjedliśmy lunch w restauracji Hotelu Paisaje. Zdecydowaliśmy, że historię, którą opowiedziała Molly, trzeba przekazać policji.

Przed wjazdem z Sololá odwiedzimy posterunek policji. Detektyw prowadzący śledztwo nie miał dla nas nowych informacji. Przyjął nasze zawiadomienie o przestępstwie, ale było jasne, że nie da wiary wspomnieniom Molly, która twierdzi, że bandyci wypowiedzieli moje nazwisko. Nie wspomnieliśmy o jej podejrzeniach, jakoby w sprawę był zamieszany jakiś inspektor.

Kiedy wracaliśmy do Gwatemali, widoczność była bardzo słaba. Gęsta mgła, unosząca się nad dolinami, dryfowała wzdłuż drogi. Mateo i ja prawie nie odzywaliśmy się do siebie. W mojej głowie kłębiły się pytania.

Kto strzelał do Carlosa i Molly? Dlaczego? Policja myliła się, utrzymując, że był to zwykły napad. Amerykański paszport jest cenny jak złoto, a przecież oprawcy nie wzięli paszportów. Dlaczego nie uprowadzono Molly? Czy policja nie chciała kontynuować dalszego śledztwa? Jakie były motywy oprawców?

Czy Molly ma rację? Czy strzelanina miała na celu utrudnienie śledztwa w Chupan Ya? Czy ktoś czuje się zagrożony, bo jest powiązany z masakrą?

Molly była niemal pewna, że napastnicy wypowiedzieli nazwisko: Brennan. Mogli mieć na myśli tylko jedną Brennan. Dlaczego interesowali się mną? Czy miałam być ich następną ofiarą?

Kim był inspektor? Czy policjanci opóźniają śledztwo, czy może uczestniczą w przestępstwie?

Raz za razem zerkałam w boczne lusterko.

Po godzinie jazdy, oparłam głowę o siedzenie i zamknęłam oczy. Wstałam o piątej i teraz odczułam zmęczenie. Bolała mnie głowa, a powieki same się zamykały. Powoli odpływałam w krainę snu.

Inspektor. Co za inspektor?

Inspektor budowlany. Inspektor rolnictwa. Autostrady. Od emisji spalin. Wodny. Od kanalizacji.

Kanalizacja.

System szamba.

Paraiso, strzeliłam.

– A co, jeśli to wcale nie był inspektor?

Mateo spojrział na mnie.

– A co, jeśli Molly słyszała więcej niż jedno nazwisko?

– Pan inspektor?

– Señor Specter – powiedział.

– Dokładnie. – Cieszyłam się, że Galiano opowiedział Mateo o Chantale Specter.

– Myślisz, że oni mówili o André Specterze?

– Może ten napad miał coś wspólnego z córką ambasadora?

– W takim razie dlaczego strzelali do Carlosa i Molly?

– Może pomylili Molly ze mną. Obie jesteśmy Amerykankami. Jesteśmy podobnie zbudowane, mamy brązowe włosy.

Jezu. To wszystko brzmiało zbyt prawdopodobnie.

– Może dlatego wymienili moje nazwisko.

– Galiano wprowadził cię w sprawę Paraiso tydzień po tym, jak strzelano do Carlosa i Molly.

Może ktoś odczytał ich intencje i zdecydował się na przytrzymanie mnie z dala od tej pętli.

Kto mógł mieć te informacje?

Po raz kolejny przypomniałam sobie Galiano we wnęce restauracji Gucumatz. Zmroziło mnie.

Kilka minut później usłyszeliśmy syrenę. Wóz policyjny siedział nam na ogonie.

¡Maldicion! Cholera!

Wciąż obserwowałam w lusterku radiowóz.

Światła samochodu były coraz bliżej, odgłos syreny stawał się wyraźniejszy.

Mateo zjechał na pas wolnego ruchu.

Gdy radiowóz zrównał się z naszym dziupem, w szoferce zrobiło się czerwono. Mateo patrzył

na drogę, ja wgapiłam się w rdzawą plamkę na desce rozdzielczej.

Radiowóz minął nas i zniknął we mgle.

Moje serce przestało walić, dopiero gdy zamknęliśmy za sobą bramę siedziby głównej FAFG.

Zadzwoiłam do biura Galiano. Nie było go. Oddzwonił w ciągu kilku minut. Był zajęty do wieczora, ale chciał wiedzieć, czego dowiedziałam się od Molly. Zaproponował obiad w Las Cien Puertas. Doskonale jedzenie, umiarkowane ceny, dobra latynoska muzyka – zachwalał, jakby był udziałowcem tej restauracji.

Kolejne trzy godziny poświęciłam na Chupan Ya. O 18:15 wróciłam przygnębiona do hotelu. Myślałam o tym, czego dowiedziałam się od Molly, o tym, co mi groziło. Wiedziałam, że nigdy nie ucieknę od śmierci.

By się rozluźnić, przebrałam się i zaczęłam myśleć o Galiano.

Gdzie jest żona Galiano i młody Alejandro?

Nałożyłam róż na policzki.

Czy odciążam Galiano od rodziny?

Śmieszne. To służbowy obiad.

A pora?

Cóż, pora była kwestią planu dnia. Oboje byliśmy pochłonięci pracą.

Sięgnęłam po tusz do rzęs.

Czy te obiady z Galiano są uzasadnione?

Owszem, to biznes.

Więc po co długie rzęsy?

Wrzuciłam tusz do kosmetyczki.

Galiano przyjechał o 19:00.

Las Cien Puertas znajdowała się w pasażu typowym dla Strefy 1. Chociaż piękny, kolonialny wystrój zastąpiono ordynarnym graffiti, jedzenie było wyśmienite.

Opowiedziałam Galiano o wizycie w Sololá. Stwierdził, że faktycznie ktoś mógł się pomylić i uznać, że Molly to ja. Chciał załatwić mi broń. Odmówiłam, upierając się, że moja czujność w zupełności mi wystarcza. Nie przyznałam się przed Galiano, że broń po prostu przeraża mnie bardziej niż myśl o czyhających na moje życie napastnikach.

Galiano snuł domysły, że blokowanie śledztwa w Chupan Ya i strzelanina mogły być ze sobą powiązane. Jeśli tak było, może nic mi nie grozi, skoro zakończyliśmy wykopaliska. Mimo to nalegał, bym nie podróżowała samotnie.

Dyskutowaliśmy na temat mojej teorii dotyczącej Spectera.

– To mogłoby tłumaczyć, dlaczego nie zezwolono mi na pełny dostęp do kości z Paraiso.

– Dlaczego?

– Ktoś wywiera nacisk na Prokuratora Okręgowego.

- Kto?
- Nie wiem.
- Dlaczego?
- Trudno odgadnąć.

Irytował mnie sceptycyzm Galiano w tej kwestii. A może po prostu nie umiałam mu udzielić właściwej odpowiedzi.

Powróciłam myślami do momentu, gdy potknęłam się w wąwozie. Czy istnieje pamięć dotykowa? Czy Galiano rzeczywiście drgnął, kiedy mój policzek dotknął jego torsu?

Oczywiście, że nie.

Galiano zmienił temat i zaczął opowiadać o śledztwie w sprawie zabójstwa Claudii de la Aldy. Mówił po angielsku bez akcentu, ale bardzo miarowo. Podobał mi się jego głos, podobała mi się mimika jego twarzy. Byłam zauroczone sposobem, w jaki na mnie patrzył.

Biznes, Brennan. Jesteś naukowcem, a nie uczennicą.

Kiedy przyniesiono rachunek, wyjęłam kartę płatniczą American Express i wręczyłam kelnerowi. Tym razem Galiano nie protestował.

Wsiadliśmy do samochodu. Galiano oparł się o zagłówek.

– Co cię gryzie? – Neon reklamy pulsował, oświetlając jego twarz.

– Nic.

– Zachowujesz się jak prześladowana kobieta.

– Wnikliwa obserwacja, chociaż błędna diagnoza.

– Tempe, jestem wrażliwym facetem.

– Naprawdę?

– Czytałem *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*.

– Hmm...

– *Co się wydarzyło w Madison County*.

Dotknął kciukiem moich warg. Odwróciłam głowę.

– Czemu mnie nie zauważasz? – zapytał z nutką zawodu w głosie.

– Gdzie jest pani Galiano dziś wieczorem? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Przez chwilę patrzył zakłopotany. Potem zaśmiał się.

– Ze swoim mężem, jak sędzę.

– Rozwiedliście się?

Detektyw przytaknął skinieniem głowy. Odgarnął moje włosy i musnął palcami szyję. Poczułam dreszcz rozkoszy.

– A co z Ryanem? – zapytał.

– To tylko przyjaźń. Pracowaliśmy razem.

Prawda. Pracowaliśmy razem.

Galiano przysunął się. Poczułam jego przyspieszony, ciepły oddech na policzku. Musnął wargami moje ucho, zaczął całować szyję.

Och, chłopaku.

Po chwili pocałował mnie w usta. Jego język był zarazem delikatny i niecierpliwy. Czułam męską słodycz, bawełnę i coś cierpkiego. Czas stanął w miejscu. Galiano pocałował moją lewą powiekę, potem prawą.

Nasze amory przerwał dźwięk jego komórki.

Galiano wyjął telefon z pokrowca i odebrał, jedną ręką wciąż rozgarniając moje włosy.

– Galiano.

Cisza.

– *Ay, Dios.*

Wstrzymałam oddech.

– Kiedy?

Znów milczenie.

– Czy ambasador wie?

Zamknęłam oczy, moje palce zacisnęły się w pięści.

– Gdzie one teraz są?

Proszę, Boże. Tylko nie kolejne zwłoki.

– Tak.

Galiano rozłączył się, pogłaskał mnie po głowie i położył dłoń na moim ramieniu. Przez chwilę patrzył na mnie, jego oczy błyszczały w ciemnościach panujących w szoferce samochodu.

– Chantale Specter? – Ledwo zadałam to pytanie.

Kiwnął głowę.

– Nie żyje?

– Zeszłej nocy została aresztowana w Montrealu.

Rozdział 14

Żyje? – Wiedziałam, że moje pytanie było wyjątkowo głupie.

– Była z nią Lucy Gerardi.

– Niemożliwe!

– Zostały zatrzymane, gdy kradły płyty CD w sklepie muzycznym MusiGo w Le Faubourg.

– Kradzież? – zdziwiłam się.

– Ćpunkci.

– Dlaczego?

– Sądzę, że przechodzą okres buntu.

Przymknęłam oczy.

– Co je zaprowadziło do Montrealu?

– Linie lotnicze Air Canada.

Dupek i żartowniś. O nic więcej nie zapytałam.

Galiano uruchomił silnik i wyjechaliśmy z parkingu.

Kiedy wracaliśmy, oparłam stopy o deskę rozdzielczą, a kolana przyciągnęłam do klatki piersiowej. Nowiny o Chantale Specter skutecznie stłumiły w nas ochotę na amory.

Nim Galiano zahamował, otworzyłam drzwi.

Zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz coś wiedział.

– Zadzwonię.

Pomachałam mu ręką na pożegnanie.

– Jakiś problem? – czułam, jak moja twarz płonie ze wstydu.

Galiano uśmiechnął się:

– Nie, żaden.

Zbyt wzburzona, by zasnąć, odsłuchiwałam wiadomości z Montrealu i z Charlotte. Pierre LaManche dzwonił, żeby powiedzieć, że na strychu w Quebecu znaleziono zmumifikowaną głowę. Gazety spekulują, że pochodzi z lat trzydziestych. Sprawa nie jest pilna. Potrzebował mnie jednak rozkładający się męski tułów, który przybił do brzegu w Lac des Deux-Montagnes. Wprost wołał, abym zbadała go najszybciej jak to możliwe.

W Północnej Karolinie nie potrzebowali moich antropologicznych usług.

Pete informował, że Ptasiak i Boyd mają się dobrze.

Katy nie było w domu.

Ryana również.

Zjadłam dwa pączki chomikowane na czarną godzinę i włączyłam CNN.

Tropikalny sztorm Armand zagrażał Florydzie. W Buenos Aires aresztowano trzech

Kanadyjczyków za przekręt na giełdzie. Bomba zabiła cztery osoby w Tel Awiwie. Sto osób zostało rannych w wypadku pociągu w pobliżu Chicago. Większość ofiar odniosła lekkie obrażenia. Szczęśliwi prawnicy, pomyślałam i wyłączyłam telewizor.

Wzięłam prysznic, nawilżyłam odżywką włosy, ogoliłam pachy i nogi, wyskubałam brwi i nakremowałam całe ciało.

Gładka niczym pupa niemowlęcia powędrowałam do łóżka. Byłam zmęczona, mimo to sen nie przychodził. Wciąż myślałam o czterech zaginionych dziewczynach.

Claudia de la Alda – ofiara zabójstwa. Patricia Eduardo – zaginiona, ale być może to jej ciało odnaleźliśmy w szambie. Chantale Specter i Lucy Gerardi – aresztowane w Kanadzie.

Czemu Chantale i Lucy, nie wspominając o tym nikomu, udały się do Montrealu? Jak się tam dostały? Gdzie się ukryły i dlaczego?

Czy dziewczyna ze zbiornika szamba ma związek z zabójstwem Claudii de la Aldy? Czy te dwie sprawy łączą się ze sobą? Czy teoria Galiano o seryjnym zabójcy jest błędna? Kto poinformował panią de la Alda o miejscu, w którym leżą zwłoki jej córki?

Czy ktokolwiek zajął się rodziną de la Alda, by pomóc znieść im tę tragedię? Gdzie jest Patricia Eduardo? Czy ciało wyciągnięte ze zbiornika szamba jest jej ciałem? Kto teraz opiekuje się końmi Patricii?

Kto zadzwonił do Galiano w sprawie Chantale Specter? Byłam tak zaskoczona nowinami o żywych Chantale i Lucy, że nie zapytałam o to.

Galiano.

Obkurcz psychiczny. Poczułam się jak dziecko, które ma twarz przyciśniętą do tapczanu.

A co z Ryanem?

Co, u diabła, z Ryanem?

Ryan i ja spotykaliśmy się. Poszliśmy na kolację, na wystawę do Muzeum Sztuk Pięknych, byliśmy razem na kilku imprezach, zagraлиśmy w tenisa. Udało mu się namówić mnie nawet na kregle.

Czy byliśmy parą?

Nie.

Mogliśmy być?

Ława przysięgłych w sytuacji bez wyjścia.

Co sądziłam o Ryanie? Podobał mi się, lubiłam jego towarzystwo, szanowałam go za uczciwość.

Chmara motylków przefrunęła właśnie przez mój żołądek.

Dla mnie Ryan był męskim symbolem seksu.

Więc dlaczego zwróciłam uwagę na Galiano?

Znów motylki.

Prostak i niechluj.

Ryan i ja mieliśmy niepisaną umowę, a właściwie zasadę, która brzmiała: Nie pytaj, nie

odpowiadaj. Sprawdzala się w amerykańskiej armii i jak dotąd sprawdzala się w układzie między mną a Ryanem. Nie chciałam angażować się w romans z Galiano.

Czym się przejmujesz, zapytałam samą siebie. Nie poślubiłaś ani Ryana, ani Galiano. Nie ma sensu robić sobie wyrzutów, nie ma o czym gadać. Jednak to nie było takie proste...

Przez kolejne pół godziny myślałam o bzdurach. W końcu moje sfrustrowane libido zasnęło i ja również.

Z głębokiego snu wybudził mnie dzwonek telefonu. Światło przedzierało się przez byle jak przewieszzone zasłony.

Po drugiej stronie słuchawki Dominique Specter nadawała jak katarynka.

– Słyszałaś?

– Tak.

Spojrzałam na zegarek. 7:20.

– *C'est magnifique*. Nie kradzież, oczywiście, ale to, że Chantale żyje. – Jej głos był wysoki i pełen napięcia. Nawet akcent miała lepszy.

– To wspaniała wiadomość. – Usiadłam.

– *Oui*. Moje dziecko żyje – mówiła w euforii. – Wiesz może, czy Chantale została oskarżona o coś więcej niż kradzież sklepową? – dodała.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Musimy tam jechać i przywieźć ją do domu.

Nie powiedziałam Dominique, że sędzia może nie wyrazić na to zgody.

– Jeśli to przez narkotyki, znajdę jej nowy, lepszy program odwykowy.

– Dobry pomysł.

– Będziemy nalegali.

– Jasne.

– Brennan, ona ciebie posłucha.

– Mnie?

Nagle zupełnie się rozbudziłam.

– *Mais, oui*.

– Ja nie jadę do Montrealu.

– Zarezerwowałam dwa miejsca na popołudniowy lot. – Pani Specter nie znosiła odmowy.

– Nie mogę teraz wyjechać z Gwatemali.

– Ale ja cię potrzebuję.

– Pracuję nad kolejnym projektem.

– Nie mogę tam sama pojechać.

– A gdzie jest pan Specter?

– Mój mąż jest na konferencji rolniczej w Meksyku.

– Pani Spec...

– Chantale była wściekła tej nocy, kiedy wyszła z domu. Podczas kłótni mówiła straszne rzeczy. Powiedziała, że nie chce mnie już nigdy więcej widzieć.

– Jestem pewna...

– Może nie chcesz rozmawiać ze mną!

Podaj jej krople uspokajające.

– Mogę do pani oddzwonić?

– Proszę, nie odwracaj się do mnie plecami. Potrzebuję twojej pomocy. Chantale również. Jesteś jedną z niewielu osób, które znają naszą historię.

– Pozwól, że zdecyduję, co mogę zrobić w tej sytuacji – odpowiedziałam, kończąc tę rozmowę.

Odrzuciłam kołdrę i przerzuciłam nogi przez łóżko.

Dlaczego ambasador nie śpieszy się, by być ze swoją żoną i córką? Dominique sprawiała wrażenie zmartwionej.

Gapiałam się na plamkę widniejącą na moim kolanie w miejscu, gdzie się zacięłam podczas golenia.

Czy na miejscu pani Specter zachowałabym się inaczej? Prawdopodobnie, ale nie na pewno.

Powlokłam się do kuchni, wsypałam łyżeczkę mielonej kawy do ekspresu i dodałam wodę. Pan Kawa zabulgotał zaraz po tym, gdy skończyłam jeść pączka.

Mogłabym spotkać się z Ryanem, pomyślałam.

LaManche potrzebował mojej opinii w sprawie dotyczącej tułowia z Lac des Deux-Montagnes. Zaznaczył, że to pilne.

Pomyślałam o szkieletach znalezionych w Chupan Ya, które leżały na stołach laboratoryjnych FAFG. Ofiary nie żyły od ponad dwudziestu lat, mimo to dla mnie ta praca była tak samo pilna jak potrzeba pomocy LaManche'owi? Czy Mateo przez kilka dni nie dałby sobie rady beze mnie?

Wlałam kawę do kubka, dolałam mleka.

Przypomniałam sobie osiemnastoletnie ciało de la Aldy rzucone do rowu, a potem szczątki znalezione w zbiorniku szamba. Czułam się winna. Byłam sfrustrowana. Im ciężej ja i Galiano pracowaliśmy, tym bardziej oddalaliśmy się od rozwikłania tej zagadki.

Potrzebowałam konkretów.

Chciałam mieć opinię o kocich włosach.

Spojrzałam na zegarek. 7:40.

I jeszcze jedno. Czy Ferreira była w stanie skończyć analizę?

W pudełku zostały jeszcze dwa pączki. Hmm... ile to kalorii? Milion czy dwa miliony? Do jutra będą czerstwe.

Pobyty w Montrealu zająłby mi tylko kilka dni. Mogłabym pomóc pani Specter dogadać się z Chantale, a potem wrócić do ofiar z Chupan Ya.

Zjadłam pączki, dopiłam kawę i poszłam do łazienki.

O ósmej zadzwoniłam do laboratorium w Montrealu i poprosiłam o połączenie z wydziałem do spraw badania DNA. Kiedy Robert Gagne podszedł do słuchawki, opowiedziałam mu sprawę Paraiso i wyjaśniłam, czego chcę. Powiedział, że mógłby mi pomóc. Zgodził się nadać sprawie priorytet, jeśli osobiście dostarczę mu próbki.

Zadzwoniłam do Minosa. Obiecał, że za godzinę dostarczy spakowane włosy kota.

Zadzwoniłam do kostnicy w Gwatemali. Dr Fereira wykonała to, co chciałam.

Zadzwoniłam do Susanne Jean z Korporacji RP produkującej sadzonki roślin w St-Hubert i opowiedziałam jej w zarysie swój plan, podobnie jak wcześniej opowiedziałam Gagne. Była przekonana, że się nam uda.

Zadzwoniłam do Mateo. Powiedział mi, że w Montrealu mogę spędzić tyle czasu, ile potrzebuję. To samo stwierdził Galiano. Po tym telefonie odłożyłam słuchawkę i skierowałam się do drzwi.

OK, pani ambasadorowo. Będę towarzyszką twojej podróży i mam nadzieję, że bez problemów przejdziemy gwatemalską odprawę.

Kiedy weszłam do sali sekcyjnej na stole leżał facet – głowa i ręce niemal całkiem zwęglone, brzuch otwarty niczym usta na obrazie Bacona. Angelina Fereira trzymała w dłoni wielki, płaski nóż, właśnie kroїła wątrobę. Zajęta ofiarą wypadku nawet nie spojrzała na mnie, tylko powiedziała znad stołu:

– *Un momento.*

Pewnym ruchem usunęła trzy płyty i wrzuciła je do słoika na próbki, w którym znajdowały się już fragmenty płuc, żołądka, śledziony, nerek i serca.

– Każdemu robisz sekcję?

– Nie, oględziny pasażerów robię pobieżnie. To jest kierowca.

– Zostawiłaś sobie go na deser?

– Znaleźliśmy go wczoraj. W przeciwieństwie do większości ofiar, nie jest całkowicie zwęglony.

Fereira zdjęła maskę i okulary, umyła ręce i podeszła do drzwi wahadłowych, dając mi znak, bym poszła za nią. Zeszliśmy do małego biura bez okien. Angelina zamknęła drzwi, podeszła do sekretarzyka i wyjęła dużą, brązową kopertę.

– Radiolog ze szpitala Centro Medico wyświadczył mi przysługę. – Mówiła po angielsku. – Musiałam na to wypisać skierowanie.

– Dziękuję.

– We wtorek, po wyjściu Lucasa, wykradłam czaszkę.

– Nie musiałaś tego robić.

– Zrobiłam dobrą rzecz.

– Co masz na myśli?

Fereira wyjęła z koperty jeden z wielu filmów. Zawierał 16 zdjęć tomograficznych. Każde

przedstawiało pięciomilimetrowe przekroje przez czaszkę znaną w zbiorniku szamba. Podnosząc zdjęcie rentgenowskie pod światło, wskazała małą, białą plamkę na zdjęciu numer 9. Na kilku kolejnych zdjęciach plamka powiększała się, zmieniała kształt, zmniejszała się. Na 14. nie była już widoczna.

– Zauważyłam coś w kości sitowej. Pomyślałam, że może się przydać. Po twoim porannym telefonie poszłam, aby jeszcze raz rzucić okiem na czaszkę. Szczątki zniknęły.

– Zniknęły?

– Skremowane.

– Zaledwie po tygodniu? – byłam oniemiała.

Ferreira przytaknęła.

– To standardowa procedura?

– Jak widzisz, brakuje nam miejsca. Nawet w normalnych warunkach nie możemy pozwolić sobie na dłuższe trzymanie szczątków i ciał. Wypadek autobusowy doprowadził nas na skraj. – Ściszyła głos. – Jednak dwa tygodnie mogliśmy trzymać te szczątki.

– Kto to podpisał?

– Próbowałam uzyskać jakieś informacje na ten temat. Nikt nic nie wie.

– Pewnie papiery także zniknęły – zgadłam.

– Technik przysięga, że położył nakaz na urnie zaraz po zakończeniu kremacji, ale nigdzie nie można go znaleźć.

– Jakaś teoria?

– Tak.

Wróciła do filmu wyjętego z koperty.

– *Vaya con Dios.*

O 12:57 zapinałam pas. Wraz z Dominique Specter siedziałyśmy w pierwszej klasie samolotu linii American Airlines do Miami. Pani ambasadorowa pomalowanymi paznokciami drapała podłokietnik. Przy moich stopach stała teczka ze zdjęciami tomograficznymi od dr Fereiry i wciśniętymi pomiędzy nie próbkami kocich włosów.

Pani Specter bez przerwy gadała podczas jazdy limuzyną i oczekiwania w poczekalni lotniska. Opisywała Chantale, wspominała anegdoty z jej dzieciństwa, snuła teorie co do przyczyn problemów córki, układała plan rehabilitacji. Zachowywała się jak przerażony ciszą DJ pomiędzy zmianą płyt, gdy na chwilę milkną dźwięki muzyki. Wiedziałam, że gadanina Specter była spowodowana napięciem, jakie odczuwała. Włączyłam empatię i nie mówiąc wiele, słuchałam i wydawałam z siebie znikomą ilość dźwięków.

Gdy samolot rozpedzał się na pasie startowym, by poderwać się do lotu, Dominique nagle ucichła. Zaciśnęła wargi, oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. Kiedy byliśmy już w powietrzu, wyjęła kopię „Paris Match” z torby podręcznej i zaczęła wertować strony.

Ponownie zaczęła trajkotać podczas przesiadki w Miami i ucichła podczas lotu do Montrealu. Przypuszczając, że moja towarzysząca boi się latać, pozwoliłam jej na dalsze kontrolowanie rozmowy, a właściwie prowadzenie monologu.

Podróżowanie z żoną ambasadora miało też swoje zalety. Kiedy nasz samolot wylądował o 22:38, podszedł do nas mężczyzna w garniturze i przeprowadził przez kontrolę celną. Przed 23:00 siedzieliśmy już w limuzynie.

Pani Specter milczała. Pędziłyśmy w kierunku Centre-Ville, wjechałyśmy do Guy i skręciłyśmy w prawo na Rue Ste-Catherine. Zastanawiała mnie cisza ze strony pani ambasadorowej. Może skończyły jej się słowa? Może będąc w domu, uspokoiła swą duszę? Słuchałyśmy Roberta Charleboisa.

Je reviendrais à Montréal... Wrócę do Montrealu...

Za oknem migały światła miasta.

Gdy sięgnęłam po teczkę, pani Specter chwyciła mnie za rękę. Jej dłoń była zimna i spocona.

– Dziękuję – wyszeptwała.

Usłyszałam skrzypnięcie bagażnika, a potem głośne trzaśnięcie.

– Cieszę się, że mogę pomóc.

Dominique wzięła głębszy oddech.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo możesz pomóc.

Drzwi po mojej stronie otworzyły się.

– Niech mi pani powie, kiedy możemy zobaczyć się z Chantale. Pójdę na to spotkanie z panią.

Położyłam swoją dłoń na dłoni pani Specter. Ścisnęła ją i pocałowała.

– Dziękuję – zaakcentowała. – Czy Claude ma ci pomóc?

– Nie, dam sobie radę.

Claude wniósł moją walizkę na samą górę i zaczekał, aż otworzę drzwi. Podziękowałam mu. Kiwnął głową, odstawił mój bagaż i wrócił do limuzyny.

Pani Specter pomknęła limuzyną w noc.

Rozdział 15

Przed siódmą następnego ranka mknęłam asfaltową jezdnią pod Montrealem. Nade mną miasto ziewało i budziło się do życia. Jechałam szerokim tunelem Ville-Marie. Byłam w doskonałym nastroju.

Przez Quebec przechodziła wiosenna fala gorąca. Kiedy przyjechałam do domu około północy, termometr zaokienny wskazywał 80 stopni, a temperatura wewnątrz była tak wysoka, jakby w pomieszczeniu było 900 stopni.

Dziesięć minut walczyłam z klimatyzacją. Wcisnęłam wszystkie guziki, przeklinałam i błagałam, by zadziałała. Spocona i wściekła w końcu otworzyłam wszystkie okna i padłam na łóżko. Nie mogłam zasnąć. Tuzin ulicznych chłopców przesiadywał *en fête* na tylnych schodach pizzerii z dziewięć metrów od okna mojej sypialni. Wrzeszczeli i nie przejmowali się tym, że ktoś próbuje zasnąć.

Przewracałam się z boku na bok, wybudzana co chwilę odgłosami dobiegającymi z ulicy. Byłam wściekła. Ranek powitałam uporczywym bólem głowy.

Biuro Koronera i Laboratorium. Medycyny Sądowej (LSJML) mieściły się w trzydziestopiętrowym budynku w kształcie litery T, zbudowanym ze szkła i betonu w bliskim sąsiedztwie zachodniego Centre-Ville. Budynek został mianowany „SQ”, czyli *Sûreté du Québec*, a jego głównym najemcą była policja.

Kilka lat temu władze Quebecu zdecydowały się zainwestować miliony w organy ścigania i medycynę sądową. Budynek został odnowiony, a LSJML przeniosło się z piątego na dwunaste i trzynaste piętro, gdzie dotychczas mieścił się areszt tymczasowy. Podczas oficjalnej ceremonii otwarcia wieża odrodziła się jako *Édifice Wilfried-Derome*. Jednak dla większości wieża wciąż funkcjonowała pod starą nazwą – SQ.

Wyjeżdżając z tunelu przy browarze Molsona, przejechałam pod mostem Jacquesa Cartiera, przez De Lorimier, skręciłam w prawo i przejechałam przez dzielnicę, w której bloki mieszkalne i podwórka przypominały kształtem znaczki pocztowe, od frontu budynki przyozdobione były metalowymi schodami. W słońcu mieniły się srebrne iglice kościołów z szarego kamienia. Narożne *dépanneurs*. Nad tym wszystkim górował Wilfried-Derome/SQ.

Po dziesięciu minutach krążenia znalazłam miejsce parkingowe. Wysiadając z samochodu, sięgnęłam po laptop oraz teczkę i udałam się w kierunku bloku.

Dzieci w dwu- i trzyosobowych grupkach przemierzały się w kierunku pobliskiej szkoły niczym mrówki zbiegające się do topniejącego Big-Milka. Wcześniej przybyłe bawiły się na placu zabaw, kopały piłkę, skakały przez linę, krzyczały, biegały. Mała dziewczynka zerkała przez kute z żelaza ogrodzenie, paluszki oplótła wokół sztachet, co przypomniało mi dzieci z Chupan Ya. Dziewczynka obserwowała mnie. Jej twarz pozostawała bez wyrazu. Nie

zazdrościłam jej kolejnych ośmiu godzin spędzonych w dusznej klasie.

Przede mną również niełatwy dzień. Nie miałam na myśli zmumifikowanej głowy czy rozkładającego się tułowia. Bałam się mediacji pomiędzy Chantale i jej matką. Żałowałam, że nie zatrudniłam się w firmie handlującej telefonami. Płatne wakacje. Wielkie premie. Żadnych ciał.

Zanim weszłam do holu, byłam już cała spocona. Poranna mieszanka smogu, spalin i zapachów docierających z browaru skutecznie odtleniła mój mózg. Miałam wrażenie, że ból rozsądzi mi czaszkę.

Na korytarzu nie było automatów z kawą. Przyłożyłam identyfikator do czytnika, przesłam przez bramki, wcisnęłam guzik windy, przeciągnęłam moją kartę dostępu do laboratorium i wysiadłam na dwunastym piętrze. Na ustach miałam jedno słowo:

Kawa!

Kolejne przeciągnięcie karty dostępu, szklane drzwi rozchyliły się i znalazłam się w skrzydle medycyny sądowej.

Po prawej stronie korytarza ciągnęły się biura, po lewej laboratoria. Mikrobiologia. Histologia. Patologia. Antropologia/Odontologia. Przez szyby sięgające do połowy ściany mogłam zauważyć, co dzieje się w laboratoriach. Laboratoria były puste.

Zerknęłam na zegarek. Była 7:35. Technicy i pozostały personel zaczynali swój dzień o 8:00. Miałam dla siebie prawie trzydzieści minut.

Tylko Pierre LaManche, dyrektor wydziału medycyny sądowej, przychodził o 7:00 i zostawał długo po tym, jak jego pracownicy dawno już odbili swoje karty. Od dziesięciu lat pracowałam w LSJML, a starszy pan był wciąż tak niezawodny jak Timex.

Był dość tajemniczą osobą. Każdego roku brał trzy tygodnie urlopu w lipcu i tydzień na święta Bożego Narodzenia. Miał wolne, lecz mimo to codziennie dzwonił do pracy. Nie podróżował, nie jeździł na kempingi, nie pracował w ogrodzie, nie łowił ryb, ani nie grał w golfa. Nie miał żadnego hobby. Zawsze grzecznie odmawiał odpowiedzi, kiedy ktoś pytał, jak spędził wakacje. Przyjaciele i koledzy przestali się więc interesować czasem wolnym LaManche'a.

Moje biuro znajduje się bezpośrednio za laboratorium antropologicznym. Tym razem musiałam użyć klucza. Moje biurko pokrywała góra papierów. Ignorując to, położyłam, laptop i teczkę, chwyciłam kubek i pomknęłam do pokoju socjalnego. Mijając w drodze powrotnej gabinet LaManche'a, wetknęłam głowę przez uchylone drzwi.

LaManche uniósł wzrok znad kartki. Przypominał Monsieur Eda. Pociągła twarz była poznaczona zmarszczkami, a na nosie widniały okulary ze szklami w kształcie półksiężyców.

– Temperance. – Tylko LaManche wymawiał całe moje imię z idealnym francuskim akcentem. Ostatnia sylaba rymowała się ze słowem *sconce*: – *Comment ça va?*

Zapewniłam go, że mam się dobrze.

– Proszę, wejdź. – Wskazał swoją wielką, piegowatą dłońią dwa krzesła stojące naprzeciwko jego biurka. – Siadaj.

– Dziękuję. – Postawiłam mój kubek z kawą na podłokietniku.

– Jak było w Gwatemali?

Jak podsumować Chupan Ya?

– Ciężko.

– Pod wieloma względami.

– Tak.

– Policja gwatemalska chciała cię mieć.

– Nie wszyscy podzielali ten entuzjazm.

– O?

– Co chcesz wiedzieć?

Zdjął okulary, rzucił je na blat biurka i rozparł się wygodnie w fotelu.

Opowiedziałam mu o śledztwie w sprawie szczątków z Paraiso i o przeszkodach, jakie piętrzył przede mną Diaz.

– Czy temu mężczyźnie nie przeszkadzało twoje uczestnictwo w sprawie Claudii de la Aldy?

– Mam wrażenie, że w ogóle nie zajęła go ta sprawa. Nie pojawił się nawet na miejscu zbrodni.

– Czy są jacyś podejrzani w sprawie tego zabójstwa?

Zaprzeciłam.

– Córka ambasadora i jej przyjaciółka są tutaj, więc tylko jedna kobieta pozostaje zaginiona?

– Tak, Patricia Eduardo.

– Pozostaje jeszcze ofiara znaleziona w szambie.

– Tak. To może być Patricia.

Byłam zakłopotana.

– Czy nie mogłaś powstrzymać Diaza?

– To mój błąd. Mogłam wykonać dokładniejsze badania, kiedy miałam okazję.

Milczeliśmy przez chwilę.

– Jednak mam kilka pomysłów – dodałam.

Opowiedziałam mu o próbkach kocich włosów.

– Co masz zamiar osiągnąć dzięki tym analizom?

– Profil może być przydatny, jeśli znajdziemy podejrzanego.

– Tak – odpowiedział wymijająco.

– Sierść psa naprowadziła Wayne'a Williamsa na ślad morderców dziecka z Atlanty.

– Nie tłumacz się, Temperance. Zgadzam się z tobą.

Zamieszałam kawę.

– To prawdopodobnie martwy koniec.

– Ale jeśli Monsieur Gagne ma ochotę przeprowadzić analizę profilu włosa, dlaczego z tego nie skorzystać?

Opowiedziałam mu moje plany dotyczące zdjęć tomograficznych.

– To brzmi bardziej obiecująco.

Mam nadzieję.

– Znalazłaś na swoim biurku informacje ode mnie?

LaManche nawiązał do *Demande d'Expertise en Anthropologie*, kwestionariusza, który wypełniam przed każdą kolejną sprawą. W tej ankiecie patolog określa rodzaj badania, podaje listę zaangażowanego personelu i pisze krótki raport.

– Czaszka nie wygląda na ludzką. Wszystko wskazuje na to, że zgon nastąpił dość dawno. Tułów to inna historia. Proszę zacznij analizę od niego.

– Jakies możliwości?

– Robert Clément od niedawna działał na własny rachunek na rynku narkotykowym w zachodnim Quebecu.

– Zapewne nie płacił haraczu Aniołom.

LaManche przytaknął.

– Nie mogą na to pozwolić.

– Zrozumiałe, to źle wpływa na ich interesy.

– Clément przyjechał do Montrealu na początku maja i wkrótce słuch o nim zaginął. Przepadł jak kamień w wodę. Jego zaginięcie zgłoszono dziesięć dni temu.

Uniosłam brwi. Motocykliści generalnie unikają zainteresowania organów ścigania.

– Zadzwoiła anonimowa kobieta.

– Zaraz się za to zabiore.

Wróciłam do biura i zadzwoniłam do Susanne Jean. Nie było jej, więc zostawiłam wiadomość. Następnie zaniósłam próbki z Paraiso do wydziału DNA. Gagne wysłuchał mojej prośby, w roztargnieniu klikając długopisem.

– Intrygujące zadanie – powiedział.

– Też tak sędzę.

– Nigdy nie analizowałem próbek kota.

– To może być miejsce na twoje nazwisko w księdze nauki.

– Król od Feline Double Helixa.

– Wolne miejsce.

– Mógłbym nazwać to Projektem Felix Helix. – Imię kota z kreskówki w języku francuskim brzmiało dość dziwnie.

Gagne sięgnął po plastikowe pojemniczki Minosa.

– Czy powinienem zatrzymać sobie jakąś próbeczkę?

– Rób wszystko, co zechcesz. Laboratorium w Gwatemali ma tego więcej.

– Uważasz, że mogę się tym trochę pobawić, sprawdzić kilkoma technikami?

– Wykończysz się.

Podpisaliśmy formularz przekazania dowodu i wróciłam prędko do swojego biura.

Zanim stanęłam twarzą w twarz z głową i tułowiem, spędziłam kilkanaście minut,

przekładając stertę papierów z jednej kupki na drugą. W stercie papierzysk znalazłam kartki z prośbami LaManche'a i wyłowilałam różowe pokrowce do telefonów. Miałam nadzieję, że Ryan zostawił mi jakąś wiadomość, coś w stylu: *Bienvenue*. Witaj ponownie. Cieszę się, że tu jesteś. Nie majak w domu.

Detektywi. Studenci. Dziennikarze. Jeden prokurator, który dzwonił cztery razy.

Wiadomość od Ryana.

Wspaniale. Nie miałam wątpliwości, Ryan vel Slierlock wiedział, że wróciłam.

Czułam świdrujący ból głowy.

Lekceważąc stertę leżącą na biurku, sięgnęłam po kwestionariusz *Demande d'Expertise*, wślizgnęłam się w fartuch laboratoryjny i ruszyłam do drzwi. Byłam w połowie drogi, gdy zadzwonił telefon.

To była Dominique Specter.

– *Il fait chaud*.

– Jest bardzo gorąco – zgodziłam się, przeglądając jeden z kwestionariuszy LaManche'a.

– Mówią, że możemy mieć tu dziś rekordową temperaturę.

– Tak – odpowiedziałam w zamyśleniu, czytając ankietę. Czaszkę znaleziono w bagażniku.

LaManche zauważył źle powyrywane zęby i linkę przewleczoną przez język.

– W mieście zawsze jest bardziej gorąco. Mam nadzieję, że masz klimatyzację.

– Tak – odpowiedziałam, myśląc o czymś znacznie bardziej makabrycznym niż wysoka temperatura.

– Jesteś zajęta?

– Nie było mnie tu prawie trzy tygodnie, więc...

– Oczywiście. Przepraszam, że przeszkadzam. – Przerwała, okazując skruchę. – Możemy spotkać się z Chantale o pierwszej.

– Gdzie ona jest?

– Na komisariacie policji na Guy, w pobliżu bulwaru René Lévesque.

Operacyjny Południe. To było zaledwie kilka bloków od mojego mieszkania.

– Mamy po ciebie przyjechać?

– Spotkamy się na miejscu.

Ledwo odłożyłam słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił ponownie. To była Susanne Jean. Cały ranek spędzi z inżynierami z Volvo, potem ma spotkanie na lunchu z przedstawicielem firmy Bombardier, ale może się ze mną spotkać po południu. Umówiliśmy się na trzecią.

Przechodząc do laboratorium, przygotowałam skoroszyt i szybko przejrzałam dane na temat tułowia. Dorosły mężczyzna. Rąk, nóg i głowy – brak. Zaawansowany stan rozkładu. Znaleziony w kanale w Lac des Deux-Montagnes. Koroner: Leo Henry. Patolog: Pierre LaManche. Oficer prowadzący śledztwo: detektyw porucznik Andrew Ryan, Wydział Quebec.

Dobrze, dobrze.

Szczałki były na dole, więc zjechałam windą, przeciągnęłam identyfikator i wcisnęłam

najniższy z trzech guzików: LSJML. Koroner. Kostnica.

W piwnicy przeszłam do kolejnego strzeżonego pomieszczenia. Po lewej stronie były otwarte drzwi do sal sekcyjnych. Trzy z nich wyposażono w jeden stół, największa miała dwa.

Przez małe okienko w drzwiach głównego holu zauważyłam kobietę w fartuchu laboratoryjnym. Miała długie, kręcone włosy, spięte z tyłu głowy. Lisa – piękna trzydziestoparolatka o serdecznym uśmiechu i rozmiarze 36Ds była ulubienicą detektywów z działu zabójstw.

Była również moją ulubienicą.

Słyszając, że ktoś wchodzi, odwróciła się i powiedziała:

– Dzień dobry. Myślałam, że jesteś w Gwatemali.

– Zamierzam tam wkrótce wrócić.

– R i R?

– Niezupełnie. Chciałabym rzucić okiem na tułów LaManche’a.

Spoważniała.

– Ma 64 lata, dr Brennan.

– Lisa, nie zgrywaj się.

– Numer z kostnicy?

Zerknęłam na kwestionariusz.

– ... nr 4?

– Proszę.

Zniknęła za podwójnymi drzwiami. Za nimi znajdowała się jedna z pięciu komór kostnicy, każda podzielona na 14 wnęk chłodniczych zabezpieczonych drzwiami z nierdzewnej stali. Małe białe karty informowały, kto jest najemcą. Czerwone nalepki ostrzegały o HIV-pozytywnym statusie. Numer z kostnicy podpowiedział Lisie, za którymi drzwiami leży tułów.

Przeszłam do sali nr 4. Była wyposażona w dodatkową wentylację. To sala dla pływaków i wzdętych. Sala dla spaleńców. Sala, w której zazwyczaj pracowałam.

Miałam już prawie nałożoną maskę i okulary, kiedy Lisa wepchnęła wózek ze zwłokami przez drzwi wahadłowe, podobne do tych w korytarzu głównym. Kiedy rozpięłam zamek plastikowego worka, smród wywołujący wymioty wypełnił powietrze.

– Myślałam, że jest zrobiony.

– I co jeszcze.

Lisa i ja wrzuciłyśmy tułów na stół. Chociaż spuchnięty i zniekształcony, genitalia miał nienaruszone.

– To chłopak – zawyrokowała położna Lisa Lavigne.

– Niewątpliwie.

Notowałam, podczas gdy Lisa robiła prześwietlenia, których zażądał LaManche. Wskazywały na artretyzm kręgów i szczątków kości kończyn.

Używając skalpela, usunęłam miękkie tkanki otaczające mostek. Lisa zwiększała obroty piły

tarczowej przechodzącej przez twarde zakończenia trzeciego, czwartego i piątego żebra. Obejrzałyśmy szczegółowo miednicę, a potem rozcięłyśmy ją w miejscu, gdzie na linii środkowej stykają się dwie połówki miednicy. Kości wzgórka łonowego i kości żeber były porowate i wykazywały wiele nierówności. Ten facet wyglądał na starszego.

Przede mną ciężki orzech do zgryzienia – ustalenie rodowodu. Kolor skóry nie wnosił wiele, ponieważ w zależności od warunków, w jakich leży ciało, może stać się ciemniejszy lub jaśniejszy, bądź przybrać jakikolwiek kolor. Ten gość nieźle się kamuflował. Barwa skóry oscylowała między ciemnym brązem a zielenią. Mogłam wykonać pomiary antropometryczne, ale bez głowy i kończyn ocena pochodzenia będzie prawie niemożliwa.

Odseparowałam piąty krąg szyjny, najbardziej skrajny z pozostałych. Odsunęłam kleiste mięso z kikutów po kończynach dolnych i górnych, a Lisa pobrała próbki z twardych zakończeń kości barkowej i udowej.

Pobieżne oględziny wykazały znaczne spękanie kośćca i ukazały głębokie wyłobienia w kształcie litery L wzdłuż całej powierzchni nacięcia. Podejrzewałam, że to dzieło piły łańcuchowej.

Podziękowałam Lisie, zabrałam próbki na dwunaste piętro i podrzuciłam je laborantom. Denis zwilżył kości a następnie powoli oddzielał pozostałe mięso i chrząstki. W ciągu kilku dni będę miała okazy do kolejnej analizy.

Zegar McGilla stojący na parapecie okiennym w moim biurze obrócony jest w stronę fotografii członków stowarzyszenia studenckiego. Obok postawiłam moje zdjęcie z Katy, zrobione któregoś lata na Outer Banks. Wchodząc do biura, zawsze kierowałam swój wzrok na twarz córki. Tym razem również poczułam dotkliwy ból i nieprzebraną miłość, gdy tylko spojrzałam na to zdjęcie. Po raz kolejny zastanawiałam się, dlaczego budzi ono we mnie takie emocje. Tęsknota za córką? Poczucie winy, przez to że tak często jestem z dala od Katy? Tęsknota za przyjaciółką, przy której zwłokach znalazłam to zdjęcie? Tak, znalazłam to zdjęcie w trumnie mojej przyjaciółki. Przypomniałam sobie strach i wściekłość. Wyobraziłam sobie jej zabójcę. Zastanawiałam się, czy myślał o mnie podczas swych długich więziennych dni i nocy.

Dlaczego zachowałam to zdjęcie?

Nie potrafię tego wyjaśnić.

Dlaczego stoi w moim biurze?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Może znam, tylko nie chcę jej zrozumieć?

Wśród paraliżującego szaleństwa zabójstw, okaleczeń i samozagłady to porysowane, wyblakłe zdjęcie przypomina mi, że miałam uczucia. Wzbudza emocje.

Od kilku lat stoi na parapecie okiennym.

Rzuciłam okiem na zegar McGilla. 12:45. Muszę się pośpieszyć.

Rozdział 16

Na zewnątrz budynku SQ powietrze było ciężkie i wilgotne. Wiaterek od St. Lawrence dawał niewielkie wytchnienie. Czulałam wyraźnie zapach rzeki. Gdy szłam do samochodu, mewa skrzeczała nad moją głową, świętując przedwczesne przyjsięcie lata.

System policyjny Quebecu jest złożony. SQ odpowiada za wszystkie części prowincji niebędące pod jurysdykcją sił miejskich, których jest wiele na przedmieściach Montrealu. Sama wyspa jest chroniona przez Policję Komendy Miejskiej Montrealu, w skrócie CUM. CUM dzieli się na cztery wydziały: Operacyjny Północ, Południe, Wschód i Zachód. Niezbyt twórcze, ale geograficznie poprawne. Każdy wydział ma swą siedzibę z sekcjami: śledczą, interwencyjną i oddziałem analizy. Każdy z wydziałów ma areszt. Podejrzani aresztowani za przestępstwa inne niż zabójstwo i napaść seksualną oczekują postawienia w stan oskarżenia w jednym z tych czterech aresztów sekcyjnych. Za kradzież sklepową w sklepie MusiGo w Le Faubourg na Rue Ste-Catherine, Chantale Specter i Lucy Gerardi zostały wsadzone do Operacyjnego Południe.

Operacyjny Południe, który obejmuje moje sąsiedztwo, jest tak różnorodny, jak tylko różnorodny może być fragment miasta. Choć w przeważającym stopniu słycać tu francuski i angielski, pojawia się też grecki, włoski, libański, chiński, hiszpański, perski i tuzin innych języków. Mamy tu Uniwersytet McGilla i klub striptizowy Wanda, solarium i Hurley Pub, Katedrę Marie-Reine-du-Monde i sklep z prezerwatywami przy Crescent Street.

Operacyjny Południe (Op South) jest domem separatystów i federalistów, handlarzy narkotyków i bankierów, bogatych, wdów i biednych studentów. To plac zabaw dla wielbicieli hokeja i singli szukających drugiej połowy, miejsce pracy dla dojeżdżających z przedmieść, sypialnia dla włóczęgów, którzy piją z butelek schowanych w papierowych torebkach i śpią na chodnikach. Przez lata badałam zabójstwa, których dokonano właśnie tutaj.

Wracając na swój poranny szlak, skierowałam się na zachód tunelem, wyjechałam na Atwater, pojechałam na północ w St-Marc, skręciłam w prawo na Ste-Catherine, dokładnie na Guy. Byłam, kilka metrów od domu.

Kiedy podjechałam, myślałam o rodzicach Chantale i Lucy. Señor Gerardi – arogancki i butny. Jego zastraszona żona. Pani Specter z jej zielonymi, elektryzującymi oczami i pociągniętymi chińską czerwienią paznokciami. Nieobecny pan Specter. Mieli szczęście. Ich córki żyją. Wyobraziłam sobie Señorę Eduardo, zaniepokojoną nieznanym losem Patricii. Wyobraziłam sobie de la Aldów, przygnębionych śmiercią Claudii, wyrzucających sobie, że nie mogli zapobiec tragedii.

Kierowałam się w stronę parkingu. Stanełam pomiędzy dwoma radiowozami. Claude skrzyżował ręce na wysokości piersi, opierał się o deskę rozdzielczą mercedesa Specterów. Gdy przechodziłam obok, kiwnął głową na powitanie.

Weszłam na posterunek, podeszłam do dyżurnego, podałam swój identyfikator i wyjaśniłam powód wizyty. Strażnik porównał mnie z kobietą ze zdjęcia i przesunął palcem w dół listy.

– Prawnik i matka już weszli. Proszę tutaj zostawić swoje rzeczy – powiedział.

Podałam strażnikowi torebkę. Zamknął ją w szafce, nagryzmołił coś w rejestrze i odwrócił się w moim kierunku.

Kiedy wpisywałam godzinę wejścia i nazwisko, strażniczka odebrała telefon i powiedziała kilka słów. W tej chwili drugi strażnik stanął w zielonych, metalowych drzwiach po mojej lewej stronie. Strażnik nr 2 sprawdził mnie wykrywaczem metali i przepuścił mnie przodem. Nasze ruchy były monitorowane przez kamery nad głowami. Odprowadził mnie na dół, do oświetlonego neonówkami korytarza.

Na wprost była sala wytrzeźwień. Jej lokatorzy leżeli, spali albo grali w karty. Za salą wytrzeźwień kolejne zielone drzwi. Za drzwiami blok z celami. Po drugiej stronie od wytrzeźwiałki lada. Za ladą drewniana krata, wieszak na kapelusze dla przychodzących więźniów. Standardowy wystrój aresztu.

Przeszliśmy przez kilka drzwi oznaczonych napisem ENTREYUE DÉTENU. Z wcześniejszych wizyt wiedziałam, że każde z nich otwierały się do wewnątrz malutkiej kabinki z telefonem na ścianie, beczułkowatym stołkiem, ladą i oknem – wszystko to tworzyło kabinę dla gości. Rozmowy odbywały się przez szklaną szybę za pomocą linii telefonicznej. Rozmowy z aresztowanymi, którzy nie byli potomkami ambasadorów.

Ominęliśmy salę widzeń dla więźniów. Strażnik zatrzymał się przed drzwiami z napisem ENTREVUE AVOCAT i dał mi znak, bym weszła. Nigdy nie byłam po stronie dla prawników. Zastanawiałam się, czego mogę oczekiwać. Krzesel z czerwonej skóry? Kieliszków do brandy? Fotografii ludzi grających w golfa w Szkocji?

Chociaż większy, pokój był urządzony równie minimalistycznie, jak te przeznaczone dla narzeczonych i rodzin więźniów. Jedynymi sprzętami były telefon, metalowy stolik i krzesła.

Przy stole siedziała pani Specter, jej córka i mężczyzna, który, jak przypuszczałam, był rodzinnym prawnikiem. Wysoki, gruby mężczyzna miał podwinięty kołnierzyk dwurzędowego garnituru. Twarz i czubek jego głowy, otoczony czupryną szarych włosów, były błyszczące i zaczerwienione.

Pani Specter dopasowała swój strój do letniej pogody. Miała na sobie garnitur w kolorze écru, białe pończochy i pantofelki z odkrytymi palcami. Na jej nadgarstku połyskiwała złota bransoletka nabijana delikatnymi, drobnymi perełkami poprzedzielanymi miedzianymi spiralkami. Obdarzyła mnie wymuszonym uśmiechem, by za chwilę skryć swą twarz za perfekcyjną, niewzruszoną maską Estee Lauder.

– Dr Brennan, chciałabym, aby poznała pani Ihora Lywyckija – powiedziała.

Lywyckij wyciągnął swą dłoń na powitanie. Uśmiechnęłam się i oddałam mocny uścisk. Twarz mężczyzny niegdyś muskularna, była nalana. Lata tłustego jedzenia i zapijania potraw likierem zrobiły swoje.

– Tempe Brennan.

– Miło mi.

– Pan Lywyckij będzie reprezentował Chantale.

– Jasne. Nie wysyłajcie mnie do tego wielkiego domu. – Głos Chantale ociekał sarkazmem.

Odwrociłam się w jej stronę. Córka ambasadora założyła nogę na nogę, ręce wetknęła do kieszeni drelichowego żakietu bez rękawów i wpatrywała się w podłogę.

– Ty na pewno jesteś Chantale.

– Nie. Jestem Pieprzoną Śnieżynką.

– Chantale!

Pani Specter położyła dłoń na głowie swojej córki. Chantale szarpnęła się.

– Pieprzenie. Jestem niewinna.

Trzeba przyznać, że wyglądała tak niewinnie jak sam Boston Strangler. Blond włosy były tak czarne jak pasta do butów. Spod żakietu wystawał różowy koronkowy biustonosz. Całokształtu dopełniały: czarna mini, czarne rajstopy, czarne buty i demoniczny makijaż.

Usiadłam na krześle naprzeciwko tego aniołka.

– Ochrona znalazła 5 płyt CD w twoim plecaku, panno Specter – powiedział Lywyckij.

– Pieprz się.

– Chantale! – Tym razem ręka pani Specter powędrowała na jej własne czoło.

– Jestem tutaj, aby ci pomóc, panienko. Nie mogę tego zrobić, dopóki ze mną walczysz. – Lywyckij mówił jak Mr Rogers.

– Jesteś tutaj, żeby mnie wysłać do pieprzonego obozu koncentracyjnego.

Kiedy Chantale podniosła wzrok, odniosłam wrażenie, że patrzę na świętą.

– I co, do diabła, ona tutaj robi? – Wskazała na mnie.

Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, odezwała się pani Specter.

– Wszyscy jesteśmy zaangażowani w twoją sprawę, kochanie. Dr Brennan również. Jeśli masz problem z narkotykami, pomożemy ci znaleźć najlepsze rozwiązanie.

– Chcesz mnie zamknąć gdzieś, gdzie nie będę dla was problemem. – Kopnęła nogę od stołu, a jej piorunujące spojrzenie powędrowało na buty.

– Chant...

Lywyckij położył rękę na ramieniu pani Specter, a drugą podniósł, by wszystkich uciszyć.

– Czego chcesz, Chantale?

– Chcę stąd wyjść.

– Zorganizuję to.

– Ty? – Po raz pierwszy ton jej głosu wydawał się pasować do jej wieku.

– Nie byłaś wcześniej karana, a kradzież sklepową jest drobnym przestępstwem. Biorąc pod uwagę okoliczności, jestem pewien, że mogę przekonać sędziego, aby zwolnił cię i powierzył opiece matki, jeśli obiecasz zastosować się do *jego* czy *jej* warunków.

Chantale nie odezwała się.

– Czy wiesz, co to znaczy?

Żadnej odpowiedzi.

– Jeśli nie będziesz słuchać matki, złamiesz prawo.

Kolejne kopnięcie w nogę od stołu.

– Czy rozumiesz, Chantale?

– Tak, tak.

– Czy możesz zgodzić się na warunki, które zostaną ci postawione?

– Nie jestem jakimś pieprzonym głupem.

Pani Specter skrzywiła się.

– A co z Lucy?

Lywyckij starł wyimaginowany kurz z blatu.

– Sytuacja panny Gerardi jest bardziej skomplikowana. Twoja przyjaciółka jest tutaj nielegalnie. Nie ma dokumentów pozwalających na pobyt w Kanadzie. Trzeba zająć się tą kwestią.

– Nie pojedę nigdzie bez Lucy.

– Wymyślimy coś.

Lywyckij pogładził swoje palce. Przypominały splecione ze sobą różowe kiełbaski.

Przez kilka chwil nikt się nie odezwał. Chantale dalej kopała nogę od stołu.

– Teraz... – Lywyckij oparł się na przedramionach. – Może powinniśmy porozmawiać o twoim problemie z narkotykami.

Cisza.

– Chantale, kochanie, mus...

Lywyckij dał znak pani Specter, by się nie odzywała.

Teraz było słycać jeszcze głośniejsze kopanie w stół.

Przenosiłam spojrzenie z matki na córkę. Pierwsza w stylu *glamour*, druga fanka metalu. Chantale ponownie wymierzyła we mnie swój palec wskazujący.

– Ona jest jakimś pracownikiem socjalnym?

– Ta pani jest przyjaciółką twojej mat... – zaczął Lywyckij.

– Pytałam moją *mamę*.

– Dr Brennan przyjechała tu ze mną z Gwatemali. – Głos pani Specter był spokojny.

– Pomaga ci wycierać nos?

Obiecałam sobie, że nie pozwolę Chantale zaleźć mi za skórę. Dotychczas dzielnie powstrzymywałam się, aby nie przeskoczyć przez stół i nie chwycić tego małego demona za gardło. Diabeł odziany w dziecięce rękawiczki.

– Pracuję w tutejszej policji.

Chantale nie pozwoliła mi dokończyć.

– Jakiej policji?

– Całej. A twój uliczny wybryk nie zrobi na nikim wrażenia.

Chantale wzruszyła ramionami.

- Twój prawnik daje ci dobre rady. – Nie podjęłam próby wymówienia nazwiska mężczyzny.
- Prawnik mojej matki ma IQ rzepy.

Twarz Lywyckijego pociemniała i przypominała teraz swoim wyglądem wielką, dojrzałą śliwkę.

- Szukasz guza, Chantale – powiedziałam.
- Tak, cóż, taka już jestem..
- Muszę wiedzieć wszystko o... – zaczął Lywyckij.

Chantale ponownie mu przerwała.

– Co pani miała na myśli, mówiąc: „pracuję w tutejszej policji”? – Moja delikatna aluzja nie umknęła jej uwadze. Córka ambasadora nie była głupia.

- Pracuję w laboratorium medycyny sądowej – odpowiedziałam.
- Koroner?
- Zgadza się.
- Zajmujecie się trupami w Gwatemali?
- Poproszono mnie o poprowadzenie tam śledztwa w sprawie zabójstwa.

Zastanawiałam się, czy to wyjaśnienie jej wystarczy. Po chwili zdecydowałam się, że dorzucę kilka faktów.

- Obie ofiary to kobiety w twoim wieku.
- Jej wampirze oczy spotkały się z moim wzrokiem.
- Claudia de la Alda – powiedziałam.
- Obserwowałam, czy jej twarz drgnie na dźwięk znajomego nazwiska. Nic.
- Jej dom stał blisko waszego.
- To żaden zbieg okoliczności.
- Claudia pracowała w Muzeum Ixchel.

Wzruszyła ramionami.

– Druga ofiara nie została jeszcze zidentyfikowana. Znaleźliśmy ją w zbiorniku szamba w Strefie 1.

- Okropna okolica.

Chantale i ja nie patrzyłyśmy na siebie. Testowałyśmy siłę woli przeciwnika – Rzuć jakieś nazwisko – powiedziałam.

- Tinkerbelle?
- Patricia Eduardo.

Rogówkowy baseball. Jej powieki pozostały nieruchome.

- Patricia pracowała w szpitalu Centro Médico.
- Kiepski strzał. Nie interesuje mnie to.
- Zaginęła w październiku zeszłego roku.
- Ludzie wyjeżdżają.

– Zgadza się.

Kopnięcie. Stół podskoczył.

– Również twoje nazwisko pojawiło się podczas śledztwa.

– Nic z tego – burknęła.

Kopnięcie.

– Niby dlaczego?

– Zbyt dużo poważnych zbiegów okoliczności.

– Czy to jest jakiś żart?

Oczy Chantale przeskoczyły na Lywyckijego. Podniósł do góry dłonie. Powróciliśmy do mnie.

– To jakieś bzdury.

– Gwatemalska policja tak nie twierdzi. Chcą informacji.

– Nie obchodzi mnie, że chcą poklasku. Nie wiem, o czym pani mówi. – Patrzyła na mnie, radośnie się uśmiechając.

– Jesteś w tym samym wieku, mieszkasz kilka domów dalej, obracasz się w tym samym środowisku. Znajdą jeden związek, jedną toaletę, gdzie ty i Claudia de la Alda obie sikałyście, ściągną cię tam z powrotem i przekręcą przez maszynkę do mięsa.

Kłamałam i Lywyckij dobrze o tym wiedział, mimo to nie przerwał naszej rozmowy.

– Nie ma takiego sposobu, abyś mnie zmusiła do powrotu do Gwatemali. – Wyczuwałam nutkę niepewności w głosie Chantale.

– Masz siedemnaście lat. Jesteś niepełnoletnia.

– Nie pozwolimy, żeby ci się coś stało. – Lywyckij odezwał się, udając Lepszego Glinę.

– Możesz nie mieć wyboru. – Kontynuowałam, jako ten Gorszy Glina.

Chantale tego nie kupiła. Wyjęła ręce z kieszeni i splotła je.

– OK. To byłam ja. Zabiłam je. Aha, rozprawdzam też heroinę w szkole średniej.

– Nikt nie oskarża cię o zabójstwo – powiedziałam.

– Wiem. Takie są realia wśród krnąbrnych nastolatków. – Wypaliła, otwierając szerzej oczy i kiwając głową jak piesek-maskotka. – Złe rzeczy przytrafiają się złym dziewczynkom.

– Takie jak te... – ucięłam jej pyskówkę. – Wiedz, że nic nie pomoże Lucy powrócić do Gwatemali.

Chantale wstała gwałtownie, a krzesło przewróciło się na podłogę.

Pani Specter położyła swą dłoń w okolicy serca. Strażnik wpadł do pokoju. Chwycił za kolbę broni.

– Wszystko w porządku?

Lywyckij wstał. – Skończyliśmy. – Zwrócił się do Chantale. – Twoja matka przyniosła ci ubranie, abyś mogła przebrać się przed rozprawą.

Chantale zmrużyła oczy. Drobinki maskary zlepiały jej rzęsy.

– Powinniśmy wyciągnąć cię stąd w ciągu dwóch, trzech godzin – kontynuował. – Kwestią

narkotyków zajmiemy się później.

Kiedy strażnik wyprowadzał Chantale z sali widzeń, Lywyckij zwrócił się do pani Specter.

– Myśli pani, że będzie w stanie ją kontrolować?

– Oczywiście.

– Może uciec.

– Te straszne okoliczności uczyniły Chantale agresywną. To minie, gdy znajdzie się w domu. Widziałam, że Lywyckij w to wątpi. Ja również nie wierzyłam w opinię Dominique.

– Kiedy wraca ambasador?

– Tak szybko jak będzie to możliwe. – Znów ten sztuczny uśmiech.

Przypomniałam sobie fragment piosenki o właściwym uśmiechu. Kiedy miałam osiem lat, karteczkę z wypisanym cytatem z tego utworu wkładaliśmy do ciasteczek Brownie.

*Mam coś w torebce,
co należy do mej twarzy.
Trzymam to blisko siebie,
w najwygodniejszym z miejsc...*

– A co z panną Gerardi? – pytanie Lywyckijego zbiło mnie z tropu.

– Co z nią? – pytanie retoryczne żony ambasadora nie wywołało większego zainteresowania.

– Czy ją również będę reprezentował?

– Problemy Chantale mogą być spowodowane wpływem tej dziewczyny. Zdobyć dokumentów, podróż autostopem na drugi kontynent. Moja córka nigdy nie zrobiłaby takich rzeczy sama.

– Nie jestem taka pewna – powiedziałam.

Dominique spojrzała na mnie swoimi szmaragdowymi oczami. Była zaskoczona.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Proszę nazwać to dobrą intuicją. – Nie ustąpiłam.

Przez chwilę pani Specter milczała.

– W każdym razie najlepiej będzie, jeśli nie będziemy się mieszać w afery obywateli gwatemalskich. Ojciec Lucy jest bogatym człowiekiem. Zaopiekuje się nią – dodała.

Ten bogaty człowiek był tutaj, w Montrealu. Kiedy wyszliśmy na korytarz włókł ze sobą strażnika. Jego kompan był ubrany jak Lywyckij w drogi garnitur, włoskie buty i miał skórzaną teczkę.

Panna Gerardi odwróciła się, gdy przechodziliśmy, i spojrzała na mnie.

Współczułam małej dziewczynce ze szkolnego boiska. Ta reakcja była niczym w porównaniu z litością, jaką czułam teraz, patrząc na Lucy Gerardi. Cokolwiek przywiodło ją do Kanady, nie powinno być pominięte.

Rozdział 17

Czterdzieści minut później przechodziłam pomiędzy żywoplotami alejką prowadzącą do podwójnych, szklanych drzwi. Logo z nazwą firmy i informacją o niej było umieszczone na obu skrzydłach. U góry widniał tekst francuski, poniżej, drobniejszą czcionką, angielski. Bardzo poquebecku.

Dojazd zabrał mi trzydzieści minut, przez kolejne trzydzieści szukałam właściwego adresu. Korporacja RP była jedną z pół tuzina przedsiębiorstw mających swoją siedzibę w dwupiętrowych, betonowych budynkach w stylu light-industrial parku w St-Hubert. Każdy budynek był szary, każdy wyrażał swą indywidualność pasami wymalowanymi wokoło budynku jak wstążka do prezentów. Łuk firmy RP był w kolorze czerwonym. Hol miał najbardziej błyszczącą podłogę, po jakiej kiedykolwiek stapałam. Przeszłam nią do biura mieszczącego się po lewej stronie od głównego wejścia. Kiedy zajrzałam do środka, Azjatka przywitała się ze mną po francusku. Miała błyszczące, czarne włosy, sięgające do uszu. Jej szerokie kości policzkowe przypominały mi o Chantale Spencer, która przywodziła mi na myśl dziewczynę znaną w zbiorniku szamba. Znowu powróciło poczucie winy.

– Je m'appelle Tempe Brennan – powiedziałam.

Słyszając mój akcent, przeszła na angielski.

– W czym mogę pomóc?

– Mam o trzeciej spotkanie z Susanne Jean.

– Proszę usiąść. To potrwa dłuższą chwilę. – Podniosła słuchawkę i zaanonsowała mnie.

Susanne pojawiła się w przeciągu minuty. Ważyła prawie tyle co ja, ale była wyższa ode mnie o głowę. Jej cera była jak bakłażan. Włosy splecione w kraciasty trzyczalowy wzorek okalały jej twarz. Z tyłu wisiały długie, czarne warkoczyki, związane pomarańczową kokardką. Susanne bardziej przypominała modelkę niż inżyniera przemysłowego.

Poszliśmy wzdłuż korytarza i przez podwójne drzwi naprzeciwko wejścia głównego dostaliśmy się do pokoju pełnego maszyn. Kilkoro pracowników ubranych w białe fartuchy regulowało potencjometry, wpatrywało się w monitory lub stało, obserwując proces technologiczny, czegokolwiek on dotyczył. Powietrze wypełniał cichy warkot, szum i stukanie.

Biuro Susanne było urządzone ze smakiem. Na prostych tekowych stojakach stały doniczki z roślinami. Za biurkiem Susanne zwieszała się lilia. W kryształowym wazonie stała pojedyncza orchidea. Jeden oberwany płatek. Jedna perfekcyjna kropla wody. Susanne była pedantką. Przypuszczałam, że miało to związek z brudną przeszłością, w której zrobiła poważne porządki.

Gdy ja wybierałam alkohol, Susanne coca-colę. Chociaż nie należałyśmy do żadnej organizacji, poznałyśmy się przez wspólnego przyjaciela, który był fanatykiem AA. To było 6 lat temu. Od czasu do czasu widywałyśmy się podczas spotkań u naszych wspólnych znajomych,

robiłyśmy wypadki na obiad lub grałyśmy w tenisa. Niewiele wiedziałam o jej świecie, ona jeszcze mniej o moim, ale jakoś się rozumiałyśmy.

Susanne usiadła na jednym końcu morelowego tapczanu i założyła nogę na nogę. Sięgały do samej szyi. Usiadłam na drugim końcu sofy.

- Co robisz dla Bombardiera? – zapytałam.
- Robimy pierwowzory części plastikowych.
- Volvo?
- Łożyska metalowe.

Proces produkcyjny czegokolwiek jest dla mnie tak tajemniczy jak bagna Okeefenokee. Widzę tylko produkty końcowe: kosiarki, patyczki do uszu, Buicki. Nie mam pojęcia, jak powstawały, jakich użyto surowców.

– Wiem, że projektujesz konkretne przedmioty w systemach CAD, ale nigdy nie wiedziałam, jakie to produkty – powiedziałam.

– Użyteczne części metalowe i plastikowe, wzory odlewów i trwałe metalowe modele wkładek.

– Aha.

– Przyniosłaś zdjęcia tomograficzne? Wręczyłam jej kopertę Fereiry. Zaczęła oglądać filmy, trzymając je dokładnie tak, jak Fereira. Od czasu do czasu film zwijał się w rulonik.

– To zabawne.

– Co z tym robicie bez użycia techniki?

– Stworzymy trójwymiarowe modele w systemie CAD, metodą Selektownego Spajania Laserowego, potem...

– SSL?

– Stereolitografia. Potem wprowadzimy zbiór danych z SSL do naszego systemu.

– Przy pomocy jednej z tych maszyn tutaj?

– Dokładnie. Maszyna pokryje formę bazową cienką warstwą sproszkowanego materiału. Używając danych ze zbioru SSL, laser wykorzystujący CO₂ wykona przekrój poprzeczny obiektu – w tym przypadku czaszki – na warstwie proszkowej, potem spoi...

– Spoi?

– Rozgrzeje i złączy. Całość stworzy trwałą masę przedstawiającą przekrój poprzeczny czaszki.

– To wszystko?

– Prawie. Kiedy czaszka zostanie uformowana, wyjmemy ją z komory i zdmuchniemy nadmiar proszku. Będziesz mogła go użyć do piaskowania, hartowania, oblepiania lub malowania.

Miałam rację. Wsadzić, wyjąć. W tym przypadku włożymy informacje uzyskane dzięki zdjęciom tomograficznym Fereiry. Wyjmemy odlew czaszki z Paraiso. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

– Technologia zwana SSL, Selektywne Spajanie Laserowe.

– Co jeszcze robicie oprócz metalowych łożysk i plastikowych części?

– Wirniki do pomp, wtyczki elektryczne, obudowy lamp halogenowych, obudowy sprężarek doładowujących do samochodów, części zamienne do instalacji hamulcowej...

– Pierścienie mgławic Oriona.

Zaśmiałyśmy się obie.

– Ile czasu to zajmie?

Wzruszyła ramionami. – W ciągu dwóch, trzech godzin zamienimy zdjęcia tomograficzne na zbiór danych SSL. Jeden dzień zajmie nam wykonanie odlewu czaszki. Poniedziałek po południu?

– Fantastycznie.

– Jesteś zszokowana?

Byłam.

– Sądziłam, że powiesz tydzień lub dwa tygodnie.

– Ten projekt jest dużo bardziej intrygujący niż obudowy do aparatów słuchowych.

– I gwatemalska policja będzie dozgonnie wdzięczna.

– Jest tam ktoś miły?

Opisałam asymetryczną twarz Galiano.

– Więc jest. A jaki jest ogier, z którym spotykasz się tutaj?

Opisałam Ryana.

– Ma interesujący profil.

– Tak czy inaczej, sama zrobię tę twoją czaszkę, jednak pod jednym warunkiem. – Wymierzyła we mnie swój długi, szczupły palec. – Zapraszasz mnie na kolację i na drinka. Uśmiechnęłam się:

– Jutro wieczorem?

– Brzmi nieźle. Strzeż się dziewczyno. Mam zamiar dobić cię, zamawiając najdroższą wodę mineralną widniejącą w menu – odpowiedziała ze śmiechem.

Weszłam do holu. Ogier leżał na swojej ukochanej, skórzanej sofie. Głowę oparł o zagłówek, przez drugi przewiesił swoje krótkie nogi.

– Jak się tutaj dostałeś?

– Tempe, jestem gliną.

Odstawiłam torby z zakupami.

– W porządku. Powiedz mi co tu robisz?

– Gorąco na zewnątrz.

Czekałam.

Ryan usiadł, by potem wyciągnąć się jak długi na podłodze.

– Takie siedzenia nie są stworzone dla ludzi o wzroście 1,88 m.

– To mebel dekoracyjny.

– Piekłem byłoby oglądać na nim finały mistrzostw Stanleya.

– Ten mebel nie jest przeznaczony do leniuchowania.

– A do czego?

– Do gromadzenia źle zaadresowanej poczty, gazetek reklamowych z apteki i starych wydań gazet. – Ten hol rzeczywiście nie jest przyjazny gościom. – Ryan pomasaował swój kark.

– Jak to? Przecież są tu palmy... doniczkowe.

Rzucił mi uśmiezek czterdziestoparoletniego uczniaka.

– Tęskniłem za tobą.

– Wróciłam wczoraj.

– Byłem na obserwacji.

– Hmm?

Z zewnątrz dobiegały stłumione dźwięki klaksonu i warkot silnika. Urok popołudniowych piątkowych godzin szczytu.

– Właściciel knajpki Les Deux Originals zdecydował rozszerzyć swą działalność o handel bronią krótką. Zdenerwowało go dwóch łosi.

– Nigdy nie wspominałeś, że mówisz po hiszpańsku.

– Co?

– Nieważne.

Podniosłam swoje pakunki.

– To był długi dzień, Ryan.

– Obiad jutro wieczorem?

– Mam już plany.

– Zmień je.

– To byłoby niegrzeczne.

– To może kolacja dzisiaj?

– Właśnie kupiłam krewetki i warzywa.

– Znam przepis na krewetki po królewsku, które są zakazane w czterech włoskich miastach.

Właściwie, kupiłam wystarczająco jedzenia dla dwunastu osób, więc Andrew swobodnie łapał się na kolację.

Ryan wstał, rozłożył ramiona i po raz kolejny obdarzył mnie promiennym uśmiechem. Praca w terenie wpłynęła korzystnie na jego wygląd. Na tle opalenizny jego oczy wydawały się bardziej niebieskie i figlarne niż zwykle.

Z czasem, nawet najbardziej zachwycające piękno staje się niezauważalne. To tak jak z oglądaniem olimpijskiego konkursu jazdy figurowej. Przyzwyczajamy się i nie odróżniamy już tego, co jest wybitnie piękne, od tego co jest zaledwie ładne. Tak było z Susanne. Byłam świadoma jej elegancji, dlatego jej widok mnie nie zaskoczył, nie zaparł tchu w piersiach. Z Ryanem było inaczej. Regularnie zaskakiwał mnie swoim pięknem. Co gorsza, wiedział, że tak

na mnie działa.

– Które? – zapytałam.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Które miasta?

– Turyn, Mediolan, Sienna i Florencja.

– Robiłeś te krewetki po królewsku?

– Czytałem o tym.

– Te będą lepsze.

Ryan wyszedł po piwo, a ja zmieniłam kanał telewizyjny. Potem on grillował krewetki, a ja robiłam sałatkę.

Podczas kolacji rozmawialiśmy na różne tematy, utrzymując bezpieczny poziom banalności. Potem posprzątałyśmy ze stołu i wypiliśmy kawę.

– Naprawdę były dobre – powiedziałam kolejny raz.

W domu naprzeciwko w oknach rozbłysły światła.

– Czy kiedykolwiek wprowadziłem cię w błąd?

– Dlaczego te krewetki są zakazane według prawa tokańskiego?

Wzruszył ramionami.

– Może trochę przesadziłem z tym stwierdzeniem.

– Rozumiem.

– To właściwie drobne wykroczenie.

Po drugiej stronie podwórza rozkręcała się piątkowa impreza. Klaksony aut. Syreny ratunkowe. Właśnie przybywali goście z Dorval i Pointę Claire. Jechali w takt hip-hopu.

Ryan zapalił papierosa.

– Jak leci w Chupan Ya?

– Pamiętałeś nazwę.

– To miejsce jest dla ciebie ważne.

– Tak.

– Rozdziera wnętrzności.

– Zgadłeś.

– Opowiedz mi o tym.

To było jak opowiadanie o świecie równoległym, w którym centralne miejsce na scenie, w sztuce o braku moralności, zajmują rozkładające się ciała. Matki bez głów. Zmasakrowane dzieci. Starsza kobieta, która ocalała, bo poszła sprzedawać fasolę.

Ryan słuchał uważnie, wpatrując się we mnie swymi niebieskimi oczami. Miał zaledwie kilka pytań. Pozwalał mi się wygadać. Słuchał, a ja mówiłam prawdę.

Andrew Ryan jest jednym z tych rzadko spotykanych mężczyzn, przy którym kobieta czuje, że jest naprawdę słuchana. Taka umiejętność jest najbardziej pociągającą zaletą, jaką może posiadać facet. Nie uszło to uwadze mego libido, które ostatnio wydawało się upominać o

nadgodziny.

– Jeszcze kawy? – zapytałam.

– Tak, proszę.

Poszłam do kuchni.

Może życie z Ryanem u boku nie byłoby taką złą rzeczą? Może byłam zbyt surowa dla mojego ogiera? Może powinnam była zrobić delikatny makijaż?

Wskoczyłam na sekundę do łazienki, przeczesałam włosy, nałożyłam błyszczczyk. Nie nałożyłam tuszu. Lepiej nie ryzykować rozmazanego wieczoru.

Kiedy podałam Ryanowi kubek, dotknął mojego świeżo pokrytego różem policzka. Zaczerwieniłam się.

Może to wirus.

Ryan mrugnął porozumiewawczo.

Patrzyłam na nasze cienie odbijające się na ścianie. Waliło mi serce.

Może to nie był wirus.

Kiedy usiadłam, Ryan zapytał, dlaczego wróciłam do Montrealu.

Powrót do rzeczywistości.

Sądziłam, że mogłam mu powiedzieć o sprawie Paraiso. Zdążyłam już wspomnieć o szkielecie. Nie powiedziałam jedynie, że rodzina Specterów ma powiązania ze światem dyplomacji. O dyskrecję prosiła zarówno pani Specter, jak i Galiano. Dlatego teraz mówiłam o Specterach jedynie jako o „rodzinie z Quebecu”.

Ryan słuchał z uwagą. Szkielet. Cztery zaginione kobiety, potem trzy, potem jedna. Kocia sierść. Odlew czaszki. Kiedy skończyłam, przez chwilę nie odzywał się.

– Zamknęli te dziewczyny tylko za kradzież płyt CD?

– Podobno jedna z nich była wyjątkowo niemiła.

– Niemiła?

– Stawiała opór, wyzywała, przeklinała. – Pani Specter podzieliła się ze mną tymi ciekawostkami podczas oczekiwania na jednym z lotnisk.

– Kiepsko. Jedno, czego nie rozumiem to powód, dla którego Chantale Specter była tak długo trzymana w areszcie w Operacyjnym Południe.

– Wiesz o ambasadorze? – nie mogłam w to uwierzyć. Byłam bardzo ostrożna, jednak Superagent już miał notatnik pełen zapisków.

– Dyplomaci cieszą się immunitetem – kontynuował.

– Immunitet dyplomatyczny – wypaliłam.

Zamknęłam oczy, walczyłam z irytacją. Teraz, gdy Ryan przyznał się, że wie, pozwolił mi mówić chaotycznie. Pytanie: *Skąd* wiedział o Specterach?

– Jezu, Ryan. Czy jest jakaś sprawa, którą będę mogła poprowadzić bez twojego wtrącania się?

Ryan był pochłonięty swoimi myślami.

– Immunitet dyplomatyczny nie ma zastosowania w twoim rodzinnym kraju. Dlatego Chantale nie zwolniono od razu.

– Może nie mogła rozstać się z pomarańczowym garniturkiem. Od jak dawna o tym wiesz?

– Powinna była jeździć limuzyną krócej niż godzinę.

– Chantale podała fałszywe nazwisko. Gliny nie miały pojęcia, kim ona jest. Jak długo wiesz o powiązaniach Specterów?

Znowu zignorował moje pytanie.

– Chantale użyła telefonu komórkowego, aby skontaktować się z przyjacielem. – Pani Specter też mi tak powiedziała.

– A przyjaciel skontaktował się z Mamusią.

Wzięłam głębszy, teatralny oddech.

– Tak.

– A facet w prążkowanym garniturku zdecydował, aby pozwolić niegrzecznej Chantale wyhamować, podczas gdy Mamusia pędziła do niej, do Quebecu.

– Coś w tym rodzaju.

Przez chwilę dobiegał nas jedynie stukot obcasów i warkot silnika samochodu.

– Od kilku godzin.

– Co? – wypaliłam znowu.

– Wiem od kilku godzin. Galiano powiedział mi o tym dziś po południu. – Ryan uśmiechnął się i delikatnie wzruszył ramionami. – Stary Bat nigdy się nie zmieni.

Kiedy się irytuję, łatwo się zaperzam i używam broni słownej. Kiedy jestem wściekła, zamieram od środka. Mój umysł zastyga, ton głosu staje się niższy, rzucam zdawkowe, kąśliwe odpowiedzi.

Byłam przedmiotem braterskiej dyskusji. Wściekłość powoli ustępowała.

– Dzwoniłeś do Galiano? – zapytałam chłodno.

– On zadzwonił do mnie.

– Czy detektyw Galiano zadawał ci pytania na temat moich kompetencji?

– Pytał o rodzinę Specterów.

Arktyczna cisza. Ryan zapalił papierosa.

– Rozmawialiście o mnie po hiszpańsku?

– Co? – Umknęło mu moje odniesienie do dawnych czasów.

– Nieważne.

Ryan zaciągnął się i wypuścił w górę kłęb dymu.

– Galiano ma wiadomości o podejrzanym. – Zakomunikował to tonem spikera telewizyjnego, prowadzącego wiadomości.

– Więc zadzwonił do kogoś, kto nie prowadzi sprawy.

– Chciał wiedzieć, co mamy na Specterów i próbował dodzwonić się do ciebie.

– Czyżby?

- Dzwonił do ciebie na komórkę. Przyszedłem tu, aby ci to powiedzieć.
- Kłamiesz.
- Sprawdzalas ostatnio swoje wiadomości?

Nie sprawdzałam.

Bez słowa sięgnęłam do torebki i wygrzebałam z niej telefon. Cztery nieodebrane połączenia. Wszystkie z zagranicy. Wcisnęłam guzik połączenia z pocztą głosową. Dwie wiadomości. Pierwsza była od Olliego Nordsterna. Wysłannik piekiel miał do mnie kilka pytań. Czy mogłabym do niego oddzwonić? Wcisnęłam kasowanie. Druga była od Bata Galiano:

– Sądzę, że cię to zainteresuje. Zeszłej nocy aresztowaliśmy kanałkę, która zabiła Claudię de la Alda.

Rozdział 18

Galiano nie zadzwonił do mnie po raz drugi. Udało się nam porozmawiać dopiero w sobotni poranek. Galiano właśnie przesłuchiwał kanałię.

– Kto to jest?

– Miguel Angel Gutiérrez.

– Dawaj.

– Gutiérrez skontaktował się ze swoimi przodkami w ruinach Kaminaljuyú zeszłej nocy. Gramps, nasz zaprzyjaźniony szpicel, zainteresował się tą wycieczką i zadzwonił na komisariat. Gutiérrez został złapany w miejscu w którym znaleziono Claudie de la Alde.

– Zbieg okoliczności?

– Jak u O.J. Simpsona. Gutiérrez jest ogrodnikiem. W domu de la Aldów pracował na pełnym etacie.

– Serio?

– Serio.

– Co mówi?

– Niewiele. Właśnie rozmawia ze swoim księdzem.

– I?

– Myślę, że będzie Piąta Poprawka. W międzyczasie Hernández wyszedł uruchomić swój samochód.

– Żadnych powiązań z Paraiso i Patricią Eduardo?

– Żadnych, o jakich byśmy wiedzieli. Powiedziałam mu o próbkach włosów kota i rekonstrukcji czaszki.

– Nieźle, Brennan.

Dokładnie to samo powiedziałby Ryan.

– Dzięki. Daj znać, gdy się tylko czegoś dowiesz.

Po południu posprzątałam mieszkanie i zrobiłam pranie. Potem wyczyściłam tenisówki i poszłam na halę sportową. Gdy robiłam trzecie okrążenie, wciąż myślałam o tych samych dwóch nazwiskach.

Ryan i Galiano.

Galiano i Ryan.

Co prawda wciąż byłam wściekła na Ryana, a wczoraj odprawiłam go lodowym „dobranoc”, mimo to wciąż miał u mnie szóstkę.

– Dlaczego byłam wściekła?

Ponieważ on i jego koleżka dyskutowali o mnie, jakbym była czymś w rodzaju błahego środowego spotkania w kręgielni.

Ryan i Galiano.

Galiano i Ryan.

Czyżby oni?

Oczywiście, że oni.

Czy byłam paranoiczką?

Galiano i Ryan.

O czym rozmawiali?

Pamiętałam pewną przygodę, jaką przeżyłam z Ryanem. Pływaliśmy łódką. Byłam w podkoszulce, a pod nią nie miałam bielizny.

O Boże.

Galiano i Ryan.

Ryan i Galiano.

Biegłam, dopóki nie poczułam drżenia mięśni nóg i rwącego się oddechu. Zanim wzięłam prysznic, zdążyłam się trochę uspokoić.

Tego wieczoru zjadłam kolację z Susanne Jean w Le Petit Extra na Rue Ontario. Słuchała mojej historii o Silnych Chłopcach. W kącikach jej ust czał się uśmiech.

– Skąd wiesz, czy ich rozmowa nie była stricte służbowa?

– Kobięca intuicja.

Jej brwi uniosły się.

– To wszystko?

– Wszyscy faceci to świnię.

– Czy to aby nie seksistowska teoria?

– Oczywiście, że seksistowska. Ale muszę coś z tym zrobić.

– Wyluzuj, Tempe. Jesteś nadwrażliwa.

W głębi duszy myślałam podobnie.

– Poza tym, z tego co powiedziałaś, oni są zupełnie różni.

– Zgodnie z tą teorią, pasują do niej.

Wybuchnęła gardłowym śmiechem.

– Dziewczyno, gubisz się.

– Wiem. Jak tam czaszka?

Susanne przekonwertowała zdjęcia tomograficzne, więc model powinien być gotowy w poniedziałek około szesnastej.

Kiedy tak rozmawiałyśmy jak dobre kumpele, nagle Susanne wycelowała swój długi palec pomiędzy moje oczy i stwierdziła.

– Siostró, potrzebujesz wysokiej jakości baraszkowania w pościeli.

– Nie mam nikogo do pobaraszkowania.

– A mnie się wydaje, że masz... i to nawet o jednego za dużo.

– Hmm...

- A może PNB?
- OK. Poddaję się. Co to jest PNB?
- Przyjaciół na Baterię.

Susanne zawsze miała interesujące pomysły na życie.

W niedzielę zadzwonił Mateo Reyes. Miał dla mnie sporo nowych wieści. Śledztwo w sprawie ofiar z Chupan Ya posuwało się do przodu. Do identyfikacji pozostało tylko 9 szkieletów. Poza tym Molly Carraway została wypisana ze szpitala. Wraca ze swoim ojcem do Minnesoty, by dojechać do siebie. Mateo wspomniał też o Olliem Nordsternie. Reporter skarżył się Reyesowi, że chciał ze mną porozmawiać, codziennie próbował się ze mną skontaktować, a ja nie odbierałam telefonu. Odpowiedziałam Mateo, że jestem zajęta sprawą Specterów i wrócę, gdy tylko zamknę swoje sprawy w Montrealu.

Na koniec naszej rozmowy Reyes zostawił niezbyt miłą wiadomość, sześćdziesięciodziesięcioletnia Señora Ch'i'p zmarła we śnie w piątek w nocy.

– Wiesz, co myślę? – Mateo sprawiał wrażenie spiętego.

– Co takiego?

– Sądzę, że starszą panią trzymała przy życiu jedynie chęć pochówku swoich dzieci, które były ofiarami masakry.

Zdanie Mateo również mnie wydawało się bardzo prawdopodobne.

Gdy rozłączyliśmy się, ciepła strużka spłynęła po moim policzku.

– *Vaya con Dios, Señora Ch'i'p.*

Starłam łzy.

– Zabierzemy cię stamtąd.

Kiedy weszłam do laboratorium w poniedziałek rano, kości tułowia wciąż się moczyły. Poranne zebranie było zaskakująco krótkie. Podczas weekendu niewiele się wydarzyło: zakłucie nożem w Laval, wypadek traktora w pobliżu St-Athanase, samobójstwo w Verdun.

Właśnie położyłam zmumifikowaną głowę na stole sekcyjnym, gdy ktoś zapukał w okno. Na korytarzu stał uśmiechnięty Ryan.

Wskazałam na głowę i pomachałam mu ręką.

Zapukał raz jeszcze. Zignorowałam go.

Zapukał po raz trzeci, mocniej. Kiedy podniosłam wzrok, jego naszywka była przyciśnięta do szyby. Zmarszczyłam brwi, podeszłam do drzwi i wpuściłam go.

– Lepiej się czujesz?

– Czuję się dobrze.

Wzrok Ryana powędrował na stół.

– Jezu Chryste, co mu się stało?

Andrew miał na myśli głowę leżącą na stole. Jej wygląd był zaskakujący: mierzyła średnio

piętnaście centymetrów w obwodzie, wyrastały z niej długie, ciemne włosy. Twarz przypominała bardziej pysk nietoperza niż twarz ludzką, była brązowa i pomarszczona. Z ust wystawały gwoździe, a z dziury w języku postrzępiona linka.

Przesunęłam szkło powiększające nad nosem, policzkami i szczękami.

– Co widzisz? – zapytałam Ryana.

– Drobne nacięcia.

– Skóra została ściągnięta do tyłu, aby odsłonić mięśnie. Policzki zostały prawdopodobnie pokryte jakimś materiałem. Spójrz na to. – Przełożyłam głowę leżącą na stole.

– Ktoś chciał dostać się do mózgu, więc uszkodził podstawę czaszki.

– Co to jest, do diabła?

– Peruwiańskie trofeum.

Ryan spojrzał na mnie, jakbym oznajmiła mu, że oto przed nami leży dziecko kosmitów.

– Większość zdobyto na południowym wybrzeżu pomiędzy I a VI wiekiem n. e.

– Obcięta głowa?

– Tak, Ryan. Obcięta głowa.

– Jak trafiła z Peru do Kanady?

– Kolekcjonerzy lubią takie okazy.

– Czy one są legalne?

– W Stanach są nielegalne od 1907 roku. Co do Kanady, nie jestem pewna.

– Widziałaś kiedykolwiek wcześniej taką głowę?

– Widziałam kilka podróbek. Nigdy prawdziwej.

– Ta jest oryginalna?

– Odnoszę wrażenie, że tak. Układ zębów sugeruje, że ten młody mężczyzna poniewierał się przez jakiś czas.

Odłożyłam głowę-trofeum na stół.

– Potwierdzenie autentyczności leży w gestii archeologa. Chcesz czegoś?

Ryan nadal oglądał głowę.

– Myślisz o tułowiu – rzuciłam.

Sięgnął i dotknął włosów, pogłaskał policzek trupa.

– Jakiś siedemdziesięcioletek zatonął w górze rzeki?

– A, tak.

Spojrzał w górę, wytarł ręce w dzinsy.

– Zrobiłam tylko wstępne badanie, ale ten facet przebył sporo kilometrów.

– Ale to nie jest Clément?

– Prawdopodobnie nie.

Podniosłam suwmiarkę. Ryan wciąż stał obok.

– Coś jeszcze? – zapytałam, zerkając na niego.

– Galiano poprosił mnie o zgodę na przeprowadzenie szczerzej rozmowy z niegrzeczną

Chantale. Zarezerwowałem mu podróż. Zasugerował, że podobałoby ci się przysłuchiwanie się tej rozmowie.

Przysłuchiwanie się? Śledzenie? Zaczerwieniłam się.

Ryan wskazał na czaszkę.

– Skąd ta dziura w czole?

– Lina.

– Nie chciałbym, żeby mnie tak potraktowano.

Rzuciłam mu spojrzenie w stylu „daj mi spokój”.

– Specterowie są poza podejrzeniem, jeśli chodzi o sprawę związaną z ciałem znalezionym w szambie. Właściwie, po zeznaniach Gutiérreza, wydaje się, że teoria na temat seryjnego zabójcy rozwiązała się. Galiano sądzi, że nie zaszkodziłoby pogadać z małą księżniczką.

– Galiano znowu dzwonił? – zapytałam chłodno.

– Dziś rano.

– Czy Gutiérrez przyznał się?

– Jeszcze nie, ale Galiano jest przekonany, że się przyzna.

– To miłe, że Galiano informuje cię na bieżąco...

– Ja jestem tutaj, on jest tam. Ja przesłuchuję z profesjonalną grzecznością.

– O tak, jesteś w tym dobry.

– Tak.

– Niech Bóg błogosławi gonady.

– Jesteś naukowcem, Brennan. Patrzysz na kości. Ja jestem gliną. Przesłuchuję ludzi.

Kiedy zaczęłam mówić, rozległ się dźwięk pagera Ryana. Andrew sprawdził wiadomość.

– Potrzebują mnie. Słuchaj, nie musisz iść na spotkanie z Chantale. Galiano pomyślał po prostu, że chciałabyś tam być.

– Kiedy ma się odbyć ta mała pogawędka?

– Powinienem wrócić z Drummondville przed szóstą.

Wzruszyłam ramionami.

– Czyli wtedy, kiedy ja oglądam Telezakupy Mango.

– Czy jesteś zmotoryzowana, Brennan?

– Co?

Zasłonił się dla żartu rękoma. Coś w stylu: Ratunku, kobieta mnie bije!

– Przyjadę po ciebie o 17:45.

Łomot serca.

– Brennan... – dodał Ryan. – Weź wskazówkę od swego peruwiańskiego przyjaciela. Kończ póki możesz.

Resztę dnia spędziłam z moim peruwiańskim przyjacielem. Prześwietlenie wykazało, że czaszka była ludzka.

Nie psa czy ptaka, gatunków chętnie używanych przez twórców podróbek. Zrobiłam zdjęcia, napisałam raport i skontaktowałam się z przewodniczącym Wydziału Antropologii Uniwersytetu McGilla. Obiecał przysłać właściwego eksperta.

O drugiej Robert Gagne zatrzymał się przed moim biurem, aby powiedzieć mi, że wkrótce profile będą gotowe. Zaskoczyło mnie jego poświęcenie. Gliny czekają tygodniami na wyniki badań DNA. Odpowiedź Gagne była identyczna jak Susanne. Projekt był interesujący, zaintrygował go.

Przed trzecią byłam w drodze do St-Hubert. Przed czwartą jechałam do domu. Replika czaszki z Paraiso leżała w pudełku na siedzeniu pasażera. Reszta należała do mnie.

Ruch był spory. Na Moście Victorii na dobre utknęłam w korku. Dźwięk komórki wyrwał mnie z monotonii. Dzwoniła Katy.

- Cześć mammo.
- Cześć kochanie. Gdzie jesteś?
- W Charlotte. Mam wakacje.
- Czy nie za późno zakończyłaś rok szkolny?
- Muszę jeszcze oddać projekt z metodyki.

Katy była na piątym, ostatnim roku studiów na Uniwersytecie w Virginii. Była mądrą, dowcipną i atrakcyjną blondynką, która wie, czego chce od życia.

– Nad czym siedzisz? – zapytałam, zmieniając bieg, aby przemieścić się o nieco ponad czterdzieści centymetrów.

- Wpływ Cheez Whiz na pamięć szczurów.
- Obecnie w centrum zainteresowań Katy była psychologia.
- I?
 - One to kochają.
 - Zapisalaś się na zajęcia w następnym semestrze?
 - Tak.

– Obowiązki domowe? – Pete i ja opłaciliśmy naszej córce dwanaście semestrów, aby umożliwić jej odkrywanie uroków życia.

- Tak.
- Jesteś u taty?
- No. – Katy wolała dom, w którym mieszkała w dzieciństwie. Nie przepadała za moją malutką miejską rezydencją.
- Boyd jest ze mną. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?
- Skąd. Gdzie jest Ptasiek?

Podczas tej rozmowy przejechałam może ze dwa metry.

- Na moich kolanach. Twój kot nie jest zazdrosny o Boyda.
- Nie. Ciągłe jest nastroszony.
- Ojciec wyjechał?

- Tak, ale dzisiaj wracają.
 - Oni?
 - Upps.
 - OK.
 - On ma nową przyjaciółkę.
 - To miło.
 - Myślę, że rozmiar jej biustu przewyższa jej IQ.
 - I nie można jej pomóc?
 - Ona nie lubi psów.
 - W tym można jej pomóc.
 - Gdzie jesteś, mamó?
 - W Montrealu.
 - Prowadzisz?
 - Gnam z prędkością światła.
- Toczyłam się z prędkością dziewiętnastu kilometrów na godzinę.
- Czym się zajmujesz? – zapytała.
- Powiedziałam jej.

– Dlaczego nie użyjesz prawdziwej czaszki? Opowiedziałam jej o Diazie, Lucasie i wykradzionym szkielecie.

- Miałam profesora od socjologii o nazwisku Lucas. Richard Lucas.
- Ten ma na imię Hektor.

Wiedziała, co się stanie, gdy tylko wymówię to imię. Gdy Katy miała cztery latka, bardzo lubiła pewną rymowankę. Teraz wyrecytowała ją śpiewnym głosem:

*Hektor Protektor w stroju o barwie zielonej;
Hektor Protektor został wysiany do królowej...*

- Hektor rozpruwacz powinien być powieszony na własnym jelicie – wciąłam się.
- Okropne.
- To pierwsza wersja.
- Nie pisz drugiej. Poezja nie powinna przysparzać cierpienia tylko dlatego, że jesteś sfrustrowana.
- Hektor Protektor to nie Coleridge.
- Mamuś, kiedy wrócisz do Charlotte?
- Nie jestem pewna. Chcę skończyć sprawy rozgrzebane w Gwatemali.
- Powodzenia.
- Masz już jakąś pracę na wakacje?
- Szukam.

– Powodzenia.

Gdy wjeżdżałam na podjazd, zadzwonił Gagne.

– Dopasowaliśmy.

Jego słowa były pozbawione sensu.

– O czym ty mówisz?

Wjechałam do podziemi.

– Właśnie testujemy na stronie internetowej naszą autorską technikę badania mitochondrium, więc postanowiłem się z tym trochę pobawić. Chociaż mielibyśmy więcej szczęścia, gdyby próbki ze zbiornika szamba nie były tak zniszczone.

Wcisnęłam guzik na pilocie. Drzwi szarpnęły, podniosły się. Kiedy wjeżdżałam do garażu, rwało się połączenie.

– Dopasowałem dwie z twoich próbek.

– Ale ja dałam ci tylko jedną.

– W paczce były 4 próbki. – Usłyszałam szelest papieru. – Paraiso, Specter, Eduardo, Gerardi.

Minos musiał źle zrozumieć moją prośbę. Kiedy mówiłam o włosach, miałam na myśli te zebrane z džinsów znalezionych w zbiorniku szamba. Minos dołączył do analizy próbki wszystkich czterech kotów.

Ciężko było mi to zrozumieć.

– Które próbki pan dopasował, panie Gagne?

Drzwi garażu zamknęły się za mną. Odpowiedź Gagne była zniekształcona. Próbowałam zrozumieć jego słowa, ale usłyszałam jedynie serię przerywanych sygnałów. Straciłam zasięg.

Rozdział 19

Zarzuciwszy na ramiona teczkę i laptopa, chwyciłam paczkę zawierającą odlew od Susanne i pomknęłam do windy. Ledwie zdążyłam wskoczyć do środka, bo drzwi już się zamykały. Wpadłam na Andrew Ryana.

– Wow, wow. Pali się gdzieś?

Moją pierwszą reakcją była irytacja.

– Miły banał.

– Staram się. Co masz w pudełku? – zapytał.

Ruszyłam się, aby obejść go dookoła, ale dał krok w lewo, blokując mi ścieżkę. W tym momencie w korytarzu pojawił się sąsiad.

– *Bonjour*. – Starszy pan dotknął laską czapeczki, kiwnął głową do Ryana i do mnie.

– *Bonjour, Monsieur Gravel* – powiedziałam.

Pan Gravel podszedł do skrzynek pocztowych.

Stałam w windzie po lewej stronie, Ryan po prawej. Pudełko Susanne wypełniło przestrzeń pomiędzy naszymi klatkami piersiowymi.

Słyszałam, jak pan Gravel otwiera skrzynkę pocztową, zamyka, a potem odchodzi, stukając laską w marmurową posadzkę.

– Muszę zadzwonić, Ryan.

– Co jest w kartonie?

– Głowa ze zbiornika szamba.

Stukot laski ucichł.

Ryan położył obie ręce na kartonie.

– Proszę, proszę, nie rób tego – błagał głośnym, szczebioczącym głosem.

Oddech pana Gravela przypominał rżenie starego silnika.

Gapiałam się na Ryana.

Andrew uśmiechnął się do mnie, stał tyłem do mojego sąsiada.

– Chodź za mną – powiedziałam, zaledwie poruszając wargami.

Idąc korytarzem, usłyszałam, jak Ryan odwraca się. Wiedziałam, że podgląda pana Gravela. Byłam poirytowana do granic możliwości.

W moim mieszkanku położyłam wszystko na stole i wzięłam komórkę.

– Gagne właśnie dzwonił z wynikami analiz porównawczych DNA kocich włosów, które przywiozłam z Gwatemali.

– To Szalony Kot.

– Znalazł związek pomiędzy dwoma z czterech próbek.

– Jakich czterech próbek?

Wyjaśniłam mu, że Minos spakował włosy zebrane w domach Specterów, Eduardów i Gerardich razem z kilkoma zebranymi z dzinsów znalezionych w Paraiso. Potem chwyciłam słuchawkę i wystukałam numer laboratorium.

– Jakie dopasowanie próbek? – zapytał Ryan.

Kiedy sekretarka odebrała, poprosiłam o połączenie z Gagne.

– To coś, czego nie mogę się doczekać. Kot Eduardów został wykluczony.

– Dlaczego?

– Pers.

– Biedny Fluffy.

– Buttercup.

Usłyszałam w słuchawce głos Roberta Gagne.

– Przepraszam – powiedziałam. – Złapałeś mnie pod ziemią.

– Słysząc cię tak, jakbyś cały czas tam była.

– Włączyłam opcję głośnomówiącą. Jest tu ze mną detektyw Ryan.

– Ryan się tym zajmuje?

– Wszystkim. Proszę powtórzyć, co mi powiedziałaś.

– Powiedziałem, że zbadałem mitochondrialne DNA. Trzy próbki wydają się być w porządku, ale włosy z paczki oznaczonej „Paraiso” nie mają żadnego korzenia ani otoczki ze stosownym pęcherzykowatym wzorem, które umożliwiają przetwarzanie genomyczne DNA. Kazałaś mi sprawdzić wszystko.

Kazałam. Ale miałam na myśli jedynie próbkę z Paraiso. Nie wiedziałam, że Minos spakuje także inne próbki.

– Mogłem poszukać komórek nabłonkowych na trzonach włosów z Paraiso, ale biorąc pod uwagę charakter sprawy, wątpiłem, że coś znajdę – kontynuował Gagne.

– Koty mają regiony polimorficzne w ich mitochondrialnym DNA? – zapytałam.

– Podobnie jak ludzie. Tę kwestię badali w instytucie raka w Stanach genetycy od kotów. Ma to doskonałe przełożenie na zmienność populacji.

Ryan przystawił palce do ciemienia, imitując tym gestem lufę pistoletu. Nie jest Linusem Paulingiem.

– Które próbki można było do siebie dopasować?

Usłyszałam szelest przerzucanych kartek. Wstrzymałam oddech.

– Próbka oznaczona „Paraiso” miała ten sam profil, co próbka oznaczona „Specter”.

Ryan zamarł z papierosem w dłoni i gapił się na telefon.

– Znaczy, że są zgodne?

– Znaczy, że są identyczne.

– Dziękuję.

Rozłączyłam się.

– Możesz wsadzić broń do kabury.

Ryan udał, że chowa broń i położył ręce na biodrach.

– Czy on ma pewność, że właściwie dopasował próbki?

– Jego praca polega na tym, by mieć pewność.

– Ten włos był w jakimś pieprzonym zbiorniku szamba. – Ton Ryana wyrażał sceptycyzm.

– Czy ty wiesz cokolwiek o DNA?

– Niewiele, ale czuję, że zaraz dowiem się czegoś nowego. – Podniósł do góry dłoń. –

Poproszę wersję pięciominutową.

– Wiesz, jak wyglądają molekuly DNA? – zapytałam.

– Spiralne schody.

– Bardzo dobrze. Cukry i fosforany formują poręczę, a zasady tworzą schody. Czy mam uprościć ten schemat jeszcze bardziej? – Ryan otworzył usta, ale przerwałam mu. – Myśl o zasadach jak o klockach Lego. Występują tylko w czterech kolorach. Jeśli czerwony klocek tworzy jedną połowę schodka, druga połowa jest zawsze w kolorze niebieskim. Zielone klocki parują się z żółtymi.

– I nie każdy ma ten sam odcień koloru w poszczególnych miejscach.

– Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, Ryan. Kiedy te złożone zmiany występują w zestawie klocków, nazywa się to polimorfizmem. Kiedy ustawienie ma nieskończoną liczbę wariantów, może setki, mówi się o regionach hiperzmienności.

– Jak Manhattan.

– Pozwolisz mi to wyjaśnić czy nie?

Ryan podniósł do góry obie ręce.

– Zmienność lub polimorfizm mogą wystąpić w sekwencji kolorów lub czasookresach, w których te sekwencje kolorów powtarzają się pomiędzy dwoma charakterystycznymi klockami.

– Poszczególne fragmenty mogą się różnić wzorem lub długością.

– Pierwsza technika, która została zaadoptowana do analiz DNA w medycynie sądowej nazywała się RFLP, Polimorfizm Długości Fragmentów Restrykcyjnych. Analiza RFLP określa zmienność w długości określonych fragmentów DNA.

– Tworzy coś, co przypomina kody kreskowe na produktach.

– Nazywa się to sekwencjonowaniem. Niestety, by zanalizować DNA tą metodą, potrzebne są wyraźne dowody, których często nie udaje się zabezpieczyć na miejscu przestępstwa. Oto dlaczego Reakcja Łańcuchowa Polimerazy (PGR) była takim przełomem.

– Szczegółowo...

– Dokładnie. Bez zagłębiania się w szczegóły...

– Kocham, kiedy świntuszysz. – Ryan dotknął mojego nosa.

Odepchnęłam jego rękę.

– Reakcja Łańcuchowa Polimerazy jest techniką zwiększającą ilość DNA nadającego się do analizy. Określona sekwencja klocków Lego jest kopiowana miliony razy.

– Genetyczne ksero.

– Za każdym razem liczba kopii zwiększa się dwukrotnie, więc DNA narasta geometrycznie. Felerem analizy PGR jest to, że mniej zmienne fragmenty DNA mają tendencję do wykazywania mniejszej zmienności.

– Więc jesteś w stanie wykorzystać PGR przy kiepskiej jakości DNA, ale przy mniejszej sile rozróżniania.

– Dawniej był taki przypadek.

– Co to jest to mitochondrialne coś?

– RFLP i PGR – i inne metody analiz – wykorzystują genomyczne DNA, które znajduje się w jądrze komórkowym. Dodatkowe fragmenty materiału genetycznego znajdują się w mitochondriach. Genom mitochondrialny jest mniejszy, uboższy o ponad sześćdziesiąt tysięcy zasad i tworzy okrąg, a nie schody spiralne. Na tym okręgu znajdują się dwa regiony, które wykazują dużą zmienność.

– Co jest zaletą?

– Mitochondrialne DNA występuje w stu do tysiąca kopii w jednej komórce, więc może być wydobyte z małych lub zniszczonych próbek, w których dawno już nie ma genomycznego DNA. Mitochondrialne DNA znaleziono między innymi w egipskich mumiach.

– Wątpię, aby twój zbiornik został zbudowany przez faraonów.

– Ryan, chciałam ci to wytłumaczyć prosto i obrazowo.

– Myślałem o jakimś bliższym nam czasowo przykładzie.

– Mitochondrialne DNA zostało wykorzystane do określenia, czy szkielety ostatnio ekshumowane w Rosji to szkielety cara Mikołaja i jego rodziny.

– Jak?

– Mitochondrialne DNA dziedziczymy jedynie od matki.

– Całe to DNA pochodzi od matki?

– Przykro mi, że ci to mówię, Ryan.

– Moja płęć jest więc zdominowana przez kobiety.

– Naukowcy porównali DNA z rosyjskich kości z materiałem genetycznym otrzymanym od żyjących krewnych carskiej rodziny, szczególny nacisk kładąc na analizę DNA brytyjskiego księcia Filipa.

– Mężulek królowej Elżbiety?

– Babka księcia Filipa ze strony matki była siostrą carycy Aleksandry, więc Aleksandra, jej dzieci, a także książę Filip, odziedziczyli mitochondrialne DNA po prababce męża królowej Elżbiety.

– Wróćmy do kotów.

– Komórki włosów nie mają jądra, więc mają niegenomiczne DNA. Za to w trzonie włosów jest DNA mitochondrialne.

– Gagne odniósł się do komórek nabłonkowych.

– Ślina, skóra, usta, pochwa. Możesz znaleźć ślinę na włosach kota jako rezultat czyszczenia

się – te komórki są także do znalezienia w moczu i kale. Doceniam pesymizm Gagne co do komórek nabłonkowych w tym przypadku.

– Kiepska szansa na znalezienie czegokolwiek.

– Według Gagne, sekwencje mitochondrialnego DNA kota Specterów były identyczne, jak materiał genetyczny włosów znalezionych w szambie.

– To znaczy, że ofiara z Paraiso miała kontakt z kotem Specterów.

– Tak.

– A my wiemy, że w tym zbiorniku na pewno nie znaleziono Chantale.

– Dobrze kombinujesz, Ryan. Gliny są w tym świetne.

– Ofiara była kimś, kto był w domu Specterów albo przynajmniej miał kontakt z ich kotem.

– Przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia.

Patrzył na mnie pytająco.

– Czyli wtedy, kiedy Guimauve znalazł martwego mężczyznę pływającego w basenie.

Ryan pomyślał chwilę, potem stwierdził:

– Myślę, że mała Chantale wie więcej, niż mówi.

– Ktoś wie więcej – zgodziłam się.

– Pani Specter?

Wzruszyłam ramionami.

Ryan i ja zamknęliśmy oczy. Przypuszczam, że myśleliśmy w tej chwili o tym samym.

– Nigdy nie spotkałam ambasadora – powiedziałam, przerywając ciszę.

– Gdzie on jest?

– Dyskutuje o zbiorach soi w Meksyku.

– Dziwne, zakładając, że jego córka ostatnio została aresztowana.

– Galiano powiedział, że Specter zwlekał ze zgłoszeniem zaginięcia córki. Kiedy gliny zaczęły zajmować się tą sprawą, nie był zbyt chętny do współpracy.

– Kociak stawia rzeczy w całkiem nowym świetle.

Leżące na zachód od Centre-Ville Westmount, spływało z gór serią cienistych uliczek. Klątwą dla quebeckich separatystów jest sąsiedztwo federalistów, którzy posługują się językiem angielskim. Dopóki wiele przedmieść oraz przyległych dzielnic nie zostało włączonych pod parasol Wspólnoty Miejskiej Montreal, Westmount było dumne ze swej niezależności, niskich podatków, skutecznego zarządzania i dobrego smaku. Tutejsi mieszkańcy zaciekle walczyli o autonomię. Nim wchłonęło ich Super Miasto obywatele Westmount nosili futra i kaszmirowe płaszcze, zadzierali swoje zamożne nosy i czekali, aż jakiś tutejszy prawnik stanie w obronie ich niezależności i odrębności. Wciąż czekali.

Ryan wyjechał z tunelu na Atwater, skręcił w lewo na Boulevard, potem w prawo i zaczął podjeżdżać pod górę. Posiadłości były tu coraz bardziej okazałe. Wyobrażałam sobie, że patrzę od strony południowego patio i słonecznych pokoi na rozszerzającą się panoramę rzeki i miasta.

Westmount jest jak Hong Kong – im wyższe wzniesienie, tym lepszy adres. Willa Specterów była jednym z największych domów w górnym Westmount. Kamienna forteca, zwieńczona wieżą, górowała nad innymi. Było tu miejsce na grilla, a na teren posiadłości wchodziło się przez masywne dębowe drzwi. Cyprysowy żywopłot uniemożliwiał oglądanie frontu dóbr państwa Specterów.

- Piękna szopa – powiedział Ryan, wjeżdżając na krawężnik.
- Pani Specter wspominała mi o tym molochu, określając go mianem: „malutkie miejsce”.
- Arogancko bezpretensjonalny dom. Bardzo westmouncki.
- Pani Specter jest z Charlevoix.

Ryan nacisnął na dzwonek u drzwi.

- Ile zarabia ambasador? – zapytał na bezdechu.
- Mniej niż na to tutaj, jestem pewna. Ambasadorzy zazwyczaj nie podejmują pracy dla pieniędzy. Oni wpłacają pieniądze, żeby je mieć.

Czekaliśmy już około minuty. Ryan zadzwonił ponownie.

Byłam zszokowana, gdy zobaczyłam w drzwiach panią Specter. Chociaż usta pociągnęła szminką, a na policzki nałożyła róż, jej twarz kolorem przypominała szpitalną pościel. Miedziane włosy związała na czubku głowy, a pojedyncze pasemka skręcały się wokół uszu i na karku.

– Nie, przykro mi. Mam gości. – Podniosła rękę do piersi. – Nie jestem w stanie się z tobą teraz spotkać.

Zaczęła zamykać drzwi, ale Ryan pozostawił rękę na framudze.

- Proszę. Miałam migrenę.
- Nie chcemy pani przeszkadzać, pani Specter. – Przesłał jej uśmiezek aniołka z chóru kościelnego. – Jesteśmy tutaj, aby spotkać się z Chantale.
- Nie mogę pozwolić, byście niepokoiili moją córkę. – Jej głos rwał się, a palce oplatały kurczowo kłamkę.

- Nie zajmiemy dużo czasu – powiedziałam.
- Chantale śpi.
- Proszę ją obudzić.
- Nie czuje się dobrze.
- Ból głowy? – głos Ryana był niezwykle stanowczy.
- Dominique, sama miewam migreny – przerwałam. – Wiem, jak się czujesz. Proszę, zawołaj Chantale i wracaj do łóżka.

– Nie, dziękuję.

Odpowiedź nie miała sensu. Spojrzałam krótko. Ulubieńcy pani Specter byli wielkości koktajlowych szklanek. Żona ambasadora zażyła kilka tabletek uśmierzających ból.

– Czy jest pan Specter...?

Przerwała mi machnięciem ręki.

– Czy pani mąż tu jest, pani Specter?

- Tutaj?
- Czy pan Specter jest w domu?
- Tutaj nie ma nikogo.
- Nikogo?

Pani Specter zauważyła swój błąd i kiwnęła przecząco głową.

- Z wyjątkiem Chantale – dodała.

Ryan i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia.

- Gdzie ona jest, proszę pani? – zapytałam, kładąc dłoń na jej dłoni.
- Słucham?
- Chantale odleciała, czy tak?

Opuściła głowę, przytaknęła.

- Czy powiedziała pani, dokąd jedzie?
- Nie. – Kandelabr w holu podkreślił ciemny meszek rysujący się nad jej górną wargą.
- Czy skontaktowała się z panią?
- Nie. – Wciąż patrzyła na posadzkę.
- Czy pani wie, gdzie ona jest?
- Nie. – Jej głos brzmiał tak, jakby dzieliła nas odległość miliona kilometrów.
- Pani Specter? – Ponaglałam ją.

Podniosła głowę, patrzyła na stojący za nami żywopłot.

– Chantale jest daleko stąd, z ludźmi, którzy ją skrzywdzą. Jest wściekła. Bardzo, bardzo wściekła.

Wzięła nerwowy oddech, przeniosła wzrok z cedrów na mnie.

– Jej ojciec i ja zrobiliśmy to Chantale. Mój romans, jego mściwe gierki. Skąd mieliśmy wiedzieć, że tak się to odbije na naszej córce? Zrobiłabym wszystko, żeby było zupełnie inaczej.

- Żaden rodzic nie jest perfekcyjny, proszę pani.
- Wielu rodziców pchnęło swoje dzieci w objęcia narkotyków.

Cieężko to wytłumaczyć.

– Czy jest coś, co jak pani sądzi, mogłoby pomóc nam zlokalizować miejsce pobytu Chantale? – zapytałam.

- Słucham?

Powtórzyłam pytanie.

Pani Specter przeszukiwała zakamarki swej pamięci.

- Przykro mi – powiedziała. – Przykro mi.
- Czy możemy zobaczyć jej pokój? – zapytał Ryan.

Kiwnęła głową, odwróciła się i poprowadziła nas do góry krętymi, rzeźbionymi, drewnianymi schodami do holu na drugim piętrze.

- Pierwszy pokój po lewej stronie to sypialnia Chantale. Muszę się położyć.
- Damy sobie radę – powiedziałam.

Mimo że pokój był ciemny, na suficie nad łóżkiem Chantale błyszczały setki małych punkcików. Natychmiast je rozpoznałam. Firma Błysk Natury w Ciemnych Gwiazdach. Gdy Katy skończyła czternaście lat, zakupiliśmy cały zestaw i spędziliśmy popołudnie, tworząc gwiazdną wystawę. Później Katy dodała do tego system słoneczny. Moja córka spędziła wiele godzin, przyglądając się naszemu dziełu i marząc o odległych światach. Zastanawiałam się, kto dekorował sufit w pokoju Chantale.

Gwiazdy zniknęły, gdy Ryan włączył światło.

Pokój był ozdobiony żółtą bawełnianą kratą z białymi oczkami. Łóżko z baldachimem było zawalone lalkami i poduszkami. Nad wezgłowieciem wisiał wypchany orangutan. Miał puste oczy. Jeszcze więcej lalek i zwierząt widniało na parapecie i bostońskim fotelu na biegunach. Na jednej szafce nocnej stał telefon bezprzewodowy, na drugiej radio-budzik Bosa i discman. Malowana garderoba musiała kosztować więcej niż wszystkie meble w moim domu. Kiedy Ryan podszedł do komputera stacjonarnego, otworzyłam drzwi garderoby. Plakaty zespołów pokrywały wnętrze każdego skrzydła. Na prawym *White Trash Two Heebz and a Bean*, z gryzmołami na brzuchach wykonawców. Na lewym *Punk Rock On-Girls Kick Ass*.

W komodzie stały książki, TV i rozbudowana kolekcja płyt kompaktowych. Przejrzałam nazwy wykonawców. Dropkick Murphys, Good Riddance, Buck-O-Nine, AFI, Dead Kennedys, Rancid, Saves the Day, Face to Face, The Business, Anti-Flag, The Clash, Less Than Jake, The Unseen, The Aquabats, The Vandals, NFG, Stiff Little Fingers. Sporo płyt NOFX.

Poczułam się stara jak Zeus. Nie znałam niektórych grup.

Książki w języku francuskim i angielskim. *Anna Karenina* Tolstoja, *Powrót Merlinia* Deepaka Chopry. *Autostopem przez Galaktykę* Douglasa Adamsa. *Père manquant, fils manqué* Guy'a Corneau. *Ania z Zielonego Wzgórza*. Kilka części *Harry'ego Pottera*.

Poczułam się troszkę lepiej.

– Mieszany przekaz – powiedział Ryan, naciskając na włącznik komputera.

– Myślisz, że dzieciak przechodzi kryzys tożsamości?

Pokój był schizofreniczną mieszanką kaprysów małej dziewczynki, młodocianych obaw i dorosłej ciekawości. Próbowałam sobie w tym wszystkim wyobrazić Chantale. Doświadczyłam jej manifestacji punkowej, widziałam zdjęcie z serii *Ojciec Wie Najlepiej*, ale nie czułam prawdziwej Chantale, nie miałam pojęcia, kim była w tym pokoju.

Usłyszałam charakterystyczny dźwięk uruchamianego komputera.

Czy Chantale podobała się kraciasta bawełna? Czy prosiła o lalki? Czy dostrzegła orangutana w katalogu wysyłkowym i nalegała, żeby go kupiono? Czy może wygrała go w trakcie karnawału? Czy nocą obserwowała plastikowe gwiazdy na suficie i zastanawiała się, co czeka ją w życiu? Czy zamykała mocno powieki, rozczarowana tym, co dotychczas ją spotkało?

Odgłos wodospadu zapowiedział uruchomienie się Windowsa. Ryan operował myszką, wystukiwał coś na klawiaturze. Zauważyłam, że uruchomił AOL i próbował wklepywać różne hasła, kombinacje znaków.

AOL poinformował go, że wybór był błędny. Zasugerował ponowne wejście.

– To może trwać całe życie – powiedziałam.

– Większość dzieciaków nie jest skomplikowana. Spróbował pierwszego imienia każdego członka rodziny, potem ich inicjałów, inicjałów w innym ustawieniu, potem w różnych kombinacjach. Brak dostępu.

– Kiedy są jej urodziny?

Powiedziałam mu. Próbował cyfr w takim i innym ustawieniu. AOL ani drgnął.

– Imię kota?

– Guimaive.

– Pianki żelowe?

– Nie patrz na mnie. Ja tego nie wybrałam.

G-U-I-M-A-U-V-E.

AOL odrzucił to hasło.

E_V_U_A_M_I_U_G.

Ekran błysnął i melodyjny głos powiadomił o oczekującej poczcie.

– Cholera, jestem dobry.

– Nie znałeś imienia kota.

Ryan kliknął na ikonę i na ekranie pojawiła się poczta Chantale. Panna ambasadorówna miała dwa nieprzeczytane emaile. Przejrzeliśmy ich treść. Nadawcami tych wiadomości byli jej szkolni przyjaciele z Gwatemali.

Ryan przeszedł do Poczty Wysłanej. Chantale wysłała e-maile na adres: metalass@hotmail.com. Siedem e-maili od czasu, gdy w piątek zwolniono ją z aresztu. W każdym komunikacie mówiła o swoim nieszczęściu i błagała o pomoc. Apelowwała także do Dirdogga, Rambeau, Bedheada, Sexychatona i Cripercanta.

W Poczcie Otrzymanej Chantale były dwie wiadomości. Jedna z wczoraj, druga z dzisiaj z 15:00. Obie wiadomości były od Metalassa. Ryan otworzył wcześniejszą wiadomość.

PIEPRZONA A., CIESZĘ SIĘ, ŻE WRÓCIŁAŚ.

DIRT I RAMBEAU UKRYLI SIĘ.

SZEF POJECHAŁ NA ZACHÓD.

ZADZWOŃ. MASZ PRZYJACIELA.

– Straszne – powiedział Ryan, klikając na drugiego maila. – Ten klient jest cichym wielbicielem Jamesa Taylora.

ZMIANA PLANÓW. TIM. GUY. ÓSMA.

JAKBY CO, IDŹ DO CLEMA.

– Myślisz, że Clem, Tim i Guy mogli być cyberpunkami, do których mailowała?

Ryan zamyślił się.

Wzięłam telefon Chantale i wcisnęłam oddzwanianie.

Nic.

Spojrzałam na orangutana w oczekiwaniu, że wyjawi mi, gdzie nawiała jego panienska.

Ryan wyłączył komputer i wstał.

– Jakiś pomysł? – zapytałam.

– Wspaniały. Chodźmy potańczyć.

Rozdział 20

Jaki jest plan? – Zapytałam, gdy Ryan skręcał w Sherbrooke.

– Cannelloni w La Transition.

Spojrzałam na niego.

– I pudding chlebowy. Mają niebiańsko dobry pudding z chleba.

– Myślałam, że podejmiemy próbę znalezienia Chantale.

– Potem pączki.

– Pączki?

– Lubię te z posypką.

Nim cokolwiek zdążyłam powiedzieć, skręcił w Grosvenor, zaparkował, obszedł samochód i otworzył moje drzwi. Potem wziął mnie pod łokieć i poprowadził w kierunku restauracji na rogu.

Zachowanie Ryana przypominało syndrom pana i władcy. Wzdrygnęłam się.

– Co się dzieje?

– Zaufaj mi.

– Nie chcę ci zniszczyć chwili Szpieg kontra Szpieg, Ryan, ale musimy znaleźć Chantale.

– Znajdziemy.

– Z cannelloni i pączkami?

– Zaufasz mi w końcu?

– W czym problem? – Wyswobodziłam się z jego uścisku.

– Nie mogę dzielić się pewnymi informacjami policyjnymi – odpowiedział.

Kobieta ze szklankami w kształcie butelek coca-coli podeszła do terriera, który wyglądał bardziej jak szczur niż jak pies. Słyszac naszą rozmowę, opuściła wzrok i przyspieszyła kroku.

– Zastraszasz lokalnych mieszkańców. Wejdz do środka. Wszystko ci wytłumaczę.

Ze wściekłości zmrużyłam oczy, ale poszłam za nim. Nagle wróciły wspomnienia z Gucumatz, gdzie byłam na obiedzie z Galiano. Restauracja, do której zaciągnął mnie Andrew, stanowiła Kulminację Śródziemnomorską. Przyćmione światła, panele w kolorze leśnej zieleni, na stołach granatowe i czerwone obrusy. Młoda kobieta zaprowadziła nas do stolika przy bocznym oknie, obdarzając przy tym Ryana szerokim uśmiechem.

Ryan odwzajemnił uśmiech. Usiedliśmy.

– Słyszałaś kiedykolwiek o Patricku Feeneyu?

– Nie wysyłałiśmy sobie kartek świątecznych.

– Jezu, ależ jesteś złośliwa.

– Pracuję nad tym.

Ryan westchnął, okazując swą anielską cierpliwość.

– Słyszałaś kiedykolwiek o Chez Tante Clémence?

– To schronisko dla dzieci z ulicy.

Kolejna młoda kobieta przyniosła nam menu i obdarzyła jeszcze bardziej promiennym uśmiechem niż jej poprzedniczka, przyniosła szklanki do wody i zapytała, czego się napijemy. Zamówiliśmy Perrier. Ryan zignorował swoje menu.

– Cannelloni są wyśmienite.

– Już to słyszałam.

Kiedy kelnerka wróciła, zamówiłam makaron z pesto po genueńsku. Ryan pozostał przy swej wizji. Oboje zamówiliśmy po małej sałatce cesarskiej. Posiłek przerywaliśmy sobie krótkimi konwersacjami. Za oknem dzień przechodził w noc.

Dzieci znikają z chodników i podwórek, wołane na kolację albo do lekcji. W bliźniakach po obu stronach ulicy światła rozświetlały wnętrza i werandy. Wzdłuż Sherbrooke zamykano banki i firmy, pustoszały sklepy. Migotały neony knajp, chociaż większość z nich jeszcze nie tętniło nocnym życiem. Przechodnie przyspieszali kroku, czując macki nocnego chłodu. Martwiłam się o Chantale Specter.

Kiedy podano dania główne, przyprawiliśmy je pieprzem i serem. Ryan znowu odezwał się.

– Schronisko o nazwie Ciotka Clémence prowadzi ksiądz o nazwisku Patrick Feeney, który został zawieszony w wykonywaniu posługi kapłańskiej. Feeney zakazuje używania narkotyków czy alkoholu na terenie posiadłości. W zamian za stosowanie się do tych wymogów daje dzieciakom posiłki i miejsce do spania. Kiedy ktoś chce pogadać, Feeney słucha. Jeśli prosi o poradę psychologiczną, prowadzi go do psychologa. Żadnych kazań. Żadnej godziny policyjnej. Żadnego zamykania drzwi.

– Brzmi bardzo liberalnie jak na Kościół katolicki.

– Powiedziałem „zawieszony” ksiądz. Feeney zrzucił duchowne szaty lata temu.

– Dlaczego?

– O ile pamiętam, ojczulek miał dziewczynę, Kościół kazał podjąć mu decyzję. Feeney zrzucił sutannę i poszedł swoją drogą.

– Kto mu pomógł założyć schronisko?

– Clém dostał pieniądze od miasta, ale większość funduszy pochodzi z imprez charytatywnych i od prywatnych darczyńców.

Zaskoczyłam.

– Myślisz, że Clém to Ciotka Clémence.

– Mówiłem ci już, że jestem w tym dobry.

Kolejne skojarzenie.

– Tim to sklep z pączkami Tima Hortonsa na Guy – powiedziałam.

– Ty też jesteś niezła, Brennan.

– Czyli teraz zabijamy czas przed spotkaniem z Metalassem.

Spojrzeliliśmy na zegarki. Była za dwie siódma.

Cywile sądzą, że obserwacja to niezwykle emocjonujące zajęcie w pracy policjanta. Powoduje wzrost adrenaliny, szybsze bicie serca. W rzeczywistości to nudna, gówniana robota.

Przez dwie godziny obserwowaliśmy sklep z pączkami Tima Hortonsa. Ryan siedział w swoim samochodzie, ja na parkowej ławeczce. Mijali mnie ludzie spieszący do domów, wychodzący ze stacji metra Guy. Studenci kończyli zajęcia wieczorowe na Uniwersytecie Concordia. Starsze osoby karmiły gołębie przy pomniku Normana Bethune. Ktoś grał we Frisbee, ktoś szedł na spacer z psem. Mijali mnie biznesmeni i włóczędzy. Tylko Chantale Specter nie było widać. O dziesiątej zadzwonił do mnie Ryan.

- Wygląda na to, że nasza gołąbeczka nie pokazała się.
- Czy Metalass mógł nas zauważyć i ostrzec ją?
- On ma IQ wielkości małej fasolki.
- Poza tym musiałyby być wyjątkowo cierpliwy, by tak długo czekać – dodałam.

Rozejrzałam się. Jedynym mężczyzną szwendającym się obok Tima był starszy pan. Kilku pijących kawę mrożoną w Java U naprzeciwko Maisonneuve pasowało do opisu podanego przez Metalassa, ale nikt nie wydawał się być zainteresowanym ani mną, ani sklepem z pączkami.

- Co teraz?
- Dajmy jej kolejne pół godziny. Jeśli się nie pokaże, przespacerujemy się do Clém.

Miejsce, w którym siedziałam, było wyspą w środku Maisonneuve. Dobiegał mnie warkot przejeżdżających samochodów. Zaczęłam odliczać: Jeden... Siedem... Dziesięć.

Dobra, Brennan, dość tych liczb.

Spojrzałam na zegarek. 22:05.

Dlaczego Chantale nie przyszła na spotkanie z Metalassem? Czy ten e-mail był pułapką? Czy przyszła, rozpoznała mnie i uciekła?

Do sklepu przyszła azjatycka rodzina. Kobieta z maluchem uczącym się chodzić i dzieckiem w spacerówce czekała na zewnątrz, a mężczyzna wszedł i kupił kilka pączków.

Spojrzałam na zegarek. 22:10.

Może ją przeoczyliśmy? Może Chantale ukryła się, zanim pojawił się Metalass, a potem dała mu sygnał? Może przyszła w przebraniu?

22:14.

Rzut oka na skrzyżowanie. Ryan spojrzał na mnie, delikatnie skinął głową.

Dwóch mężczyzn, wyglądających jak z billboardu Hugo Bossa, weszło do Tima Hortonsa. Obserwowałam, jak wybierają, a potem kupują tuzin pączków. Dwie starsze kobiety piły kawę w ogródku przed sklepem. Na stoliku pojawiły się też trzy wina.

22:17.

Pączki dla grupy studentów. Przyjrzałam się ich twarzom. Między nimi nie było Chantale.

– Gotowa?

Spojrzałam w górę. Neon oświetlił obrzeża włosów Ryana, ale niebo nad nim było ciemne i bezgwiezdne.

- Czas na przechadzkę?
- Czas na przechadzkę.

Chez Tante Clémence znajdowało się przy Maisonneuve, dwa bloki na wschód od starego budynku Forum. Centrum tworzyły brązowe, wysokie na trzy piętra kamienie postawiane po trzy, każdy ozdobiony jasno pomalowanym drewnem. Schronisko Clémence było pomalowane na kolor lawendowy.

Ekipa nie przerwała przycinania drzewek.

Weranda Clémence była w kolorze musztardowym, ramy okienne wiśniowe. Nieco w głębi, przy budynku schroniska, widniały wiązanki zwiędłej roślinności.

Dwie dziewczyny tarasowały drogę ewakuacyjną na drugim piętrze. Malowały sobie paznokcie. Miały krótkie, brązowe włosy i gęste grzywki. Nosiły szerokie spodnie. Ich poprzekłuwane w wielu miejscach ciało kwalifikowało je na operację chirurgiczną. Laverne i Shiriey Go Punk. Dziewczyny zauważyły nas i przerwały malowanie paznokci.

Na schodach werandy siedziała ekipa z papierosami trzymanymi w palcach lub zwisającymi z ust. Po kształcie fryzury miałam wrażenie, że na tarasie zasiedli: Statua Wolności, Mr T, dwóch Sir Galahadsów i jedna Janis Joplin. Chociaż było zbyt ciemno, aby rozpoznać twarze, cała piątka wyglądała tak, jakby była w przedszkolu, kiedy padł Mur Berliński.

Zauważyłam, że Mr T skomentował coś i wszyscy się zaśmiali.

– *Bonjour* – powiedział Ryan.

Żadnej odpowiedzi.

– Siemano. – Spróbował bardziej swojsko.

Z wewnątrz dobiegał przerywany ryk Sex Pistols, jak gdyby ktoś włączał i wyłączał muzykę.

– Szukamy Patricka Feeney.

– Dlaczego? – Mr T miał narzuconą skórzaną kamizelkę na gołą klatkę piersiową. – Wygrał w lotto?

– Został nominowany do Nagrody Nobla – powiedział Ryan bez cienia żartów w głosie.

Mr T zszedł z barierki i wyprostowany stanął przed nami z rozstawionymi nogami, kciuki zahaczył o szlufki od paska.

– Budzisz śpiącego tygrysa – powiedział Statua, strzepując popiół z papierosa na chodnik. – Kiepski ruch.

Podczas gdy Mr T wyglądał jakby chciał się bić, Statua patrzył z desperacją, prosząc o uwagę. Jego włosy były pomalowane sprayami w kolorach, których nie byłam w stanie rozpoznać w ciemności. Łańcuch łączył jedno z jego nozdrzy z płatkami uszu jego kumpla.

Ryan dał krok do przodu i machnął legitymacją przed twarzą Mr T.

– Patrick Feeney? – powtórzył mocnym głosem. Mr T opuścił ręce i zwinął palce w pięści. Joplin wstała i owinęła swoją rękę wokół jego nogi.

– *À l'intérieur* – powiedziała. Do środka.

– *Merci.*

Ryan postawił stopę na schodku. Kiedy wchodziliśmy na werandę, czułam, jak dziesięć oczu śledzi nasze postępy. Nad drzwiami frontowymi świeciła czerwona żarówka. Chociaż weranda zapadała się, zauważyłam, że pomiędzy stare deski powtykano nowe. Ktoś zmienił ziemię w doniczkach okiennych, w których widniał rząd kaczek. Chociaż Chez Tante Clémence nie wygrałoby żadnej nagrody w konkursie na projekt architektoniczny, widać było, że ktoś dbał o schronisko.

Wnętrze Clémence było równie eklektyczne. Lawendowa stolarka, proste obrazki na ścianach – zwierzęta, kwiaty, zachody słońca. Infantylny malunki, jakie pamiętałam z zajęć plastycznych w szkole podstawowej. W każdym pokoju były meble z Armii Zbawienia i inne linoleum.

Ryan i ja przeszliśmy przez salonik, w którym stało kilka posłań z futonu, mineliśmy drewniane schody po lewej i weszliśmy do długiego, wąskiego korytarza dokładnie naprzeciwko frontowego wejścia. Po obu stronach były pootwierane drzwi sypialni. W każdym pokoju stała szafa w kiepskim stanie i cztery do sześciu pojedynczych łóżek lub dzieciennych łóżeczek. Zauważyłam srebrno-niebieski snop światła z TV i usłyszałam podkład muzyczny z filmu *Prawo i Porządek*. Weszliśmy do kuchni. Za kuchnią, po lewej stronie, była jadalnia, a po prawej jeszcze dwie sypialnie.

Feeney kłęczał w kuchni, pomagając nastolatкови, przypominającemu wyglądem członka grupy Metalika, demontować lub składać radiomagnetofon.

Młodzi adwokaci, niczym kameleony zieleniejące, gdy chcą udawać liście, często przejmują cechy swoich klientów. Drelich, kucyk, sandały, buty. Kamuflaż pomaga im wmieszać się w populację, zlać się z tłumem. Feeney był inny. Jego oczy skrywały się za szklami grubości denka od butelki, twarz okalały zaczesane prosto gęste, białe włosy. Miał na sobie rozpinany sweter zrobiony na drutach, flanelową koszulę i szare poliestrowe spodnie podciągnięte pod same pachy.

Słyszając kroki, Feeney odwrócił się.

– W czym mogę pomóc?

Ryan pokazał mu legitymację policyjną.

– Detektyw Andrew Ryan.

– Jestem Patrick Feeney. Prowadzę to schronisko.

Feeney spojrzał na mnie. Metallica zrobił to samo. Oczekiwałam, że wpadną tu członkowie grupy i wysokimi, zachrypniętymi głosami wykrzyczą *Die, Die My Darling*.

– Tempe Brennan – przedstawiłam się.

Feeney kiwnął głową na powitanie. Stojący za nim chłopcy obserwowali nas z zaciekawieniem na twarzach.

W drzwiach naprzeciwko holu pojawiły się dwie dziewczyny. Tlenione blondynki wyglądały, jakby schomikowały zbyt dużo ziemniaków. Jedna miała na sobie dzinsy i koszulkę z napisem UBS, druga wsiową koszulę, zwisającą do bioder. Biorąc pod uwagę jej wagę, to nie był

dobry strój.

Patrick zaczął się podnosić. Metallica jako jedyny ruszył, aby mu pomóc. Podszedł do nas, rozstawiając szeroko nogi, jakby cierpiał na hemoroidy.

- W czym mogę panu pomóc, detektywie?
- Szukamy młodej kobiety o nazwisku Chantale Specter.
- Jakiś problem?
- Czy Chantale tutaj jest? – zapytał Ryan.
- Skąd to pytanie?
- To proste pytanie, Ojczy.

Feeney delikatnie się zjeżył. Kącikiem oka zauważyłam, że wsiowa koszula zniknęła. Chwilę później otworzyły się i zamknęły frontowe drzwi.

Wyślizgnęłam się z kuchni i pobiegłam do salonu. Przez okno zobaczyłam, że tylko Mr T i Statua pozostali na schodach. Rozmawiała z nimi Wsiowa Koszula. Po krótkiej wymianie zdań Mr T wyrzucił papierosa i we trójkę skierowali się w stronę zachodniego Maisonneuve. Przeczekałam chwilę, a potem ruszyłam za nimi.

Kanadyjczycy z Montrealu nie mieli szczęścia do wcześniejszych miejsc zamieszkania. W sezonie 1909/1910 roku w Westmount Arena na skrzyżowaniu Ste-Catherine i Atwater swoją siedzibę miała drużyna hokejowa. Kiedy lodowisko spłonęło, Habs powrócili do korzeni po wschodniej stronie miasta. Po kolejnym pożarze Arena Mont-Royal została ponownie odbudowana i chłopcy ciskali tam krążek przez następne cztery lata. W 1924 budynek Forum został zbudowany na wzór starego budynku. Budowa trwała zaledwie 159 dni i kosztowała 1,2 mln dolarów. Na otwarciu Canadiens pokonali St. Pats z Toronto 7:1. Hokej jest świętością w Kanadzie. Przez lata Forum zdobyło miano świątyni. Im więcej Pucharów Stanleya, tym bardziej się nią staje. Jednakże, nadszedł ten dzień. Zarządzający potrzebowali większej widowni. Drużyna Habsów – lepszych szatni.

11 marca 1996 drużyna rozegrała swój ostatni mecz w Forum. Sześć dni później 50 000 montrealczyków wzięło udział w paradzie z okazji dnia Świętego Patryka. W dniu 15 marca drużyna Habsów była gospodarzem na otwarciu w nowym Molson Centre, pokonując New York Rangers 4:2. To miał być ostatni mecz, który wygrały grzmoty, pomyślałam, biegnąc wzdłuż Maisonneuve.

Stare Forum stoi od tamtej chwili puste – porzucone brzydactwo na zachodnim skraju miasta. W 1998 Zarząd Cenderel zakupił projekt, wziął na pokład Pepsi jako głównego sponsora i zaczął wielkie poprawianie. Trzy lata później budynek został ponownie otwarty jako centrum rozrywki Forum Pepsi. I tak działalność przekształciła się z branży sportowej na rozrywkową.

Tam gdzie kiedyś handlowano biletami, teraz kierowcy ciężarówek chodzą na piwo, na łyk Smirnoffa Lodowego. Centrum Rozrywki Pepsi Forum mieści w sobie dwadzieścia dwie sale kinowe, ekskluzywny sklep z winami, restauracje, ściankę wspinaczkową i wielki ołtarz poświęcony dawnym dniom świetności.

Wypatrując kolorowych włosów Statui i Wsiowej Koszuli, śledziłam całą trójkę, chowając się za graczy w kręgle i widzów kinowych kręcących się po korytarzu. Mieszkańcy schroniska wjechali na drugie piętro i zniknęli u Julliana. Poszłam za nimi.

Stoliki i krzesła wypełniały prawą połowę restauracji, bar zajmował lewą. Choć było tylko kilku gości, wszystkie stołki przy kontuarze były zajęte.

Kiedy weszłam, trio z Clémence kierowało się ku młodej kobiecie siedzącej na samym końcu baru. Miała na sobie czarną, koronkową bluzkę, długie czarne korale i czarne rękawiczki bez palców. Koronka podtrzymująca kok przypominała wielkiego czarnego motyla, który usiadł na jej głowie.

To była Chantale Specter.

Widząc przyjaciół, Chantale uśmiechnęła się, pokazała podniesiony kciuk mężczyźnie siedzącemu po lewej stronie i zmrużyła oczy.

Patrzyłam na obiekt jej pogardy.

Niemożliwe.

A jednak.

Sięgnęłam po telefon komórkowy.

Rozdział 21

Ryan dotarł na miejsce w ciągu kilku minut. – Kim jest ten bęcwał z włosami postawionymi na żel?

– To dziennikarz z Chicago, Ollie Nordstern.

– Co on tutaj robi?

– Pije piwo.

– Co on robi w Montrealu?

– Prawdopodobnie próbuje mnie znaleźć. Nordstern robi materiał na temat praw człowieka.

Rozmawiałam z nim w Gwatemali, od tego czasu mnie śledzi.

– Śledzi cię?

– Dzwoni do mnie, zostawia wiadomości w laboratorium.

Ryan gapił się na Chantale.

– Czy coś spływa z jej oczu?

– Prawdopodobnie tatuaż.

– Co interesuje Nordsterna w córce Spectera?

– Może to Chantale jest łupem, a nie ja.

– Niesforna córka ambasadora. – Ryan pstryknął palcami. – Przepustka do Pulitzerza.

Oboje patrzyliśmy na dziewczynę. Siedziała w grupie przyjaciół, odwrócona plecami do Nordsterna.

– Gotowa?

– Zróbmy to.

Mr T był czujny. Kciuki zatknął w szlufki od paska, ostentacyjnie przeżuwał gumę. Zauważył nas z odległości trzech metrów. Pozostali byli skupieni na rozmowie. Nordstern wlepił wzrok w Chantale. Ryan zaszedł dziewczynę od tyłu, wyjął z jej dłoni kufel i powąchał zawartość.

Wszyscy ucichli.

– Jestem pewien, że wszyscy jesteśmy pełnoletni. – Ryan przesłał ojcowski uśmiech. Przyjazny Oficer uważał na dzieciaki.

– Odpieprz się – powiedział Mr T. W świetle wyglądał starzej, niż oszacowałam to na werandzie. Prawdopodobnie był po dwudziestce.

– Metalass? – zapytałam.

Spojrzał na mnie.

– Ostra stal. Co z tobą? – Dłońmi bębnił w blat kontuaru.

Chantale delikatnie podskoczyła.

– Używasz nicka Metalass?

– Fajna nazwa.

– Wiem, że traktujesz tę nazwę poważnie.

– Może moglibyśmy kiedyś napić się cappuccino. – Na twarzy Mr T pojawił się drwiący uśmieszek.

– Pewnie – powiedziałam. – Teraz ty wpuszczasz tu gości, ja mogłabym to robić w ramach prac społecznych.

Nerwowy chichot.

– Z czego się, kurwa, śmiejesz? – Mr T odwrócił się do Wsiowej Koszuli.

Ryan natychmiast znalazł się za Mr T i stosując dźwignię, wykręcił mu rękę do tyłu.

– Co, kur...

– Nie zapominaj o dobrych manierach. – Głos Przyjaznego Oficera był chłodny.

– To jest pieprzone nękanie przez policjantów. – Żyła naprężyła się na szyi Mr T. Kiedy próbował się uwolnić, Ryan zastosował mocniejszy uścisk.

Chantale próbowała się podnieść, jednak uniemożliwiłam jej to, kładąc dłonie na jej ramiona i sadzając z powrotem na barowy stół. Zauważyłam, że wytatuowane łyzy były fałszywe. Największa spływała skrajem policzka.

Nordstern przypatrywał się całej sytuacji w milczeniu.

– Moja koleżanka zadała ci słuszne pytanie – powiedział Ryan do ucha Mr T. – Dzwoniliśmy do ciebie, Mr T, ale nie udało się nam z tobą skontaktować. Znudziło się nam czekanie.

Żadnej odpowiedzi. Ryan szarpnął rękę Mr T.

– Pieprzona brutalność policji – wysyczał Mr T.

– Szybko łapiesz.

Nordstern zaczął bawić się serwetką, składając ją w coraz mniejsze trójkąty. Kolejne szarpnięcia.

– Metalass. – To było niemal skomlenie.

Parka obok Nordsterna odeszła ze swoimi piwami.

– Wątpię, żeby twoja matka nadała ci imię Metalass – powiedział Ryan.

– Ja wątpię, że twoja matka umie czytać i pisać – odszczeknął.

Andrew szarpnął po raz kolejny.

– Kurwa!

– Robię się niecierpliwy.

– Weź Prozac.

Jeszcze mocniej.

– Leon Hochmeister. Odpieprz się ode mnie.

Ryan puścił rękę Hochmeistera.

Hochmeister wypluł gumę na podłogę. Zaczął rozmasowywać swój biceps.

– Musisz się nauczyć kilku nowych przymiotników, Leon. Może zacznij od tych ze słownika komputerowego – rzucił Andrew.

Hochmeister przygryzł dolną wargę. Już szykował się, by powiedzieć słowo na P, jednak zmienił zdanie. Z jego oczu kipiała nienawiść – Rasputin w Mohawk.

Ryan odwrócił się do Statui.

– A ty jesteś?

– Presley Iverson. – Na twarzy Iversona malowała się ciekawość.

Wsiowa Koszula.

– Antoinette Gaudreau.

– Czy mam przyjemność z adresatami: Dirdoggy, Rambeau, Bedhead, Sexychaton lub Cripercant?

– Krzykacz – powiedział Iverson, wskazując na swoją osobę gestem dłoni. – *Cri perçant*. Krzyk przekłuwania.

– Bardzo poetyckie.

Na ustach Iversona wyrósł różowy bąbel. Kiedy pękł, Cripercant zaczął pracować nad kolejnym. Ryan spojrzał na Gaudreau.

– Nie używam e-maila zbyt często.

– A kiedy używasz?

Gaudreau wzruszyła ramionami.

– Sexychaton.

– Dziękuję, kotku.

Gaudreau była tak seksowna jak wieloryb.

– Nie macie prawa zamykać i bić ludzi. – Hochmeister odzyskiwał swą pewność siebie.

– Leon, tylko tyle mogę zrobić. Mogę też wpierniczyć twój kościsty tyłek do torby z napisem pomoc społeczna dla biednych dzieci. Myślisz, że twoje nazwisko mogłoby się pojawić w wielu interesujących materiałach do czytania?

Leon przestał masować biceps. Spojrzał na Chantale, a potem w sufit. Jego podbródek zalśnił od potu.

– Nic nie wiemy o tym gównie.

– Co to za gówno, Leon?

– To o którym mówisz.

Kącikiem oka dostrzegłam jak Nordsterna zmroziło.

– Kim jest „on”, Leon? – zapytał Ryan.

Hochmeister spojrzał na Nordsterna.

– To na pewno nie jest Chantale. – Wskazał na Nordsterna. – Ten dupek jest takim samym psycholem jak ty.

– Dlaczego?

– Sądzi, że Chantale ma coś wspólnego z dziwkami, które zaginęły w Gwatemali.

– Leon! – syknęła Chantale.

– Trochę odbiegłeś od praw człowieka – powiedziałam do Nordsterna.

Ollie uniósł na moment wzrok znad serwetki.

– Może.

– Gdzie pan mieszka, proszę pana? – zapytał Ryan.

– Proszę. – Nordstern zmiął serwetkę. – Niech pan nie traci swojego i mojego czasu. Moje informacje i źródła są poufne.

Nordstern rzucił serwetkę na bar i spojrzał na mnie.

– Szkoda, że nie możemy się wzajemnie wspierać. – Jego głos był tak wazeliniarski jak wieża wiertnicza.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Zanim odpowiedział, długo się mi przyglądał.

– Nie masz zielonego pojęcia, o co tu tak naprawdę chodzi.

– Czyżby?

– Zboczyłaś z drogi, którą mogłaś dotrzeć do Ganymeade. – Nordstern wstał. – Nawet nie jesteś w tej samej galaktyce.

– Ostatnio, gdy sprawdzałam, Ganymeade wciąż była na Mlecznej Drodze.

– Cieszy mnie to, dr Brennan. – Dziennikarz zdjął okulary i położył je na barze. – Ale ja nie mówię o astronomii.

– O czym pan mówi?

– O zabójstwie.

– Kogo?

Jego brwi podniosły się, a palec wskazujący poruszał się niczym wskazówka metronomu.

– Tajemnica.

– Dlaczego? – zapytałam.

Znowu miarowy ruch palca.

– Pogrzebana tajemnica.

Zauważyłam, że Nordstern był troszkę wcięty.

– Tajemnice grobu.

Próbował się uśmiechać.

– Zatrzymałem się w St. Malo – powiedział Nordstern do Ryana.

Do mnie: – Zadzwoń, jeśli chcesz znać odpowiedzi na kilka istotnych pytań.

Obserwowałam, jak Nordstern kroczy w kierunku drzwi. W połowie drogi odwrócił się i wymówił jedno słowo: „Ganymeade”. Przyłożył dwa palce do czoła i zniknął w drzwiach.

– Ten sukinsyn oszalał – powiedział Hochmeister. – Spotkamy się jeszcze, a wtedy zrobię w jego tyłku dziurę wielkości wyspy Cape Breton.

– Leon, powiem to po raz ostatni. Idź do domu. – Ryan podniósł rękę. – Nie, nie będę taki. – Przyłożył palec do nosa Hochmeistera. – Idź sobie. Ty i twoi przyjaciele możecie sobie obejrzeć powtórkę Archie Buncra. Zostań, a zamknijemy cię.

Iverson i Gaudreau wystrzelili ze swoich stołków, jakby coś ich parzyło. Hochmeister

powstrzymał się od uderzenia. Potem mężczyzna z tyłkiem pawiana wziął tyłek w troki. Kiedy trio zniknęło, Ryan zwrócił się do Chantale.

– Czego chce Nordstern?

– To jest nazwisko tego kutasa?

Chantale uniosła kufel z piwem. Ryan natychmiast zabrał go i odstawił.

– Ollie Nordstern – powiedziałam. – Jest dziennikarzem „Chicago Tribune”.

– Naprawdę?

Dobre pytanie, pomyślałam. Dokładnie tak powiedział mi Mateo, nigdy nie prosiłam Nordsterna o poświadczenie.

– O co pytał?

– Jakie mam plany na przyszłość.

– Chantale, nie sądzę, żebyś zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji, w której się znalazłaś. Jesteś w potrzasku. Sędzia może z powrotem wepchnąć cię za kraty.

Chantale schyliła głowę. Czarne kosmyki opadały wokoło śmiertelnie bladej twarzy.

– Nie słyszę cię, Chantale – powiedziałam.

– Pytał o te martwe dziewczyny.

– O tą, o której wspomniałam w areszcie?

Kiwnęła głową. Koronkowy motylek podskoczył. Przypomniałam sobie dziwne pytanie, jakie Nordstern zadał mi w siedzibie FAFG.

– Podczas wywiadu Ollie zapytał o sprawę związaną ze zbiornikiem szamba – powiedziałam do Ryana.

– Skąd o niej wiedział?

– Zabij mnie, ale nie wiem...

Jestem pewna, że w naszych głowach pojawiło się w tej chwili to samo pytanie: Czy Nordstern podejrzewa związek pomiędzy Specterem a Paraiso?

Powróciłam do Chantale.

– Jak Nordstern cię znalazł?

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Pewnie włóczył się pod moim domem.

– I poszedł za tobą do Tima Hortonsa.

– A jak wy mnie znaleźliście?

– Czy spotkałaś go już wcześniej?

– Mieliśmy potajemne schadzki pod odkrytymi trybunami – odpowiedziała ironicznie.

– Chantale?

– Nie.

– O co jeszcze cię pytał?

Milczała.

– Chantale?

Córka ambasadora spojrzała na nas. Zdenerwowanie zmieniło jej rysy. Mieliśmy przed sobą

zimną wersję dziewczęcej twarzyczki na fotografii z ambasady.

– Mój ojciec – powiedziała drżącym głosem. – Mój słynny, pieprzony, mądry, przeklęty ojciec. Nie chodzi o mnie. Nigdy nie chodzi o mnie.

Chantale sięgnęła do haftowanej torby przewieszanej przez ramię. Zdjęła czarne okulary i odłożyła je na blat kontuaru. Zdeformowany obraz mojej twarzy przeskakiwał z jednego szkła na drugie – dwa zabawne odbicia Tempe, a w każdym malujące się to samo zmieszane spojrzenie.

Ryan rzucił dwa banknoty na stół.

– Twoja matka się niepokoi. Możemy jutro dokończyć tę rozmowę.

Chantale pozwoliła, abyśmy towarzyszyli jej w drodze z restauracji. Kiedy zbliżaliśmy się do szklanych drzwi prowadzących na Ste-Catherine, Ryan wskazał na sklep z winami SAQ. Ollie Nordstern stał blisko wejścia i ostentacyjnie oglądał kolekcję francuskich Chardonneys.

– O czym myślisz? – zapytałam Andrew.

– Sądzę, że nie czeka na niego etacik w CIA. Zobaczmy, czy pójdzie za nami.

Ryan i ja przyspieszyliśmy kroku, poganiając Chantale. Skrzywiła się, jednak nic nie powiedziała. Nordstern wszedł na chodnik dwadzieścia sekund po nas, rozejrzał się i udał na zachód. Na Atwater zmienił kierunek i cofnął się.

Obserwowałam go. Stał przy Lambert-Close, spojrzał w lewo, potem w prawo, w kierunku Cabot Square. Przeszedł przez skrzyżowanie. Wtedy właśnie zauważyłam mężczyznę w bejsbolówce. Szedł w kierunku Nordsterna, a w dłoni trzymał Lugera, kaliber 9 milimetrów.

Kolejne 90 sekund wydawało się być wiecznością.

– Ryan! – wskazałam na mężczyznę.

Ryan wyjął swoją broń. Ściągnęłam Chantale do parteru i kucnęłam obok.

– Policja! – wrzasnął Ryan. – Wszyscy na ziemię! *Par Terre!*

Mężczyzna z bronią zatrzymał się półtora metra dalej i wymierzył Lugera w pierś Nordsterna. Jakaś kobieta krzyknęła.

– Broń! *Arme à feu!* – Słowa potoczyły się w dół Ste-Catherine.

Kolejny krzyk.

Dwa strzały przecięły powietrze. Nordstern padł na plecy. Na jego koszuli pojawiły się plamy krwi. Na ulicy było wtedy może z piętnaście osób. Większość padła na kolana, inni rzucili się biegiem w stronę Forum. Jakiś mężczyzna chwycił dziecko i skrył je w swych ramionach. Do tego chaosu dołączył stłumiony płacz maluszka. Skrzyżowanie opustoszało – samochody parkowały na krawężnikach lub odjeżdżały.

Strzelec stał na szeroko rozstawionych nogach, lekko ugiętych w kolanach, Lugera trzymał przed sobą. Do lewej stopy dołączył prawą. Był około cztery i pół metra ode mnie, mimo to mogłam usłyszeć jego oddech, zobaczyć oczy pod granatowym rondem kapelusza. Ryan kucnął za taksówką zaparkowaną na Lambert-Close. Celował w napastnika. Nie widziałam, czy się ruszał.

– *Arrêtez!* Stój!

Lufa obróciła się i skierowała w głowę Ryana. Palec strzelca wylądował ponownie na

spuście. Wstrzymałam oddech. Ryan nie strzelił, w obawie, że mógłby zranić niewinnych przechodniów. Strzelec mógł nie mieć tego typu wyrzutów.

– Rzuć broń! *Mettez votre arme par Terre!* – krzyknął Ryan.

Twarz strzelca nie wyrażała niczego.

W pobliżu rozległ się dźwięk klaksonu. Nade mną sygnalizacja świetlna zmieniała się z zielonej na żółtą.

Ryan powtórzył swoją komendę.

Żółte na czerwone.

W oddali syrena. Druga. Trzecia.

Strzelec spiął się. Dał dwa kroki w tył, odwrócił się w kierunku kobiety przycupniętej na chodniku, wciąż celując w twarz Ryana. Kobieta położyła głowę na chodniku i zasłoniła ją obiema rękami.

– Nie zabijaj mnie. Mam dziecko. – Była przerażona. Strzelec chwycił ją za zakiet i rzucił o chodnik.

Ryan strzelił.

Napastnik zachwiał się. Upuścił kobietę i złapał się za prawe ramię. Na koszuli pojawiła się plama krwi.

Prostując się, strzelec podniósł swojego Lugera i oddał cztery serie. Kule trafiły w ściany ponad nami. Na głowy spadły nam fragmenty tynku.

– O Boże. O, nie! – Rozedrganym głosem krzyknęła Chantale.

Ryan strzelił jeszcze raz.

Kobieta wrzasnęła, gdy strzelec przewrócił się przez nią. Usłyszałam odgłos rozbijanej czaszki. Luger poruszył się lekko i spadł z krawężnika.

Kobieta szlochała. Dzieci płakały. Po drugiej stronie ulicy panowała zupełna cisza. Nikt nic nie mówił. Nikt się nie ruszał.

Dźwięk syren przybliżał się. Nadjeżdżały radiowozy – pisk opon, błysk świateł, szum radioodbiorników.

Ryan wstał i wycelował w niebo. Obserwowałam go, jak wyjmując swoją legitymację.

Oddech Chantale rwał się. Spojrzałam na dziewczynę. Jej podbródek drżał, a oba policzki lśniły od łez. Pogłaskałam ją po głowie.

– To już koniec – powiedziałam słabym głosem. – Wszystko jest OK.

Spojrzała na mnie. Na jej twarzy widniały dwie wytatuowane lzy.

– Naprawdę?

Otoczyłam ją ramieniem. Wtuliła się we mnie i cicho łkała.

Rozdział 22

Podobnie jak rankiem po napadzie w Sololá, obudziłam się z niejasnym uczuciem przerażenia. Błyskawicznie przypominałam sobie wczorajsze wydarzenia. Widziałam, jak napastnik strzela do Nordsterna. Słyszałam trzask broni Ryana. Potem widok krwi wypływającej na chodnik. Chociaż nie podano żadnego oficjalnego komunikatu, byłam pewna, że obaj mężczyźni są martwi. Ze zdumienia przecierałam oczy, zamykałam je i naciągałam na głowę koc. Ile jeszcze będzie ofiar?

Oczami wyobraźni widziałam Chantale. Dziewczyna trzęsła się ze strachu. Poczułam ciarki na plecach, gdy dotarło do mnie, że byliśmy zaledwie o włos od śmierci. Co powiedziałabym jej mamie, gdyby coś złego przytrafiło się Chantale? Pomyślałam o Katy i jej dojmującym smutku, gdyby dowiedziała się, że mnie zabito. Dzięki Bogu, nie stało nam się nic złego.

Wspominałam Nordsterna, jakiego znałam z Gwatemali, który rozmawiał z nami w barze Jullians zaledwie minutę przed śmiercią. Poczułam falę wyrzutów sumienia. Nie lubiłam tego faceta, nie byłam dla niego miła, ale nigdy nie życzyłam mu śmierci.

Śmierć.

Jezu! Na jaki trop wpadł Nordstern? Jak istotny był to trop, że musiał go przyplacić życiem?

Zastanawiałam się również nad Chantale. Jak wpłyną na nią wydarzenia minionego dnia? Jak poradzi sobie z tym, że widziała, jak w jej obecności umiera człowiek? Czy Chantale stanie się pokorniejsza, a może ucieknie w nałóg narkotykowy? Chociaż dziewczyna na zewnątrz pokazywała, że jest silna, podejrzewałam, że wewnątrz jest krucha i delikatna niczym motyle skrzydła. Przynależałam sobie, że będę ją chronić, czy będzie się jej to podobało, czy też nie. Z tą myślą odrzuciłam koce, poderwałam się z łóżka i udałam pod prysznic.

Nocą znacznie się ochłodziło. Gdy wyszłam z garażu siał deszcz, a temperatura oscylowała w granicach czterdziestu stopni. *C'est la vie québécoise.*

Poranne konsylium było wyjątkowo krótkie. Nie było żadnych nowych spraw antropologicznych. Spędziłam następną godzinę, tnąc kawałki znacznika na odpowiednie długości i wklejałam je na replikę czaszki z Paraiso. Z wyjątkiem niektórych błyszczących i delikatnych powierzchni, model do złudzenia przypominał prawdziwą czaszkę.

Przed 10:00 siedziałam przed monitorem w Imagerie, wydziału odpowiadającego za fotografie i odwzorowywanie komputerowe. Lucien, nasz graficzny guru, ustawiał model z Paraiso przed kamerą, kiedy wszedł Ryan.

- Co wystaje z czaszki?
- Znaczniki głębokości tkanek.
- Oczywiście.
- Każdy znacznik pokazuje, ile mięsa było w konkretnym miejscu na twarzy lub czaszce –

wyjaśnił Lucien. – Dr Brennan powkładała je w oparciu o standardowe dane dla kobiety o pochodzeniu mongoloidalnym. Prawda?

Przytaknęłam.

– Wykonaliśmy rekonstrukcję twarzy takich jak te. – Włączył światło. – Chociaż to jest pierwsza plastikowa czaszka.

Twarze?

– Niech zgadnę. Kamera chwytą obraz, wysyła go do komputera, a ty łączysz punkty.

Ryan potrafił wytłumaczyć skomplikowane rzeczy w sposób tak prosty, by zrozumiał je nawet przedszkolak.

– To bardziej pasuje tutaj niż tam. Ale, oczywiście, kiedy rysuję kontury, używając markerów, wybieram cechy z bazy danych, znajduję najlepsze dopasowanie i wklejam je we właściwe miejsca.

– Czy to ta technika, której używasz do Poprawiania Życia Duchowego jednostek?

Ryan nawiązał do sprawy, nad którą pracowaliśmy jakiś czas temu. Kilka studentek McGilla znalazło się w sekcie prowadzonej przez socjopatę, który ludził się, że jest nieśmiertelny. Kiedy w płytkim grobie w Południowej Karolinie znaleziono szkielet, Lucien i ja wykonaliśmy profil, aby ustalić, czy szczątki były szczątkami zaginionych studentek.

– Tak. Co z Chantale?

– Sędzia dał jej jeszcze jedną szansę. Chantale ma areszt domowy.

Wczoraj wieczorem, gdy Ryan tłumaczył się ze strzelaniny, zawiozłam dziewczynę do domu. Teraz chciał się upewnić, czy panna Specter jest bezpieczna.

– Myślisz, że mamusia będzie jej lepiej pilnować? – zapytałam.

– Przypuszczam, że sam Manuel Noriega ma więcej luzu, niż w najbliższej przyszłości może oczekiwać Chantale.

– Przeżycia z wczorajszego wieczoru mogły skutecznie utemperować jej charakter – powiedziałam.

– Być może postawa odpieprz-się-i-zostaw-mnie zniknęła na dobre.

– A jak twoje samopoczucie? – zapytałam, widząc, jak bardzo jest spięty.

W Montrealu, za każdym razem gdy policjant użyje broni, prowadzi się śledztwo wewnętrzne. Aby zachować obiektywizm, wydział do spraw zabójstw Komendy Miejskiej Policji w Montrealu (CUM) prowadzi dochodzenia w sprawach użycia broni przez policjantów z SQ, a SQ prowadzi śledztwa wobec policjantów CUM. Kiedy odchodziłam z Chantale, widziałam, jak Ryan oddaje swoją broń policjantowi z CUM.

Ryan wzruszył ramionami.

– Dwóch Martwych w Chwili Przybycia (DOA). W tym jeden sztywniak na moim koncie.

– To był uzasadniony strzał, Ryan. Wiedzą to.

– Zamieniłem Ste-Catherine w pobojowisko.

– Facet zabił Nordsterna i usiłował wziąć zakładnika.

- Wezwali cię już?
- Jeszcze nie.
- Zapewne nie możesz się doczekać, kiedy spotka cię ten zaszczyt.
- Powiem im dokładnie, co zaszło. Znasz tożsamość napastnika?
- Carlos Vicente. Miał gwatemalski paszport.
- Kretyn. Zabrał ze sobą paszport na robotę?

Ryan pokręcił przecząco głową.

– Klucz z Days Inn na Guy. Przeszukaliśmy pokój i znaleźliśmy paszport w torbie podręcznej.

- Zalatuje fuszerką i brakiem doświadczenia.
- Znaleźliśmy także dwa tysiące dolarów i bilet lotniczy do Phoenix.
- Coś jeszcze?
- Brudne spodenki.

Spojrzałam na niego.

– Zadzwoń do Galiano. Vicente nie był notowany, ale Galiano jeszcze trochę pokopie w danych.

- Co z Nordsternem?
- Raczej nie dostanie nagrody Pulitzera.

Spojrzałam na Andrew uważniej.

– Właśnie wybieram się do Hotelu St. Malo. Od kiedy zaprzyjaźniłaś się z Nordsternem, pomyślałam, że miałabyś się ochotę z nim poszwędać.

– Muszę skończyć tę twarz.

– Ja mogę to zrobić, dr Brennan. – Lucien mówił jak zawodnik rezerwowy drużyny piłki nożnej ze szkoły średniej.

Musiałam na niego spojrzeć nieco bardziej sceptycznie.

– Dajcie mi strzelić. – Proszę, Trenerze. Daj mi szansę...

Dlaczego nie? Jeśli szkic Luciena mnie nie zadowoli, zawsze mogę zrobić własny.

– OK. Zrób tę twarz. Nie wymuszaj cech. Upewnij się, że wszystkie pasują do struktury kości.

– *Allons-y* – powiedział Ryan.

– *Allons-y*. Chodźmy.

St. Malo był małym hotelem w du Fort. Sześć bloków na wschód mieściło się Pepsi Forum.

Właściciel był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał opaloną skórę i tik nerwowy nad lewym okiem. Nasza wizyta nie wprawiała go w zachwyt, jednak policyjna legitymacja Ryana otworzyła nam drzwi do St. Malo.

Pokój Nordsterna przypominał celę. Ascetyczny, funkcjonalny, bez ozdób. Spis inwentarza zajął mi trzy sekundy.

Żelazne łóżko. Zniszczona szafa. Zdezelowana toaletka. Podniszczona szafka nocna. Biblia Gideona. Żadnych przedmiotów osobistych w zasięgu wzroku, w szufladach, szafie.

W łazience było więcej życia. Szczoteczka do zębów. Grzebień. Jednorazowa maszynka do golenia. Woda po goleniu Gillette dla skóry wrażliwej. Mocno utrwalający żel do włosów. Mydło hotelowe.

– Żadnego szamponu. – Zauważyłam, gdy Ryan odsunął długopisem zasłonę prysznicza.

– Kto używa szamponu, jeśli ma super utrwalający żel do włosów?

Wróciliśmy do sypialni.

– Facet podróżował bez zbędnego bagażu – powiedział Ryan, wyciągając torbę hokejową spod łóżka.

– Spryciarz. Wiedział, jak się wmieszać w tutejsze środowisko.

– To torba lekkoatlety.

– Torba hokeisty.

– NHL posiada dwadzieścia cztery franszyzy za południową granicą.

– Hokej nie fałszuje amerykańskiego wyczucia mody.

– Wasi ludzie za to noszą ser na głowie.

– Masz zamiar otworzyć tę torbę?

Ryan wyjął kilka koszulek i parę spodni w kolorze khaki.

– Bokser.

Użył kciuka i palca wskazującego, aby wyciągnąć slipki, potem z powrotem sięgnął do środka i wyjął paszport.

– Amerykański.

– Spójrzmy.

Ryan przekartkował go i wręczył mi.

Nordstern nie miał najlepszej fryzury, kiedy robił sobie to zdjęcie. Poza tym wyglądał na bardzo zmęczonego. Był blady, a pod jego oczami rysowały się spuchnięte sińce.

Patrząc na fotografię, poczułam żal. Mimo że nie lubiłam Olliego, nigdy nie życzyłabym mu takiego końca. Spojrzałam na jego rzeczy. Zastanawiałam się, czy miał żonę albo dziewczynę, dzieci. Kto powiadomił ich o jego śmierci?

– Wniosek o paszport złożył zapewne jeszcze nim zdążyła ruszyć kampania reklamowa Mocno Utrwalającego Żelu do Włosów – powiedział Ryan.

– Dokument był wydany w zeszłym roku. Nordstern urodził się w Chicago, 17 lipca 1966. Jezu, myślałam, że ma zaledwie dwadzieścia parę lat.

– To żel. Ujmuje lat.

– Opuść sobie ten żel – skwitowałam, poirytowana jego żartami.

Wiedziałam, że Ryan tak naprawdę nie traktuje lekko śmierci Olliego, a jedynie próbuje rozładować napięcie, jednak co za dużo, to niezdrowo.

Andrew wyjął z torby ofiary cztery książki. Wszystkie znałam. *Gwatemala: Uciec przed*

*zbrodnią; Masakra w Rabinal; Stan wojny w Gwatemali: 1960-1999; Gwatemala: Nigdy więcej**

[Te pozycje nie ukazały się w polskim przekładzie (przyp. red.)].

– Może Nordstern rzeczywiście zajmował się prawami człowieka – zauważyłam.

Ryan wyjął z kieszonki w torbie bilet lotniczy, klucz i notatnik.

– Hello. Przyleciał do Montrealu w zeszły czwartek amerykańskimi liniami.

– 2057 przez Miami?

– Tak.

– To lot, którym leciałam z panią Specter.

– Nie zauważyłaś go na pokładzie?

– Leciałyśmy z przodu, wsiadałyśmy na końcu, wysiadałyśmy jako pierwsze. Pomiędzy lotami czekałyśmy w poczekalni dla VIP-ów.

– Może Nordstern cię śledził?

– Albo żonę ambasadora.

– Słuszna uwaga.

– Powrotny bilet?

Ryan kiwnął głową.

– Bez określonej daty powrotu.

Gdy Ryan oglądał klucz, ja przyglądałam się rzeczom osobistym Nordsterna. Oczywiście dziennikarz spodziewał się, że wróci do St. Malo. Czy brał pod uwagę, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo?

Ryan wskazał na plastikowe oznaczenie klucza. Jego właścicielem był Hotel Todos Santos na Calle 12, w Strefie 1.

– Więc Nordstern miał zamiar wrócić do Gwatemali – powiedziałam.

Gdy Ryan otworzył notatnik, na podłogę upadła biała koperta. Podniosłam ją i wyjęłam płytę, którą włożyłam do mojego palmtopa. Na płycie ktoś nakleił kartkę z wypisanymi na niej pięcioma literami: SCELL.

– Co to, u diabła, jest scell? – zapytał Ryan.

– Punk rock? – Wciąż myślałam, jaką byłam ignorantką.

– Skąła wulkaniczna?

– Może to jakiś kod utworzony w języku hiszpańskim. – Nie brzmiało to przekonująco.

– Szkielet? – zasugerował Ryan.

– Z „c”?

– Może facet nie znał wymowy.

– Był dziennikarzem.

– Komórka?

– S”?

W tym samym momencie wymówiliśmy to samo nazwisko.

– Specter.

- Jezu, myślisz, że Nordstern podsłuchiwał telefon komórkowy dzieciaka?
- Przypomniałam sobie Dominique w migrenowym nastroju.
- Czy zauważyłaś, jaki pani Specter ma stosunek do profesji męża?
- Myślisz, że mężulek ma poważny problem?
- Może Nordstern wcale nie interesował się Chantale?
- Używał jej do złowienia większej ryby?
- Może właśnie to miał na myśli Nordstern, kiedy powiedział, że zboczyłam z drogi.
- Romansujący ambasador nie jest wystarczającym łupem.
- Nie. Nie jest – zgodziłam się.
- Ale chyba nie jest to powód, by zabić człowieka.
- Co z włosami Guimauve znalezionymi w džinsach dziewczyny ze zbiornika?
- Ponad dwadzieścia kilo wagi.
- Jasna cholera!
- Co?
- Przypomniałam sobie coś.

Ryan wykonał gest mówiący: „no to dawaj”.

– Opowiedziałam ci, że strzelano do dwóch członków naszej ekipy, kiedy jechali do Chupan Ya.

- Tak.
- Carlos zmarł, Molly przeżyła.
- Jak się czuje?

– Lekarze utrzymują, że w pełni odzyska zdrowie. Molly wróciła do Minnesoty. Jednak nim opuściła Gwatemalę, Mateo i ja odwiedziliśmy ją w szpitalu w Sololá. Jej wspomnienia były niewyraźne, ale twierdziła, że słyszała, jak napastnicy rozmawiali o inspektorze. Mateo i ja przypuszczaliśmy, że w rozmowie bandytów mogło paść nazwisko: Specter.

– Pieprzony Moby Dick.

Wsadziłam płytę z powrotem do koperty. Kiedy spojrzałam do góry, Ryan przyglądał się mi uważnie.

– Co? – zapytałam.

– Dlaczego dziennikarz z Chicago tropi ludzi w Montrealu, inspirując się wydarzeniami w Gwatemali? Pomyśl.

Próbowałam znaleźć odpowiedź na pytanie Andrew.

– Nordstern wdepnął w jakąś grubszą sprawę, co spowodowało, że został zlikwidowany w obcym kraju.

Też przyszło mi to do głowy.

– Uważaj na siebie, Brennan. Ci ludzie chcieli skasować Nordsterna i skasowali. Są bezwzględni. Nic i nikt ich nie powstrzyma.

Przeszedł mnie dreszcz. Nie wiem, czy Ryan zauważył moje przerażenie, ale uśmiechnął się i

znów przybrał pozę nonszalanckiego gliniarza.

– Wyśle Galiano do Todos Santos – powiedział Ryan.

– Proponuję również, żebyś zszedł na ziemię i zajął się Specterem, podczas gdy ja skończę rekonstrukcję twarzy. Potem odtworzymy dysk, przeczytamy notatnik Nordsterna i nadamy trochę sensu temu, czemu powinniśmy.

Ryan uśmiechnął się szeroko.

– Cholera. Plotki są jednak prawdziwe.

– Jakie plotki? – zapytałam.

– Jesteś mózgiem operacji.

Powstrzymałam się, aby nie kopnąć go w kostkę.

Kiedy otrząsałam z deszczu parasolkę, zadzwonił mój telefon. Głos na drugim końcu linii był ostatnim, jaki miałam ochotę usłyszeć. Zaprosiłam rozmówcę do mojego biura, z takim entuzjazmem, z jakim umówiłabym się z kontrolerami z urzędu skarbowego, Klansmenem* [Klansmen – członek Ku Klux Klanu (przyp. red.)] i fundamentalistami islamskimi.

Detektyw sierżant Luc Claudel pojawił się po kilku minutach. Jak zwykle wyprostowany niczym struna, z twarzą pełną pogardy. Wstałam, ale pozostałam za biurkiem.

– *Bonjour, Monsieur Claudel. Comment ça va?*

Nie oczekiwałam pozdrowienia. Nie byłam rozczarowana jego brakiem kultury.

– Muszę zadać kilka pytań. – O dziwo, powiedział to po angielsku.

Claudel traktował mnie zawsze chłodno i na dystans. Nie był zbyt szczęśliwy, wiedząc, że mam pełne prawo do wszystkich wiadomości dotyczących śledztw prowadzonych przez CUM w sprawach zabójstw.

– Proszę usiąść – powiedziałam.

Detektyw usiadł i położył na moim biurku dyktafon.

– Ta rozmowa będzie nagrywana.

Oczywiście nie mam nic przeciwko, ty arogancki kutasie o sokolej twarzy.

– Nie ma sprawy – powiedziałam.

Claudel włączył magnetofon, podał datę i godzinę i przedstawił obecnych na przesłuchaniu.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie wczorajszej strzelaniny.

O, szczęśliwy dzień. Czekałam na to.

– Była pani przy tym?

– Tak.

– Czy widziała pani dokładnie całe zdarzenie?

– Tak.

– Czy słyszała pani słowa wypowiedziane przez porucznika Andrew Ryana i jego cel?

Cel?

– Tak.

Claudel utkwiał wzrok w blacie biurka.

- Czy ten mężczyzna był uzbrojony?
- Miał Luger, kaliber 9 milimetrów.
- Czy ten mężczyzna dawał znaki, że zamierza użyć swojej broni?
- Sukinsyn strzelił do Nordsterna, a potem wycelował w Ryana.
- Proszę. Niech mnie pani nie wyprzedza.

Zazgrzytałam zębami.

– Po tym jak napastnik zastrzelił Olafa Nordsterna, czy porucznik detektyw Ryan ostrzegł strzelca, że użyje broni?

– Kilkakrotnie.

– Jak zareagował na te słowa strzelec?

– Chwycił kobietę leżącą na chodniku. Prosiła, aby darował jej życie, krzyczała, że ma małe dziecko. Myślę, że nie zrobiło to na napastniku wrażenia.

Brwi Claudela uformowały się w literę V.

– Dr Brennan, mam zamiar poprosić panią po raz kolejny, żeby pozwoliła mi pani prowadzić przesłuchanie po mojemu.

Spokojnie.

– Czy strzelec usiłował wziąć zakładnika?

– Tak.

– Czy, według pani, zakładnikowi groziło niebezpieczeństwo?

– Gdyby Ryan nie zareagował, kobieta zginęłaby.

– Kiedy porucznik detektyw Ryan strzelił, czy strzelec odpowiedział?

– Nie zdążył. Za to prawie wymalował Forum swoją korą mózgową.

Claudel zacisnął usta.

– Dlaczego była pani w Forum, dr Brennan?

– Szukałam córki mojej przyjaciółki.

– Była tam pani z jakichś oficjalnych powodów?

– Nie.

– Dlaczego detektyw Ryan był w Forum?

O co chodzi? Niewątpliwie Ryan odpowiedział już na te pytania.

– Przyszedł, aby spotkać się ze mną.

– Czy detektyw Ryan był tam z jakichś oficjalnych powodów? – sokół utkwiał we mnie swe ślepie.

Elegancik.

Claudel i ja patrzyliśmy na siebie niczym zawodnicy wrestlingu stojący na ringu podczas widowiska *Smack Down*.

– Czy pani zdaniem Andrew Ryan słusznie zareagował na wywołaną przez Carlosa Vicente strzelaninę?

– Zdecydowanie tak.

Claudiel wstał.

– Dziękuję.

– To wszystko?

– Na razie to wszystko.

Wyłączył dyktafon i schował go do torby.

– *Au revoir, madame.*

Jak zwykle po wizycie Claudela byłam tak wściekła, że bałam się, że dostanę zatoru. Aby dojść do siebie, wyszłam na korytarz, kupiłam w automacie coca-colę bez cukru i wróciłam do biura. Położywszy stopy na parapecie okiennym, wypiłam napój, zjadłam kanapkę z tuńczykiem i ciasteczka czekoladowe Oreos.

Dwanaście piętér poniżej szalupa wpływała do tajemniczego portu St. Lawrence. Ciężarówki opryskiwały wodą krawędzie mostu Jacquesa Cartiera, samochody ślizgały się na błyszczącym asfalcie, a przechodnie uciekali przed deszczem.

Spojrzałam na zdjęcie, na którym ja i Katy uśmiechałyśmy się z Wybrzeża Karoliny. Inne miejsce. Inny czas. Chwila szczęścia.

Chrupiąc ostatnie ciasteczko, doszłam do wniosku, że krótkie przesłuchanie było dobrym znakiem. Gdyby policja miała jakieś wątpliwości co do działań Ryana, Claudel byłby bardziej dociekliwy i dłużej by mnie maglował.

Zdecydowanie.

Krótki magiel jest dobry.

Spojrzałam na zegarek. 13:20. Czas sprawdzić dokonania Luciena.

Rzucając do kosza papierki, zdobyłam dwa punkty i skierowałam się do *Imagerie*.

Lucien był na lunchu, ale stworzona przez niego kompozycja widniała na ekranie.

Jedno spojrzenie i... dopiero co zdobyty spokój roztrzaskał się jak przednia szyba samochodu w filmie sensacyjnym.

Rozdział 23

Patricia Eduardo nie uśmiechała się. Nie była niezadowolona, nie okazywała zaskoczenia. Na jednym z obrazków długie, ciemne włosy okalały jej twarz. Na innym włosy były poskręcane w gęste sprężynki. Na trzecim były ścięte na krótko.

Ledwie oddychałam, gdy przeglądałam kombinacje stworzone przez Luciena. Patricia w okularach i bez okularów. Proste brwi, łukowate. Pełne wargi, wąskie. Opadające powieki, podniesione. Chociaż szczegóły zmieniały się, rysy twarzy pozostawały identyczne.

Właśnie przyglądałam się długowłosej Patricii, gdy do sali wszedł Lucien.

– Co o tym sądzisz? – Postawił butelkę Evian na blacie obok mnie.

– Czy możesz dodać grzywkę?

– Pewnie.

Przesunęłam swoje krzesło w lewo. Lucien usiadł przy klawiaturze. Dodał grzywkę.

– A kapelusz?

– Jaki?

– Jeździecki, toczek. Przeszukał bazę.

– Nie. Coś z rondem.

Znalazł bejsbolówkę, powiększył ją i wkleił.

Przypomniałam sobie fotki Patricii Eduardo. Doskonale pamiętałam determinację malującą się w jej wielkich, ciemnych oczach, kiedy stała obok swego konia. Twarz, którą oglądałam, była bez wyrazu – zaprogramowany potomek pikseli i bitów. Bez wątpienia była twarzą dziewczyny na Appaloosie.

W mojej głowie pojawiały się również inne migawki. Zbiornik wypełniony ludzkimi odchodami. Szlam wyciekający z każdego otworu czaszki. Małe kostki w gnijącym rękawie. Czy to możliwe? Czy to była ta dziewiętnastoletnia pracownica szpitala, która kochała konie? Czy wieczorne wyjście Patricii do Strefy Viva zakończyło się w tak okropnym miejscu spoczynku?

Patrzyłam na Patricię Eduardo. Widziałam utopione kociaki. Widziałam Claudię de la Alde. Widziałam ofiary z Chupan Ya.

Ty draniu. Ty cholerny draniu. Morderco.

– Co sądzisz? – Głos Luciena sprowadził mnie na ziemię.

– Jest dobra. – Próbowałam się uspokoić. – Dużo lepsza niż ta, którą mogłabym kiedykolwiek stworzyć.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Rekonstrukcja twarzy była świetna. Gdybym to ja była jej autorką, sądziłabym, że zasugerowałam się dotychczasową wiedzą w sprawie zaginięcia czterech kobiet. Tymczasem

Lucien nigdy nie widział ani nie słyszał o Patricii Eduardo.

- Proszę, wydrukuj mi kilkanaście kopii.
- Przyniosę je do twojego biura.
- Dzięki.

– Detektyw Galiano.

– Tu Tempe.

– *Ay, buenos dias.* Miło, że mnie złapałaś. Hernández i ja właśnie mieliśmy wyjść.

– Dziewczyna znaleziona w zbiorniku szamba to Patricia Eduardo.

– Żadnych wątpliwości?

– Żadnych.

– Z twarzy?

– Martwy dzwonnik.

Cisza.

– Chyba źle to określiłam. Nasz specjalista grafik robił rekonstrukcję twarzy w ciemno, jednak sądzę, że matka Patricii nie odróżniłaby tego portretu od fotografii klasowych.

– *Dios mio.*

– Prześlę ci kopię faksem.

Przez chwilę w słuchawce była cisza. Nagle Galiano oznajmił:

– Wciąż męczymy Miguela Gutiérreza.

– Ogrodnika de la Aldów?

– *Cerote.* Gównno.

– Myślę, że to znaczy, że jest księciem pośród mężczyzn. Co mówi?

– Według wersji „Reader’s Digest” Miguel zakochał się w Claudii, nachodził ją. Godzinami przesiadywał w aucie zaparkowanym przed oknem jej sypialni.

– Cóż za zaszczyt. Podglądacz.

– W końcu Gutiérrez wykonał ruch. Twierdzi, że ofiara była wyzywająca.

– Prawdopodobnie była zbyt młoda, by wiedzieć, jak splawić go, by nie zranić jego uczuć.

Czternastego lipca podjechał do muzeum i zaproponował, że odwiezie Claudię do domu. Nie odmówiła. Po drodze poprosił, aby odwiedzili ruiny Kaminaljuyú. Miał kilka pytań dotyczących tego terenu. Zgodziła się. Kiedy dojechali na miejsce, stanął w bocznej uliczce i zaczął się dobierać do Claudii. Dziewczyna stawiała opór. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Miguel udusił kobietę, a ciało stoczył do wąwozu. Reszta jest nieistotna.

– Czy Gutiérrez dzwonił do Señory de la Alda?

– Tak. W nocy nawiedził go sam niebiański gospodarz.

– Anioł?

– Sam Ariel. Nakazał Gutiérrezowi, żeby się przyznał i zalecił odmawianie różańca i spowiedź.

- Jezu.
- Nie sądzę, by ta wielka duchem istota niebieska była w to zamieszana.
- Czy znaleźliście coś, co łączy Gutiérreza z Patricią Eduardo?
- *Nada*.
- Byliście w Paraiso?
- Jeszcze nie. Popracujemy teraz troszkę solidniej nad aniołami.

Pomyślałam chwilę.

- Sierść kota łączy Patricię z domem Specterów.
- Sprawdzimy to.
- Ryan bada wszystko, co dotyczy ambasadora.
- Też go o to prosiłem, ale nie jestem w tej kwestii optymistą.
- Mur dyplomatyczny?
- To jak odwiedziny w CIA.

Po chwili ciszy Galiano dodał:

- Ryan trzyma nas w niepewności w temacie Nordsterna.
- Będziemy wiedzieć więcej, kiedy przejrzymy jego notatki.
- Hernández i ja skonfiskowaliśmy laptop, kiedy przeszukiwaliśmy jego pokój w Todos Santos.

- Coś użytecznego?
- Powiem ci, jak złamiemy hasło.
- Ryan jest w tym niezły. Galiano, chciałabym pomóc.
- Ja też. – Słyszałam, jak bierze głęboki wdech. Jego głos brzmiał chrapliwie.
- Te zgony mnie prześladują, Tempe. Claudia. Patricia. One były w wieku mojego syna,

Alejandro. To nie pora, by umierać.

- Diaz się wścieknie, gdy usłyszy o zdjęciach tomograficznych.
- Damy mu śnieżną szyszkę. – Melancholia minęła.
- Skończyłam tutaj. Pora ponownie skoncentrować się na Chupan Ya. Jeśli będę mogła się przydać w wykryciu zabójcy Patricii Eduardo, umrę jako szczęśliwa kobieta.

- Nie na mojej ścieżce.
- Zgoda.
- Ironiczne, nieprawdaz? – zapytał.
- Co takiego?
- Pełne nazwisko sprawcy.
- Miguel Angel Gutiérrez – powiedziałam.
- Tożsamość winnego może cię zaskoczyć.

Skończyłam swój raport na temat obciętej głowy i rozczłonkowanego tułowia i poinformowałam LaManche'a, że wracam do Gwatemali. Życzył mi szczęścia i radził, bym była

ostrożna.

Ryan przyjechał, kiedy telefonicznie finalizowałam usługę w Delta Airlines. Czekał, kiedy żądałam pojedynczego biletu, potem wyjął mi telefon z dłoni.

– *Bonjour, Mademoiselle. Moment ça va?*

Sięgnęłam po telefon. Mój telefon. Ryan cofnął się i uśmiechnął.

– *Mais, oui* – miauczał. – Ale ja mówię po angielsku.

Poruszałam palcami jakbym mówiła gestem: „chodź tu”. Ryan sięgnął i okręcił swoją wolną rękę wokół mojej.

– Niezupelnie. Ale to twoja praca i ciężkie czasy – powiedział głosem wyrażającym sympatię. – Nie mógłbym zacząć ustawiać tych wszystkich rozkładów lotów.

Nie do wiary. Facet zwracał się uprzejmie do agenta linii lotniczych na przedmieściach Atlanty. Moje oczy wywróciły się niemal o 360 stopni.

– Montreal.

I lalunia wypytywała go o miejsce pobytu. – Jak przypuszczałam.

– Ma pani rację. To wcale nie jest daleko.

Wyszarpnąwszy rękę, osunęłam się na krzesło, wzięłam długopis i miętoliłam go w dłoniach.

– Czy sądzi pani, że uda się mnie wcisnąć na pokład tego samego samolotu, w którym miejsce zarezerwowała dr Brennan, *chère?*

Zerwałam się z siedzenia.

– Porucznik detektyw Andrew Ryan.

Cisza.

– Policja lokalna.

Słyszałam odległy, metaliczny głos, gdy Ryan przykładał słuchawkę do drugiego ucha.

– Ucz się żyć w niebezpieczeństwie. Prawie się zadławiłam.

Po chwili ciszy.

– *Fantastique.*

Co było fantastyczne?

– To byłoby okropne.

Co byłoby okropne?

– Nie ma problemu. Dr Brennan wie, że jestem wysokim chłopcem. Nie będzie miała nic przeciwko, abym zajął miejsce przy korytarzu.

Ryan pomachał do mnie. Rzuciłam w niego długopisem. Próbował go złapać, ale nie udało mu się.

– 188 centymetrów.

Niebieskie oczy. Nie musiałam słyszeć agentki, by wiedzieć, co teraz powiedziała.

– Tak, myślę, że są. – Gromki śmiech.

To absurd.

– Czyżby? Nie chcę, abyś łamała zasady na mój rachunek.

Cisza.

– Dwa A i dwa B z przesiadką do Gwatemali. Jest pani cudowna.

Cisza.

– Mam wobec pani dług, Nickie Edwards.

Cisza.

– Tak sędzę.

Ryan podał mi słuchawkę. Bez komentarza odłożyłam ją na widełki.

– Nie musisz mi dziękować – powiedział.

– Dziękować?

– Lecimy z przodu.

– Wyślę Nickie Hallmark.

– Nie prosiłem o specjalne traktowanie.

– Jak sędzę, Nickie była oczarowana twoim francuskim magnetyzmem.

– Sędzę, że tak.

– Czy Nickie ma zamiar zrobić ci sweter na drutach na chłodne gwatemalskie noce?

– Myślisz, że mogę do niej jeszcze raz zadzwonić? – Ryan oparł się na podłokietniku mojego krzesła i sięgnął po słuchawkę. Zabrałam jego rękę i położyłam na piersi.

– Mógłbyś ją wysledzić – zasugerowałam lodowato.

Kiwnął głową.

– Nadużycie władzy.

– Nie martw się. Nickie zadzwoni ponownie, gdy tylko skończy przesłuchiwać taśmę z kursem *Samouczek francuskiego*.

– Myślisz, że najpierw prześle mi kurierem sweterek?

Odepchnęłam go. Ryan poprawił się, ale wciąż stał bardzo blisko mnie.

– Czy chcesz kontynuować nasze tête-à-tête, czy powiesz mi, dlaczego zarezerwowałeś lot do Gwatemali?

– To najszybszy sposób, by tam dotrzeć.

– Ryan...

– Nie jesteś zachwycona perspektywą mojego towarzystwa? Łamiesz mi serce. – Położył obie dłonie na swej klatce piersiowej.

– Nie jedziesz do Gwatemali, aby dotrzymywać mi towarzystwa.

– Będę. – Uśmiech aniołka z chóru kościelnego.

– Czy zamierzasz powiedzieć mi, dlaczego?

Ryan wyliczał punkty na palcach.

– Po pierwsze, Olaf Nordstern został zabity w Montrealu, krótko po tym, jak przyjechał tutaj z Gwatemali. Po drugie, zabójca Nordsterna miał gwatemalski paszport. Po trzecie, André Specter, kanadyjski ambasador w Gwatemali i obywatel naszego cudownego miasta, jest obecnie podmiotem tajnego śledztwa.

- Zgodziłeś się pojechać do Gwatemali?
- Zaproponowałem, że pojedę.
- Znów cię wybrali.
- Jadąc do Gwatemali, trzeba rezerwować bilet z wyprzedzeniem, najlepiej w centrali.
- No i mówisz po hiszpańsku.
- *Si, Señorita.*
- Nigdy wcześniej się do tego nie przyznałeś.
- Nigdy o to nie pytałaś.
- Dokopałeś się do jakichś newsów dotyczących Spectera?
- W oczach swojej żony jest Albertem Schweitzerem.
- Żadne zaskoczenie.
- Obserwując jego działalność międzynarodową, można nazwać go Nelsonem Mandelą.

Specter nie cofa się przed niczym.

– Galiano wspominał, że zająłeś się zbieraniem informacji o Specterze. Rozmawiałaś już z Chantale?

– Według Chantale jej ojciec to markiz de Sade. Warto pamiętać, że to zdanie zbuntowanej nastolatki.

– Co ci powiedziała?

– Sporo. Nic szczególnego. Twierdzi, że ojciec od zawsze coś kręci.

– Skąd dziecko może to wiedzieć?

– Mówi, że była świadkiem wielu kłótni między rodzicami. Kiedyś, w środku nocy, przyłapała ojca na seksie przez telefon.

– Mógł wtedy rozmawiać ze swoją żoną?

– Żona była na gorze. Wypędził ją, a sam robił TO w swoim pokoju. Chantale twierdzi też, że na krótko przed ucieczką ona i Lucy nakryły Spectera, gdy wychodził z Ritz Continental z dziwką uwieszoną na ramieniu.

– Czy Specter widział je?

– Nie, ale Chantale rozpoznała towarzyszkę ojca. Szczęściara ukończyła podobno tę samą szkołę co panna Specter, z tym że dwa lata później.

– Chryste. Czy podała ci jej nazwisko?

– Aida Pera.

– Wierzysz jej?

Ryan wzruszył ramionami.

– Muszę porozmawiać z Aidą.

– Czyli ambasador lubi młode dziewczyny.

– O ile jego córka z piekła rodem mówi prawdę.

– Czy przesłuchałeś jakieś osoby z Chez Tante Clémence?

– Ominęła mnie ta przyjemność. Wydaje się, że wszyscy trzech pacholkiwie zniknęli.

- Kazałeś tym dupkom nie opuszczać miasta.
- Są prawdopodobnie na wycieczce geologicznej. Moi kumple ich dopadną.
- W międzyczasie... ?

Wyjął z kieszeni płytę Nordsterna.

- Zapoznamy się ze SCCELL-em.

Wyjęłam dysk z koperty, wsadziłam do komputera i kliknęłam napęd D. Pojawił się plik o nazwie: fullrptstem.

- To olbrzymi plik w PDF-ie. Ponad 20 000 kilobitów.
 - Możesz go otworzyć? – Ryan usiadł obok.
 - Zawartość będzie bełkotem bez readera otwierającego pliki PDF.
 - Masz jakiś?
 - Nie na tym komputerze.
 - Czy te programy nie są dostępne za darmo? Wystarczyłoby ściągnąć...
 - Nie mogę instalować niczego na służbowym komputerze.
 - Boże, błogosław biurokrację. Zobaczmy. Może jednak jest tutaj zainstalowany jakiś reader.
- Otworzyłam plik. Ekran zappełnił się literami, symbolami i znacznikami tekstu.
- Cholera. – Ryan przesunął się, a jego kolano lekko stuknęło o biurko.

Spojrzałam na zegarek. 17:42.

– Na swoim laptopie mam Acrobat Readera. Dlaczego nie mogę wziąć po prostu tej płyty do domu, przejrzeć ją i streścić ci jej zawartość podczas naszego lotu?

Ryan wstał i znowu uderzył się w kolano. Wiedziałam, co powie.

- Moglibyśmy...
- Mam dzisiaj wieczorem sporo roboty, Ryan. Mogę już tu nie wrócić.
- Kolacja?
- Zjadłam coś w drodze do domu.
- Fast food jest szkodliwy dla twojej trzustki.
- Od kiedy interesuje cię moja trzustka?
- Wszystko w tobie mnie interesuje.
- Naprawdę. – Dodał.

Wcisnęłam guzik i dysk wysunął się.

- Masz mdłości na wysokości, a ja nie chcę prać twoich spodenek.

Chciałam mu oddać płytę. Ryan uniósł brwi i zapytał:

– Dlaczego nie weźmiesz tej płyty do domu, nie przejrzysz jej i nie streścisz mi jej zawartości podczas jutrzejszego lotu?

- Gorąco, cholera. To jest pomysł. – Wsunęłam płytkę do mojej teczki.
- Przyjadę po ciebie o 11:00.
- Spakuję więcej majtek.

W tunelu była przewrócona ciężarówka, więc powrót do domu zajął mi prawie godzinę.

Spakowałam walizki i torby, wyjęłam z lodówki mrożony przysmak i wrzuciłam do mikrofalówki.

Kiedy czekałam na jedzonko, uruchomiłam laptop i otworzyłam plik PDF. Kliknęłam na plik fullrptstem, ale musiałam odejść na moment od komputera, bo mikrofalówka się wyłączyła.

Kiedy wróciłam, na ekranie widniała surrealistyczna tablica. Przez chwilę gapiłam się na plamki i zakrętasy, a potem podjechałam myszką do góry i odczytałam tytuł.

Nie miał sensu.

Rozdział 24

Pieprzone komórki macierzyste.

Ryan był w kiepskim nastroju od czasu, kiedy przyjechał po mnie o 11:00. Czterdziestominutowe opóźnienie lotu nie poprawiło mu humoru.

- Tak.
- Małe gnojki – twoi kretyńscy fundamentaliści – obsikują sobie majty, aby się bronić?
- Oni nie są *moimi* kretyńskimi fundamentalistami.
- To wszystko?
- 222 strony wiedzy.
- Czy to jest jakiś rodzaj raportu z rozwoju wypadków?
- I dyskusja o przyszłych kierunkach rozwoju.

Ryan był wkurzony, bo nie mógł zapalić.

- Co za geniusz to przygotował?
- Narodowy Instytut Zdrowia.
- Skąd Nordstern miał ten raport na płycie?
- Prawdopodobnie ściągnął go sobie z sieci.
- Dlaczego?
- Doskonałe pytanie, detektywie.

Ryan po raz n-ty sprawdził czas. Start opóźniał się o godzinę.

- Sukinsyn.
- Wyluzuj. Znajdziemy związek.
- Dziękuję, Pollyanno.

Wyjęłam z teczki kolorowy magazyn i zaczęłam go kartkować. Ryan wstał, przeszedł się i wrócił na swoje miejsce.

- Dużo się dowiedziałaś?
- O czym?
- O komórkach macierzystych.
- Więcej niż kiedykolwiek chciałam wiedzieć. Nie spałam do drugiej.

Mężczyzna wielki jak Południowa Dakota położył torbę na podłodze i opadł na siedzenie po mojej prawej stronie. Tsunami potu i tłustych włosów przecięło mi drogę. Ryan spojrzał na mnie porozumiewawczo, a potem wstał i bez słowa przeniósł się w inne miejsce poczekalni. Pół minuty później dołączyłam do niego.

- Komórki macierzyste powstają z zarodków? – Ryan.
- Komórki macierzyste mogą pochodzić z embrionalnych, obumarłych lub dorosłych tkanek.
- To jest niedojrzała forma, którą ortodoksyjni chrześcijanie szaleńczo uważają za życie

poczęte.

- Zasady religii zabraniają wykorzystywania embrionalnych komórek macierzystych.
- Świętość życiowych procesów?

Ryan miał sposób na włączenie się w dyskusję.

– To jest argument.

– I G.W. Bush przelicytował.

– Tylko częściowo. Jest zaledwie w przedsiönku. Używając już istniejących komórek macierzystych, ogranicza fundusze federalne na badania.

– Więc naukowcom potrzebującym grantów rządowych wolno eksperymentować na komórkach, które już rozwijają się w laboratoriach?

– Albo z komórkami macierzystymi pochodzącymi z dojrzałej tkanki.

– Jak to się robi?

– Moim zdaniem?

– Nie. Daj mi się skupić...

O nie. To wszystko. Wróciłam do wertowania czasopisma.

Po kilku chwilach:

– OK. Przedstaw mi podstawową wiedzę o komórkach macierzystych, kurs przyspieszony.

– Będziesz grzecznie słuchał?

– Tak, tak.

– Każda z dwustu rodzajów komórek ludzkiego ciała wyrasta z jednego z trzech zawiązków warstw endodermy, mezodermy i ektodermy.

– Wewnętrznej, środkowej i zewnętrznej warstwy.

– Znakomicie, Ryan.

– Dziękuję, dr Brennan.

– Embrionalna komórka macierzysta, nazywana inaczej ES, jest tak zwanym pluripotentem. Pluripotent może dać początek każdemu typowi komórek dorosłego organizmu za wyjątkiem komórek łożyska. Komórki macierzyste namnażają się podczas życia organizmu, ale pozostają w uśpieniu, dopóki nie są potrzebne do budowy chociażby trzustki, serca, kości, skóry.

– Łatwo przystosowujące się małe gogusie.

– Nazwa „embrionalna komórka macierzysta” naprawdę obejmuje dwa typy komórek: te, które pochodzą od embrionów i te, które pochodzą z obumarłych tkanek.

– Tylko te dwa źródła?

– Jak dotąd tak. Dla ścisłości warto dodać, że embrionalne komórki *macierzyste* powstają z jajeczek zaledwie kilka dni po zapłodnieniu.

– Zanim jajeczko zagnieździ się w macicy matki.

– Tak. W tym momencie embrion jest pustą kulą zwaną blastocytym. Embrionalne komórki macierzyste są pobierane z zewnętrznej warstwy tej kuli. Embrionalne komórki zarodkowe pochodzą z pięcio- góra dziesięciodniowych zarodków.

– I rosna?

– Dojrzałe komórki macierzyste są komórkami niewyspecjalizowanymi, występującymi w wyspecjalizowanych tkankach. Mają zdolność do odnawiania się i różnicowania we wszystkich wyspecjalizowanych tkankach, w których powstają.

– Które to są?

– Szpik kostny, krew, rogówka i siatkówka oka, mózg, mięśnie szkieletowe, dziąsła, wątroba, skóra...

– Nie możemy już ich używać?

– Używamy. Dojrzałe komórki macierzyste otrzymane ze szpiku kostnego i krwi zostały dokładnie przebadane i są wykorzystywane w leczeniu.

– Dlaczego po prostu nie użyjemy wielkich facetów i nie zostawimy embrionów i zarodków samym sobie?

Wyliczyłam powody.

– Dojrzałe komórki macierzyste występują rzadko. Są trudne do zidentyfikowania, wyhodowania i oczyszczenia. Są sposoby, aby to zrobić. Nie rozmnażają się bez końca w środowisku, w jakim robią to komórki zarodków. Dotychczas nie natrafiono na populacje dojrzałych komórek macierzystych, które byłyby pluripotentami.

– Więc embrionalne komórki macierzyste i zarodkowe są najważniejsze.

– Zdecydowanie.

Ryan na chwilę zamilkł, by za moment zapytać:

– Co ewentualnie można zyskać, udostępniając komórki macierzyste?

– Mogą mieć wpływ na leczenie choroby Parkinsona, cukrzycy, przewlekłej choroby serca, końcowego etapu choroby nerek, uszkodzenia wątroby, raka, uszkodzenia kręgosłupa, sklerozy, choroby Alzheimera...

– Nie ma końca.

– Dokładnie. Nie mogę pojąć, dlaczego ktoś mógłby chcieć zablokować tego typu badania.

Zły nastrój Ryana minął. Teraz wymądrzał się i niemal wetknął mi palec do nosa, mówiąc:

– To pierwszy krok, Sostro Temperance, by embriony wykorzystać do hodowli Aryjczyków

– świat zostanie przejęty przez niebieskookich, muskularnych blondynów i szczupłe długonogie kobiety z wielkimi biustami.

Kiedy Ryan żartował w najlepsze, zapowiedziano nasz lot.

Podczas podróży rozmawialiśmy o wspólnych znajomych, wspominaliśmy wszystko, co razem przeżyliśmy. Opowiedziałam Ryanowi o badaniach Katy dotyczących wpływu Cheez Whiz na szczury. Wspomniałam też, że moja córka ma zamiar pracować podczas wakacji.

Ryan zapytał co słysząc u mojej siostry, Harry. Niemal pękliśmy ze śmiechu, gdy opowiadałam mu o jej najnowszym romansie z clownem rodeo z Wichita Falls. Andrew wspomniął o swojej siostrzenicy, Daniele, która zajęła się sprzedażą biżuterii na ulicach Vancouver. Zgodziliśmy się, że tych dwoje miało ze sobą wiele wspólnego.

Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, aż w końcu dopadło mnie zmęczenie. Zasnęłam z głową opartą o ramię Ryana. Jego szorstki zarost drapał mnie w policzek, mimo to czułam się bezpieczna.

Zanim odebraliśmy nasze bagaże w Gwatemali, precyzyjnie się przez ciżbę bagażowych błagających o to, by mogli ponieść nasze bagaże i znaleźć nam taxi, była 9:30. Podałam kierowcy adres. Poprosił o wskazówki, jak ma dojechać na miejsce.

O 10:15 byliśmy pod hotelem. Płaciłam za kurs, a Ryan wyjmował bagaże. Kiedy poprosiłam o rachunek, kierowca spojrzał na mnie tak – jakbym żądała próbki jego moczu. Mruczając z niezadowolenia pod nosem, wyciągnął skrawek papieru, nagryzł coś na nim i wręczył mi.

Recepcjonista przywitał mnie po nazwisku. Spojrzał na Ryana.

- To będzie jeden pokój czy dwa?
- Jeden dla mnie. Czy czternastka jest wciąż dostępna?
- *Si, Señora.*
- Wezmę ją.
- A Señor?
- Będzie pan musiał zapytać Señora.

Zapłaciłam kartą kredytową, zameldowałam się, odebrałam bagaże i skierowałam się na górę. Po wejściu do pokoju powiesiłam ubrania, wypakowałam kosmetyki i wzięłam prysznic, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie zaczynaj, Ryan. Idę spać.
- Dlaczego miałbym zacząć od Ryana? – zapytał Galiano.
- Ty go tu zaprosiłeś.
- Zaprosiłem również ciebie. Między nami mówiąc... wołałbym zacząć od ciebie.
- Galiano, odpuść sobie. Podróżowałam z Detektywem Osobowością przez prawie dwanaście godzin. Muszę się położyć.

– Gdy rozmawiałem z Ryanem, wydawał się być zdenerwowany.

Przyrodni bracia już zdążyli uciąć sobie powitalną pogawędkę. Poczułam ukłucie irytacji.

- Zastrzelił faceta.
- Wiem.

Ryan i ja chcemy jutro wpaść do Aidy Pery, małej przyjaciółki ambasadora. Potem zamierzam wymuszyć rozmowę z mamą Patricii Eduardo. Twierdzi, że ma jakieś nowe wiadomości.

- Jesteś sceptyczna.
- Pani Eduardo jest... dziwna. Gdzie jest ojciec Patricii?
- Nie żyje.
- Czy zgodziła się dać próbkę śliny?

Nim wyjechałam do Montrealu, poprosiłam Galiano, by zdobył próbkę śliny matki Patricii. Umożliwiłoby to wykonanie analizy porównawczej DNA. Profil otrzymany ze śliny Señory Eduardo skonfrontowalibyśmy z tym otrzymanym z kości płodowych znalezionych w szkielecie z Paraiso. Ponieważ mitochondrialne DNA jest przenoszone tylko przez matkę, dziecko, jego matka i jego babka powinny wykazywać identyczną sekwencję.

– Już zrobione. Odebrałem też kości płodowe z laboratorium Mateo.

– Czy Señora Eduardo widziała szkic, który ci przefaksowałam?

– Tak.

– Czy ma świadomość, że szkielet z Paraiso może być szkieletem jej córki?

– Tak.

– Musi być zdruzgotana. Usłyszałam, jak westchnął.

– *Ay, Dios*. To najsmutniejsza wiadomość, jaką może usłyszeć rodzic.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Pomyślałam o Katy. Galiano na pewno myślał o Alejandro.

– Wiec chcesz się przejechać?

Odpowiedziałam, że tak.

– Jaka jest historia Pery?

– Pracowała jako sekretarka od czasu ukończenia szkoły średniej dwa lata temu. Chantale o tym nie powiedziała.

– Co Pera mówi o Specter?

– Nie wpadliśmy jeszcze na nią. Chcemy ją przesłuchać na neutralnym gruncie.

– Która godzina?

– Ósma.

– Co powiesz na poranną kawę?

Zgodziłam się i odłożyłam słuchawkę.

Rozebrałam się i wskoczyłam pod prysznic. Woda była lodowata. Przeklinając, owinęłam się ręcznikiem i próbowałam pomajstrować przy kurkach. Bezskutecznie, oba chodziły luzno i nie mogłam ustawić odpowiedniej temperatury.

Trzęsąc się i rzucając coraz bardziej dosadnymi wulgaryzmami, wskoczyłam pod kołdrę.

Wkrótce zrobiło mi się ciepłej.

Ryan nie zadzwonił.

Zasypiałam targana mieszanymi odczuciami.

Następnego ranka obudził mnie warkot młota pneumatycznego. Narzuciłam ubranie i wyjrzałam przez okno. Trzy piętra niżej sześciu robotników naprawiało chodnik. Wyglądało to na długoterminowy projekt.

Koszmar.

Zadzwoniłam do Mateo, aby poinformować go, że wróciłam i że po południu będę w laboratorium FAFG. Kiedy weszłam do holu, czekał na mnie Ryan.

- Jak spaliśmy? Napijesz się kawy?
- Jak gład.
- Nastrój się poprawił?
- Co?
- Musiałeś być bardzo zmęczony ostatniej nocy.

Galiano zatrafił.

Zamknęłam usta i w milczeniu przeszłam przez szklane drzwi i idąc chodnikiem, doszłam do samochodu.

Wdrapałam się na przednie siedzenie, więc Ryan musiał usiąść z tyłu.

W drodze do mieszkania Aidy Pery Galiano poinformował nas o postępach w śledztwie dotyczącym zabójstwa Claudii de la Aldy.

– W nocy, kiedy zaginęła Patricia, Gutiérrez był w swoim kościele i układał kompozycję kwiatową na dzień Wszystkich Świętych.

– Ma alibi? – zapytał Ryan.

– Owszem. Ręczy za niego tuzin parafian, w tym właścicielka domu, w którym mieszkał Miguel, Señora Ajuchán. Ajuchán zeznała, że szła za nim do domu. Utrzymuje, że Gutiérrez nie mógł wyjść ponownie, a tym bardziej wyjechać, ponieważ zablokowała wyjazd swoim samochodem.

– Współsprawca? – rzucił Ryan.

– Ajuchán twierdzi, że budzi się za każdym razem, kiedy Gutiérrez wchodzi lub wychodzi z domu. – Galiano skręcił w lewo. – Twierdzi też, że ten chłopak nazywa się Mr Rogers. Nie skrzywdziłby muchy. Jest samotnikiem. Nie ma żadnych przyjaciół.

– Co znalazłeś podczas rewizji jego pokoju? – zapytałam.

– Ten szaleniec miał ze czterdzieści zdjęć Claudii poprzczepianych do lustra nad toaletką. Przypominało to ołtarzyk. Świece i takie tam.

– Co zeznał w tej kwestii Miguel? – zapytał Ryan.

– Twierdzi, że podziwiał cnotę i pobożność Claudii.

– Kto robił zdjęcia?

– Troszkę kręcił, ale w szafce łazienkowej znaleźliśmy aparat i częściowo wywołaną rolkę filmu.

– Mała kochanka.

– Bingo. Przy pomocy aparatu telefonu komórkowego robił zdjęcia z ukrycia.

– Czy był badany? – zapytałam.

Galiano skręcił po raz kolejny w lewo, potem w prawo.

– Lekarze mówią, że ma zaburzenia obsesyjno-kompulsywne lub jakąś psychozę. Erotomania? Nie mógł sobie z tym poradzić. Prawdopodobnie nigdy nie chciał zranić Claudii.

– Claudia zrobiła wiele dobrego.

Galiano wyjechał na krawężnik i ustawił się do parkowania.

– A co z Patricią Eduardo? – zapytał Ryan.

– Gutiérrez zeznał, że nigdy nie spotkał się z Patricią Eduardo, nigdy nie był w Strefie Viva ani w kawiarni San Felipe. Nie słyszał też o pensjonacie Paraiso. Przynależał, że Claudia de la Alda jest jedyną osobą, którą kochał.

– Jedyną osobą, którą kiedykolwiek zabił. – Głos Ryana był pełen pogardy.

– Tak.

– Wierzysz mu? – zapytałam.

– *Hijo de la gran puta*. Zużył trzy powielacze.

Galiano wskazał na lekko rozwalający się budynek stojący na końcu ulicy. Rozsypujący się różowy tynk, krwistoczerwone drzwi, w progu drzemiący pijak, cwańszy niż inni ludzie drugiej kategorii.

– Pera mieszka na drugim piętrze ze swoją starszą kuzynką.

– Jest teraz w domu?

– Kiedy wspomniałem, że będę chciał porozmawiać, wzięła wolne, by nie denerwować niepotrzebnie szefa.

– Czy pytała, dlaczego chcesz z nią pogadać? – zapytałam.

Galiano spojrzał zaskoczony.

– Nie.

Wysiedliśmy. Na trzykrotne trzaśnięcie drzwi samochodu, pijak ześlizgnął się ze schodów i rozciągnął się wzdłuż pierwszego stopnia. Dając krok nad nim, zauważyłam, że ma zapięte do połowy spodnie albo do połowy rozpięte... Zależy od punktu widzenia.

Hol mierzył średnio 6x6, wypełniał go odór środka dezynfekującego. Na podłodze leżały czarnobiałe kafelki.

Nazwiska: Pera i Irias były wydrukowane na karteczkach. Ktoś włożył je w otwór jednej ze skrzynek pocztowych. Galiano nacisnął dzwonek. Natychmiast odezwał się jakiś głos. Ktoś nas oczekiwał.

– Si?

– Detektyw Galiano.

Drzwi otworzyły się. Przeszliśmy pojedynczymi, prowadzącymi do góry schodami.

Mieszkanie Pera-Irias leżało za jednymi z dwojga drzwi otwierających się na niewielki korytarz drugiego piętra. Kiedy stanęłam na piętrze, kliknęły zamki i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Z mieszkania wyjrzała po dwakroć boska, młoda kobieta. Poczulałam, jak Galiano i Ryan prężą się. Powinnam tu z nimi być?

– *Detektyw Galiano*’? – Dziecięcy głos.

– *Buenos dias, Señorita Pera*.

Aida skinęła na powitanie. Jej włosy były słomkowego koloru, skóra jasna, a oczy brązowe i wielkie. Ufne i jednocześnie pełne przerażenia. Zdawały się prosić: „zaopiekuj się mną”. Jedno spojrzenie, a każdy facet by zgłupiał.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać tak wcześnie – powiedział Galiano. Skinęła po raz kolejny, a potem spojrzała na Ryana i na mnie.

Galiano przedstawił nas.

– O co chodzi? – Bawiła się łańcuchem u drzwi. Chociaż jej palce były długie i szczupłe, paznokcie miała poobgryzane, a skórki pozacinane. Na pierwszy rzut oka była to jej jedyna skaza.

– Możemy wejść? – zapytał Galiano.

Pera cofnęła się i weszliśmy do małego przedsionka. Długi korytarz prowadził na tyły mieszkania. Salon był z przodu. Zaprosiła nas do niego i wskazała na zestawione tapczany i krzesła, każde z podłokietnikami i zagłówkami. Zastanawiałam się, ile lat miała jej kuzynka.

Galiano nie tracił czasu.

– Señorita Pera, rozumiem, że przyjaźni się pani z ambasadorem Kanady, André Specterem.

To stwierdzenie wyraźnie ją zaskoczyło.

– Mogę zapytać o naturę waszego związku?

Pera coś przeżuwała, kiedy przeniosła wzrok z Galiano na Ryana i na mnie. Wyglądało to jak pierwsze ostrzeżenie. Odpowiedziała:

– Nie mogę mówić o moim związku z André. Po prostu nie mogę. To... ja... przysięgam André.

– Mogliśmy panią przesłuchać w bardziej formalny sposób, na komendzie policji. – Głos Galiano zabrzmiał dość surowo.

Pera ponownie omiotła nas wzrokiem: Galiano, Ryan, ja. Swój wzrok zatrzymała na mnie.

– Obiecasz, że nikomu nie powiesz? – zapytała niczym dziecko skrywające niewinny sekret.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby zachować pani anonimowość – odpowiedział Galiano.

Oczami jelonka Bambi spojrzała na Galiano, a potem na mnie.

– André i ja mamy zamiar się pobrać.

Rozdział 25

Galiano spojrział na mnie i wycofał się.

– Jak długo spotykasz się z ambasadorem? – zapytałam.

– Sześć miesięcy.

– Jesteście kochankami?

Skinęła głową i spuściła wzrok.

– Wiem, że uważa pani, że jestem za młoda dla André. Ale nie jestem. Kocham go i on mnie kocha. Nic innego się nie liczy.

– A jego żona i córka? – zapytałam.

– André jest bardzo nieszczęśliwy. Ma zamiar opuścić żonę tak szybko, jak się da.

Nie wszyscy są tacy.

– Ile masz lat, Aido?

– Osiemnaście.

Byłam coraz bardziej wściekła.

– Kiedy?

Spojrzała na mnie.

– Kiedy co?

– Kiedy ślub?

– Cóż, nie ustaliliśmy jeszcze daty. Ale sądzę, że wkrótce się pobierzemy. – Spojrzała na Galiano i Ryana, szukając wsparcia. – Gdy tylko będzie to możliwe, wszystko zorganizujemy. Oczywiście tak, by nie przyniosło to szkody André.

– A wtedy?

– Wyjedziemy. Zostanie oddelegowany w inne miejsce. Może Paryż, Rzym lub Madryt. Będę jego żoną, będę z nim podróżować i chodzić na spotkania.

A Saddam Husajn przetrzuci się na chrześcijaństwo i wprowadzi baptyzm.

– Czy ambasador kiedykolwiek rozmawiał z tobą o innych kochankach?

– Nie rozumiem pani. André taki nie jest.

Spojrzała na Galiano, na Ryana, na mnie. Miała rację.

Nie rozumieliśmy.

– Czy kiedykolwiek cię zranił?

Zmarszczyła brwi.

– Co pani ma na myśli?

– Szarpał cię, uderzył, zmuszał do robienia czegoś, na co nie miałaś ochoty?

– Nigdy. – Wzięła haust powietrza. – André jest miłym, delikatnym, wspianiałym mężczyzną.

– Który oszukuje swoją żonę?

– To nie tak, jak pani myśli.

Było dokładnie tak, jak myślałam. Specter to drań romansujący z młodszymi panienkami.

– Znasz młodą kobietę o nazwisku Patricia Eduardo?

Delikatnie potrząsnęła głową.

– Claudię de la Alde?

– Nie. – Zaczerwieniły jej się oczy.

– Czy spotkasz się ze Specterem w najbliższym czasie?

– Nie wiem. André dzwoni, gdy ma trochę wolnego czasu.

A ty warujesz przy telefonie. Drań.

– Czy zazwyczaj przychodzi tutaj? – zapytał Galiano.

– Tylko wtedy, gdy nie ma w domu mojej kuzynki. – Zaczęła pociągać nosem. – Czasami wychodzimy.

Pogrzebałam w torebce i podałam jej chusteczkę. Galiano wręczył Aidzie swoją wizytówkę.

– Zadzwoń do mnie, kiedy się do ciebie odezwie.

– Czy André zrobił coś złego?

Galiano zignorował jej pytanie.

– Kiedy zadzwoni, umów się z nim. Zadzwoń do mnie i nie mów o tym Specterowi.

Pera otworzyła usta, aby zaprotestować.

– Niech pani tak robi, Señorita Pera. To oszczędzi pani wielu nieprzyjemności.

Galiano wstał. Ryan i ja zrobiliśmy to sarno. Aida odprowadziła nas do drzwi.

Kiedy wychodziliśmy, powiedziała.

– Jest ciężko, wie pani. To nie jest tak jak w kinie.

– Owszem – zgodziłam się. – Nie jest.

Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie Pery, niebo zachmurzyło się. Ryan chciał jak najszybciej przeszukać rzeczy Nordsterna. Wziął taksówkę i pojechał do Komendy Głównej.

Zanim Galiano i ja dotarliśmy do domu Eduardo, rozpadało się na dobre. Chociaż dom Eduardo nie był tak luksusowy jak Chez Specter i Chez Gerardi, był wygodny i dobrze umeblowany. Pośrednik handlu nieruchomościami określiłby go mianem: przytulny.

Kiedy Señora Eduardo stanęła w progu, pomyślałam: ET. Señora Eduardo miała twarz pociętą zmarszczkami i największe oczy, jakie kiedykolwiek widziałam u istoty ludzkiej. Jej ręce i nogi były chude, palce powykrzywiane i guzkowate. Miała około 120 cm wzrostu.

Señora Eduardo zaprowadziła nas do saloniku zapełnionego meblami o kwiatowej tapicerce. Skinęła zapraszającym gestem, byśmy usiedli. Sama spoczęła na jednym z prostych, drewnianych krzeseł, skrzyżowała stopy i zrobiła znak krzyża. W wielkich oczach zalśniły łzy.

Kiedy usiadłam w nadmiernie wypchanym fotelu, zastanawiałam się, czy ta kobieta ma jakąś wadę genetyczną. Nurtowało mnie, jak udało jej się spłodzić tak ładne dziecko jak Patricia.

Galiano przedstawił mnie gospodyni i wyraził współczucie z powodu straty córki. Señora

Eduardo znowu się przeżegnała, wzięła głębszy oddech.

– Czy aresztowaliście już kogoś? – zapytała cienkim, wzruszonym głosem.

– Pracujemy nad tym – powiedział Galiano.

Señora Eduardo przymknęła najpierw lewą, potem prawą powiekę.

– Czy pani córka kiedykolwiek rozmawiała z mężczyzną o nazwisku André Specter?

– Nie.

– Z Miguelem Gutiérrezem?

– Nie. Kim są ci mężczyźni?

– Jest pani pewna?

Señora Eduardo powtórzyła nazwiska, a może udawała, że to robi.

– Jestem pewna. Co ci mężczyźni mają wspólnego z moją córką? – Po jej policzku spłynęła łza. Stała ją szybko zgrabnym ruchem.

– Tylko chciałem sprawdzić.

– Czy są podejrzani?

– Nie w sprawie śmierci pani córki.

– Czyjej?

– Miguel Gutiérrez przyznał się do zamordowania młodej kobiety o nazwisku Claudia de la Alda.

– Sądzicie, że mógł zamordować również Patricię?

Pomimo nie najlepszej kondycji fizycznej, Señora Eduardo zachowała jasność umysłu.

– Nie.

– A Specter? – Kolejna łza.

– Nie zwracajmy sobie głowy Specterem.

– Kim on jest? – Eduardo nie ustępowała.

– Jeśli pani córka nigdy o nim nie wspominała jest nieistotnym ogniwem tego śledztwa. Jaka nową wiadomość ma pani dla nas?

Wielkie oczy zwięzły się. Wydawało się, że pani Eduardo nam nie ufa.

– Pamiętam nazwisko przełożonego Patricii ze szpitala.

– Tego, z którym się pokłóciła?

Skinęła głową i przymknęła oczy. Galiano wyciągnął notatnik.

– Zuckerman.

Mały brzdęk.

– Imię? – Zapytał Galiano.

– Lekarz.

– Płeć?

– Lekarz.

– Czy wie pani, dlaczego ze sobą walczyli?

– Patricia nigdy o tym nie wspominała.

W tej chwili dołączył do nas Buttercup. Zaczął ocierać się o nogawkę spodni Galiano. Señora Eduardo podniosła się z krzesła i klasnęła na kota. Buttercup wygiął się w łuk, wrócił i zaczął kręcić ósemki wokół kostek Galiano. Señora Eduardo klasnęła głośniej.

– Już. Dalej. Wracaj do pozostałych.

Buttercup słuchał swojej dziwnej pani przez dłuższy moment, a potem podniósł się, nastroszył ogon i wyszedł spacerowym krokiem z pokoju.

– Przepraszam. Buttercup był kotem mojej córki. – Jej dolna warga zadrżała. Miałam wrażenie, że zaraz się rozplacze. – Od kiedy Patricia zniknęła, nikogo się nie słucha.

Galiano schował swój notatnik do kieszeni i wstał. Señora Eduardo spojrzała na niego. Na obu jej policzkach lśniły łzy.

– Musicie znaleźć tego potwora. Patricia była wszystkim, co miałam.

Galiano zacisnął szczęki, jego oczy zrobiły się wilgotne.

– Znajdziemy, proszę pani. Obiecuję. Złapiemy go.

Señora Eduardo poderwała się z krzesła. Galiano uklonił się i ujął jej dłonie w swoje.

– Porozmawiamy z dr Zuckerman. Proszę raz jeszcze przyjąć wyrazy naszego współczucia. Proszę zadzwonić, jeśli coś jeszcze się pani przypomni.

– To był sprawny koci skok. – Galiano dopił pepsa i cisnął puszkę do plastikowej torby zwisającej z deski rozdzielczej.

– Każdy z nas radzi sobie ze stratą w inny sposób.

– Nie chciałabyś przejąć Buttercupa?

– Dobrze wabienie na szare spodnie.

– Widziały gorsze.

– Co jest z Señorą Eduardo?

– Artretyzm reumatoidalny w młodym wieku. Myślę, że przestała rosnąć.

Wróciliśmy do samochodu i po krótkim postoju w Polio Campero, gwatemalskim odpowiedniku KFC, wyruszyliśmy do Komendy Głównej Policji.

Kiedy skręciliśmy w Avenida 6, zadzwoniła komórka Galiano. Odebrał.

– Galiano.

Słuchał. Po chwili bezgłośnie wymówił nazwisko Aidy Pery, bym wiedziała z kim rozmawia.

– O której?

Upiłam łyk dietetycznej coli.

– Nie wspominaj mu o naszej wizycie. Nie mów o tym telefonie.

Pera coś powiedziała.

– Namów ją, by wyszła.

Pera powiedziała coś jeszcze.

– Yhm.

Kolejna pauza.

– Damy sobie z tym radę.

Galiano przerwał i rzucił telefon na siedzenie.

– Ambasador wrócił i jest napalony – zgadłam.

– Wpadnie do swojej ukochanej o 21:00.

– Szybko.

– Prawdopodobnie chce jej powiedzieć, że zarezerwował kościół.

– Myślisz, że coś może się stać w pobliżu?

– Nigdy nie mów nigdy.

– Dlaczego po prostu nie przesłuchamy tego drania?

Galiano parsknął: – Słyszałaś kiedykolwiek o Konwencji Wiedeńskiej w stosunkach dyplomatycznych i konsularnych?

Potrząsnęłam głową.

– To dzieło, które ogranicza możliwości władz lokalnych, jeśli chodzi o aresztowanie i zatrzymywanie dyplomatów.

– Immunitet dyplomatyczny.

– Zgadłaś.

– Oto, dlaczego Nowy Jork nadstawia swój tyłek za trylion biletów parkingowych rocznie. – Skończyłam swoją colę. – Czy nie można pozbawić kogoś immunitetu, gdy chodzi o sprawy kryminalne?

– Immunitetu może pozbawić tylko kraj, z którego wysłano danego dyplomate, w tym przypadku Kanada. Jeśli Kanada odmówi pozbawienia André immunitetu, Gwatemala może jedynie uznać Spectera za PNG.

– PNG?

– Uznać go za Persona Non Grata i nakazać mu opuszczenie kraju.

– Władze gwatemalskie nie mogą prowadzić śledztwa przeciwko przestępcom znajdującym się w obrębie granic Gwatemali?

– My możemy śledzić kretyna, ale musimy mieć zgodę władz kanadyjskich na przesłuchanie kanadyjskiego dyplomaty.

– Czy złożyliście formalny wniosek?

– Pisze się. Jeśli wskażemy konkretną przyczynę, możemy uzyskać zezwolenie na przesłuchanie Spectera w obecności kanadyjskiego urzędnika...

– Ryan...

– Ryan i prawdopodobnie inni z personelu dyplomatycznego. I tu jest kruczek. Specter musiałby się zgodzić na przesłuchanie. Nie mógłby składać zeznań pod przysięgą, a dowód z jego zeznań nie przekreśliłby jego immunitetu w ewentualnym procesie.

– O jego losie decyduje państwo wysyłające.

– Na pewno nie ty.

Ryan był w sali konferencyjnej na drugim piętrze, gdzie po raz pierwszy spotkałam Diaza, niezapomnianego Prokuratora Okręgowego. Książki, czasopisma, broszury, papiery, notatniki i foldery z danymi leżały przed nim poukładane w kupki.

Ryan oparł brodę na dłoniach. Na dyktafonie, identycznym jak ten, którego Nordstern używał do nagrywania wywiadów, odsłuchiwał taśmy. Przynajmniej tuzin kaset leżało po jego prawej stronie. Dwie po lewej.

Kiedy nas zauważył, wcisnął stop i usiadł wygodnie na krześle.

– Jezu Chryste, ta jest poszarpana.

Oboje czekaliśmy.

– Nasz niedoszły laureat nagrody Pulitzera rozmawiał z wieloma wściekłymi ludźmi.

– W Chupan Ya? – zapytałam.

– I w innych wioskach, przez które przeszła armia. To było jak gestapo.

– Znalazłeś coś, co wyjaśni, dlaczego Nordstern został zabity? – Galiano usiadł na skraju stołu.

– Może. Ale skąd, do diabła, mam wiedzieć, co to jest?

Przyniosłam mu pół tuzina kaset. Każda z nazwą. Wiele było majskich. Syn Señory Ch'i'p. Stary człowiek z wioski położonej na zachód od Chupan Ya.

Kilka taśm zawierało kopie wywiadów. Mateo Reyes nagrany na jednej taśmie z Elena Nondllo i Marią Paiz. T. Brennan była w parze z E. Sandoval.

– Kim jest E. Sandoval? – zapytałam.

Galiano wzruszył ramionami.

– Nordstern musiał przeprowadzić z nią wywiad zaraz po tobie.

Ryan wziął głębszy oddech. Odwróciłam się w jego stronę. Wyglądał na zmęczonego.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, powiem Mateo, że nie mogę się stąd ruszyć do jutra – powiedziałam.

Ryan spojrział na mnie tak, jakbym właśnie oznajmiła, że wygrał na loterii.

– Wiesz więcej w tej materii niż ja. – Włożył dłoń do walizki stojącej na podłodze pod oknami. – Pozwolę ci pogrzebać w tym ładunku damskiej bielizny.

– Nie, dzięki. Jedne brudne szorty mi wystarczyły.

Galiano wstał.

– Planuję wieczorne wyjście z Hernándezem.

Ryan uniósł brwi.

– Tempe może wyjaśnić. Poza tym pokojem.

– W czym mogę pomóc? – zapytałam.

– Przejrzyj te książki i dokumenty, a ja w tym czasie opracuję taśmy z nagraniami.

– Czego szukamy?

– Czegokolwiek.

Zadzwoiłam do Mateo. Nie miał nic przeciwko temu, bym pomogła chłopakom. Zapytałam

go o E. Sandoval. Odpowiedział, że Eugenia Sandoval pracowała dla CEIHS, Centrum Dochodzenia Prawd Historycznych. Kiedy się rozłączyłam, poinformowałam o tym Ryana.

– Sądę, że jest w tym sens – powiedział.

Zebrałam książki i czasopisma i usiadłam naprzeciw Ryana. Niektóre publikacje były w języku hiszpańskim, większość po angielsku. Rozpoczęłam listę.

Masakra na El Mazote: Przypowieść o Zimnej Wojnie; Masakra w dżungli, Ixcán, Gwatemala, 1975-1982; Wniesienie oskarżenia przez pełnomocnika: Partyzantka cywilna w Gwatemali, Centrum Praw Człowieka im. Roberta F. Kennedy'ego. Żniwa przemocy: Indianie Maya i kryzys gwatemalski; Raport Amerykański Obserwator, z sierpnia 1986: Partyzantka cywilna w Gwatemali.

– Wygląda na to, że Nordstern odrabiał pracę domową.

– Zanim dostał premię.

– Czy ktoś rozmawiał z „Chicago Tribune”?

– Wydaje się, że Nordstern był wolnym strzelcem, właściwie nie pracował dla gazety. „Tribune” zaangażowała go do zrobienia materiału o FAFG i Clydzie Snow.

– Dlaczego interesował się komórkami macierzystymi?

– Historia na później?

– Może.

Dwie godziny później zrobiliśmy sobie przerwę.

Kartkowałam magazyn fotograficzny „La Lucha Maya”, zbiór pełnostronnicowych portretów. Domy pokryte strzechą w Santa Clara. Młody chłopak łowiący ryby na jeziorze Atitlán. Ceremonia chrzcin w Xeputúl. Mężczyzna niosący trumnę z Chontalá na cmentarz w Chichicastenango.

Na początku lat 80., na rozkaz armii lokalnej, partyzanci dokonali egzekucji dwudziestu siedmiu wieśniaków z Chontalá. Dziesięć lat później Clyde Snow dokonał ekshumacji szczątków.

Naprzeciwko procesji pogrzebowej, zdjęcie młodego mężczyzny z karabinem. Członek partyzantki z Huehuetenango.

System oddziałów partyzantki został założony na obszarach wiejskich Gwatemali. Udział był koniecznością. Mężczyźni tracili pracę, rodziny pieniądze. Partyzanci wypracowali nowe zasady i wartości, w których dominowała przemoc. System zburzył tradycyjne wzory władzy i zniszczył życie majańskich rolników.

Ryan włożył kolejną kasetę. Usłyszałam głos Nordsterna, a potem swój.

Wciąż oglądałam obrazki. Starszy mężczyzna zmuszany do opuszczenia domu w Chunimá pod groźbą śmierci. Zapłakane majskie kobiety z dziećmi na plecach.

Przerzuciłam stronę. Partyzanci w Chunimá, podniesiona broń, zamglone góry. Podpis objaśniał, że były przywódca partyzantów zamordował dwóch mężczyzn z okolicy, ponieważ odmówili wolontariackiej służby w partyzantce.

Patrzyłam na młodych mężczyzn na fotografii. Mogliby stanowić drużynę piłkarską. Drużynę harcerską. Szkolny chórek.

W tle słyszałam swój własny głos nagrany na taśmę. Właśnie opowiadałam o masakrze w Chupan Ya.

– W sierpniu 1982 roku żołnierze i partyzanci weszli do wioski...

Partyzanci pomagali wojsku w Chupan Ya. Razem, żołnierze i partyzanci, gwałcili kobiety i dziewczyny, potem strzelali i cięli je maczetami, palili ich domy.

Odwrociłam stronę.

Xaxaxak, społeczność Sololá. Partyzanci maszerują jak na paradzie, karabiny leżą na ich piersiach. Żołnierze, niektórzy w strojach z dżungli, niektórzy w mundurach, obserwują.

Nordstern zakreślił nazwisko. Zauważyłam to w momencie, gdy Nordstern je wypowiadał. Z rozkazu dowódcy *Alejandro Bastosa*.

– *Tego nie wiem.*

– *OK, kontynuuj.*

– *Zdaje się, że wiesz o tym więcej niż ja. – Szelest.*

– *Robi się późno, panie Nordstern. Mam sporo pracy.*

– *Chupan Ya czy szambo?*

– *Stop! Puść to raz jeszcze!*

Ryan włączył przewijanie i odtworzył końcówkę wywiadu.

– Spójrz na to.

Odwrociłam książkę.

Ryan przyglądał się zdjęciu, przeczytał podpis.

– Alejandro Bastos był dowódcą lokalnego oddziału wojska.

– Nordstern wskazał, że Bastos był odpowiedzialny za masakrę w Chupan Ya – powiedziałam.

– Jak sądzisz, dlaczego Nordstern zakreślił obok słowo „łasicca”?

Ryan wziął z powrotem do ręki książkę i spojrzał na okrąg.

– Jezu Chryste.

Rozdział 26

To Antonio Diaz. – Chociaż okulary nie były różowe, nie miałam żadnych wątpliwości.

- To mógłby być on?
- Prokurator Okręgowy z piekła rodem.
- Gość, który skonfiskował szkielet Patricii Eduardo?
- Tak.

Ryan sięgnął po książkę. Podałam mu ją.

- Diaz był w wojsku.
- Najwyraźniej.
- Razem z Bastosem.
- Jedno zdjęcie jest warte tysiąc szalup.
- Nordstern oskarżył tego gościa o kierowanie masakrą w Chupan Ya?
- Słyszałaś.
- Kim jest Alejandro Bastos?
- Sprawdzę.

Ryan podniósł się.

- Siadaj, chłopcze.

Opadł z powrotem na krzesło.

- Diaz służył razem z Bastosem. Co to, do diabła, ma znaczyć?

Tylko o to siebie pytałam. Czy ponownie wróciliśmy do masakry Chupan Ya? Czy Diaz był w wojsku, a teraz jest sędzią? Czy właśnie to nurtowało Nordsterna? W sumie nie byłoby to niczym nadzwyczajnym w tutejszych warunkach. Galiano wyłożył już mi to podczas naszej rozmowy w Gucumatz. System sądowy Gwatemali obfitował w tortury i zabójstwa. Każdy to wiedział. To nie byłaby nowina. Czy ta sprawa łączy się ze sprawą Paraiso? Nic nie przychodziło mi do głowy.

- Może nic – powiedziałam, nie do końca w to wierząc.
- Może coś – odparł Ryan.
- Może Diaz miał powody, aby odsunąć mnie od sprawy Eduardo?
- Jakie?
- Może sądził, że w zbiorniku w Paraiso były również szczątki kogoś innego?
- Kogo?
- Kogoś związanego z Chupan Ya.
- Nastolatka w ciąży?

Miał rację.

- Może Diaz chciał odwrócić moją uwagę od śledztwa dotyczącego Chupan Ya.

– Dlaczego?

– Być może obawiał się, że wpadnę na trop jego dawnych powiązań. – Dzieliliśmy się z Ryanem swoimi konkluzjami. – Możliwe, że obawiał się, że straci pracę.

– A sprawa Paraiso nie zagraża jego pozycji?

– Co?

– Odwrócenie twojej uwagi od analizy szczątków z Chupan Ya? Im bardziej angażowałaś się w sprawę Paraiso, tym mniej pochłaniało cię wcześniejsze zajęcie. Gdyby chciał, żebyś zajęła się czymś innym, nie robiłby przeszkód.

Nagle przez moją głowę przebiegła straszliwa myśl.

– Jezu!

– Co?

– Możliwe, że Diaz stał za atakiem na Molly i Carlosa.

– Nie pozwólmy się zwariować, dopóki nie znamy faktów. Wiesz coś o Bastosie?

Potrząsnęłam głową.

– Dlaczego Nordstern zakreślił zdjęcie Diaza?

– Dobre pytanie, Ryan.

– W jakiej kwestii?

Odwróciliśmy się. W drzwiach stał Galiano.

– Kim jest Alejandro Bastos?

– Pułkownik. Gdy skończył karierę w wojsku, został ministrem gdzieś pod Rios Montt. Zmarł kilka lat temu.

– Czy Bastos miał związek z masakrą?

– Widział ją na własne oczy. Ten kutas był najlepszym przykładem na to, że amnestia była wszawym pomysłem.

Ryan podał Galiano zdjęcie.

– *Hijo de la puta.*

Galiano spojrzał w górę.

– Z Diazem. – Tym razem po angielsku. – Sukinsyn.

Obserwowałam muchę, która wleciała przez okno.

Patrząc na nią, zdałam sobie sprawę, jak rzadko ostatnio wychodziłam. Zaczynał mnie frustrować ten stan rzeczy.

– Co ze Specterem? – zapytał Galiano.

– Ambasador ma twarde alibi i to na cały tydzień, w którym zniknęła Patricia Eduardo.

– On i Dominique odnawiali swą przysięgę – zauważył złośliwie Ryan.

– Międzynarodowa konferencja handlowa w Brukseli. Specter miał jednodniową prezentację, wziął również udział w wieczornym koktajlu.

– Aida Pera może mieć jedynie wrażenie, że to prawda – wtrącił Ryan.

– To nie jej wina.

Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie jakbym powiedziała, że Eva Braun nie była taka zła.

– Specter oczywiście prezentuje się w czarnym smokingu wyjadacza. Pera to jeszcze naiwne dziecko.

– Ma osiemnaście lat.

– Dokładnie.

Przez kilka sekund słychać było tylko latającą muchę.

– Patricia Eduardo musiała mieć jakiś kontakt ze Specterami ze względu na włosy Guimauve’a, które znaleziono na jej dzinsach – wtrąciłam.

– Może włos przeniósł się ze Spectera, gdy Patricia zakładała dzinsy – dodał Ryan.

– Eduardo zaginęła 29 października – powiedział Galiano. – Niekoniecznie musiała umrzeć tego dnia.

– Czy znaleźliście dr Zuckerman?

Galiano wyjął swój notatnik.

– Maria Zuckerman uzyskała tytuł doktora medycyny na Uniwersytecie w Nowym Jorku, odbyła praktykę w Klinice Ginekologicznej u Johnsa Hopkinsa, spędziła parę lat w Melbourne, w Australii, w jakimś instytucie biologii reprodukcyjnej.

– Więc nie jest głupia.

– Jest jednym z lepszych lekarzy w szpitalu Centro Médico. Przez ostatnie dwa lata była bezpośrednią przełożoną Patricii Eduardo. Rozmawiałem z kilkoma współpracownikami Eduardo. Jeden z nich wspomniał, że panie się kłóciły, ale nie potrafił powiedzieć o co. W pobliżu Centro Médico jest całkiem sympatyczny bar. Właśnie tam rozmawiałem z dr Zuckerman.

Coś mi zaświtało!

– Zuckerman prowadzi klinikę dla kobiet Mujeres por Mujeres w Strefie 1! – powiedziałam.

– Dokładnie. Na pewno ucieszy ją moja kolejna wizyta. Chciałbym już iść.

– Autobus odjeżdża o 8:00.

Pomyślałam o Mateo. Miałam ochotę do niego zadzwonić.

– Tutaj jest jeszcze jeden intrygujący bar na uboczu. Współpracownicy podejrzewają, że Patricia spotykała się z kimś poza plecami swojego chłopaka. To był starszy facet.

Kiedy cofnęłam się myślami, przypomniałam sobie nasze spotkanie na dole krętych schodów. Od tego momentu pojawiały się nowe szczegóły i informacje, a nasze spostrzeżenia wirowały niczym wzory w kalejdoskopie.

Spędziłam z Ryanem następnych kilka godzin, przesłuchując taśmy Nordsterna i przeglądając jego książki. Potem wróciliśmy do hotelu, zjedliśmy szybką kolację i udaliśmy się do swoich pokoi. Nie spasował. Nie obchodziło mnie to.

Moje myśli zaprzątnięte były tym, co powiedział Galiano. Myślałam, że jego spostrzeżenia dotyczące dr Zuckerman były podobne do tych, jakie miałam w domu Eduardo. Jednak coś

innego nie dawało mi spokoju.

Co? Coś, co widziałam, co słyszałam? Miałam wrażenie, że nie mogę się teraz wycofać.

Ryan zadzwonił o 21:15.

– Co robisz?

– Czytam ulotkę dołączoną do leku na zobojętnienie kwasu żołądkowego.

– Żyjesz na krawędzi.

– A myślałeś, że co robię?

– Dziękuję ci, że mi pomogłaś.

– Z przyjemnością.

– Jeśli już jesteśmy przy temacie przyjemności...

– Ryan.

– OK. Brennan, ostrzegam, wrócę do tego tematu, gdy tylko znajdziemy się na naszej wspaniałej, białej Północy.

– Jak?

– Porwę cię na *Koty*.

Nagle wpadła mi do głowy pewna myśl.

– Muszę skończyć.

– Czemu? Co ja takiego powiedziałem?

– Zadzwoń do ciebie jutro.

Rozłączyłam się i wybrałam numer Galiano. Nie było go.

Cholera.

Zajrzałam do książki telefonicznej.

Tak.

Wykręciłam numer.

Señora Eduardo odebrała po pierwszym sygnale. Przeprosiłam, że dzwonię o tak późnej porze. Zbagatelizowała to.

– Señora Eduardo, kiedy wyganiała pani Buttercupa z pokoju, powiedziała pani, aby dołączył do pozostałych. Czy miała pani na myśli inne koty?

– Niestety, tak. W stajni, do której chodziła moja córka, by opiekować się swoimi końmi, dwa lata temu pojawił się kosz pełen kociaków. Patricia adoptowała dwa i znalazła dom pozostałym. Chciała przynieść je tutaj, ale powiedziałam, że Buttercup wystarczy. Kocięta urodziły się w stodole, więc mogły tam pozostać. Kotki nikomu nie przeszkadzały, dopóki Patricia się nimi opiekowała.

Przerwała. Widziałam, jak drgają jej powieki.

– Około trzy tygodnie temu zadzwonił właściciel stodoły i nalegał, abym je zabrała albo będzie musiał je utopić. Przygarnęłam kociaki, choć Buttercup za nimi nie przepada.

– Czy wie pani, do kogo trafiły pozostałe kotki?

– Przypuszczam, że do okolicznych rodzin. Patricia rozkleiła wszędzie ogłoszenia. Miała

prawie tuzin telefonów.

Odchrząknęłam.

- Czy te koty mają krótką sierść?
- Tak, te ze stodoły są krótkowłose.

Telefon Dominique Specter zadzwonił cztery razy. Jakiś mężczyzna zostawił wiadomość po angielsku i po francusku.

Właśnie czyściłam zęby nitką dentystyczną, kiedy zadzwoniła moja komórka. To była pani Specter. Zapytałam o Chantale.

- W porządku – ucięła.
- A jak pogoda w Montrealu?
- Ciepło. – Znów konkretna odpowiedź. Najwyraźniej nie miała nastroju na pogaduszki.
- Mam tylko jedno pytanie, pani Specter.
- *Oui?*
- Skąd mieliście Guimauve'a?
- *Mon Dieux.* Muszę pomyśleć.

Czekałam, kiedy zaczęła.

– Chantale znalazła ogłoszenie w aptece. Zadzwoniłyśmy. Kociaki były wciąż do wzięcia, więc pojechałyśmy i wybrałyśmy jednego.

- Dokąd pojechałyście?
- Do jakiejś stajni.
- W pobliżu Gwatemali?
- Tak. Nie pamiętam dokładnej lokalizacji.

Podziękowałam jej i rozłączyłam się.

Ile jeszcze popełnię błędów podczas tego śledztwa? Cóż za kretynką byłam. Wyjaśniłam to Ryanowi, sama nie potrafiłam tego zrozumieć.

Włos znaleziony w szambie w Paraiso nie pochodził od Guimauve'a. To sierść jego rodzeństwa. Zwierzęcia z identycznym mitochondrialnym DNA. Włos znaleziony na dżinsach Patricii. Koty ze stodoły Patricii Eduardo zgubiły włosy, które ja znalazłam na jej dżinsach.

André Specter nie był zabójcą, a jedynie napaloną gnidą, która oszukiwała rodzinę i naiwne młode kobiety.

Zasnęłam z milionem pytań rodzących się w mojej głowie.

Kto zabił Patricię Eduardo?

Dlaczego Diaz nie chciał, bym pracowała przy identyfikacji zwłok?

Dlaczego Patricia i dr Zuckerman się kłóciły?

Ile osób jest odpowiedzialnych za masakrę w Chupan Ya?

Kto strzelał do Molly i Carlosa?

Dlaczego Ollie Nordstern musiał zginąć? Co takiego odkrył? Dlaczego my tego nie

odkryliśmy?

Skąd zainteresowanie badaniami nad komórkami macierzystymi?

Mnóstwo pytań, żadnych odpowiedzi.

Miałam niespokojną noc.

Galiano nie dojechał do 8:30. W tym czasie zdążyłam wypić trzy filiżanki kawy i miałam wystarczająco energii, aby przebiec dwa okrążenia na stadionie Shea. Detektyw przyniósł mi czwartą filiżankę kawy.

Nie traciłam czasu na opisywanie mojej rozmowy z Señorą Eduardo i panią Specter. Galiano nie był zdziwiony. Chociaż mogłam tego nie zauważyć za okularami w stylu Dartha Vadera.

– Wygląda na to, że Specter jest lubieżnikiem, ale całkiem nieszkodliwym – powiedział Galiano.

– Co wydarzyło się ostatniej nocy?

– Pera musiała go ostrzec. Specter się nie pokazał.

Gwarny, piątkowy ranek w klinice. Przynajmniej tuzin kobiet siedziało na krzesłach w poczekalni. Kilka trzymało noworodki. Większość była w ciąży. Reszta przyszła, aby tego uniknąć.

Czworo malców bawiło się na podłodze plastikowymi zabawkami. Dwoje starszych dzieci rysowało po stoliku, między nimi leżało opakowanie kredek. Ściana z tyłu była zapisem wylewności tysiąca ich poprzedników. Znaki kopniaków. Plamy po jedzeniu. Kredkowe graffiti. Żłobienia na ścianie od dziecięcych ciężarówek.

Galiano podszedł do recepcjonistki i zażądał spotkania z dr Zuckerman. Młoda kobieta spojrzała na niego, a w szklach jej okularów odbiło się światło. Na widok legitymacji policyjnej szerzej otworzyła oczy.

– *Un momento, por favor.*

Skreśliła w prawo i pobiegła korytarzem. Czekaliśmy. Jakaś kobieta przyglądała się nam szeroko rozwartymi, wielkimi oczami. Dzieci rysowały. Na ich twarzach malowało się skupienie. Nie chciały wyjechać za linijki.

Pięć minut później recepcjonistka wróciła.

– Przykro mi. Dr Zuckerman nie może się z panem zobaczyć. – Machnęła nerwowo, wskazując na brygadę macic. – Jak pan widzi, mamy dzisiaj dużo pacjentów.

Galiano patrzył prosto w jej oczy.

– Albo dr Zuckerman wyjdzie tutaj – teraz – albo my pójdziemy do niej.

– Nie możecie wejść do gabinetu. – To było prawie jak lament.

Galiano rozpakował opakowanie gum i wsadził jedną do ust, przez cały czas patrząc w oczy recepcjonistce.

Recepcjonistka westchnęła głęboko, cofnęła się i machnęła obiema rękami, przepuszczając nas.

Jakieś dziecko zaczęło płakać. Mama podniosła do góry bluzkę i przyłożyła buzię malucha bezpośrednio do sutka. Galiano kiwnął głową i uśmiechnął się. Kobieta odwróciła się, zasłaniając się ramieniem.

Na dole w holu otworzyły się drzwi. Zuckerman biegła w stronę poczekalni jak mały motorek. Była szczupłą kobietą o ciemnoblond włosach, obciętych króciutko. W domu. Przy przyciemnionym świetle. Tępymi nożyczkami.

– Co wy, do diabła, sobie wyobrażacie? – angielski z akcentem. Sądzę, że australijskim.

Recepcjonistka wślizgnęła się za biurko i zajęła się czymś, co na nim leżało.

– Nie może pan tutaj przyłazić i straszyć mi pacjentów...

– Będziemy dalej ich straszyć, czy woli pani porozmawiać na bardziej neutralnym gruncie? – Galiano obdarzył panią doktor lodowatym uśmiechem.

– Nie chce pan zrozumieć, sir. Nie mam teraz dla pana czasu.

Galiano sięgnął pod marynarkę, wyjął kajdanki i pomachał nimi przed jej oczami.

Zuckerman spiorunowała go wzrokiem. Galiano machał.

– To niedorzeczne.

Zuckerman odwróciła się i ruszyła w górę korytarzem. Minęliśmy kilka gabinetów. W więcej niż jednym z nich zauważyłam okryte prześcieradłami kobiety z podkurczonymi kolanami. Nie zazdrościłam im.

Zuckerman wprowadziła nas do biura, na którego drzwiach widniało jej nazwisko. W gabinecie były krzesła i zestaw telewizyjny. Wyobraziłam sobie filmy instruktażowe. *Wskazówki jak badać piersi. Sukces metody rytmicznej. Kąpanie noworodka.*

Galiano nie tracił czasu.

– Była pani przełożoną Patricii Eduardo w szpitalu Centro Médico.

– Tak.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie wspomniała pani o tym podczas naszej ostatniej rozmowy?

– Pytał pan o pacjentki.

– Proszę pozwolić mi panią zrozumieć, doktor Zuckerman. Przyszedłem tutaj zapytać o trzy kobiety. Jedna z nich była pani podwładną, a pani po prostu o tym zapomniała wspomnieć?

– To popularne nazwisko. Byłam zajęta. Nie widziałam związku.

– Rozumiem. – Jego ton wskazywał, że nie rozumie. – W porządku. W takim razie porozmawiajmy o niej teraz.

– Patricia Eduardo była jedną z wielu moich podwładnych. Nie mam pojęcia, czym zajmowała się po pracy.

– Nigdy nie pytała pani swoich pracowników o prywatne życie?

– To byłoby niewłaściwe.

- Yhm. Widziano, jak pani i Patricia kłóciłyście się krótko przed jej zniknięciem.
- Dziewczyny nie zawsze spełniają moje oczekiwania.
- Czy to było przyczyną waszej sprzeczki?

Zawahała się.

– Nie.

– O co walczyłyście?

– Walczyłyśmy. – Wypuściła powietrze ustami. – Nie nazwałabym tego walką. Panna Eduardo nie zgadzała się z radą, jakiej jej udzieliłam.

– Radą?

– Poradą medyczną.

– Jako bezstronny przełożony?

– Jako lekarz.

– Więc Patricia *była* pani pacjentką.

Zuckerman natychmiast zauważyła swój błąd.

– Może raz odwiedziła tę klinikę.

– Dlaczego?

– Nie pamiętam, na co skarżą się wszystkie przychodzące do mnie kobiety.

– Patricia nie była każdą kobietą. Była pani podwładną.

Zuckerman nie odpowiedziała.

– Nie ma śladu o jej rejestracji?

– Zdarza się.

– Proszę nam o niej opowiedzieć.

– Wie pan, że nie mogę tego zrobić.

– Tajemnica zawodowa.

– Tak.

– To jest śledztwo w sprawie o zabójstwo. Pieprzyć tajemnicę zawodową.

Zuckerman zeszywniała i zaczerwieniła się.

– Robimy to tutaj albo na komendzie – powiedział Galiano.

Zuckerman wskazała na mnie.

– Ta kobieta nie jest z policji.

– Ma pani całkowitą rację – powiedziałam. – Nie powinna pani w żadnym razie łamać przysięgi. Zaczekam w holu.

Zanim ktokolwiek mógł się sprzeciwić, wyszłam z pokoju. Hol był pusty. Idąc spokojnie, pośpieszyłam do biura Zuckerman, wślizgnęłam się i zamknęłam drzwi.

Poranne słońce wdzierало się przez na wpół odsłonięte żaluzje, tworząc czyste linie wzdłuż biurka i rozszczepiające się w kolorowe paski obok kryształowego zegara. Tykanie – delikatne i szybkie jak serduszko koliberka – było jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę.

Półki na książki rozwieszono na dwóch ścianach. Wypełnione szafki. Wszystkie były szare.

Przejrzałam szybko tytuły książek. Czasopisma medyczne. „JAMA”. „Płodność”. Standardowe teksty medyczne. Kilka tomów o biologii komórki. Wiele o fizjologii reprodukcyjnej i embriologii.

Otwarte drzwi w rogu pokoju. Łazienka?

Wstrzymałam oddech i słuchałam.

Tik. Tik, Tik.. Tik. Tik.

Podbiegłam i przekręciłam klamkę.

Czegokolwiek oczekiwałam, nie było tym, co zobaczyłam. W pokoju były dwa długie blaty. Stały na nich mikroskopy, fiołki testowe i naczynia laboratoryjne. Komoda ze szklanym frontem skrywała butelki i fiołki. Słoiki z embrionami i zarodkami zapełniały zestaw półek. Na etykietach opisano wiek dojrzewania.

Młody mężczyzna wstawiał kontener do jednej z lodówek stojących pod tylną ścianą. Odczytałam etykietę. Bydłęca surowica płodowa.

Słyszając szmer przy drzwiach, mężczyzna odwrócił się. Miał na sobie T-shirt i bojówki. Nogawki spodni wsadził w czarne buty. Gładko zaczesane włosy związał na karku. Na szyi miał złoty łańcuszek z inicjałami JS. Styl komando.

Przeszył mnie wzrokiem.

– Czy pani doktor pozwoliła pani tutaj wejść? Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Zuckerman wpadła do biura jak bomba. Odwróciłam się. Nasze oczy spotkały się na moment.

– Pani tutaj nie może przebywać. – Jej twarz była czerwona aż po korzenie jej okropnych włosów.

– Przepraszam. Zgubiłam się.

Zuckerman minęła mnie i zamknęła drzwi laboratorium.

– Idź. – Zacisnęła wargi. Oddychała głęboko przez nos.

Opuszczając biuro, usłyszałam, jak ktoś otwiera drzwi laboratorium. Za chwilę dobiegły mnie podenerwowane głosy. Nazwisko. Nie marnowałam czasu na podsłuchiwanie. Musiałam znaleźć Galiano.

Chociaż nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, znałam nazwisko Komandosa.

Rozdział 27

Jesteś pewna?

– Szczurza twarz ojca, dwukolorowe oczy mamusi.

– Jedno brązowe, jedno niebieskie.

Kiwnęłam głową. Ciężko było zapomnieć głupich właścicieli Paraiso.

– I te litery JS wiszące na łańcuszku na jego szyi.

– Jorge Serano.

– Tak. Słyszałam, jak Zuckerman mówiła do niego po imieniu.

Poczułam chwilowy przypływ entuzjazmu.

– Co, do diabła, on i Zuckerman robią w tym laboratorium?

– Widziałaś jakieś króliki?

Odniosłam wrażenie, że żartuje. Żartował.

– Jeśli masz rację co do Jorge Serano...

– Mam rację, Galiano.

– Jorge Serano i Zuckerman łączy sprawa Paraiso. Zuckerman znała Patricię Eduardo. Może to pozwoli na splecenie ze sobą faktów.

Siedzieliśmy w radiowozie, jeden blok na wschód od kliniki Zuckerman.

– Zuckerman i Eduardo kłóciły się o coś. Eduardo znaleziono martwą na terenie posesji hotelu, którego właścicielami są rodzice pracownika pani doktor. – Próbowałam powstrzymać drżenie głosu.

– Nie mamy koronera.

– Jestem gotowa się tym zająć.

– Imponujesz mi, Brennan. Chodźmy porozmawiać z Serano.

Kiedy wróciliśmy do kliniki, Serano już w niej nie było.

Była za to Zuckerman i kobiety, które czekały na badanie.

Punkt dla przysięgi Hipokratesa.

Recepcjonistka potwierdziła, że Serano był pracownikiem. Piastował stanowisko osobistego asystenta dr Zuckerman. Jedyne adres, który mogła nam podać, był adresem hotelu jego rodziców.

Zaproponowałam, byśmy ponownie zajrzeli do laboratorium dr Zuckerman. Galiano odmówił. Chciał poczekać na nakaz.

Pojechaliśmy do Paraiso.

Ojciec Jorge Serano nie doznał olśnienia od czasu naszej ostatniej wizyty. Od tygodni ani on, ani jego żona nie widzieli syna i nie wiedzieli, gdzie może być. Nie mieli też pojęcia, gdzie ich syn przebywał w dniu 29 października. Nie znali Marii Zuckerman, nie słyszeli o jej klinice.

Galiano pokazał zdjęcie Patricii Eduardo. Nigdy jej nie widzieli, nie mają pojęcia, w jaki sposób jej ciało znalazło się w zbiorniku ich szamba.

Señora Serano podziwiała konia widniejącego na zdjęciu.

Po wizycie w Paraiso Galiano podrzucił mnie do siedziby FAFG i wyruszył polować na Jorge Serano. Właśnie zajmowałam się szkieletem z Chupan Ya, gdy zadzwonił Ryan.

– Znalazłem coś w bieliźnie Nordsterna.

– Ślady brązowo-gówniane?

– Bardzo zabawne, Brennan. Musisz mi coś przetłumaczyć.

– Twój hiszpański jest lepszy niż mój.

– To inny rodzaj tłumaczenia. Biologia.

– Nie poradzisz sobie z tym sam? Od kiedy zgodziłam się pomóc Galiano, prawie nie mam czasu, aby przejrzeć kości z Chupan Ya, a przecież to moja praca.

– Bat powiedział mi, że nie jadłaś lunchu.

Nawet moja babcia nie wykazywała takiej przesadnej troski o regularność moich posiłków jak Ryan.

– Obiecałam Mateo...

– Idź. – Obok mnie pojawił się niespodziewanie Mateo. – Będziemy tu, gdy złapiesz tego swojego zabójcę.

Przyłożyłam słuchawkę do piersi.

– Jesteś pewien?

Skinął głową.

Przekazałam wiadomość Ryanowi i rozłączyłam się.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Mateo?

– Oczywiście.

– Kim jest Alejandro Bastos?

Blizna na jego wardze zrobiła się bardzo cienka. Machnął ręką nad szkieletem leżącym pomiędzy nami.

– Pułkownikiem wojska. Morderca i drań, który odpowiada za to, co widzisz przed sobą. Może właśnie smaży się w piekle.

Poza niewystawianiem nosa z domu w upalne dni, uwielbiałam pieścić swe podniebienie smakiem smażonej ryby. Właśnie ją jadłam, gdy Ryan przeglądał dziennik znaleziony w walizce Nordsterna.

Ryan trzymał dziennik tak, żebym i ja mogła czytać.

16 maja Nordstern umówił się na spotkanie z Eliasem Jiménezem.

Sięgnęłam pamięcią wstecz.

– To było dwa dni przed jego wywiadem ze mną.

Żułam i przełknęłam.

- Kim jest Elias Jiménez? – zapytałam.
 - Profesorem biologii komórek na uniwersytecie w San Carlos.
 - Czy wywiad był nagrywany?
 - Nie ma go na żadnej kasecie, które przesłuchałem.
 - Czy profesor będzie zadowolony z naszej wizyty?
 - Jak tylko detektyw Galiano będzie wolny.
 - Zastraszony przez akademię?
 - Jestem policjantem, ale z wizytą w obcym kraju. Żadnej władzy. Żadnej broni. Żadnego wsparcia. Mógłbym równie dobrze być dziennikarzem.
 - Dokładnie takim, jakim był Nordstern.
 - Strzał w dziesiątkę.
- Odsunęłam talerz z rybą.
- Skaczące genomy! Kolejna przejażdżka Batmobilem!

W drodze do miasteczka uniwersyteckiego w Strefie 12 Galiano opowiedział nam o efekcie swoich poszukiwań. Niewiele wiedzieliśmy o Jorge Serano. Owszem, dzieciak miał trochę za uszami, jednak w większości były to drobne przestępstwa. Kradzież sklepowa. Wandalizm. Jazda pod wpływem alkoholu. Jorge nie miał chyba ochoty do dyskusji o jego dawnych potknięciach. Przepadł jak kamień w wodę.

Partner Galiano wygrzebał kilka interesujących szczegółów z przeszłości Antonio Diaza. Hernández odkrył, że Prokurator Okręgowy we wczesnych latach 80. był porucznikiem w armii. Służył głównie w pobliżu Sololá. Jego dowódcą był Alejandro Bastos.

Przerażające.

Hernández dowiedział się również, że duża liczba wysokich rangą oficerów policji również służyła pod Bastosem.

Zgroza.

Profesor Jiménez mieszkał w niebiesko-białym prostokątnym domku w środku kampusu, pod adresem: Edificio M2. Sugerując się strzałkami, poszliśmy w stronę Instytutu Nauk Biologicznych, do jego gabinetu na drugim piętrze.

W pierwszej chwili rzuciło mi się w oczy wole Jiménezza. Było wielkości orzecha włoskiego i koloru śliwki. Poza tym, sprawiał wrażenie bardzo starego człowieka o intensywnie czarnych oczach.

Jiménez nie wstał, kiedy się pojawiliśmy. Przyglądał się nam, gdy wchodziliśmy do jego gabinetu o wymiarach na oko 6x8. Ściany pokrywały kolorowe fotografie komórek, przedstawiające różne etapy mitozy lub mejozy. Nie byłam pewna.

Jiménez nie dał Galiano szansy na odezwanie się.

– Ten mężczyzna przyszedł, aby pytać o komórki macierzyste. Streściłem mu to i odpowiedziałem na jego pytania. To wszystko, co wiem.

- Olaf Nordstern?
- Nie pamiętam. Powiedział, że pisze sprawozdanie.
- O co pytał?
- Chciał wiedzieć o liniach embrionalnych komórek macierzystych, na badania których

wyraził zgodę prezydent George Bush.

- I?
- Powiedziałem mu.
- Co pan mu powiedział?
- Według NIH...
- Narodowego Instytutu Zdrowia – przetłumaczyłam.
- ... jest tych linii 78.
- Gdzie? – zapytałam.

Jiménez wyjął wydruk ze sterty dokumentów i wręczył mi go. Kiedy ja przeglądałam dane – nazwy i liczby, Galiano przeszedł przyspieszony kurs na temat badań nad komórkami macierzystymi.

BresaGen Inc., Ateny, Georgia, 4;
 CyThera Inc., San Diego, Kalifornia, 9;
 ES Cell International/Melbourne, Australia, 6;
 Geron Corporation, Menlo Park, Kalifornia, 7;
 Göteborg University, Göteborg, Szwecja, 19;
 Karolinska Institute, Sztokholm, Szwecja, 6;
 Maria Biotech Co. Ltd. – Maria Infertility Hospital
 Medical Institute, Seul, Korea, 3
 MizMedi Hospital – Seoul National University,
 Seul, Korea, 1;
 National Centre for Biological Sciences /
 Tata Institute of Fundamental Research, Bagalore, Indie, 3;
 Pochon CHA University, Seul, Korea, 2;
 Reliance Life Sciences, Mumbai, Indie, 7;
 Technion University, Haifa, Izrael 4;
 University of California, San Francisco, Kalifornia, 2;
 Wisconsin Alumni Research Foundation,
 Madison, Wisconsin, 5.

Moją uwagę przyciągnęła trzecia pozycja na liście. W milczeniu wskazałam ją Ryanowi. Spojrzeliśmy na siebie.

- Czy 78 wystarczy? – zapytał Galiano, wysłuchawszy ES 101 komórek.

– Do diabła, nie.

Podczas mówienia Jiménez miał zwyczaj przekreślać głowę na lewo. Być może wole uciskało mu struny głosowe, a może chciał je ukryć.

– Niektóre z tych linii nie są aktualne albo straciły swoich pluripotentów, albo rozpadły się. Cztery z sześciu kolonii stworzonych przez amerykańskie firmy biotechnologiczne – nie mogę powiedzieć przez które – okazują się być niestabilne. – Chrząknął. – Teraz są tylko zaległości w zapotrzebowaniu.

Wskazał kościstym palcem na wydruk, który trzymałam w dłoniach.

– Spójrz na tę listę. Wiele z tych linii jest w prywatnych rękach.

– A prywatne firmy nie są zainteresowane dzieleniem się – dodał Ryan.

– Masz rację, młody człowieku.

– Czy amerykański rząd robi cokolwiek, by uzyskać dostęp? – zapytał Galiano.

– Narodowy Instytut Zdrowia tworzy rejestry ludzkich embrionalnych komórek macierzystych. Instytut zezwala, by podczas dystrybucji linii komórek pozostały one w zasięgu tych laboratoriów, które je stworzą.

– Komórki ES mogłyby stać się wartościowym towarem – powiedział Ryan.

Śmiech Jiménez'a brzmiał jak rechot.

– Giełda komórek macierzystych rozwinęła się po komunikacie Busha.

Hipotezy mieszały się w mojej głowie.

– Dr. Jiménez, jak skomplikowana jest metoda otrzymywania komórek ludzkich ES?

– Na pewno nie da się tego zrobić na drugim roku studiów biochemii, jeśli o to pytasz. Jednak nie jest to trudne dla kogoś, kto ma już doświadczenie w zawodzie.

– Jak to działa?

– Dostajesz świeże lub zamrożone embriony...

– Gdzie?

– IV klasa F/laboratorium.

– Kliniki dla pacjentów leczących się na bezpłodność – wytłumaczyłam swoim policyjnym kumpłom.

– Wydobywasz komórki z wewnętrznej masy komórkowej blastocystu. Lokujesz komórkę w odpowiednim naczyniu wzrostowym wraz ze średnio odrośniętą dawkowaną bydlęcą surowicą płodową...

Bicie mojego serca osiągnęło prędkość kosmiczną.

– ... na dozowniku warstwa mysich embrionicznych fibroblastów zostaje naświetlona promieniami gamma, w celu zapobieżenia ich replikacji. Teraz komórki muszą rosnąć dziewięć do piętnastu dni. Kiedy wewnętrzne masy komórkowe podzielą się i uformują bryłki, oddzielasz zewnętrzne komórki, ponownie umieszczasz je w naczyniu wzrostowym, i...

Nie słuchałam dłużej. Wiedziałam już, czym zajmowała się dr Zuckerman.

Spojrzałam na Ryana i dałam mu znak, że już powinniśmy pójść.

Jiménez drażył temat alternatywnych technik umożliwiających wstrzykiwanie komórek ES testowanym immunologicznie myszom.

– Dziękujemy, profesorze – przerwałam mu.

Ryan i Galiano patrzyli na mnie jak na wariatkę.

– Ostatnie pytanie. Czy Nordstern pytał o kobietę o nazwisku Maria Zuckerman?

– Być może.

– Co mu pan powiedział?

– To samo, co powiem pani, młoda damo. Nigdy o niej nie słyszałem.

– Zuckerman próbuje stworzyć linię komórek macierzystych.

Wróciliśmy do naszego Batmobila. Czułam gorąco na twarzy, a w moim żołądku wszystko się przewracało.

– Dlaczego? – zapytał Ryan.

– Skąd, do diabła, mam to wiedzieć? Może ubiega się o jakąś nagrodę? Albo mamy do czynienia z czarnym rynkiem.

Zamknęłam oczy. Ryba zjedzona w czasie lunchu dawała mi się we znaki. Po chwili otworzyłam je.

– Jestem pewna, że właśnie tym zajmuje się Zuckerman. Widziałam laboratorium, widziałam bydlęcą surowicę płodową.

– Muszą jeszcze w jakiś inny sposób wykorzystywać ten materiał – zauważył Galiano.

– Sześć z istniejących linii znajduje się w Monash Institute of Reproductive Biology w Melbourne, Australia. – Przełknęłam. – Zuckerman spędziła dwa lata w instytucie badawczym w Melbourne. Jeśli sprawdzisz, zakładam się, że Monash oddzwoni.

– Ale dlaczego? – powtórzył Ryan.

– Może Zuckerman działa na czarnym rynku, ponieważ amerykański rząd wprowadził ograniczenie źródeł komórek ES poprzez ograniczenie funduszy rządowych. – Galiano przyglądał mi się. – Wszystko w porządku?

– Czuję się świetnie.

– Masz rumieńce.

– Nic mi nie jest.

– Dobry lekarz zamierza zbić fortunę – powiedział Ryan.

Galiano ponownie na mnie spojrzał i zaczął opowiadać, zamiast włączyć radio.

– Podobnie jak kamienie włosowe, można to zaliczyć do nielegalnego handlu organami. – Ryan był bardziej sceptyczny.

– Pieprzenie... – przerwałam mu.

– A Jorge Serano jej pomaga.

Właśnie słuchałam podejrzeń Galiano co do Serano i Zuckerman, gdy mój żołądek wydał dość osobliwy dźwięk. Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie, ale żaden nie skomentował.

Jechaliśmy wiele kilometrów przy akompaniamencie burczenia mojego brzucha konkurującego z radiem.

W końcu się odezwałam.

– Gdzie w tym wszystkim umieścić Patricię Eduardo?

– Gdzie pasuje Antonio Diaz? – zapytał Galiano.

– Gdzie Ollie Nordstern? – dodał Ryan.

Nikt nie znał odpowiedzi.

– Mam plan – powiedział Ryan. – Bat, skoczysz do sędziego, żeby wydał nakaz.

– I do cholery, lepiej by było, żeby to nie była ta kanalia Diaz.

– Skończyłem przesłuchiwać taśmy z nagraniami. Brennan przejrzy pozostałe papiery Nordsterna.

– OK – zgodziłam się. – Ale popracuję w hotelu. – Poczułam nagłą potrzebę znalezienia się w pobliżu łazienki.

– Nie podoba ci się moje towarzystwo? – Ryan przybrał zranioną minę.

– To pestka – powiedziałam. – My nie pasujemy do siebie.

Pojechaliśmy na komendę, zabrałam zbiory Nordsterna i wróciłam do hotelu. Było już po piątej.

Chodnik wyglądał, jakby walnął w niego pocisk. Cztery młoty pneumatyczne tworzyły tak silne vibracje, że przenikały każdy płat mojego mózgu. Światła reflektorów i pełne skopki jedzenia sugerowały, że roboty mogą potrwać nawet całą noc.

Rzuciłam mięsem.

Ryan i Galiano zapytali, czy wszystko OK. Zapewniłam ich, że potrzebuję odpoczynku. O łazience nawet nie wspomniałam.

Nie umknęło mojej uwadze, że gdy się oddalali, wybuchnęli śmiechem.

Galopująca paranoja.

Powtórzyłam przekleństwo.

Na górze od razu poszłam do mojej apteczki.

Katy zawsze śmieje się ze mnie. Kiedy wybieram się do obcego kraju, targam ze sobą aptekę. Krople do oczu, spray do nosa, środki zobojetniające kwas żołądkowy, środki przeczyszczające. Nigdy nie wiesz, co się przyda.

Dzisiaj wiedziałam.

Łyknęłam Imodium i Pepto-Bismol i rozciągnęłam się na łóżku.

Za moment pognałam do łazienki. Po jakimś czasie położyłam się z powrotem. Byłam osłabiona, ale czułam się lepiej.

Ruszyły młoty pneumatyczne.

Miałam wrażenie, że mój mózg wibruje w ich takt.

Włączyłam wiatrak. Potrzebowałam ciszy, a zrobiłam jeszcze większy hałas.

Wróciłam do łazienki, zanurzyłam chusteczkę w zimnej wodzie, przyłożyłam ją do czoła i

położyłam się na wznak. Zadawałam sobie pytanie, czy chcę żyć.

Zasypiałam, gdy zadzwonił telefon.

Przekleństwo.

– Tak!

– Ryan.

– Tak.

– Czujesz się lepiej?

– Niech cholera weźmie ciebie i twoją rybę.

– Doradzałem ci, żebyś zamówiła corndoga. Co to za hałas?

– Młoty pneumatyczne. Dlaczego dzwonisz?

– Miałś rację, jeśli chodzi o Melbourne. Zuckerman spędziła tam dwa lata na Wydziale Biologii Reproduktywnej, pracując nad braterstwem, czy czymś takim.

– Yhm.

W połowie słuchałam Ryana, w połowie mojego żołądka.

– Nigdy nie zgadniesz, kto jeszcze tam był.

Nazwisko skutecznie przyciągnęło moją uwagę.

Rozdział 28

Ten Lucas, który skonfiskował szkielet z Paraiso dla Antonio Diaza?

– Hektor Luis Castillo Lucas.

– Ale Lucas jest lekarzem medycyny sądowej.

– Najwyraźniej nie zaczynał od tego.

– Jaki jest związek pomiędzy Diazem a Lucasem? – zapytałam.

– Bardziej właściwe pytanie: Jaki jest związek pomiędzy Zuckerman a Lucasem?

– Żadnego postępu w kwestii pojmania Zuckerman lub Jorge Serano?

– Jeszcze nie. Galiano obstawił klinikę Zuckerman i jej dom. Pani doktor ma również podsłuch w samochodzie. Galiano ma również na oku Paraiso. Powinniśmy ich ująć jeszcze przed wiadomościami o 22:00.

– Czy Galiano ma nakaz?

– Teraz rozmawia z sędzią.

Rozłączyłam się, odłożyłam chustkę i opadłam na poduszki.

To nie miało sensu. A może miało? Czy dr Lucas pracował dla Diaza? Czy zlecił zniszczenie kości Patricii Eduardo na prośbę Prokuratora Okręgowego? A może jego decyzja była podyktowana czymś innym? Czy Lucas miał wpływ na Diaza?

Diaz mógł mieć związek z Chupan Ya, może nawet ze strzelaniną, której ofiarami byli Carlos i Molly. Ale dlaczego chciał skonfiskować kości z Paraiso? Jaki mógł mieć interes, by zamordować młodą, ciężarną dziewczynę?

Carlos i Molly! Czy ich napastnicy naprawdę wypowiedzieli moje nazwisko? Czy byłam następnym celem? Czyim?

Byłam przerażona i zziębnięta. Wsunęłam się pod koce.

W mojej głowie kłębiły się pytania.

Lucas musiał znać Zuckerman. Dwóch gwatemalskich lekarzy na tym samym szkoleniu w tym samym czasie w Australii. To niemożliwe, żeby się nie znali. Czy teraz pracowali razem? Nad czym?

Co było największym sekretem Nordsterna? I jak go poznał?

Czy Bastos-Diaz byli ze sobą również w jakiś sposób związani poza armią? Dlaczego Nordstern zakreślił zdjęcie Diaza z Bastosem oglądających paradę w Xaxaxak?

Czy te wszystkie sprawy wiążą się ze sobą? Czy żadna z nich? Czy to tylko epizody korupcji w skorumpowanym kraju?

Czy byłam w niebezpieczeństwie?

Młoty pneumatyczne były bardziej hałaśliwe niż uliczny zgiełk w godzinach szczytu. Wiatrak warczał. Powoli w pokoju robiło się coraz ciemniej i ciszej.

Nie byłem pewna, ile czasu minęło, gdy usłyszałam przenikliwy dźwięk telefonu. Było ciemno. Podniosłam słuchawkę.

Oddech, a potem przerywany sygnał.

– Pieprzony, bezmyślny draniu! – Ktoś wybrał zły numer i rozłączył się.

Odłożyłam słuchawkę.

Siedząc na skraju łóżka, dotknęłam dłońmi policzków. Wydawały się chłodniejsze. Tabletki pomogły.

Rat-a-tat-a-tat. Rat-a-tat-taaaaaat. Rat. Rat. Rat.

Ile tam może być jeszcze cementu?

– Dość tego.

Wzięłam dietetyczną colę z lodówki i upiłam łyk.

O, tak.

Wyłopałam kilkanaście łyków i odstawiłam puszkę na stół. Zdjęłam ubranie i brałam prysznic tak długo, aż łazienka całkowicie zaparowała. Zamknęłam oczy, pozwoliłam, by woda opływała moje piersi, plecy, brzuch. By spływała po mojej głowie, ramionach i biodrach.

Wytarłam się ręcznikiem, rozczesałam włosy, umyłam zęby i włożyłam bawełniane skarpety.

Czułam się jak nowo narodzona. Wyjęłam teczki Nordsterna i położyłam na stole. Słyszałam, jak w pokoju obok ktoś bezmyślnie przełącza kanały. Mój sąsiad w końcu pozostał przy meczu piłki nożnej.

Sięgnęłam po pierwszą teczkę. Widniał na niej napis „Specter”. Zawierała wycinki prasowe, notatki i zestaw zdjęć André Spectera i jego rodziny. Były też dwie fotki ambasadora z Aida Perą.

Druga teczka była nieopisana. Zawierała rachunki z restauracji i za taksówki. Zapisy wydatków. Koniec.

Dopiłam colę.

Na zewnątrz nadal rozlegał się huk młotów pneumatycznych.

Na trzeciej teście widniał napis: „SCELL”. Byłam w połowie drogi, kiedy ją znalazłam.

Komórki macierzyste rozwijające się z martwych ciał.

Kiedy czytałam raport, zaparło mi dech w piersiach.

Zespół badawczy Instytutu Salk w La Jolla, w Kalifornii, rozwinął technikę uzyskiwania komórek macierzystych z pośmiertnych próbek ludzkich. Odkrycie zostało przedstawione w magazynie „Natura”.

– Jezu Chryste.

Mój głos rozbrzmiał dość głośno w pustym pokoju.

Czytałam dalej.

Kiedy umieszczono je w różnych roztworach, tkanki jedenastotygodniowego dziecka i dwudziestosiedmioletniego mężczyzny zawierały niedojrzałe komórki mózgu. Zespół z Salk przetestował tę technikę na innych osobach w różnym wieku oraz na próbkach pobranych nie

dłużej niż dwa dni po śmierci.

Stopka wskazywała, że raport został ściągnięta ze strony internetowej BBC News. Poza adresem http, ktoś dopisał nazwisko Zuckerman.

Było mi na przemian gorąco, to znów przeraźliwie zimno. Trzęsły mi się ręce.

Nawrót.

Czas na uderzenie Imodium. Wracając z łazienki, zauważyłam dziwny cień, który kładł się w poprzek dywanu przed drzwiami wejściowymi. Poszłam sprawdzić. Zasuwa nie była dokładnie zaczepona.

Czy zostawiłam otwarte drzwi po powrocie, gdy spieszyłam się do łazienki? Czułam się kiepsko, ale taka beztroska nie leżała w moim charakterze.

Zamknęłam i zakluczyłam drzwi. Poczucie niepokoju dołączyło do objawów zatrucia.

Czułam się osłabiona, kiedy dzwoniłam do Galiano. Drżenie rąk nasilało się.

Galiano i Ryan wyszli. Zanim zostawiłam wiadomość, przełknęłam.

Cholera! Nie mogę zachorować. Nie mogę!

Pozbierałam teczki Nordsterna i złożyłam je na kupkę obok fotela. Skradłszy narzutę z łóżka, podwinęłam stopy pod pupę, usiadłam na nich i zawinęłam się w kapę. Po minucie czułam się gorzej.

Dużo gorzej.

Otworzyłam teczkę. Notatki z wywiadu. Podczas czytania oparłam twarz na dłoniach. Czułam strużki potu spływające po skórze.

Poczułam ostry ból żołądka, później drżenie pod językiem. Byłam coraz bardziej rozpalona.

Pognałam do łazienki. Wymiotowałam tak długo, że aż rozbolały mnie żebra. Potem wróciłam na moje krzesło, opatulłam się w kokon z narzuty. Po kilku minutach musiałam powtórzyć wycieczkę. Za każdą bytnością w łazience czułam się gorzej.

Gdy po raz czwarty w bezsilności opadłam na krzesło, zamknęłam oczy i naciągnęłam na siebie narzutę. Czułam ostrą bawełnę na ciele. Czułam swój własny smród. Głowa mi opadała, pod powiekami tańczyły małe konstelacje.

Młoty pneumatyczne ustąpiły miejsca dźwiękowi podobnemu do podrzucania kukurydzy. Widziałam szarańczę w letnią noc. Nogi pająka. Czerwone, wściekłe oczy. Czułam owady bzyzące w strumieniach krwi.

Potem byłam z Katy. Była mała, trzy- może czteroletnia. Czytałyśmy książkę z wierszykami dla dzieci. Miała bardzo jasne blond włosy. Słońce rozświetlało je niczym światło księżycy mgłą. Miała na sobie fartuszek, który kupiłam jej na targu w Nantucket.

Pozwól mi pomóc, kochanie.

Mogę to zrobić.

Oczywiście, że możesz.

Znam moje litery. Czasami po prostu

*nie mogę ich złożyć.
To trudna sztuka.
Zabieram twój czas.
Hektor Protektor w stroju barwy zielonej;
Hektor Protektor był wysłany do królowej;
Królowa nie lubiła go, jak i król;
Więc Hektor Protektor był wysłany
jeszcze raz.
Dlaczego oni go nie lubili, Mamusiu?
Nie wiem.
Czy był złym człowiekiem?
Nie sądzę.
Jakie było imię królowej?
Arabella.
Katy chichotała.
Jakie było imię króla?
Chanie Oliver.
Ponownie chichot.
Ty zawsze mówisz śmieszne imiona,
Mamusiu.
Lubię, kiedy się śmiejesz,
Jakie było nazwisko Hektora Protektora?
Lucas.
Może nie był wcale ochroniarzem.
Może nie.
A kim, Mamusiu?
Zbieraczem?
Chichot.
Budowniczy.
Niedołęga.
Skoczek.
Chirurg.
Inspektor.*

Ocknęłam się. Stałam w łazience, dłonie i czoło przyciskając do lustra.
Jakie było słowo, które usłyszała Molly? Nie *inspektor*. Nie *Specter*.
Hektor.
Hektor Lucas.

Czy naprawdę mam już to wszystko za sobą? Czy naprawdę lekarz kontrolował Prokuratora Okręgowego? Czy to właśnie Lucas zlecił napad na Molly i Carlosa? Jaki to wszystko ma związek z naszą pracą w Chupan Ya? Nie mogłam tego pojąć. Czy Hektor kazał zabić Nordsterna, kiedy reporter był bliski poznania prawdy? Czy kazał zabić Patricię Eduardo? Czy Lucas postąpiłby tak samo z Zuckerman i Jorge Serano?

Czy spróbowałby zabić Galiano i Ryana?

Doczołgałam się do szafki nocnej, sięgnęłam po telefon komórkowy.

Ani Galiano, ani Ryan nie odbierali.

Otarłam wierzchem dłoni pot z twarzy.

Dokąd oni pojechali? Do kliniki Zuckerman? Do kostnicy?

Myśl!

Wzięłam głęboki oddech, otworzyłam i zamknęłam oczy. Obrazy wirowały. Gwiazdy świeciły pod powiekami.

Co robić?

Wydech. Potem kolejny.

Jeśli Lucas rzeczywiście był taki niebezpieczny, Ryan i Galiano powinni o tym wiedzieć. Może Zuckerman już go dorwała i ostrzegła. Lucas może sądzić, że przyjdą go aresztować i zastrzelić.

Włożyłam buty, sięgnęłam po torebkę i zesłam na dół.

Złapanie taksówki zajęło mi dwadzieścia minut.

– ¿Dónde?

Dokąd?

Dokąd mogli pojechać Ryan i Galiano? Nie do Paraiso ani do kliniki Zuckerman. Te miejsca są obstawione.

Kierowca stuknął palcami w kierownicę.

Gdzie może być Lucas?

A może chciałam Diaza? Prawdopodobnie dr Ferreira powiedziała mi.

Trzęsłam się, szczękałam zębami.

– *Dónde Señora?*

Olśnienie!

– Kostnica sądowa.

– Zona 3?

– *Oui.*

To była pomyłka. Dlaczego?

Kiedy taksówka jechała przez miasto, w oknie migał wciąż zmieniający się zestaw kolorów i kształtów. Bannery poustawiane wzdłuż ulic. Reklamy powywieszane na ogrodzeniach, ścianach. Billboardy. Nie próbowałam ich odczytywać. Nie umiałam. Głowa mi pękała, jak wtedy gdy

piłam. Gdy zasypiałam z jedną stopą na podłodze, żeby utrzymać kontakt z planetą.

Wiedziałam, że nadpłaciłam kierowcy za jego miły uśmiech i jego wybuchy.

Nieważne.

Patrzyłam w górę i w dół bloku. Okolica była pępna, a cmentarz większy i ciemniejszy od tego, jakim go zapamiętałam. Nigdzie nie widziałam samochodu Galiano.

Gapiałam się na kostnicę. Ferreira. Musiałam zobaczyć się z dr Fereirą. Wędrowałam po zwirowym podjeździe wzdłuż lewej strony budynku. Moje tenisówki wydawały dźwięk chrupania, który był niczym burza dla moich uszu.

Podjazd prowadził na parking, na którym stały dwa samochody transportowe, białe volvo i czarne kombi. Nie było Batmobila.

Kropła potu spłynęła mi do prawego oka. Starłam ją rękawem.

I co teraz? Nie miałam zamiaru wchodzić tutaj bez Ryana czy Galiano. Szukać Fereiry?

Sprawdziłam wejście dla personelu na tyłach budynku. Zamknięte. Drzwi garażu wykorzystywane do wnoszenia ciał były zamknięte.

Próbowałam być cicho. Podeszłam do pierwszego vana i zajrzałam przez okno. Nic.

Podczołgałam się do drugiego samochodu.

Trzeci.

Komplet kluczy leży na siedzeniu!

Serce wali, biorę swoją nagrodę i czołgam się do budynku.

Żaden z kluczy nie pasuje do drzwi personelu.

Cholera.

Moje ręce trzęsą się, gdy sprawdzam klucz za kluczem w zatoczce samochodowej.

Nie.

Nie.

Nie.

Upuściłam komplet kluczy. Czuję drżenie nóg, gdy szukam kluczy na czworaka. Mam wrażenie, że mija wieczność, nim wyczuwam je pod ręką.

Wstaję.

Piąty albo szósty klucz wkładam do dziurki i przekręcam. Popycham drzwi do przodu o dwa i pół centymetra i sztywnieję.

Żadnych syren czy alarmów. Żadnej straży.

Popycham drzwi jeszcze bardziej. Ich zawiasy pracują głośniejsz niż młoty pneumatyczne pod moim hotelem.

Nikt się nie pojawił. Nikt nie woła.

Ledwo oddychając, idę na czworaka do kostnicy. Dlaczego chciałam tu wejść? Och, tak. Dr Ferreira, Ryan czy Galiano.

Spowija mnie znany mi zapach śmierci i środków dezynfekujących. To smród, który zawsze i wszędzie rozpoznam.

Trzymając się blisko ściany, idę korytarzem, mijam złożone nosze, biuro, mały pokój z oknem z zasłonami.

Moje laboratorium w Montrealu ma podobną komorę. Zmarłych wwozi się na wózkach, za szkło. Zasłony są odsłonięte. Niektórzy bliscy reagują z ulgą, inni są smutni. To najbardziej wzruszający punkt budynku.

Za pokojem oględzin korytarz przechodzi w kolejny pokój. Patrzę w prawo, w lewo.

Pod moimi powiekami tańczą światła. Zamykam oczy, biorę głęboki oddech i ponownie je otwieram. Lepiej.

Chociaż wszędzie było ciemno, wiedziałam, gdzie byłam. Po lewej rozpoznałam sale sekcyjne, po prawej hol, którym Angelina Ferreira prowadziła mnie do swojego biura.

Ile czasu minęło od momentu, gdy dała mi zdjęcia tomograficzne Eduardo? Tydzień? Miesiąc? Wieczność? Nie potrafiłam sobie przypomnieć.

Spojrzałam w prawo. Może była tam. Mogła opowiedzieć mi o Lucasie.

Uklucie w jelitach zgięło mnie w pół. Łapałam szybkie, płytkie oddechy, czekałam na ból. Kiedy zmieniałam pozycję, w oczach migały mi światła, a głowa eksplodowała. Opierając się o ścianę, wymiotowałam. Wstrząsały mną spazmy.

Dr Ferreira? Ryan? Galiano?

Miałam wrażenie, że skurcze trwały wieki. Czułam gorzyc w ustach. Ból w okolicach żeber. Moje nogi były jak z gumy. Ciało wstrząsane dreszczami i rozpalone od gorączki. Dr Ferreira mogłaby kogoś przysłać, żeby posprzątał ten bałagan.

Wspierałam się o ścianę, nacisnęłam na klamkę drzwi do jej gabinetu. Pusto. Poszłam w stronę sal sekcyjnych.

Sala sekcyjna nr 1 była ciemna i wyludniona.

To samo w drugiej.

Zauważyłam niebieskofioletowe światło przebijające pod drzwiami sali sekcyjnej nr 3. To w niej badałam szkielet Patricii Eduardo. Angelina prawdopodobnie tam była.

Ostrożnie otworzyłam drzwi.

W kostnicy nocą panuje surrealistyczna cisza. Żadnego syczenia węży, żadnych odgłosów piły, żadnej bieżącej wody, żadnych stukających instrumentów. Nie ma takiej drugiej ciszy.

Sala była pusta i śmiertelnie cicha.

– Dr Ferreira?

Ktoś pozostawił promienie X ustawione na skrzynkę iluminacyjną. Światło fluorescencyjne sączyło się wokół filmu jak niebiesko-biały poblask czarnobiałego telewizora w ciemności. Metal i szkło lśniły zimnem i stalą.

Przy nierdzewnej stalowej chłodni z tyłu sali stały nosze. Obleczone były plastikowym workiem. Wybrzuszenie podpowiedziało mi, że w środku jest ciało.

Kolejny spazm. Czarne punkty tańczą mi przed oczami.

Włokę się do stołu, opuszczam głowę, oddycham głęboko.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Punkciki rozbiegły się. Mdłości ustąpiły.

Lepiej.

Ciało na zewnątrz chłodni. Ktoś musi pracować.

Dr Ferreira?

Sięgnęłam po mój telefon komórkowy. Nie miałam go w kieszeni.

Cholera!

Upuściłam go? Zostawiłam w hotelu? Kiedy wyszłam z hotelu?

Spojrzałam na zegarek. Nie widziałam cyfr.

Zegarek nie działał. Chciałam stąd wyjść. Nie byłam w stanie im pomóc.

Pomóc, komu?

Wyjść, dokąd?

Gdzie ja jestem?

Wyczułam czyjąś obecność. Żadnego dźwięku, raczej zaburzenie powietrza.

Zakręciło mi się w głowie.

Ognie błyskały w mojej głowie. Ból przenikał ciało.

Ktoś stał w drzwiach.

– Dr Ferreira?

Czy rozmawiałam z kimś, czy wyobrażałam sobie, że z kimś rozmawiam?

Postać trzymała coś w rękach.

– Señor Diaz?

Żadnej odpowiedzi.

– Dr Zuckerman?

Postać pozostała na swoim miejscu.

Poczułam, że moje ręce słabną. Mój policzek uderzył w metalowe nosze. Z płuc eksplodowało powietrze. Podłoga uniosła się na wysokość mojej twarzy.

Ciemność.

Rozdział 29

Nigdy wcześniej nie było mi tak zimno.

Leżałam na lodzie, na dnie czarnego, ciemnego stawu.

Poruszałam palcami, aby przywrócić w nich czucie, by wypłynąć na powierzchnię.

Zbyt duży opór. Zbyt szybko na dno.

Robię wdech.

Martwe ryby. Algi. Stworzenia z głębin.

Rozstawiam ręce jak dziecko robiące na śniegu aniołka.

Kontakt.

Podążam rękoma za konturem.

Pionowa krawędź z okrągłym obrzeżem.

Badam krawędź. To nie lód. Metal otaczający mnie jak trumna.

Znak rozpoznawczy.

Biorę głębszy oddech.

Smród śmierci i środków dezynfekujących. Zaburzone proporcje. Smród rozkładającego się mięsa.

Zamrożone mięso.

Moje serce drży.

O Boże!

Leżałam na noszach w chłodni kostnicy.

Ze zmarłymi!

O Boże!

Na jak długo straciłam świadomość? Kto położył mnie na nosze?

Czy ta osoba jest tutaj?

Otworzyłam oczy i podniosłam rękę.

Czułam uporczywe klucie w mózgu. Zapadałam się w sobie.

Słuchałam.

Cisza.

Rozpychałam się łokciami i mrugałam.

Atramentowa czerń.

Podniosłam się do pozycji siedzącej, czekałam. Trzęsłam się, ale nie miałam mdłości.

Moje stopy były śmiertelnie ciężkie. Przyciągnęłam do siebie kostki i zaczęłam się przekreślać. Powoli czułam, że się obracam.

Nasłuchiwałam jakichkolwiek dźwięków spoza chłodni.

Cisza.

Przerzuciłam nogi nad krawędzią i odepchnęłam nosze.

Ugięły się pode mną kolana. Upadłam na podłogę. Poczulałam przeszywający ból w lewym nadgarstku.

Cholera!

Moja prawa ręka opadła na gumowe koło.

Doczołgałam się na czworaka i podciągnęłam się.

Kolejne nosze.

Nie byłam sama.

Nosze mają worek. Worek jest zajęty.

Odskoczyłam od ciała. Miałam suche usta. Waliło mi serce.

Odwróciłam się i pognałam w kierunku, gdzie jak mi się wydawało powinny być drzwi.

Dobry Boże, czy jest tu jakaś klamka? Czy chłodnie mają klamki od wewnątrz? Spraw, by była tu klamka.

Otwierałam miliony razy chłodnie i nigdy nic nie zauważyłam.

Trzęsę się, szukam po omacku. W ciemnościach.

Proszę!

Zimno, twardy metal. Gładki.

Błagam! Niech tu będzie jakaś klamka!

Czułam się bezbronna. Czułam żółć w ustach. Walczyłam z drzeniem.

Lata, dekady, tysiące lat później, moja ręka opadła na to.

Tak!

Nacisnęłam na klamkę, pchnęłam drzwi. Otworzyły się z lekkim piskiem. Wyjrzałam.

Na jasnym pudełku ciemnoszare organy i opakowanie kości, błyszczący z oddali portret człowieka.

Sala sekcyjna nr 3, przyćmione światło.

Czy nosze za mną były ostatnio używane? Czy zostaliśmy położeni na lodzie przez tę samą osobę?

Pozostawiając delikatnie uchylone drzwi, wdrapałam się na nosze i rozpięłam zamek plastikowego worka. Snop światła przebiegł przez wyczyszczone, białe stopy.

Okręciłam znacznik na palcu u stopy, aby móc przeczytać nazwisko. Światło było przyćmione, a litery dość małe.

RAM...

Pojawiały się i znikwały jak kamienie na dnie potoku.

Mrużę oczy.

RAMIR...

Rozmazane.

RAMIREZ.

Gwatemalski odpowiednik Smitha lub Jonesa.

Pracowałam sobie po swojemu pod noszami. Wreszcie naciągnęłam z powrotem pokrycie.
Twarz Marii Zuckerman była upiorna, dziura w czole, mała czarna kropka. Smary pokrywały przód jej ubrania.

Podniosłam rękę. Była w pełni posłuszna.

Gdy schodziłam z półki przeznaczonej na nosze, cała się trzęsłam.

Dlaczego?

Głupkowaty strój.

Otworzyłam drzwi tyłkiem, weszłam do pokoju nr 3.

Od stóp do głów przeniknął mnie chłód.

– Witamy, dr Brennan. Znałam ten głos.

– Dziękujemy bardzo, że ocaliła nas pani przed wpadką.

– Lucas?

Mogłam wyczuć przednią stronę, beczkę, dziurawą tubkę, która mogła wysłać kulę z krzykiem przelatującą przez mój mózg.

– Oczekiwałaś kogoś innego?

– Diaza.

Lucas chrząknął.

– Diaz robi to, co mu każe.

Moje postarzałe komórki mózgowie krzyczały tylko jedno słowo. Gasnę!

– Zabiłeś Marię Zuckerman. Dlaczego?

Moja głowa była ciężka, język sztywny.

– I zabiłeś Olliego Nordsterna.

– Nordstern był głupkiem.

– Nordstern był wystarczająco sprytny, aby odkryć twoją brudną hodowlano-komórkową grę.

Problem z oddychaniem. Podtrzymuj rozmowę!

– Czy to był także błąd Patricii Eduardo? Dowiedziała się, co Zuckerman miała zamiar robić?

– Byłaś pracowitą dziewczynką. Pokój wirował.

– Jesteś twarda, dr Brennan. Twardsza, niż przypuszczałem..

Kolbą broni uderzył mnie w kark.

– Wracaj do łóżka. Kolejne pchnięcie.

– Ruszaj.

Nie wracaj do chłodni!

– Powiedziałem idź. – Lucas potrząsnął mną.

Nie!

Zginać od kuli, czy umrzeć, Bóg jeden wie jak, w chłodni?

Zmykaj!

Doskoczyłam do twarzy mojego napastnika. Lucas wycelował w moją pierś Berette. Miałam

problem z widzeniem.

– No dawaj, dr. Lucas. Zastrzel mnie.

– Bezcelowe.

Patrzyliśmy na siebie jak dzikie zwierzęta.

– Dlaczego Zuckerman? – zapytałam.

Lucas policzył do czterech.

– Dlaczego Zuckerman?

Czy powiedziałam to, czy tylko to sobie wyobraziłam?

– Jesteś bardzo błada, dr Brennan.

Zobaczyłam kropelkę potu.

– Mój dystyngowany kolega dotrzyma ci towarzystwa.

Usiłowałam zrozumieć znaczenie jego słów.

– Dlaczego? – powtórzyłam.

– Dr Zuckerman nie można było zaufać. Była słaba i skłonna do paniki. Nie tak jak ty.

Dlaczego Lucas mnie nie zastrzelił?

– Czy zabił pan swoje ofiary, dr. Lucas? Czy tylko okradał pan ich ciała?

Lucas przełknął i jego jabłko Adama odbiło się jak dziecko na bungee.

– Moglibyśmy mieć w to duży wkład.

– Albo morderstwa w służbie handlu organami na czarnym rynku.

Usta Lucasa rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu.

– Jesteś nawet lepsza, niż myślałem. W porządku. Uwielbiam, kiedy opadają kurtyny.

Podyskutujmy o nauce.

– Podyskutujmy.

Gasnę!

– Twój prezydent cofnął badania nad komórkami ES z powrotem do XX wieku.

– Działał, uwzględniając etykę medyczną.

– Etykę? – zaśmiał się Lucas.

– Te argumenty się nie liczą?

Moje myśli były chaotyczne.

– Że uzyskanie komórek macierzystych wiąże się z zabijaniem malutkich dzieci? Że naukowcy od komórek macierzystych nie są lepsi niż Mengele i naziści? Nazwiesz to pieprzenie naukową etyką?

Lucas pomachał swoją bronią nad listą zasad bezpieczeństwa przyklejoną taśmą klejącą do ściany.

– Blastocyt nie jest większy niż kropka nad „i”.

– To jest życie. – Moje słowa zabrzmiały z bardzo daleka.

– Odrzuty po leczeniu płodności. Pozostałości usuniętych ciąży.

Podniecenie Lucasa rosło. Wszystko robiłam źle.

– Setki tysięcy cierpiących na chorobę Parkinsona, cukrzycę, uszkodzenia kręgosłupa. Moglibyśmy im pomóc.

– Taki był cel Zuckerman?

– Tak.

– A wasz – napychać sobie portfele.

– Dlaczego nie? – Banknoty błyszczące na rogach. – Mechaniczne serca. Farmaceutyki. Patenty na wyposażenie ortopedyczne. Sprytny lekarz może zarobić miliony.

– Dzięki zabijaniu lub kradzieży embrionów? Czy nie pytałam już o to?

– Zuckerman chciała już na zawsze zająć się mieszaniem jajeczek i spermy w swoich naczynkach. Mój sposób był szybszy. Mógłby zadziałać.

Chciałam zamknąć oczy.

– Wiesz już, że to koniec – powiedziałam.

– Będzie koniec, jeśli ja tak powiem.

Chciałam przestać słuchać i zasnąć.

– Śmierć Zuckerman będzie rozwiązaniem. Jej laboratorium było obserwowane.

– Kłamiesz. – Kąciki jego oczu zadrgały.

– Jedzie tutaj dwóch detektywów. Miałam się tutaj z nimi spotkać.

Lucas zwilżył swoje usta.

Przywaliłam, ledwo świadoma tego, co mówię.

– Prawda jedzie tu z okolic Chupan Ya. Nagraliśmy na kasety to, co stało się tym biednym ludziom. – Moje kolana zaczęły się uginać. – Koniec z szantażem. Udział Diaza w masakrze został wykryty. On nie chce być już frajerem na twoich usługach.

Palce Lucasa zacisnęły się na uchwycie pistoletu.

– Jorge Serano jest w więzieniu. Odetną mu interesy i sam się podda.

Szyderczy śmiech.

– Poddam się bo co? Bo kradnę martwe embriony?

– Za zabicie Patricii Eduardo.

Spojrzenie Lucasa było bez wyrazu.

– Szkieletu już dawno nie ma. Jego identyfikacja zawsze będzie domysłem.

– Zapomniał pan o jednej rzeczy, panie Lucas. O nienarodzonym dziecku Patricii. Nigdy nie będzie mu dane oddychać.

Z dala słyszałam wycie syren. Lucas spojrzał w prawo, potem na mnie.

Gadaj!

– Znalazłam kości dziecka w ubraniu matki. Te kości dostarczą nam DNA.

Przez chwilę mój głos dobiegał z daleka.

– DNA zostanie porównane z próbką matki Patricii Eduardo. To dziecko wsadzi cię za kraty.

Stawy palców Lucasa stały się białe. Jego oczy były czarne i puste. Wygląd snajpera, terrorysty lub porywacza biorącego zakładnika, a który sam został zapędzony w kozi róg. Nie ma

wyjścia.

– Teraz mogę się z tobą policzyć. Coś jeszcze?

Straciłam nadzieję. Nie mogłam mówić. Nie mogłam się poruszyć. Mogłam zginąć w kostnicy w Gwatemali.

– Masz zdolności i możliwości, dr Brennan. Przyznaję. Zauważ, że to twój najszcześniejszy rok.

Jak przez mgłę widziałam, że Lucas przestaje celować bronią w moją pierś, wkłada lufę do ust i pociąga za spust.

Rozdział 30

Ta historia nigdy nie ujrzała nagłówek gazet ani w Gwatemali, ani w Kanadzie.

W Gwatemali „La Hora” opublikowała wzmiankę o zatrzymaniu Miguela Angela Gutiérreza – zabójcy pierwszego stopnia. Matka Claudii de la Aldy doceniła starania śledczych. Artykuł w gazecie zajął dwie kolumny. Strona 17.

W osobnym artykule, zabójcy Patricii Eduardo i Marii Zuckerman zostali przypisani do zorganizowanej przestępczości, a śmierć Lucasa została zakwalifikowana jako samobójstwo.

Ani słowa o komórkach macierzystych.

W Montrealu, „La Presse” i „Gazette” przedstawiły skrót historii ze strzelaniny na Rue Ste-Catherine. Co do Carlosa Vicente, drugi podejrzany został zidentyfikowany w Gwatemali. Mężczyzna zmarł tuż przed aresztowaniem. Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego Ollie zginął w Montrealu i jakie były motywy tej zbrodni.

Żadnej wzmianki o Antonio Diazie, Alejandro Bastosie czy André Specterze. Diaz został sędzią. Specter pozostał ambasadorem.

Przypuszczalnie tylko Bastos pozostał martwy.

Nigdy nie będę wiedziała, dlaczego Hektor Lucas wymierzył do siebie z broni. Przypuszczam, że kierowały nim arogancja i pycha. Uważał się za nadludzką istotę. Gdy dowiedział się, że to koniec, wybrał śmierć. Jego arogancja pozwoliła mi ujść z życiem. Chciał, żebym miała świadomość jego wyboru. Żebym pamiętała, że darował mi życie.

Ryan był w szpitalu przed siódmą, z kwiatami.

– Dzięki, Ryan. Są piękne.

– Jak ty. – Uśmiech Goofy’ego.

– Mam podbite oko, spuchnięty policzek, w ramieniu igłę, a Siostra Kevorkian właśnie przygotowuje czopek, który wciśnie mi w tyłek.

– Jak dla mnie wyglądasz dobrze.

Jego włosy były matowe, miał dwudniowy zarost, marynarkę brudną od popiołu z papierosa. Dla mnie też wyglądał dobrze.

– OK – powiedziałam. – Dawaj.

Obudziłam się, ale wciąż byłam osłabiona. Cokolwiek było nie tak z moim metabolizmem, zostało przepędzone przez leki lub po prostu zwalczone upływem czasu.

– Galiano i ja dzwoniłszy na twoją komórkę, kiedy sędzia szykował nakaz przeszukania kliniki Zuckerman. Żadnej odpowiedzi. Próbowaliśmy jeszcze raz, kiedy schwytano Jorge Serano.

– Byłam albo pod prysznicem, albo już wyszłam i zapomniałam telefonu.

– Pomyśleliśmy, że wyłączyłaś telefon przed pójściem spać. Kiedy wróciłem do hotelu,

zapukałem do twojego pokoju, chwyciłem za klamkę.

– W nadziei na... ?

– Tylko sprawdzałem zdrowie przyjaciółki. Uderzyłam go w brzuch. Miał nadzieję na powrót.

– Ta *taqueria* to był twój pomysł.

– Ty wybrałaś rybę.

– Dobrze pamiętam.

– Zawsze można przyplacić taką rybę... przyplacić żołądkowo. Tak czy inaczej, twoje drzwi były otwarte, a w pokoju bałagan – powiedział. – Zauważyłem artykuł o odzyskiwaniu komórek macierzystych z martwych tkanek i zastanawiałem się, czy pojechałaś się czegoś dowiedzieć, czy zrobić coś bardzo głupiego.

– Dzięki.

– Zapomnij o tym. Wyciągnąłem Galiano z łóżka, żeby zobaczyć, czy uda nam się ciebie wytropić.

– Jestem pewna, że był przerażony.

– Elastyczność Bata. Zadzwoniliśmy do FAFG. Nikt z tamtejszych pracoholików nie widział cię tam. Wspomniałem, że odkryłaś związek Zuckerman – Lucas i Bat podjął decyzję, aby zamknąć Lucasa. Lucasa nie było w domu, więc pomyśleliśmy, że moglibyśmy sprawdzić kostnicę. Zauważyliśmy volvo Zuckerman na parkingu i częściowo otwarte boczne drzwi.

– Gdzie była regularna ochrona?

– Lucas wysłał ich do domu. Pomyśleliśmy, że zechce dokonać szybkiego napadu na Marię Zuckerman.

– Z powodu nieukrywanej wściekłości na swoich kolegów.

Ryan kiwnął głową.

– Kiedy wpadliśmy do sali sekcyjnej, mózg Lucasa robił za ścienną dekorację. Byłaś nieprzytomna, więc szybko zapakowaliśmy cię do ambulansu, a sami pojechaliśmy po słodkiego Serano.

Ryan odgarnął grzywkę z mojego czoła. Nie potrafiłam ocenić charakteru tego gestu.

– Lucas nakazał Serano pozbyć się ciebie. Metoda miała być zaskakująca. Brałaś prysznic wszech czasów. Młoty pneumatyczne dawały olbrzymi hałas. Komando Boy wypił colę, planował poczekać w twoim mieszkaniu, aż się położysz i wtedy nakryć cię poduszką. *Problemo*. Pani brała prysznic. Serano wypalił stamtąd bardzo szybko.

– Rozmawialiście z gospodarzem?

Ryan kiwnął głową. – Dziewczyna myślała, że to byłem ja.

– Dlaczego, do diabła. Serano mnie uspił?

– Kto wie, nie powiedział. Powiedzieliśmy lekarzom, że zatrulaś się jedzeniem. Przepłukali ci żołądek, a hotelowy personel zabrał puszkę.

– Kopnij mnie w tyłek.

– To dobry pomysł. Lekarze uważają, że Pepto i Imodium utrzymały cię przy świadomości. Chociaż, nie powiem, trochę przeżyłaś.

Poślaskotał mój podbródek.

Odsunęłam jego dłoń. Skrzywił się.

– Jak nadgarstek?

– To tylko draśnięcie. – Ryan wziął moją dłoń i pocałował opuszki palców.

– Przeraziłaś nas, ślicznotko.

Zakłopotana, zmieniłam temat.

– Lucas zabił Nordsterna?

– Wygląda na to, że Nordstern przyjechał tutaj po zgodę na wywiad z Clydem Snowem i jego pracą dotyczącą praw człowieka. Przekopując materiał z Chupan Ya i innych masakr, Nordstern natknął się na wojskowe dane dotyczące Antonio Diaza i Alejandro Bastosa. Być może naraził się Diazowi, a ten zerwał kontakt z Lucasem. Lucas mógł chcieć go za to skasować.

– Bardziej prawdopodobne, że postąpił tak z Patricią Eduardo. Wygląda na to, że Nordstern łąpał tematy. Kiedy pojechał do Gwatemali przeczytał lub usłyszał o zaginionych dziewczynach i zaczął ich szukać. Kiedy dowiedział się, że jedną z nich jest córka ambasadora, zwęszył dobry materiał. Kiedy znalazł Chantale miał problem, a ambasador był cwany i chciał szczegółów.

– Dlaczego pojechał do Montrealu?

– Wtedy był w tym samym punkcie, co my. Miał historię dziesięciolecia, a jeśli udałoby się powiązać mu ciało ze zbiornika ze Specterem – wielki materiał. Cwany dyplomata. Naiwne młode dziewczyny. Seks. Zabójstwo. Tajemnicza śmierć. Zbiornik szamba. Immunitet dyplomatyczny. Zagraniczne intrygi. Nie wiem, czy on wiedział, że Patricia Eduardo jest w ciąży.

Ryan pogłaskał mnie po głowie.

– Bóg wie, co myślał o ES komórkach i do czego będą użyte. W teczce z wydatkami Nordsterna znaleźliśmy kwit hotelowy z Paraiso.

– Po co się tam zameldował?

– Ktoś o naturze śledczego nigdy nie ustępuje, nie popuszcza. Oto, jak Nordstern poznał Serano.

– Kto zaprowadził go do Zuckerman?

– Co naprowadziło go na zainteresowanie się komórkami ES?

– Kto i dlaczego go zabił?

Oboje zamilkliśmy na moment.

– Co się dzieje z Chantale Specter?

– Powrót do sklepu MusiGo i rehabilitacja.

– Lucy Gerardi?

– Pod kluczem, u rodziców. Bez pomocy Chantale nie ucieknie.

Zawsze bałam się o to spytać.

- Śledztwo wewnętrzne?
- Departament i ja zrzuciliśmy wszystko na Señora Vicente.
- Cieszę się, Ryan. To był świetny strzał.

Siostra K. przysłała, aby sprawdzić moje cztery litery.

- Gdzie Galiano? – zapytałam, kiedy wyszła.

Cień zazdrości.

- Zaraz tu będzie.

Ryan pogłaskał moje ramię, przyciągnął mnie do siebie i przyłożył swój policzek do czubka mojej głowy. Poczułam, jak po moim ciele rozchodzi się fala ciepła.

– Kiedy zobaczyłem cię leżącą na podłodze ostatniej nocy, obok broni i ciała, poczułem, że coś tracę.

Byłam zbyt zaskoczona, aby mówić. Może to najlepsze wyjście. Cokolwiek powiem, będzie prawdopodobnie złe.

- Zrozumiałem coś.

Głos Ryana brzmiał dziwnie. Przycisnął moją głowę do swej piersi.

- Albo może w końcu przyznałem się sam przed sobą.

Ryan tulił się do moich włosów.

Do czego? Przyznał, do czego?

- Tempe...

Jego głos się łamał.

O Boże! Czy on ma zamiar użyć słowa na K... ?

Odchrząknął.

– Widziałem w życiu zbyt wiele zła, by ufać ludziom. Nie wierzę w dobre zakończenia. –
Poczułam, jak przełyka. – Ale wierzę w ciebie.

Usiadł obok mnie na poduszce i pocałował mnie w czoło.

- Musimy wszystko przemyśleć.

Chcę porozmawiać...

- Pomyśl o tym. – Chabrowe oczy zaglądały w moją duszę.

Przepadłeś.

Następnym razem, gdy wstałam, patrzyli na mnie Mateo i Elena. Twarz Eleny była pokryta zmarszczkami, przypominała shar-pei.

- Jak się czujesz?

- Jestem zdrowa jak ryba.

Mateo i ja uśmiechnęliśmy się. Boli jak diabli.

- Co was tak bawi?

- Coś, co powiedziała Molly.

Zapewnili mnie, że prace w Chupan Ya idą dobrze. Wieśniacy planują pogrzeb. Mateo

kontaktował się z Molly. Wraca do zdrowia.

Znowu, mimo że próbowałam, nie mogłam wstać.

Galiano był następnym fantomem, który stanął u mego łóżka.

Z kwiatami.

Trochę przypominało mi to wszystko salonik przed pogrzebem.

– Miałś rację w kwestii napadu na twoich kolegów.

– Molly i Carlosa?

Galiano kiwnął głową. Wyglądał nie gorzej od Ryana.

– Jorge Serano dokonał tego ataku.

– Dlaczego oni? – zapytałam.

– Pomyłka. Lucas wysłał Serano za tobą. Chciał odwrócić uwagę zespołu, zabijając jego szefa. Myślał, że ty nim jesteś.

Poczułam chłód w piersiach. Wina? Smutek? Złość?

– Dlaczego kazał przerywać prace w Chupan Ya?

Galiano wzruszył ramionami. – Lucas nie chciał stracić swojej podpory.

– Diaza?

Galiano kiwnął głową. – Albo Lucas bał się, że Diaz wie zbyt dużo. Jeśli Prokurator Okręgowy zostałby aresztowany za swój udział w masakrze, mały robak mógłby odnosić sukcesy.

– Drań.

– Kiedy Lucas dowiedział się, że wystąpiłem o zgodę, abys wzięła udział w śledztwie w Paraiso, miał kolejny powód, żeby cię skasować.

Galiano ujął moją dłoń. Jego skóra była szorstka i chłodna. Pocałował moje palce.

Najpierw Ryan, teraz Galiano. Zaczynam się czuć jak papież.

Przycisnął swoje usta do moich dłoni.

OK. Nie tak jak papież.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz, Tempe.

Nie było ze mną dobrze. Z sekundy na sekundę było ze mną coraz gorzej. Co było nie tak z moim libido i z tymi dwoma facetami?

– Dalej.

– Serano od dawna łączyły ciemne interesy z Lucasem. Od momentu, kiedy wrzucił zwłoki Patricii Eduardo do zbiornika szamba swego tatusia. Zgodził się więc na strzelaninę w Sololá.

– Dlaczego wrzucił jej zwłoki tak blisko domu?

– Pytałem go o to. Kretyn, uważał, że ciało rozłoży się w przeciągu tygodnia. Kiedy dreny się zatkały, a wokół sprawy zaczął chodzić Papa, mały Jorge mało nie narobił w spodnie.

– Kto zabił Patricię Eduardo?

– Lucas.

– Dlaczego?

– Patricia Eduardo szukała żonatego mężczyzny, zaszła w ciążę i poszła do Zuckerman po poradę. Zuckerman mogła w niej widzieć dawczynię. Eduardo zgodziła się na operację na komórki ES.

– Eduardo i Zuckerman walczyły, i Eduardo mogła zagrozić, że ujawni tajemnicę. Zuckerman powiedziała Lucasowi. Lucas usunął Eduardo i nakazał Serano, aby sprzątnął ciało. Teraz Serano używa tej wiedzy, by założyć własny biznes. Nie przestaje zeznawać, od kiedy go zatrzymaliśmy.

– Czy wie, że Lucas i Zuckerman nie żyją?

– Mogliśmy zapomnieć o tym powiedzieć.

– Jak Serano się w to wszystko wmieszał?

– Jak już powiedziałem, styl życia Jorge przewyższał znacznie możliwości zarobkowe w laboratorium kliniki.

– Będąc gorylem Lucasa, był lepiej opłacany?

– Zdecydowanie lepiej niż w Paraiso. Lucas nie chciał sobie brudzić rąk, a Jorge chciał zarobić.

– A co z Nordsternem?

– Lucas wszystko ukartował. Jorge był jedynie małym zielonym pionkiem w tej rozgrywce. Miał wysłać Olliego za granicę.

– Czy sądzisz, że Nordstern wiedział, co dzieje się z komórkami macierzystymi?

– Znaleźliśmy trochę interesującego materiału w jego laptopie. Nordstern dowiedział się sporo o komórkach ES i o amerykańskiej decyzji w sprawie ograniczenia funduszy. Większość materiałów na ten temat ściągnął podczas pobytu w hotelu Paraiso.

– A Serano nieświadomie zaprowadził go do kliniki Zuckerman.

– Mała kradzież z włamaniem nie byłaby niczym szczególnym dla Nordsterna. On prawdopodobnie poszedł do laboratorium, podebrał zbiory Zuckerman i próbował się dowiedzieć, czym ona i Lucas się zajmują. Prawdopodobnie myślał, że chcą zbić fortunę na czarnym rynku.

– Kiedy to się zaczęło?

– Lata temu. Zuckerman eksperymentowała z mieszaniem jajeczek i spermy, aby uzyskać embrionalne komórki macierzyste. Dostawała jajeczka i spermę, mieszała je ze sobą do czasu, aż połączyły się i zaczynały rosnąć. Wtedy niszczyła embriony i utrzymywała kulturę komórek macierzystych.

Czekałam.

– Zapewne Lucas był zniecierpliwiony wolnymi postępami Zuckerman i nalegał, żeby spróbowali innej techniki.

– Zwłoki.

Galiano przytaknął.

– Lucas kradł tkanki podczas legalnych sekcji zwłok.

– Chryste.

– Ale sukces osiąga się szybciej przy dzieciach. – Galiano patrzył mi prosto w oczy. – Nie ma zbyt wielu dzieci w kostnicy. W laptopie Nordsterna było kilka artykułów o życiu dzieci ulicy w Gwatemali.

– Nordstern myślał, że Lucas morduje sieroty dla tkanek? – powiedziałam z wściekłością i odrazą.

– Nie znaleźliśmy jeszcze dowodów, ale szukamy.

– Słodki Jezu.

Ucichliśmy oboje. Korytarzem jechał wózek. Wzywano dr Jakaś-tam.

– Co z Miguelem Gutiérrezem?

– To tylko ograniczony umysłowo tępak, który nie mógł mieć dziewczyny, której pragnął.

– Claudia de la Alda.

Galiano kiwnął głową.

– Wszystko to jest takie smutne, prawda? – powiedziałam.

Bez uprzedzenia nachylił się nade mną i pocałował. Jego usta były delikatne i ciepłe. Haczykowały nos dotknął mojej skóry. Był szorstki.

– Ale spotkałem ciebie, *serce*.

Rozdział 31

Do połowy czerwca skończyliśmy prace w Chupan Ya.

Dwadzieścia trzy zestawy kości zostały zwrócone ich rodzinom. Wioska oddała hołd ofiarom masakry – przecudną ceremonią i szczerym płaczem. Mieszkańcy wreszcie odczuli ulgę. Clyde Snow przyleciał z Oklahomy i odwiedził cały zespół FAFG. Mieliśmy poczucie dobrze spełnionego obowiązku. W tunelu rozbłysło światło nadziei.

Ale wciąż było jeszcze wiele ciemności. Pomyślałam o Señorze Eduardo i Señorze de la Alda i ich córkach. Myślałam o ucisku, żądzy posiadania i psychozie. O ludziach, którzy tak szybko odchodzą.

Hektor Lucas, Maria Zuckerman i Carlos Vicente nie żyją. Jorge Serano i Miguel Angel Gutiérrez siedzieli w więzieniu.

Mateo i Elena napisali raport z prac w Chupan Ya.

Może byłoby dobrze poświęcić trochę uwagi okrucieństwu.

Generał Efraim Rios Montt był prezydentem w latach 1982-1983, kiedy zniszczono setki wiosek i zabito tysiące ludzi. W czerwcu 2001 ofiary masakry wszczęły sprawę o zbrodnię przeciwko ludzkości wobec generała Montta, pełniącego aktualnie funkcję przewodniczącego Kongresu Gwatemalskiego. Przewód sądowy natrafił na mnóstwo przeszkód. Na szczęście kilku się pozbyliśmy.

10:15. 21 czerwca. Pierwszy dzień lata na półkuli północnej.

Wrzucam kosmetyki do walizki i przeglądam pokój. Mała tkanina kupiona na rynku w Chichicastenango wisi wciąż nad łóżkiem. Naprawiłam ją. Teraz oglądałam ją po raz kolejny.

Kabawil jest popularną tkaniną Majów. *Kaba* znaczy dwa. *Wil* znaczy głowa. Według legendy dwugłowy ptak ma dar widzenia zarówno za dnia, jak i nocą, z daleka i z bliska. Jest symbolem teraźniejszości i przyszłości, krótko – i dalekosiężnych planów. Przedstawia związek między człowiekiem i naturą.

Włożyłam Kabawil do walizki.

Kabawil przedstawia również związek między mężczyzną a kobietą.

Wiele nocy spędziłam na rozmyślaniu o moim związku z mężczyzną. Z dwoma mężczyznami, jeśli chodzi o ścisłość.

Ryan nigdy nie wrócił do tematu, który poruszył w szpitalu. Może moje wyzdrowienie wystraszyło go. Może to ja cały czas miałam halucynacje. Koniec końców skończyło się na tym, że zaproponował mi wspólne wakacje.

Galiano także chciał mnie zabrać.

Wiedziałam, że zaczynałam się upodabniać do zdjęcia w paszporcie. Potrzebowałam wakacji.

Wiedziałam także, że przeszłam szkołę życia, która nic nie wniosła, a może wcale nie uczęszczałam do takiej szkoły.

Podjęłam decyzję.

Doświadczenie jest bardzo cenną rzeczą. Umożliwia nam dostrzeganie błędów.

Czy popełniłam błąd?

Gdybym nie spróbowała, nigdy bym się nie dowiedziała. Z desperacją chciałam łapać szczęście, ale bałam się sukcesu. Tym razem, moja praca przysporzyła mi kilku blizn. Myślę, że musi upłynąć sporo czasu, nim dojdę do siebie.

Za każdym razem, gdy myślałam o Señorze Ch'i'p, odczuwałam pustkę.

Zadzwoił telefon.

– Jestem w holu.

Jego głos brzmi lepiej niż kilka tygodni temu.

– Właśnie kończę się pakować – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że nastawiłaś się na słońce i piasek.

– Zabieram wszystko.

– Gotowa?

O, tak. Moje włosy były pełne blasku. Mogły oślepić. Miałam na sobie letnią sukieneczkę i sandaalki oraz bieliznę Sekret Viktorii.

Mascarę i błyszczczyk.

Byłam gotowa.